

IAN C. ESSLEMONT NOC NOŻY

IMPERIUM MALAZAŃSKIE



Ian Cameron Esslemont

NOC NOŻY

Powieść malazańska

Przełożył Michał Jakuszewski

Wydawnictwo MAG
Warszawa 2023

Tytuł oryginału: *Night of Knives: A Novel of the Melazan Empire*

Copyright © 2004 by Ian Cameron Esslemont

Copyright for the Polish translation © 2007 by Wydawnictwo MAG

Redakcja: Joanna Figlewska

Korekta: Urszula Okrzeja

Ilustracja na okładce: Steve Stone

Opracowanie graficzne okładki: Piotr Chyliński

ISBN 978-83-67793-72-8

Wydanie III

Wydawca:

Wydawnictwo MAG

Pl. Konstytucji 5/10

00-657 Warszawa

www.mag.com.pl

Wyłączny dystrybutor:

Dressler Dublin sp. z o.o.

ul. Poznańska 91

05-850 Ożarów Maz.

tel. 227 335 010

www.dressler.com.pl

Wersję elektroniczną przygotowano w systemie *Zecer*

Spis treści

Strona tytułowa

Karta redakcyjna

Wstęp

Prolog

Ścieżka pośród cienia

Rozdział I. Omeny i przybysze

Rozdział II. Spotkania

Rozdział III. Ogary cienia

Rozdział IV. Starzy wrogowie, starzy przyjaciele

Rozdział V. Fortele i fatum

Rozdział VI. Rozstrzygnięcia

Epilog

Podziękowania

Wstęp

Świat Malazu zrodził się w roku 1982 i od tej chwili jego historia powoli nabierała kształtu. Na letnich wykopaliskach i podczas zim spędzanych w Victorii, podczas kursów pisania kreatywnego, w Winnipeg i na Salt-spring Island – wszędzie, gdzie ścieżki Iana (Cama) Esslemonta i moja krzyżowały się choć na krótki czas. Napisaliśmy wspólnie pewną liczbę scenariuszy filmowych i nie ulegało wątpliwości, że nasze talenty się uzupełniają. Gdy nie zajmowaliśmy się pisaniem, toczyliśmy kampanie RPG rozgrywające się w świecie Malazu.

Kiedy nasunęła nam się myśl, by spróbować wykorzystać ów świat w literaturze, wydawało się nam oczywiste, że podzielimy się rozległą historią, jaką z biegiem lat stworzyliśmy. Tak też się stało. Od chwili opublikowania *Ogrodów księżycy* dochodziły mnie głosy fanów pragnących się dowiedzieć czegoś o dawnym imperium, imperium cesarza Kellanveda i jego towarzysza Tancerza. Raz po raz pytali mnie, czy napiszę coś o tych wczesnych latach historii imperium. Albo o Karmazynowej Gwardii. Zawsze stanowczo odpowiadałem „nie”. Powód powinien być już teraz oczywisty.

To ogromny fikcyjny świat, za duży, by jedno życie wystarczyło do jego opisu. Ale dwa życia... to co innego. Zadedykowałem *Ogrody księżycy* Ianowi C. Esslemontowi z dopiskiem „za wspólnie zdobywane światy”. Nie sądzę, bym mógł jaśniej wyrazić swą intencję. Co prawda, minęło trochę czasu, nim ukazała się ta książka, pierwsza z napisanych przez Cama opowieści o Malazie. Nasze drogi rozeszły się na pewien czas i Cam miał na głowie inne sprawy: rodzinę, studia doktoranckie i tak dalej. Nie traciłem jednak wiary, zawsze byłem przekonany, że

czeka nas wspaniała niespodzianka. Ta książka, *Noc noży*, jest jedynie pierwszą z opowieści Cama umiejscowionych w świecie, który wspólnie stworzyliśmy przed laty.

Noc noży nie jest fanfikiem. Świat Malazu powstał dzięki dialogowi, nasze gry miały powieściowy charakter, a z powodu swych tematów często bywały tragiczne i brutalne. Pojawiał się w nich też humor, przeważnie absurdalny. Prześcigaliśmy się nawzajem w niedopowiedzeniach i groteskowych nonsensach, świadomie też kontestowaliśmy wytarte klisze gatunku. Taki właśnie duch przesycy wszystkie moje powieści dziejące się w malazańskim świecie, podobnie jak pisarstwo Iana Esslemonta. Niemniej książka, którą trzymacie w rękach, ma własny styl, przemawia indywidualnym głosem. Cała opowieść rozgrywa się w ciągu jednej doby i jest fascynująca. Czytelnicy moich książek rozpoznają świat, w którym jest umiejscowiona akcja, z jego mroczną atmosferą, ujrzą w postaciach występujących w *Nocy noży* kolejnych graczy wplątanych w ten sam gobelin, poznają jeszcze jeden krwawy fragment fikcyjnej historii. A będzie ich znacznie więcej.

Po dziś dzień kontynuujemy pracę nad historią malazańskiego świata, dopracowujemy szczegóły, uzupełniamy kolejność wydarzeń, dyskutujemy o motywach i podtekstach, dbamy o zachowanie spójności. Pilnie pracujemy nad chronologią i losami niezliczonych postaci. Wielu z nich żaden z czytelników jeszcze nie spotkał. Rozmawiamy też o przebiegłych planach, a czytelnicy *Malazańskiej księgi poległych* świetnie wiedzą, że można ich w niej znaleźć bardzo wiele.

Na początku malazańskiej serii pisałem ją dla jednego czytelnika. Dla Cama. A on mi się odwzajemnił. Nasz dialog trwa i teraz pojawiło się wielu innych odbiorców, którzy wreszcie mogą wysłuchać obu stron naszej konwersacji.

Mamy nadzieję, że będą się dobrze bawić.

Steven Erikson

Winnipeg, rok 2004

Poświęcam tę powieść Steve'owi, który uczynił nasz świat realnym.

Prolog

Morze Sztormów na południe od Malazu

Pora Osserca

1154 rok snu Pożogi 96 rok Imperium Malazańskiego

Ostatni rok panowania cesarza Kellanvedaaa

Trójmasztowiec *Sen Rheni* mknął na północny wschód pod pełnymi żaglami. Kapitan Murl zaciskał dłonie na rufowym relingu, obserwując zbliżający się sztorm. Przeciążone do granic możliwości deski kadłuba poskrzypywały złowrogo, a liny śpiewały, wydając wysokie dźwięki, jakich Murl nigdy w życiu nie słyszał.

Sztorm rozpościerał się od południa niczym ściana nocy, nieprzerwana linia czarnych, skłębionych chmur wiszących nad smaganyimi wichrem falami. To jednak nie burza niepokoiła kapitana Murła, bez względu na to, jak nienaturalne byłoby jej pochodzenie. *Sen Rheni* pływał już po najburzliwszych wodach znanych jakatańskim pilotom, od Morza Kalt na północy aż po słynne z porywistych pasatów wody na południe od Stratemu. To lazurowe iskry rozbłyskujące jak sople pośród fal u podstawy czoła burzy sprawiały, że strach zapuszczał palce w jego duszę. Nikt, kto widział je z tak bliska, nie wrócił żywy.

Murl i inni piloci zwali te istoty po prostu Jeźdźcami. Dla reszty ludzi były morskimi demonami albo Jeźdźcami Sztormu. Owe zrodzone z morza i lodu stworzenia uważały wąski przesmyk, którym płynął żaglowiec, za swój i nikomu nie pozwalały tędy przepływać. Jedynie jakatańscy przodkowie Murła wiedzieli, jakie ofiary należy złożyć, by móc się przedostać najkrótszą trasą na morza leżące na południe od

wyspy Malaz. Dlaczego więc Jeźdźcy ich ścigali? Co zwabiło ich tak daleko na północ?

Murl odwrócił się plecami do gwałtownego wichru. Jego starszy kuzyn, Wybite Oko, starał się zachować kontrolę nad wielkim kołem sterowym. Rozstawił szeroko nogi, a jego ramiona drżały z wysiłku.

– Czyżbyśmy zapomnieli o jakiejś ofierze?! – zawołał, przekrzykując wiatr.

Jego kuzyn potrząsnął głową, nie spuszczając jasnyniebieskiego oka z fal przed dziobem.

– Nie! – odrzyknął. – Złożyliśmy wszystkie. – Łypnął ze złością przez ramię. – Oprócz ostatniej.

Murl oddalił się zatrwożony i przeszedł na śródokręcie, posuwając się ręką za ręką wzdłuż sztormliny. Pokład pokryła już zdradliwa warstwa lodu. Niesione szkwałem okruchy szronu były ostre jak igły. Szyja i dłonie kapitana zrobiły się zupełnie czerwone. „Wszystkie oprócz ostatniej”. Tego rytuału nigdy dotąd nie odprawiał. Na zimne objęcia Chema, wszyscy w załodze byli jego krewniakami! Przypomniał sobie ten jeden raz, gdy był świadkiem rytuału: czarnowłosa głowa biednego chłopaka kołysała się na falach, a blade ręce pruły rozpaczliwie wodę. Zadrzał z zimna, a także od czegoś gorszego. Na to nie potrafi się zdobyć.

Murl przykucnął obok smukłej sylwetki przywiązanej do grotmasztu. Kobieta osunęła się bezwładnie, jakby spała. Wyciągnął odrętwiała od zamarzających bryzgów dłoni i pogłaskał błądy policzek.

Ach, Rheni, moja droga. Tak mi przykro. Tego było dla ciebie za wiele. Któż zdołałby uspokoić taki sztorm?

Rozległ się trzask pękającego lodu. Pierwszy oficer Hoggen łupnął mocno o maszt i objął go ramieniem.

– Mam kazać szykować broń?

Murl stłumił szalone pragnienie śmiechu. Popatrzył uważnie na Hoggena, by się upewnić, że pierwszy oficer mówi poważnie. Niestety na to wyglądało. W jego brodzie błyszczał biały szron, a oczy były

pozbawione wyrazu. Można by pomyśleć, że już nie żyje. Murl jęknął w duchu.

– Zrób to, jeśli musisz. – Zerknął na szczyt masztu. Ktoś siedział na reii, ściskając grotmaszt nogami. Jego spodnie, koszulę i ramiona pokrywała lśniąca warstwa lodu. – I każ młodemu Kretowi zleźć na pokład.

– Chłopak nie reaguje na polecenia. Chyba odwalił kity z zimna.

Murl zacisnął powieki, by osłonić oczy przed morską pianą. Ucisnął mocno maszt.

– Zwalniamy – zauważył Hoggen bezbarwnym głosem.

Kapitan ledwie go słyszał w szumie wiatru. Czuł, że mokre łachy wyciągają z niego ciepło i życie. Drżał niepowstrzymanie.

– Na żaglach jest lód. Zaraz się zerwą.

– Trzeba go strącić młotkami.

– Jak chcesz, to spróbuj.

Hoggen zakasłał ochryple i zaczął się oddalać od masztu. Murl nadal się go trzymał. Pomyślał, że najlepiej będzie, jeśli zakończy życie w tym miejscu, obok Rheni, na statku, który nazwał na jej cześć. Można powiedzieć, że otaczała go rodzina, nawet wierny marudny Hoggen był z nim spowinowacony przez małżeństwo. Murl spojrział w dół. Jakże pragnął pogłaskać ją po długich, czarnych włosach, które drżały na wietrze z cichym stukiem zamarzniętych na nich sopli.

– Jeździec z prawej burty! – rozległ się czyjś głos.

Oszołomionego Murła zdziwiło, że ktoś jest jeszcze na tyle przytomny, by podnieść alarm. Spojrział w tamtą stronę.

Mijały ich fale dwukrotnie wyższe od masztów *Snu Rheni*. Ich grzbiety lśniły od zamarzniętej piany. Nagle Murl go ujrzał. Lśniąca szafirowa postać wynurzała się ponad wodę. Miała hełm i zbroję, a u jej biodra sterczała długa lanca z wyszczerbionego lodu. Jej wierzchowiec był pół zwierzęciem, pół spienioną falą. Kapitanowi wydawało się, że istota zwróciła ku niemu ciemne, niezgłębione oczy, spoglądające spod policzków łuskowego hełmu z lodu. Potem, równie niespodziewanie,

Jeździec zanurkował, wracając we wzburzone odmęty. Ten widok przypomniał Murlowi błękitne wieloryby gamen, wyskakujące nad wodę przed dziobem statku. Nieco dalej wynurzył się drugi Jeździec, a po nim trzeci. Mknęli na falach obok *Snu Rheni*, nie zwracając uwagi na statek. Czy to byli mężczyźni ze starożytnej rasy Jaghutów, jak twierdzili niektórzy? Przyglądał się im z dziwną obojętnością, jakby wszystko to spotykało kogoś innego.

Jeden z marynarzy, Larl, wsparł się o reling i uniósł kuszę, celując w najbliższego Jeźdźca. Bełt przemknął daleko od celu. Murl pokręcił głową. Po co się trudzić? I tak byli już trupami. Nie mogli nic zdziałać. Nagle kapitan przypomniawszy sobie o skorpionie, którego mieli na rufie. Puścił maszt i powłókł się w tamtą stronę. Wybite Oko nadal stał sztywno przy sterze, rozpościerając ramiona i wpatrując się przed siebie. Murl otoczył jedną ręką zamontowaną na podwyższeniu broń i chwycił za korbę. Żelazo sparzyło mu dłoń, jakby było rozgrzane do czerwoności. Gdy szarpał się z mechanizmem, skóra schodziła mu płatami.

– Czego od nas chcą?! – zawołał do Wybitego Oka.

Lzy zamarzały mu pod powiekami, oślepiając go. Korba nawet nie drgnęła. Oderwał dłoń od żelaza. Zwisające z niej strupy zamarznętej krwi wyglądały jak strzępy czerwonej tkaniny. Wybite Oko nie odpowiedział, nawet się nie odwrócił. Murl skoczył do steru i wsadził rękę między szprychy koła.

Wybite Oko już nigdy mu nie odpowie. Sternik stał sztywno za kołem *Snu Rheni*, wpatrując się w zapadającą noc. Jego jedyne oko zaszło szronem, a koszula i spodnie grzechotały na wietrze, sztywne jak deski.

Przeżaszony Murl wpatrzył się w jego wbite obojętnie w nieznaną dal oko i wyczytał w nim odpowiedź. Jeźdźców nic nie obchodził statek. Przybyli tu z innego powodu, odpowiadając na jakiś nieludzki zew. Byli armią najeźdźców, mknącą na północ, by rzucić całą swą moc przeciwko temu, co przez tak długi czas zamykało ich w wąskim przesmyku. Przeciwno wyspie Malaz.

Statek jęczał jak udęczona bestia. Obciążony lodem dziób pochylił się i zniknął pod falami. Nagły wstrząs odrzucił Murla od steru. Gdy piana opadła, Wybite Oko samotnie prowadził zamarznięty grób na północ. Sztynne żagle spadły z masztów i się roztrzaskały. Maszty i pokład były skute lodem jak szczyt wyniosłej turni, lecz statek wciąż płynął, kołysząc się na falach.

Sztorm nadal mknął na północ jak fala, która ciągnęła się od horyzontu po horyzont. Z mrocznego serca burzy wyłoniła się flotylla szmaragdowych gór poprzesywanych głębokimi rozpadlinami. Pokrywający ich szczyty śnieg lśnił w dogasającym blasku zmierzchu.

Góry sunęły naprzód niby niepowstrzymane maszyny oblężnicze zdolne zgruchotać całe kontynenty. U ich boków pędzili Jeźdźcy, kierując lance na północ.

Ścieżka pośród cienia

Nad rozległą równiną pokrytą ubitym piaskiem dął lekki wietrzyk. Tu i ówdzie sterczały z niego czarne wulkaniczne skały, a nad nimi tańczyły obłoczki pyłu barwy ochry, które powoli znikwały, by znienacka pojawić się w innym miejscu. Horyzont ze wszystkich stron wyglądał tak samo, monotonny i jednostajny. Po płaszczyźnie kuśtykała powoli jakaś postać.

Mały wir powietrzny dogonił nagle wędrowca niczym żądny zabawy towarzysz, zasypując go obłokami piasku koloru umbry. Postać szła spokojnie naprzód. Nie uniosła nawet ręki ani nie odwróciła głowy. Wir pomknął dalej swą spiralną trasą, która zmierzała donikąd. Wędrowiec szedł prosto przed siebie. Jego chroma prawa noga przy każdym kroku zostawiała w piasku głęboki ślad.

Wędrowca spowijały wystrzępione resztki czegoś, co mogło ongiś być grubym płaszczem włożonym na łuskową zbroję. Z jego gołych, wysuszonych ramion zostały tylko pokryte stwardniałą skórą kości. Pod zaśnieżonym hełmem z brązu widać tylko było puste otwory oczu, głęboką jamę nosa oraz wyschnięte wargi odsłaniające próchnicze zęby. Na plecach dźwigał zardzewiały miecz.

W oddali pojawiła się jakaś ciemna plamka, ale postać nadal brnęła przed siebie pod przesłoniętym mgiełką niebem. Wysoko w chmurach krążyły przypominające ptaki sylwetki. Wędrowiec zatrzymał się tylko raz. Spojrzał w bok i zamarł na chwilę w bezruchu. Na horyzoncie coś się zmieniło. Na granatowym niebie rozbłysło słabe srebrne światełko przypominające miraż odległych gór. Postać wpatrywała się w nie przez chwilę, po czym ruszyła w dalszą drogę.

Odległa plamka przerodziła się powoli we wzgórek, a wzgórek zmienił się w menhir. Wędrowiec dotarł do podstawy granitowego monolitu, dwukrotnie wyższego niż on sam, i zatrzymał się. Czekał tam spokojnie, spoglądając na menhir, a po równinie nadal wędrowały obłoczki pyłu. Kamień przecinały pionowe wyżłobienia przypominające ślady pazurów jakiejś straszliwej bestii. Po schodzącej w dół spirali obiegała go srebrna nitka cienkich jak włos symboli. Postać ukłękła sztywno, by przyjrzeć się lepiej – nie znakom, lecz brązowo-mahoniowej sylwetce, która przycupnęła u podstawy menhiru.

Stworzenie poruszyło się nagle, unosząc bezwłosą głowę pokrytą chitynowymi łuskami. Podłużne oczy o trzech powiekach rozblęły barwą płynnego złota. Prostokątne płyty pokrywającego szeroką pierś pancerza poruszyły się, gdy istota zaczerpnęła tchu.

– Widzę, że nadal jesteś z nami, Jhedel – zauważył przykucnięty wędrowiec. Jego głos brzmiał jak suche tchnienie grobu. Przybysz się wyprostował.

– Ja też się cieszę, że cię widzę, Chodzący po Krawędzi.

Przybysz odwrócił się bokiem, kierując puste oczodoły na równinę. Wypatrywał na niej srebrno-błękitnej plamki.

Jhedel obrócił głowę, stęknął i wyprostował opancerzoną nogę ozdobioną śmiertcionymi rogowymi ostrogami. Rozprostował szeroki grzbiet, naprężył mięśnie i spróbował się podnieść. Nadaremnie. Ręce miał unieruchomione za plecami, pograżone po nadgarstki w nagim granicie menhiru.

– Co cię sprowadza?

Chodzący po Krawędzi odwrócił się do niego plecami.

– Coś tędy przechodziło, Jhedel?

Stwór obnażył żółte kły w czymś, co mogło być uśmiechem.

– Wiatr. Pył. Czas.

– Pytam cię dlatego, że coś się zbliża. Wyczuwam to. Czy ty...

Jhedel przymrużył bursztynowe ślepia.

– Wiesz, że ten mały krąg stanowi teraz cały mój świat. Przyszedłeś ze mnie szydzić?

– Pamiętaj, że jestem związany tak samo jak ty.

Jhedel przesunął wzrokiem po jego sylwetce.

– Jakos tego nie widzę. Biedny Chodzący po Krawędzi. Rozpaczasz nad swym zniewoleniem. A przecież byłeś tu na długo przed tymi, których zabiłem, by sięgnąć po tron. I nadal tu jesteś, choć o tych, którzy mnie spętali, dawno już zapomniano. Słyszałem o tobie pewne... pogłoski.

– Moc, którą wyczuwam, jest nowa – oznajmił Chodzący po Krawędzi, jakby w ogóle nie słyszał słów rozmówcy.

– Naprawdę nowa?

– Bardzo możliwe.

Jhedel zasępił się, jakby nie wiedział, co sądzić o tej perspektywie.

– Chce zbadać Królestwo?

– Tak. Co o tym sądzisz?

Jhedel unióś głowę i powęszył, poruszając wąskimi nozdrzami.

– Coś, co ma serce jak lód, i coś innego... coś sprytnego, ukrytego, przypominającego niewyraźne odbicie.

– Pewnie przyglądają się tronowi.

Jhedel prychnął ze wzgardą.

– Nie sądzę. Nie po tak długim czasie.

– Zbliża się koniunkcja. Zmierzam do Domu. Ktoś może spróbować do niego wtargnąć. Kto wie, może odzyskasz wolność.

– Wolność? – warknął Jhedel. – Pokażę ci, jak tylko ją odzyskam.

Podciągnął nogi pod siebie i spróbował się wyprostować. Jego pazuraste stopy zagłębiły się w piasek. Ramiona istoty trzęsły się z wysiłku, a pokrywające je chitynowe płyty tarły o siebie z chrzęstem.

Przez chwilę nic się nie działo. Chodzący po Krawędzi przyglądał się bez słowa wysiłkom więźnia. Ze żłobionych ścian menhiru sypał się pył. Monolit wyglądał, jakby wibrował. Rozbłyśki srebrnego światła na jego

szczyście oślepiaty przybysza. Blask spływał po wyrytych w kamieniu znakach na podobieństwo błyskawic. W miarę jak spełzał w dół, nabierał szybkości i żarzył się coraz jaśniej. W końcu wędrowiec odwrócił twarz od gorejącego ognia.

Jhedel zachichotał szaleńczo.

– Jeszcze chwila! – zawołał, przekrzykując głośny niczym huk wodospadu ryk gromadzącej się mocy.

Kula energii dotarła do podstawy menhiru i uderzyła w więźnia. Jhedel zawył przeraźliwie. Grunt zakolysał się nagle, zbijając z nóg Chodzącego po Krawędzi. W górę wzbily się obłoki pyłu i piasku, unosząc się powoli na ospałym wietrzyku. Kiedy opadły, Jhedel leżał nieruchomo u stóp menhiru. Z jego przymkniętych oczu i rozdziawionych ust buchał dym.

Szkieletowa twarz Chodzącego po Krawędzi niczego nie wyrażała. Milczał przez chwilę, a potem się podniósł i przykucnął.

– Jhedel? Słyszysz mnie? Jhedel?

Więzień jęknął.

– Czy pamiętasz?

Obalona na ziemię istota skinęła z namysłem głową.

– Tak. To moje imię. Jhedel.

Wzruszyła ramionami, leżąc w pyle.

– A czy pamiętasz, kto cię związał?

– Kimkolwiek byli, dawno już ich nie ma.

– Ja ich pamiętam. To byli...

– Nie mów mi! – Jhedel wstał, poruszając gwałtownie nogami. – Chcę sam sobie przypomnieć. Dzięki temu mam jakieś zajęcie. Chwileczkę... Coś sobie przypomniałem... – Odsunął się trwożnie od gościa. – Pogłoskę na twój temat! – wysyczał.

Chodzący po Krawędzi oddalił się kilka kroków od menhiru.

– Wróć! – zawołał za nim Jhedel. – Proszę. Uwolnij mnie. To leży w twojej mocy. Wiem, że tak jest!

Chodzący po Krawędzi nie odpowiedział. Szedł spokojnie przed siebie.

– Uwolnij mnie, niech cię szlag! Musisz to zrobić! Niech cię szlag!

Jhedel szarpnął gwałtownie ramionami. Pył opadł z menhiru niczym chusta. Blask wyrytych w kamieniu znaków przebijał się przez gęste obłoki jak najdelikatniejszy filigran rozgrzany do temperatury ognia.

– Zniszczę cię! – ryknął Jhedel. – Ciebie i tych, którzy przybyli później! Wszystkich!

Szarpnął się po raz kolejny, krzycząc z gniewu i bólu. Ziemia znowu się zakotłosała i Chodzący po Krawędzi się zachwiał. Popatrzył w stronę menhiru. U jego podstawy coś się miało, wzbijając chmurę piasku. Ku niebu unosił się obłok pyłu.

Chodzący po Krawędzi ruszył w dalszą drogę. Był spóźniony, a czas i taniec firmamentów wszystkich królestw nie czekały na nikogo. Nawet na jestestwa tak obłąkane i potężne jak to, które uwięziono za jego plecami. Podczas niektórych rozmów, gdy istota częściowo odzyskiwała jasność myślenia, potrafiła sobie przypomnieć swe pełne imię – Jhe'Delekaaran. Pamiętała też, że zasiadała ongiś na tronie tego królestwa i była seniorem Que'tezanich, mieszkańców najodleglejszych regionów cienia. Jhedel mógł być szalony, ale pod jednym względem miał rację: minęło wiele czasu, odkąd tron miał pana. Za każdym razem, gdy nadchodziła koniunkcja, ten fakt niepokoił Chodzącego po Krawędzi. Tym razem jednak najbardziej zaintrygowało go coś, co zdarzało się tak rzadko, że mało brakowało, by tego nie rozpoznał... przy-
czajona zapowiedź zmiany.

Rozdział I.

Omeny i przybysze

Żagle zbliżającego się kutra pocztowego, który mknął po wzburzonych falach Cieśniny Wiatrów, płonęły krwawokarminowym blaskiem w promieniach zachodzącego słońca. Hart oparł włócznię o kamienne blanki murów Twierdzy Mocka i wysunął zza nich głowę, spoglądając w dół. Setki sążni poniżej tłukły o urwisko spienione fale. Spojrzał przez ramię na szare mury wewnętrznego donżonu. Wąskie szpary okien świeciły złotym blaskiem. W środku poruszały się jakieś cienie.

– Między Kapturem a cholerną Otchłanią – mruknął Hart.

Z jakiegoś powodu wysoka rangą przedstawicielka imperium – kobieta będąca pięścią imperialną – przybyła na tę prowincjonalną placówkę. Kiedy przed trzema dniami przyплыnęła na wyspę, omal nie uciekł stąd pierwszym statkiem. Zdołał jednak utopić to pragnienie w ciemnym piwie w gospodzie „Pod Wisielcem” prowadzonej przez Kojca. Raz po raz powtarzał sobie, że cała ta sprawa nie ma z nim nic wspólnego.

Przeciągnął się i skrzywił z bólu. Wieczór był nadspodziewanie chłodny i znowu odezwała się stara rana w plecach. Przed wielu laty oberwał w nie oszczepem. Wojownik z Siedmiu Miast zniszczył najlepszą kolczugę, jaką Hart dotąd miał, i cholernie mało brakowało, żeby go zabił. Rana nigdy nie zagoiła się, jak należy. Być może przyszła pora, by znowu odwiedzić tego młodego wojskowego medyka, Fokę. Podrapał podbródek, zastanawiając się, czy wspomnianie bliskiego spotkania ze

śmiercią podczas zachodu słońca przynosi pecha. Zapyta o to Corinn, jeśli ją spotka.

Zaledwie przed trzema dniami stał razem z setkami innych pod portowym murem i przyglądał się, jak przedstawicielka imperium schodzi na ląd. Na wszystkich ulicach rozległy się okrzyki zaskoczenia, gdy z pierwszym brzaskiem ujrzano czarnogranatowe żagle i równie ciemny smołowany kadłub malazańskiego okrętu wojennego kotwiczącego w zatoce. Mieszkańcy miasta aż za dobrze pamiętali ostatnich gości: oddziały Trzeciej Armii, które miały spotkać się tu z rekrutami oraz wymusić przestrzeganie nowego edyktu imperialnej regentki zakazującego uprawiania magii. Doszło do zamieszek i całą dzielnicę miasta strawiły płomienie.

Więści o przybyciu okrętu skłoniły Harta do wdrapania się po wąskich schodach na piętro gospody. Dokończył golenie, przerzucił ręcznik przez ramię i wyszedł na Frontową. Wpatrzył się w widoczny między magazynami port i położoną dalej zatokę. Podeszła do niego Anji, służąca, a od czasu do czasu również kochanka Kojca. Kobieta dźwigała dwa wiadra wypełnione wodą. Postawiła je na bruku, odgarnęła długie, kasztanowe włosy opadające na zaczerwienioną twarz i spojrzała z niezadowoloną miną w stronę portu.

– Bogowie, co to ma być?

Hart zmarszczył brwi.

– Okręt liniowy. Takie jednostki służą do bitew morskich, eskortowania konwojów albo blokad. Raczej rzadko wykorzystuje się je jako transportowce czy statki handlowe.

– To co on tu robi, na cycki Togga?

– Na pewno płynie na południe, do Korelu – stwierdziła Anji. Osłoniła oczy dłonią i przeniosła wzrok na Harta. – No wiesz, tam jest wojna i tak dalej.

Mężczyzna zebrał w ustach flegmę i splunął w bok. Nikt nie wysłałby jednego okrętu w tak daleką drogę. Z tego, co słyszał, żeby odwrócić losy wojny, byłoby ich potrzeba od Kaptura i trochę.

Pojawiły się łodzie, które odbiły od przystani i napędzane długimi wiosłami pomknęły ku ogromnemu okrętowi. Hart się domyślał, że dowódca garnizonu, Pell, który miał honorową rangę podpieści, płynie w jednej z nich dręczony chorobą morską. Zaczepnął głęboki haust chłodnego porannego powietrza.

– Chyba pójde się temu przyjrzeć.

Anji znowu odgarnęła włosy.

– Po co się trudzić? Na pewno kolejny raz przeleją naszą krew i tyle.

– Podniosła wiadra. – Jakbyśmy nie zapłacili już wystarczającej ceny.

W porcie nie dowiedział się niczego więcej. W dzielnicy magazynowej szepetano, że okręt z pewnością przywiózł nowego dowódcę garnizonu, albo że Twierdza Mocka ma się stać bazą dowodzenia w nowej kampanii w Korelu. Krążyły też jednak zgoła przeciwne pogłoski. Mówiono, że na okręcie przyplłynął Imperialny Sztab uciekający z Korelu. Pewien stary rybak wyraził nawet przypuszczenie, że wrócił sam cesarz. Inni gapie unieśli ręce i nakreślili gesty chroniące przed złem, po czym oddalili się trwożnie. Rybak mrugnął znacząco do Harta.

Na pokład wyniesiono skrzynie. Załoga opuszczała je na łodzie, które kołysały się u burty, jak nartniki otaczające wygrzewającą się na słońcu morską bestię. Plotki o odwrocie z Korelu brzmiały interesująco. Wieści napływające z południa mówiły, że tubylcy stawiają zaciekle opór, straty są wysokie, a od czasu wysadzenia pierwszych desantów przed pięciu laty nie udało się poczynić niemal żadnych postępów.

Na odległych kontynentach Hart walczył w innych kampaniach i pływał na takich samych okrętach. Wszystkie miały na żaglach identyczne godło: ustawione pionowo berło z osadzonym w trzech szponach cesarskim jabłkiem. Był świadkiem szturmów na porty, podczas których te jabłka rozjarzały się ogniem niczym blade słońca, obracając mury obronne i portowe fortyfikacje w gruzy. A gdy toczyli bitwy na pełnym morzu, jabłka sprawiały, że morze wrzało, podpalały kadłuby i wzywały morskie demony, by poszczuć je na nieprzyjaciela.

Być może okręt wracał z takiej właśnie wojny. Korel był ponoć ciągiem archipelagów i o losach kampanii rozstrzygała tam flota. To mogłoby tłumaczyć jego obecność.

Pierwsza z łodzi wróciła na wojskowe nabrzeże pod Twierdzą Mocka, przywożąc tylko pasażerów. Mroczne, bogato odziane postacie wysiadły w pływającym doku. Hart przymrużył powieki, spoglądając na zakapturzonych mężczyzn i kobiety, którzy ustawili się w szeregu i zniknęli pośród fortyfikacji. Nie spodobało mu się to w najmniejszym stopniu. Za dobrze znał ciemne skórzane buty i rękawice przybyszów. Poczul nagły ucisk w brzuchu. Przypomniał sobie, w jakim jeszcze garnizonie można było spotkać podobne okręty: w położonej na drugim brzegu cieśniny Uncie, stolicy imperium.

Rybak uniósł podbródek, wskazując nim nabrzeże.

– Widzisz? Miałem rację.

Zachichotał ochryple, zaniósł się kaszlem i splunął w zaciśniętą pięść.

Drżąc z zimna w chłodnym wieczornym powietrzu, Hart przypomniał sobie, że gdy ujrzał okręt po raz pierwszy, zadał sobie pytanie, czy przepłynął tu po niego. Czy to możliwe, by ścigali go przez wiele tysięcy mil? Jeśli tak, to zrobili z tego naprawdę wielkie przedstawienie. Zważywszy wszystko razem, zachowywali się nieostrożnie.

* * *

Na szczyt murów dobiegł głęboki mosiężny ton dzwonu Twierdzy Mocka, zwiastujący koniec dnia i służby Harta. Tuż obok niego chorągiewka w kształcie skrzydlatego demona zakręciła się z brzękiem na swym szpikulcu, jakby nagle rozszalał się wichur. Weteran zmarszczył brwi, spoglądając na szacowny zabytek. Pogoda była dziś niemal całkowicie bezwietrzna.

Po paru chwilach usłyszał, jak jego przełożony, porucznik Pościg, wchodzi na górę. Westchnął, słysząc jego ciężki, miarowy krok. Które-

goś dnia ktoś będzie musiał porozmawiać ze szczeniakiem i wytłumaczyć mu, że nie maszeruje już po placu apelowym. Niemniej żołnierze zieloni jak wiosenna trawa cechowali się również punktualnością, a po długim popołudniu Hartowi zaschło w gardle.

Pościg zatrzymał się tuż za weteranem, lecz ten go zignorował. Wsłuchał się w szum fal, spoglądając na smukły stateczek pocztowy, unoszący się jak mewa na białych falach. Mijał od zawietrznej Starą Wyspę Czat, płynąc niebezpiecznie blisko raf. To znaczyło, że miał nawigatora obdarzonego talentem władania wiatrem. Albo opętanego przez biesa sternika, któremu cholernie się śpieszyło do spotkania z Kapturem.

Poczuł, że w krzyż uwiera go sztych miecza.

– Odwróć się celem rozpoznania, żołnierzu.

– Rozpoznania? Pościg, czasami żałuję, że nasze drogi się skrzyżowały.

Hart odwrócił się i wsparł łokcie na zapiaszczonych wapiennych blankach.

Pościg schował miecz i stanął sztywno jak na pokazie musztry. Szczyt jego żelaznego hełmu zdobiły długie pióra jakiegoś barwnego ptaka. Świeżo polerowany, pokryty warstewką miedzi i mosiądzu napierśnik lśnił w blasku słońca. Same skórzane buty młodzieńca wyglądały na warte więcej, niż Hart zarabiał przez rok. Weteran spojrział na swe połatane sandały, wystrzępione szmaty owijające mu nogi oraz wytartą czarno-złotą opończę regularnego żołnierza malazańskiego garnizonu.

– Zachowuj się jak prawdziwy wartownik, staruszku – ostrzegł go Pościg. – Przynajmniej dopóki jest tu przedstawicielka. Na tajemnicze D'rek, człowieku. Mogło się okazać, że to nie ja, ale... Jak to mówią?... Jeden z jej zaufanych ludzi. – Spojrział na donżon. – Wyrwałby ci serce jako ostrzeżenie dla reszty.

Hart zesztyniał, usłyszawszy frazę „jej zaufanych ludzi”. Gdzie chłopak się tego nauczył? Minęło wiele lat, odkąd Hart ostatnio słyszał ten stary termin określający imperialną służbę bezpieczeństwa, szpo-

nów. Imperialnej pięści z pewnością towarzyszył ich kontyngent, zajmujący się ochroną, zbieraniem informacji oraz innymi, mniej niewinnymi zadaniami. Spojrzał z ukosa na porucznika, zastanawiając się, czy to miał być test. Jednakże błyszczące piwne oczy chłopaka oraz jego gładkie policzki sugerowały, że jest kryształowo uczciwy, jak czysty strumień na stepie. Hart odzyskał równowagę, stłumił podejrzliwość i podziękował bliźniaczym bogom szczęścia, że Pościg niczego nie zauważył.

Splunął na kruszące się wapienne bloki.

– Po pierwsze, chłopcze, słyszałem twoje kroki. Ich nigdy się nie słyszy. A po drugie... – Hart popukał palcem w spleaszczony nos – ...można ich poznać po smrodzie.

Pościg prychnął z niedowierzaniem.

– Bogowie, staruszku. Słyszałem, że walczyłeś w wielu cholernych wojnach, ale nie udawaj, że myśl o tych szponach nie mrozi ci krwi w żyłach.

Hart zazgrzytał zębami. Miał szczerą chęć dzielić chłopaka. Co taki młodziak mógł wiedzieć o sprawach, na wspomnienie których nawet najtwardszym weteranom robiło się niedobrze? Hart walczył w Siedmiu Miastach, był jednym z żołnierzy, którzy zdobyli Ubaryd. Dotarli do pałacu nocą. W marmurowych komnatach nie pozostał nikt poza trupami dworzan i strażników, którzy nie zdążyli uciec, gdy cesarz zmiażdżył moc falał'danki. Na górze znaleźli prywatne komnaty i samą Świętą, przywiązaną jedwabnymi sznurami do krzesła. Wokół niej stało trzech szponów ściskających w dłoniach noże. Krew lśniła na ostrzach i skapywała z wilgotnych więzów na nadgarstkach i kostkach kobiety, tworząc na marmurowej posadzce kałużę koralowej barwy. Hart i Szytych przystanęli niepewnie, ale Dassem podbiegł bliżej i odtrącił szpona stojącego przed kobietą. Falał'danka uniosła nagle głowę, potrząsając długimi włosami. Choć wylupiono jej oczy, a z szeroko rozwartych, pozbawionych języka ust wypływała krew, wydawało się, że kobieta patrzy na Dassemą. Agenci Szponu, dwóch mężczyzn i jedna

kobieta, wymienili między sobą spojrzenia. Jeden z nich odsunął się i uniósł okrwawiony nóż, ujrawszy wyraz oczu Pierwszego Miecza. Falah'danka poruszyła ustami, wypowiadając bezgłośnie prośbę. Kobieta-szpon wytrzeszczyła nagle oczy w geście zrozumienia. Otworzyła usta, by krzyknąć, ale było już za późno. Wszystko wydarzyło się tak szybko, jakby Dassem tylko wzruszył ramionami. Głowa falah'danki odpadła od tułowia. Z rany trysnęła krew. Głowa runęła na marmurową posadzkę i potoczyła się po niej, brukując krwią długie czarne loki.

Choć Hart nie mógł być tego pewien, wydawało mu się, że kobieta powiedziała: „Uwolnij mnie”. Tak zakończyła życie ostatnia ze świętych falah'dów Ubarydu.

Potarł bliznę w kształcie półksiężyca, która biegła od jego lewej skroni aż po podbródek. Zacerpnął głęboko tchu, by się uspokoić. Spróbował sobie wyobrazić, kogo widzi Pościg, gdy na niego patrzy: sterranego weterana, zbyt niekompetentnego albo zapijaczzonego, by przez całe życie dosłużyć się stopnia wyższego niż kapral. W końcu taką rolę dla siebie stworzył.

– Po prostu się ich brzydę – odparł cicho.

Pościg otworzył szeroko oczy, zaniepokojony pasją w głosie Harta. Potem się skrzywił, zrozumiałszy zawartą w nich krytykę Tronu Imperialnego. Wskazał narożny barbakan.

– Możesz odejść, staruszk.

* * *

Skończywszy służbę, Hart zawiesił w koszarowej zbrojowni włócznię, opończę i regulaminowy pancerz z utwardzanej skóry. Poprawił szmaty spowijające nogi i owinął je na nowo rzemieniami wojskowych sandałów.

Następnie udał się na poszukiwania jedyne elegancznego stroju, jaki posiadał, falarskiego płaszcz ze szcztokowanego filcu z podszewką. Znalazł go na ławie w wartowni. Larkin posadził na nim swe grube dup-

sko. Mało brakowało, by na ten widok weteran się odwrócił i wyszedł. Larkin świetnie wiedział, kiedy kończy się służba. To miało być wyzwanie i Hart nie miał innego wyjścia, jak na nie zareagować.

Grubas siedział za stołem, snując opowieść. Pozostali wartownicy skupili się ciasno, stykając się ramionami. Na nagich deskach stołu leżały emaliowane płytki – Kostki. Najwyraźniej grę przed chwilą przegrano. Nikt nie zwracał na siebie teraz głowy, gdyż Larkin zbliżał się do pointy jednej ze swych rozwlekłych historii.

Hart wsparł się o uciętą pod kątem prostym belkę służącą jako oścież i zaplótł ręce na piersi. Larkin dopiero przed miesiącem wrócił z Genabackis. Przeniesiono go do służby garnizonowej, został bowiem ranny w nogę. Hart miał wrażenie, że zna już na pamięć wszystkie jego przeżycia.

– To było w Lesie Czarnego Psa – cedził grubas, przeciągając jedną ze swych ulubionych opowieści.

Wartownicy pokiwali głowami. Wiedzieli, co ma się wydarzyć, lecz i tak czekali z niecierpliwością na dalszy ciąg.

– Karmazynowa Gwardia...

Młodzi żołnierze, znudzeni służbą garnizonową z dala od pola walki, popatrzyli po sobie. Niektórzy potrząsnęli głowami z wrażenia. Nawet Hart musiał przyznać, że słysząc tę nazwę, czuje dreszcz uznania i lęku. To była kompania najemników, która poprzysięgła zniszczyć imperium. Karmazynowa Gwardia pierwsza zadała Malazańczykom poważny cios, odpierając inwazję na Stratem, a obecnie stawiała opór imperium na czterech różnych kontynentach.

– Kogo widziałeś? – zapytał jeden z wartowników, Cullen.

Był rodowitym wyspiarzem, ale zapewniał, że w młodości parał się piractwem u brzegów Stratemu. Larkin pokiwał głową. Hart również. To było celne pytanie, zadane przez kogoś, kto wiedział o co pytać.

Grubas wrócił do opowieści, nie przestając kiwać głową.

– To była zakrojona na szeroką skalę ofensywa, mająca na celu wykurzenie nieprzyjaciela z lasu i otwarcie drogi na południe, na Rów-

nię Rhivijską. Dowódca, szlachetnie urodzony Dalhończyk w randze podpućci, podzielił nas na trzy kolumny, żeby zmusić przeciwnika do rozciągnięcia sił. No wiecie, mieliśmy przewagę liczebną. Gwardię wzmocnili miejscowi rekruci, wojownicy z genabackańskiego plemienia zwanego Barghastami, mieszczenie, pospolite ruszenie, leśni ludzie i inna hołota. Z początku wyglądało to nieźle. Zapowiadała się łatwa kampania. Przez pięć dni posuwaliśmy się naprzód, a oni przed nami czmychali. Koniec z legendą o niezwyciężonej Gwardii! Oczywiście garstka Barghastów i leśnych szyla do nas z luków, gdy przeprawialiśmy się przez strumienie albo maszerowaliśmy przez pagórkowaty teren, ale kiedy przechodziliśmy do kontrataku, zwiewali jak tchórze. Potem jednak nadeszła szósta noc...

Hart mógł jedynie pokręcić głową na myśl o niewiarygodnej głupocie, jaką był marsz kolumnami przez gęsty, pełen wrogów las. Pewnie, że nieprzyjaciel pozwolił im się posuwać naprzód! Pewnie, że Gwardia unikała bezpośredniego starcia z liczniejszym przeciwnikiem! Ale gdy tylko kolumny zostały izolowane, znalazły się tak daleko od siebie, że odsiecz stała się niemożliwa, i nastąpił atak.

Wartownicy ponownie pokiwali głowami, oburzeni tak haniebną strategią. Hart miał ochotę krzyknąć: „Nie słuchajcie tego cholernego durnia!”. Stanowił tu jednak jednoosobową mniejszość. Choć Larkin był nadętym przygłupem, powszechnie go lubiano. Niedawno wrócił z wojny w dalekich krajach i lubił znajdować się w centrum uwagi. Hart zdawał sobie sprawę, że młodzi żołnierze nie rozumieją i nie lubią jego milczenia. Niektórzy powątpiewali nawet w jego doświadczenie. Gdyby zaprzeczył Larkinowi, uznano by, że kieruje nim zawiść.

– Zaatakowali nocą jak zwykli złodzieje.

Grubas splunął zde gustowany tak podstępna taktyką.

Hart z trudem powstrzymał śmiech. Świetnie pamiętał podobne bitwy toczony w blasku księżycy, kiedy to Malazańczycy byli stroną atakującą.

– Zapanował chaos. Z mroku wypadali z wrzaskiem Barghastowie. Byli z tyłu, z przodu, otaczali nas ze wszystkich stron. Nie mieliśmy dokąd uciekać. Zebrałem grupkę ludzi pod wysokim głazem, w świetle płonących zarośli. Ustawiliśmy się w szyk, mając rannych za plecami, i odparliśmy trzy ataki Barghastów.

Larkin kaszlnął w garść, skrzywił się i umilkł. Hart przeszył go dociekliwym spojrzeniem. Zastanawiał się, czy chodzi mu o przeżytyą grozę, o wspomnienie poległych przyjaciół? Dlaczego z taką ochotą snuł co drugą noc tę opowieść?

– Zobaczyłem daleko w krzakach trzech gwardzistów, ale nie poznałem żadnego z nich. Potem obok przebiegł Póldan. Jego poznałem po wzroście. Rzeczywiście pół!

Wartownicy zachichotali, jak na rozkaz.

– Ponoć kiedyś służył pod rozkazami Oprawcy – dodał Cullen.

Larkin skinął głową.

– Później z mroku wyłonił się kolejny gwardzista. Nigdy nie zapomnę tego widoku... wyglądał jak jakiś bies przybyły ze Ścieżek Kaptura. Jego opończa błyszczała w blasku płomieni jak świeża krew. Po hełmie z wizurą i czarnej tarczy poznałem, że to Lazar. Walczyliśmy, ale nic to nie dało...

Larkin poklepał się po chorej nodze i potrząsnął głową.

Hart wyszedł nagle z pomieszczenia, by ostudzić głowę. Oparł się o wilgotny kamienny mur. Na kości Fenera! Co za skurwysyński kłamca. Walczył z Lazarem! Hart nigdy nie spotkał się w boju z gwardzistami, ale Dassem potykał się z nimi przez dziesięciolecia. Sam ten fakt mówił wystarczająco wiele o ich umiejętnościach. Dassem nigdy nie opowiadał o tych walkach. Uważano, że Zaprzysiężonych nie sposób powstrzymać, ale on zabił wszystkich, którzy rzucili mu wyzwanie: Shirdara, Keala, Bartoka. Ponoć tylko Oprawca uszedł z życiem ze starcia z nim.

Wtem uwagę Harta przyciągnął śmiech. Rzeźbione Kostki stuknęły o blat. Weteran zaczerpnął głęboko tchu i wrócił do środka.

– Larkin. Siedzisz na moim płaszczu.

Grubas uniósł wzrok, stukając płytką o stół. Jedną tłustą ręką objął oparcie krzesła i wskazał blat pokryty chaotyczną mapą ścieżek ułożonych z płytek. Farba z nich złąziła, symbole starły brudne palce całych pokoleń żołnierzy.

– Gram – burknął i pochylił głowę.

– Tylko unieś ten gruby tyłek, żebyś mógł zabrać płaszcz.

Larkin nie zareagował. Dwaj żołnierze wzruszyli ramionami i wydeśli usta, spoglądając na Harta. Grubas położył płytkę, wciskając ją na miejsce tłustym paluchem. Hart podszedł do stołu i ją podniósł. Pięć par oczu śledziło jego ruch, a potem popatrzyło na Larkina.

Grubas westchnął przeciągle, co miało sugerować, że musi wiele wycierpieć.

– Nie wiesz, że przerwanie gry przynosi pecha?

Spojrzeli sobie w oczy. Było oczywiste, że ten dureń zamierza pokazać Hartowi, jedynemu tu prawdziwemu weteranowi, gdzie jego miejsce. Hart unikał go dotąd z tego właśnie powodu. Ostatnie, czego pragnął, to odpowiadać na pytania, gdzie i z kim walczył. Ze wszystkich sił starał się zachować anonimowość, ale tego było już za wiele. Nie pozwoli, żeby taki bęcwał pomiatał nim jak jakiś koszarowy tyran.

– Oddawaj tę cholerną płytkę – zażądał Larkin, odsuwając się od stołu. – Bo inaczej będę ją ci musiał zabrać, dziadku.

Żołnierze przestali się uśmiechać i wymieniać spojrzenia. Jeden z nich westchnął, jakby już żałował tego, co się za chwilę wydarzy. Hart wyciągnął rękę. Na otwartej dłoni leżała płytka.

– To zabierz.

Jakaś część jaźni Harta, nieobecna od blisko roku, postanowiła sprowokować go do działania. Jej głos zabrzmiał w jego umyśle, gładki i pełen groźby: „No jazda. Tylko spróbuj”.

Larkin rozejrzał się wokół małymi, zatopionymi w tłuszczu oczkami, jakby się zastanawiał, co się tu dzieje, kto z kogo żartuje. Najwyraźniej nie tak to sobie wyobrażał. Nagle jednak wzruszył ramionami i opuścił

kąćki ust w wyrazie nonszalancji. Hart uświadomił sobie, że ten człowiek jest zbyt zarozumiały, by kogokolwiek słuchać.

Larkin potrząsnął głową, jakby zdumiewały go wybryki sklerotycznych staruszków, i sięgnął po płytkę. Hart złapał go za gruby nadgarstek i ścisnął. Przedmiot upadł z grzechotem na stół.

Grubas szarpnął się gwałtownie, jakby ugryzł go wąż. Zaciśnął usta z zaskoczenia i bólu. Pozostali żołnierze wstrzymali oddech. Larkin spróbował wyszarpnąć rękę, ale ta nawet nie drgnęła.

Hart uśmiechnął się do niego. Grubas musiał coś wyczytać w tym uśmiechu, ponieważ natychmiast sięgnął drugą ręką po sztylet, który miał u pasa. Gdy tylko krótki nóż pojawił się nad stołem, Hart wyciągnął błyskawicznie drugą rękę i złapał Larkina za drugi nadgarstek.

W pomieszczeniu zapadła cisza. Było słychać tylko wysilony oddech grubasa. Nóż przesunął się nieubłaganie w stronę jego przedramienia. Larkin dyszał ciężko. Twarz poczerwieniała mu z wysiłku. Zerwał się nagle, przewracając ławę. Ostrze dotknęło jego przedramienia tuż ponad nadgarstkiem i zaczęło piłować. Hart cały czas patrzył mu w oczy. Na stół skapnęły pierwsze krople krwi.

Weteran przyciągnął Larkina do siebie.

– Lazar zaszlachtowałby cię jak świnie – wyszeptał mu do ucha.

Harta złapały liczne ręce, odciągając go od przeciwnika. Żołnierze coś krzyczeli, ale on ich nie słuchał. Larkin odrzucił głowę do tyłu i ryknął wniebogłosy. Gdy Hart go puścił, grubas zatoczył się do tyłu i padł na posadzkę, trzymając się za rękę. Żołnierze odciągnęli weterana na korytarz. Szeptali między sobą ze zdumieniem i przyglądali mu się ostrożnie. Któryś zatknął pałkę z powrotem na miejsce na ścianie.

Po paru chwilach jeden z nich przyniósł Hartowi zwinięty płaszcz. Weteran usłyszał, jak szepczą do siebie, że nigdy nie widzieli nic podobnego, myślał jednak tylko o okropnych konsekwencjach tego, co przed chwilą uczynił. Stojąc nad stołem, zauważył, że na Kostki padły kropelki krwi.

Żołnierz, Dziewica, Król oraz runa Obelisku. Nie ulegało wątpliwości, że spotka go dziś ogromny pech.

* * *

O ile Kiska potrafiła się zorientować, załoga pocztowego stateczku zachowywała się podczas przybijania do brzegu zupełnie normalnie. Marynarze chowali ekwipunek, zabezpieczali statek przed pierwszą zimną burzą Rządów Osserca zbliżającą się z południa. Zdradzały ich jednak drobiazgi. Gdzie były wzajemne wyrzuty, skargi, przekomarzanie się wracającej do portu załogi? Radość z zejścia na ląd? Poza tym nikt się nie obijał. Co prawda jeden z marynarzy udawał, że leniuchuje przy trapie, ale w rzeczywistości obserwował nabrzeże z leniwą obojętnością strażnika. Poznawała tę pozę. Ona również ją ćwiczyła.

Dziewczyna leżała na brzuchu na pokładzie statku cumującego po drugiej stronie pirsu. Wsparła podbródek na urękawiczonej dłoni, pograżona w cichej obserwacji. Siąpił leciutki deszczyk i włosy lepiły się jej do twarzy, lecz Kiska nawet nie drgnęła. Marynarze zabijali tylko czas: po raz kolejny zwijali liny i zabezpieczali wyściółkę. Czekali. Czekali na jakąś konkretną osobę, konkretne wydarzenie. To znaczyło, że wszyscy pracują dla tego samego pryncypała.

To było dziwne: imperialny kuter pocztowy, którego załoga najwyraźniej składała się wyłącznie z ludzi pracujących dla tego, kto zlecił statkowi misję. Kiska spędziła na portowych nabrzeżach całe dzieciństwo i podobny układ sugerował według niej kogoś, kto miał wpływy potrzebne, by móc wynająć podobny statek – to znaczy wielkie – a do tego władzę pozwalającą mu zastąpić regularną załogę własnymi ludźmi.

Pytanie brzmiało: co ma zrobić z tym odkryciem? Spojrzała na upstrzony plamami mur Twierdzy Mocka górujący nad portem. Zamelodować szponom? A dlaczego miałyby to robić, skoro jasno powiedzieli, że jej nie potrzebują?

Przypomniała sobie, jak się poczuła przed kilkoma dniami, ujrawszy o świecie imperialny okręt *Niepowstrzymany*, który kotwiczył w zatoce. Pomyślała wówczas, że to najważniejszy dzień w jej życiu, druga szansa, o którą nie prosiła i na którą nie miała nadziei. Teraz jednak odnosiła wrażenie, że przez ten krótki czas postarzała się o wiele lat. Nie była już dziewczyną, która się wdrapывała na wysokie kamienne mury wojskowego portu albo zakradała na płaski dach rządowego magazynu, by obserwować nabrzeża. Czyżby straciła coś, co miało tamto dziecko? A może coś zyskała? Wiedzę, która na każdym odciska swe piętno w pewnej chwili życia.

Rankiem owego dnia obserwowała pierwszą wracającą z okrętu łódź. Przyplłynęło nią siedem zakapturzonych postaci. Była pewna, że to imperialni oficerowie ze stolicy. Skąd mogliby przybyć, jeśli nie z położonej po drugiej stronie cieśniny Unty? Przybysze zeszli na ląd, zdjęli podróżne płaszcze, złożyli je i przerzucili przez ramiona. Ujrawszy pozbawione ozdób jedwabne koszule, szerokie szarfy, luźne pantalony, w pierwszej chwili poczuła się rozczarowana. W Malazie można było spotkać kupców, którzy nosili bogatsze stroje. Jednakże jeden z nich, niższy od pozostałych, nie zdjął płaszcza. Ten właśnie przybysz skinął dłonią i podekscytowana Kiska zauważyła, że pozostali otoczyli go kręgiem. Straż osobista!

Kto to mógł być? Nowy dowódca garnizonu? A może imperialny inspektor, przysłany ze stolicy, by sprawdzić Pella. Jeśli rzeczywiście tak było, niech bogowie się zlitują nad podpięścią. Inspektor znajdzie w Twierdzy Mocka gładzące na wewnętrznym dziedzińcu kury oraz świnię ryjące w pustym, pękniętym zbiorniku na wodę. Gdy grupka ruszyła w głąb lądu główną trasą biegnącą wzdłuż pagórków, Kiska przykucnęła, a potem ruszyła w pościg. Przeskakiwała z dachu na dach i biegła szczytem muru, by dotrzeć do nawisu, pod którym powinni przechodzić. Uciekały przed nią skrzeczące głośno mewy.

Dowie się wszystkiego. Porozmawia z ich dowódcą. Zaoferuje mu swe usługi. Być może zgodzi się ją przyjąć. Tak wysoki rangą przedsta-

wiciel imperium z pewnością zrozumie, że talent Kiski marnuje się na tej nędznej wyspie.

Grupka zmierzała ku niej wąską, otoczoną murami drogą. Kiska przesunęła się nieco do przodu, by lepiej widzieć. Pierwszych dwoje, szczupły mężczyzna i ciężej zbudowana kobieta, kroczyło nonszalancko, trzymając ręce za plecami. Nie widziała żadnej broni. Cóż to mogli być za strażnicy? Może adiutanci albo sekretarze? Szlachetnie urodzeni, którzy wybrali się popatrzeć na życie pospółstwa. Na tę ostatnią myśl gardło dziewczyny wypełnił kwaśny smak. Pojawiła się niska postać. Jej twarz skrywał wielki kaptur, a dłonie niknęły w długich rękawach. Kiska starała się wypatrzeć jakieś szczegóły pod luźnym płaszczem. Był czarny, tak? A może to raczej był bardzo ciemny karmin?

Coś szarpnęło ją nagle do tyłu. Odwróciła się, otwierając usta do krzyku, ale zamknęła je urękawicznioną dłoń. Spojrzały na nią orzechowe oczy. Mężczyzna miał kościstą twarz o ciemnej, lekko niebieskawej cerze. Jego krótkie, kręcone włosy lśniły w blasku wschodzącego słońca.

To Napańczyk, uświadomiła sobie dziewczyna.

– Kim jesteś? – zapytał.

Kiska nie widziała go wśród tych, którzy zeszli na ląd. W gruncie rzeczy nie widziała go nigdy, a gdyby ktoś taki mieszkał na wyspie, z pewnością by o tym wiedziała.

Mężczyzna cofnął dłoń. Dziewczyna odchrząknęła, a potem przełknęła ślinę. Piękne, pozbawione wyrazu oczy patrzyły przez nią na wskroś. Oczy jak szkło.

– Ja... tu mieszkam.

– Rozumiem. I?

Znowu przełknęła ślinę.

– Nie...

Nagle zauważyła broszę na lewej piersi mężczyzny: srebrny ptasi szpon ściskający małą perłę. Szpon! To byli agenci imperialnego wywiadu, magowie, wykonawcy woli cesarza. Dokonała odkrycia więk-

szego, niż się spodziewała. To nie była zwykła inspekcja. Jedynie najwyższym rangą przedstawicielom imperium przysługiwała ochrona złożona ze szponów. Gość mógł nawet być pięścią imperialną.

– Nie chciałam zrobić nic złego! – wydyszała i natychmiast przeklęła samą siebie za to, że zachowała się tak... mało profesjonalnie.

Szpon zacisnął usta w wyrazie – jak sądziła Kiska – niesmaku.

– Wiem o tym – odparł i zaczął się oddalać. Poruszał się zupełnie bezgłośnie, choć szedł po popękanych, upstrzonych ptasimi odchodami dachówkach.

Kiska przypomniała sobie nagle, po co tu przysła.

– Niech pan zaczeka!

Szpon zatrzymał się na krawędzi dachu.

– Słucham?

– Proszę. Chciałam... chciałam się spotkać z nim, czy może z nią... z waszym szefem.

Dłonie mężczyzny zatrzepotały jak ptasie skrzydła, a potem zatrzymały się na szarfie.

– A po co?

Kiska w ostatniej chwili powstrzymała się przed klaśnięciem w dłonie. Zaczepnęła głęboko tchu.

– Chcę dostać pracę. Dajcie mi szansę. Proszę, mam talent, naprawdę mam. Przekonacie się. Musicie tylko dać mi szansę.

Szpon cofnął dłonie od szarfy i splótł je za plecami.

– Mówisz, że masz talent?

Serce dziewczyny zabiło gwałtownie.

– Tak – zdołała wykrztusić. – Naprawdę mam.

Mężczyzna wzruszył ramionami.

– To sprawa dla miejscowego dowódcy. Mam wrażenie, że to podpieść Pell. Porozmawiaj z nim.

– Tak, już z nim rozmawiałam, ale on...

Szpon zeskoczył bezszelestnie z muru i zniknął. Dziewczyna podbiegła do krawędzi. Nie było tam nic. Dobre trzy długości ciała mężczyzny w dole ciągnęła się pusta, brukowana ulica. Serce Kiski zabiło mocno. Dziewczyna oplotła się rękoma podekscytowana spotkaniem. To było zdumiewające. Uniosła pięść ku stromym, płamistym murom Twierdzy Mocka. Tak jest, porozmawia z kimś. Tak wysoko postawionym, jak tylko zdoła! Jak śmieli jej odmówić?

* * *

Idąc przez wewnętrzny dziedziniec Twierdzy Mocka, Hart zdjął płaszcz i zarzucił go na ramiona. Na podwórku było pusto. Z twierdzy wycofano niemal całą załogę poza garstką najpotrzebniejszych ludzi. Od chwili przybycia bezimiennej „przedstawicielki” imperium wszyscy mieli dwa razy więcej służb. Tajemnicza kobieta zajęła ze swą świtą trzy górne piętra donżonu, wyganiając stamtąd dowódcę garnizonu, Pella, który obecnie spał w zbrojowni i pił jeszcze więcej niż zwykle.

Jaki był cel tej wizyty? Hart słyszał na ten temat ze dwadzieścia różnych hipotez. „Pod Wisielcem” przeważała opinia, że dowództwo w Uncie rozważa możliwość ostatecznej likwidacji garnizonu i pozostawienia wyspy rybakom, gnieźdzącemu się na urwiskach ptactwu oraz fokom, które miały kolonię na południe od miasta, na Skałach Benares. Hartowi jednak nie wyznaczano dodatkowych służb. Ze starszym wiekiem łączyły się pewne przywileje. Uśmiechnął się, czekając na chwilę, gdy znów skosztuje warzonego przez Kojca ciemnego staromalażańskiego.

Gdy dotarł do wartowni, było w niej ciemno. Odźwierny, Lubben, wylazł na zewnątrz. U jego pasa grzechotały klucze, które nosił na wielkim żelaznym pierścieniu. Garbił się jeszcze bardziej niż zwykle, a gdy spojrzął na dziedziniec, w jego oku pojawił się błysk. Hart miał ochotę zapytać staruszka, dlaczego nie chrapie przy piecyku w wartowni jak

zwykle. Czyżby wydarzyła się jakaś katastrofa? Odźwierny jednak ostrzegł go skinieniem dłoni.

– Brama jest zamknięta na noc, żołnierzu.

– Żołnierzu? Co się stało, Lubben? Ośleplęś z przepicia?

Lubben wskazał kciukiem ciemny korytarz za plecami. Poruszył ustami, wypowiadając jakieś słowo, którego Hart nie dosłyszał.

– Co tu jest grane, na bezsenne oczy T'riss...? – Weteran przerwał nagle.

Z cieni wyłonił się bezgłośnie ktoś inny. Imperialny szpon w sięgającym kostek czarnym płaszczu z kapturem. Lubben skrzywił się i wzruszył lekko ramionami w bezradnym geście przeprosin. Spod kaptura wystawała tylko dolna połowa szczupłej, pobrużdżonej twarzy. Wytatuowano na niej kabalistyczne znaki, symbole przypominające Hartowi kanciaste pismo tych, którzy władali grotą Rashań, Ścieżką Ciemności. Szpon spojrział na Lubbena.

– Jakież kłopoty, odźwierny?

Lubben pokłonił się nisko.

– Nie. Wszystko w porządku.

Zakapturzona postać zerknęła na Harta, który natychmiast pochylił głowę. Być może przesadzał z ostrożnością, ale szpon mógł uznać ten gest za znak szacunku. Nieraz już się przekonał, że to lubią.

– Czego chcesz, żołnierzu?

Hart zacisnął dłonie na pasie, tak mocno, że aż mu zdrętwiały palce. Wbił wzrok w kamienne płyty pod stopami. Dwie były pęknięte, a cztery nadkruszone.

– No więc... – zaczęła ostrożnie – ...chodzi o to, że właściwie przeszedłem już w stan spoczynku i mam w mieście pokoik. Wezwano mnie tylko z powodu wizyty. Kapujesz, potrzeba więcej wartowników.

– Odźwierny, czy możesz poświadczyć za tego człowieka?

Lubben mrugnął znacząco do Harta.

– Jasne. Jest tak, jak mówi.

– Rozumiem.

Szpon podszedł bliżej. Hart uniósł głowę, ale nadal spoglądał w bok. Kącikiem oka obserwował poddającego go oględzinom szpona. Minął rok, odkąd ostatnio spotkał się tak blisko z jednym z tych skrytobójców, a wtedy próbowali go zabić. Wówczas był gotowy do walki, teraz zaś czuł się po prostu zdumiony, że nadział się na członka eskorty tajemnicznej kobiety. Czyżby rzeczywiście patrolowali okolicę, jak sugerował Pościg? Dlaczego akurat dzisiaj?

– Jesteś weteranem. Gdzie są twoje wstążki z kampanii?

– Nie noszę ich.

– Wstydzisz się?

– Nie. Po prostu uważam się za przeniesionego w stan spoczynku.

– Śpieszy ci się opuścić imperialną służbę?

– Nie. Zapracowałem już na emeryturę. – Zaczerpnął tchu. – Rozumiesz, buduję łódź – kontynuował pośpiesznie. – W życiu nie widziałeś ład...

Szpon wysunął rękę spod płaszcza i przerwał mu skinieniem dłoni.

– Dobra. Odźwierny, pozwól mu przejść.

– Tak jest.

Lubben przeprowadził go przez tunel wejściowy, uniósł klucze i otworzył małą furtę w głównej bramie. Hart wyszedł na zewnątrz. Lubben wystawił za nim głowę i rozciągnął usta w krzywym uśmiechu.

– Nigdy mi nie mówiłeś, że budujesz sobie łódkę.

– Całuj Kaptura, garbusie z urzęniętym kutasem.

Lubben roześmiał się bezgłośnie i odpowiedział mu gestem, który nie wymagał słów. Potem zatrzasnął drzwi i zasunął rygiel.

Hart ruszył w dół Szlakiem Szańcowym. Wykute w skalnym urwisku schody wiodły ku podstawie czterema długimi serpentynami. Każdy ich odcinek znajdował się w zasięgu wycelowanych na miasto katapult i balist twierdzy. Nad wyspą przetaczały się chmury nadpływające z nad Morza Sztormów. Noc zapowiadała się nieprzyjemnie. Wyspiarskie

przesady mówiły, że to sami Jeźdźcy Sztormu są odpowiedzialni za najgorsze lodowe nawałnice nadciągające z południa.

Niemal całkowicie pionowe urwisko stanowiło północną granicę portowego miasta Malaz. U jego podnóża przycupnęła Dzielnica Świąteł. Mieszkali w niej bogacze szukający bezpieczeństwa w cieniu twierdzy. Na południe i na zachód od niej zaczynał się labirynt krzywych uliczek ciągnący się wzdłuż rzeki i błotnistych brzegów Zatoki Malazańskiej. W głębi łądu widać było niewysokie wzgórza. Nad krytymi dachówką lub kamiennymi płytkami dachami unosił się dym z kominów. Chmury przyniosły lekką mżawkę, która przesłaniała widok na port. Kropelki deszczu padały Hartowi na kark, jakby chmury pluły na niego zimną śliną.

Ostatnio port służył głównie jako wojskowy punkt tranzytowy, ale nadal korzystali z niego nieliczni rybacy oraz kupcy, niekiedy nawet przewożący legalne towary. Wszystko to było jednak zaledwie bladym cieniem przeszłości. Na każdym kroku widziało się opuszczone domy, walące się magazyny oraz rozklekotane, nadwątlone przez fale nabrzeża. Ongiś Malaz był macierzystym portem pirackiej floty, która przerodziła się w talassokrację, a następnie w imperium. Obecnie można było odnieść wrażenie, że miasto jest zamieszkane raczej przez duchy niż przez żywych ludzi. Imperium zawdzięczało Malazowi swą nazwę, ale gdy dosięgło granicami odległych mórz, miasto utraciło wszelkie strategiczne znaczenie.

Rzecz jasna, wojna w Korelu zmieniła tę sytuację. Mieszkańcy odzyskali nadzieję. Inwazja okazała się jednak katastrofą, bezdenną otchłanią pochłaniającą ludzi i zasoby. Miasto i cała wyspa ponownie pogrążyły się w ruinie. Hart uświadomił sobie nagle, dlaczego akurat w tej chwili do tego przyszcza na tyłku imperium przybył pierwszy pocztowy stateczek, jaki tu kiedykolwiek widział. Przywiózł wiadomość dla przedstawicielki. Maszyna imperialnego rządu wróciła na krótką chwilę do miejsca swych narodzin.

Na ostatniej serpentynie Hart uniósł wzrok. Widoczna w przerwie między nisko sunącymi chmurami Twierdza Mocka przypominała źle wyważony statek płynący po wzburzonym morzu. W każdej chwili mogła się przewrócić do góry dnem.

Starł otwartą dłońią wodę z ostrzyżonych na jeża włosów i ruszył w dalszą drogę. Nasunęła mu się myśl, że ta noc może wymagać trunku mocniejszego niż ciemne staromalazańskie.

* * *

Kiska leżała wyciągnięta na zimnych deskach pokładu. Na wspomnienie o wspaniałych marzeniach, które jeszcze przed kilkoma dniami wydawały się tak realne, jej policzki i gardło ponownie pokrył rumieniec wstydu. Była takim okropnym dzieckiem! Taką idiotką! Szczególnie dobrze zapamiętała głupi szok, debilne zaskoczenie, gdy przy wejściu do twierdzy kolejny z grupy osobistych strażników – z pewnością szpon – ujął ją za ramię – za ramię! – i odprowadził na bok jak małą dziewczynkę.

Idź się bawić gdzie indziej. Twoje usługi nie będą nam potrzebne.

Kolejne wspomnienie tej sceny rozwścieczyło ją tak bardzo, że omal nie walnęła pięścią w deski. Opanowała się jednak i tylko przygryzła wargę. Poczula na języku słony smak krwi.

Jak mogli? To było jej terytorium! Od dzieciństwa zaglądała do wszystkich budynków i magazynów w mieście. Znała na pamięć każdy zakręt i ślepe zakończenie wąskich, otoczonych murami uliczek. Pell powiedział nawet, że gdyby mógł przyjąć Kiskę na służbę, przydzieliliby ją do garnizonu jako oficera wywiadu. Na wyspie nie było nic, czego nie mogłaby ukraść, gdyby tylko zechciała.

Kłopot w tym, że nie znajdowało się tu nic, co warto by było sobie przywłaszczyć. Dlatego zadowalała się obserwacją drobnych złodziejasków i zbirów: bandy Rozrzutnika, która rządziła portem, albo jakatań-

szych piratów atakujących od czasu do czasu przybrzeżne łódzie. Wszystkich, którzy pojawiali się w porcie.

A teraz po prostu ją przepędzono. Być może to właśnie bolało ją najbardziej. To było niepotrzebne i nierozważne. Naprawdę liczyła na to, że mogliby... Powiedziała sobie, że pora przestać o tym myśleć. Nie potrafiła znieść wspomnienia o swych naiwnych nadziejach, o głupich przechwałkach, które powtarzała. To rzeczywiście byli agenci Szponu Imperium, a kobieta, którą eskortowali, faktycznie była pięścią imperialną. Jedną ze stu administratorów, gubernatorów, a nawet wodzów armii.

Zacisnęła zęby, aż do bólu. Co z tego, że nie ukończyła którejś ze szkół oficerskich w Uncie, Li Heng albo Tali? Że nie władała magią żadnej groty? Była wystarczająco dobra, żeby poradzić sobie bez tego. Ciotka Agayla zawsze powtarzała, że Kiska ma wrodzony talent do tej roboty. Dziewczyna była przekonana, że nie ustępuje żadnemu oficerowi wywiadu.

Gdy usłyszała o wizycie, uznała, że bogowie oferują jej drugą szansę. Nie mogła jej zmarnować. Pierwszą był postój floty transportowców w zeszłym roku. Żołnierze przybyli uzupełnić zapasy, a jednocześnie wprowadzić w życie nowy edykt regentki zakazujący uprawiania magii. Sytuacja wyrwała się wówczas spod kontroli. Agayla zamknęła dziewczynę, mówiąc, że to dla jej bezpieczeństwa, mimo że właśnie wtedy jej talenty i znajomość okolicy mogłyby się okazać najbardziej użyteczne. To była dla Kiski idealna okazja, by dowieść swej wartości, przyciągnąć uwagę kogoś wysoko postawionego. Dziewczyna przysięgła sobie wówczas, że nigdy już nie pozwoli, by Agayla przeszkodziła jej w próbie opuszczenia wyspy. Potem jednak, gdy pożary ogarnęły całą dzielnicę, a zamieszki przerodziły się w rzeź na pełną skalę, przyznała z niechęcią, że starsza kobieta mogła jej uratować życie. Niemniej, gdy mieszkańcy wyspy przekleństwami i złorzeczeniami żegnali ciężkie, niezgrabne transportowce wypływające z zatoki, dziewczyna odprowadzała je wzrokiem z głębokim żalem w sercu. Była wówczas przekonana, że mimo swego talentu nigdy nie opuści więzienia, jakim jest wyspa.

Właśnie ów talent pozwolił jej zauważyć, że w pocztowym stateczku jest coś dziwnego, choć musiała przyznać, że przyszła do portu tylko po to, żeby się poużalać nad sobą. Natychmiast wyczuła, że coś tu śmierdzi i że na pewno ma to związek z wizytą przedstawicielki. Czy to tylko zwykła wiadomość? W takim razie po co ta tajemniczość? Jeszcze osobliwszy był fakt, że kutra nie opuścił dotąd żaden posłaniec. Na co czekali? Po karku Kiski spływały lodowate kropelki, ale dziewczyna nawet nie drgnęła. Kuter śpieszył się z przybiciem do brzegu tak bardzo, że omal nie staranował nabrzeża, a teraz nic się nie działo...

Ach! Jakieś poruszenie. Czterech członków załogi zeszło gęsiego na pirs, położony nieco niżej od pokładu. Wszyscy mieli na sobie poncza z foczych skór i ukrywali ręce w ich szerokich fałdach. Czterej mężczyźni otoczyli początek ograniczonego linami przejścia. Kiska pomyślała, że pod ubraniami z pewnością mają gotowe do strzału kusze, być może sprężynowe, pozbawione łuczyska modele używane przez Szpon. Sama miała podobną broń, nosiła ją przytroczoną do prawego boku. Nabyła ją za wszystkie swoje pieniądze, od kupca, który nic nie wiedział o działaniu obcego mu mechanizmu.

Czterej mężczyźni omietli wzrokiem przesłoniętą coraz intensywniejszym deszczem okolicę, przyjrzeni się też stojącym na nabrzeżu skrzyniom. Wreszcie jeden z nich skinął dłonią. Miał na głowie futrzaną czapkę w rodzaju tych, jakie noszą mieszkańcy równin, a długie, podkręcone wąsy sugerowały, że pochodzi z któregoś z plemion Seti. Potrząsnął głową i splunął na pomost. Nawet ukryta z dala od nich Kiska wyraźnie widziała, że wkurzają go kłębiący się w porcie tłum oraz kiepska widoczność.

Na pokładzie pojawił się piąty mężczyzna. Był szczupły, średniego wzrostu. Miał ciemny płócienny płaszcz z kapturem, skórzane rękawice oraz buty z cholewami. Zatrzymał się przy wejściu na trap i rozejrzał wokół. Nagły powiew uniósł kaptur i Kiska ujrzała boleśnie wychudłą twarz barwy mahoni. Nieznajomy był gładko wygolony, a jego łysa czaszka świeciła jasno.

Seti ponownie skinął dłonią, dając sygnał trzem pozostałym, którzy otoczyli przybysza ciasnym kręgiem. Kiska poznała wariant języka znaków opracowany przez szturmowe oddziały piechoty morskiej i następnie przejęty przez niemal wszystkie imperialne oddziały, nawet szponów. Nie udało się jej jeszcze znaleźć nikogo, kto by ją go nauczył.

Pięciu mężczyzn ruszyło ku zejściu z pirsu. Deszcz ograniczał widoczność i trudno ich było wypatrzeć na tle fortyfikacji, zwłaszcza że nadchodził zmierzch. Mimo to dziewczyna nie zeskoczyła z dachu, by ruszyć w pościg. Pamiętała niedawną nauczkę. Podejrzewała, że mogą być jeszcze inni, którym rozkazano podążać w pewnej odległości za pierwszą grupą.

Miała w zwyczaju dawać śledzonym sporo swobody, zwłaszcza jeśli byli przekonani, że nikt ich nie obserwuje. Lubiła sobie wyobrażać, że instynkt pozwala jej odgadnąć, jaką trasę wybierze cel. Potrafiła tego dokonać już jako dziecko, gdy z opaską na oczach bawiła się na ulicach w ciuciubabkę. Często żartowała, że po prostu idzie za pozostawionym śladem. Dlatego o mało nie pisnęła z zaskoczenia, gdy zza kilkunastu wyblakłych beczek stojących tuż przed nią wyszedł jakiś odziany na szaro mężczyzna. Kiska pochyliła błyskawicznie głowę, obserwując go z uwagą. Miała zamiar zakraść się na pokład stateczku. Skąd się wziął ten człowiek, na wszystkie tajemnice Królowej? Przygryzła wargę. Mężczyzna rozejrzał się i ruszył przed siebie sprężystym krokiem, splatając ręce za plecami.

Kolejny strażnik? Była pewna, że nikt więcej nie zszedł z pokładu. Umówił się na spotkanie? W takim razie dlaczego się ukrywał? Postanowiła posłuchać rady Agayli, twierdzącej, że każdego powinno się uważać za nieprzyjaciela, dopóki się nie okaże, że nim nie jest.

Zaczekała, aż nieznajomy się oddali, a potem zsunęła się na dół. Założyła, że mężczyzna podąży za człowiekiem ze statku. Ona z kolei pójdzie za nim. Przy chatce strażnika rozejrzała się. Uświadomiła sobie nagle, co ją wcześniej tak zaniepokoiło. Obejrzała przedtem dokładnie

wszystkie beczki i skrzynie. Nie znalazła nikogo i nikt nie mógł się dostać do kryjówki przez nią niezauważony.

Zostawała tylko jedna możliwość. Ta opcja nie była dla niej dostępna, ale nieznamy najwyraźniej korzystał z niej swobodnie. Poczula odór magicznej grotty. Być może powinna jednak kogoś o tym zawiadomić? Ale kogo? Władzę w twierdzy przejęły szpony, działające w imieniu bezimiennej przedstawicielki imperium. Na myśl, że miałyby potulnie złożyć meldunek szponowi, z którym rozmawiała, albo jednemu z jego braci, rozboleła ją gardło. Niech ich pochłoną wieczne labirynty Królowej! Pokręci się tu jeszcze chwilę i zobaczy, co się stanie.

* * *

Na końcu Szlaku Kormorana Hart zauważył Rengela. Staruszek szarpał się z okiennicą na parterze, trzymając w zębach fajkę. Jak zwykle mruczał coś pod nosem. Poza byłym żołnierzem piechoty morskiej i producentem żagli na ulicy nie było nikogo. Zaskoczyło to Harta, jako że nie minął jeszcze pierwszy dzwon nocy.

- Dobry wieczór.

Rengel się odwrócił.

- Hej? Wieczór? - sapnął przez zęby. Przyjrzał się Hartowi, skinął głową z niezadowoloną miną i ponownie zajął się okiennicą. - Rzeczywiście już wieczór. I to paskudny. Dziwię się, że cię tu widzę. Myślałem, że masz więcej rozsądku.

Hart się uśmiechnął. Staruszek cechował się płacziwą nostalgią albo najczarniejszym cynizmem, zależnie od tego, czy był trzeźwy, czy pijany. W tej chwili wyglądał na tylko lekko ubzdryngolonego, ale noc była jeszcze młoda. Weteran spojrzął na nisko wiszące chmury.

- Nie jest aż tak źle.

- Hej? Żle? - Rengel uniósł wzrok i się skrzywił. - Nie mówię o pogodzie, ty cholerny durniu. - Pociągnął za okiennicę. - Cholerstwo zardzewiało, niech je przekląty przez Kaptura Togg...

Hart podszedł bliżej.

– Przyjrzyjmy się jej.

Rengel odsunął się na bok.

– Skąd ty właściwie pochodzisz, chłopcze?

Hart uśmiechnął się, przyglądając się zamkowi okiennicy. Kiedy ostatnio ktoś nazwał go chłopcem?

– Można powiedzieć, że z Itko Kan. Dlaczego pytasz?

Hart usłyszał, że staruszek prychnął pogardliwie za jego plecami.

– Uwierz mi, że gdybyś urodził się tutaj, siedziałbyś dzisiaj w domu. Wiedziałbyś, co jest grane. Mieliśmy w tym roku zamieszki, zabitych i tak dalej. To była zapowiedź. Może nawet przyczyna. Księżyc Cienia. Pod takim księżycem wracają dusze umarłych. I inne, jeszcze gorsze stworzenia.

Hart zdołał odblokować okiennicę i ją zatrzasnął.

– Księżyc Cienia? Słyszałem o nim. Ale jestem tu nowy.

– One zdarzają się rzadko, dzięki bogom. – Rengel podszedł bliżej. Nozdrza Harta zaatakowała woń rdzawego liścia, kleju z kości, potu i dżinu. Staruszek zakołysał się lekko, jak na wietrze, i wypuścił z ust wielki obłok dymu. – Podczas ostatniego nie było mnie na wyspie. Służyłem na *Władcy Sztormów*. Ale poprzednim razem, prawie pięćdziesiąt lat temu, byłem jeszcze młodym chłopakiem. Otworzyły się otchłanie cieni. Potępione dusze uciekły, a nowe dostały się do niewoli. Na ulicach szalały diabły. Słyszałem ich wycie. Człowiek ma wrażenie, że to jego duszy szukają. – Dźgnął Harta w pierś cybuchem. – Unikaj dotkniętych. Porwą ich wszystkich. To pewne, jak tu stoję.

Dotknięci. To było potoczne określenie tych, którzy znali groty. Uzyskiwania dostępu do nich można się było nauczyć, ale znacznie częściej się zdarzało, że ktoś po prostu rodził się z talentem. Hart nie wątpił, że w dawnych czasach ludzie podejrzewani o taką skazę często znikali bez śladu podczas niezwykłych nocy, podejrzewał jednak, że przesądna tłuszczka po prostu wywlekała nieszczęśników z domów, by ich spalić

albo powiesić. Pokiwał głową i staruszek odwzajemnił mu się tym samym.

– Rengel! – dobiegł z góry kobiecy głos.

Wdowa Cyranka wychyliła się przez cienką poręcz okna na piętrze. Hart przywitał ją uśmiechem, choć kobieta zawsze przypominała mu tłustego sępa w czarnym szalu. Cyranka zniknęła, zatrzasnąwszy okiennicę.

Rengel przygryzł fajkę, mrużąc coś pod nosem. Hart zastukał w brudne drewno okiennicy.

– Mocna jak skała – stwierdził. – Nie przejmuj się, całą noc spędzę za zamkniętymi drzwiami. Muszę wypróbować piwo „Pod Wisielcem”.

Staruszek zatrzepotał brwiami z zainteresowaniem.

– Wypróbować, tak? – Uśmiechnął się, wypuszczając kolejny obłok dymu. – Tylko nie decyduj za szybko.

Hart parsknął śmiechem.

– Bogowie, nie. Zapewne posiedzę tam do rana.

Rengel zawahał się, stanąwszy w drzwiach. Zgiął palec, przywołując weterana bliżej.

– Co ci wiadomo o powrocie? – warknął półgłosem.

Zdziwiony Hart potrząsnął głową.

Staruszek odprawił go kolejnym gestem, zniecierpliwiony albo może zde gustowany.

– Nie wychodź na ulicę, przyjacielu. Nocą miastem będą władać biesy i jeszcze gorsze stworzenia.

Weteran oddalił się, nie wiedząc, co sądzić o tym ostrzeżeniu. Rengel zapukał w drzwi, wskazał coś – znak narysowany kredą – i zatrzasnął je za sobą. Grzechot poniósł się echem w wąskim zaułku.

Na szyldzie gospody „Pod Wisielcem” przedstawiono, rzecz jasna, powieszonoego mężczyznę. Ręce miał związane za plecami, a głowę wygiętą do tyłu pod budzącym mdłości kątem. Lało już porządnie, wiatr siekł strugami deszczu. Płaszcz Harta zrobił się ciężki i zimny od wody. Weteran słyszał szum fal uderzających o pale zaledwie kilka przecznik dalej. Lśniaca w oddali zatoka wyglądała jak przedłużenie deszczu.

W chmurach odbijały się jeszcze resztki słonecznego blasku, ale rzut kamieniem od Harta wszystko spowijała ciemność. Wieczór przechodził w noc – taką, o której myśl przenikała kości dreszczem i paraliżowała ducha. Weteran czekał z niecierpliwością, aż zasiądzie na swym zwykłym miejscu nieopodal wielkiego paleniska gospody. Miał nadzieję, że pokaże się dziś Corinn. Chciał ją zapytać o Księżycze Cienia i to całe proctwo... ale minął już blisko tydzień, odkąd widział ją ostatnio i, prawdę mówiąc, bał się, że może jej już nie zobaczyć. Sam doszedł do kilku konkluzji. „Powrót” śmierdział kultem oddającym cześć Kellanvedowi, człowiekowi, który na spółkę ze swym przyjacielem Tancerzem stworzył imperium. Obaj zaginęli parę lat temu. Niektórzy sądzili, że nie żyją, inni przypuszczali, że ukryli się w jakiegoś rodzaju taumaturgicznej izolacji.

Naprzeciwko gospody, za zalanymi deszczem kocimi łbami zaułka, wznosił się niski kamienny mur budynku, który ponoć był najstarszy w mieście. Opustoszały gmach popadł w całkowitą ruinę i nie opłaciłoby się go remontować. Hart nigdy nie poświęcał mu zbyt wiele uwagi, ale opowieść Rengela przypomniała mu inny miejscowy przesąd. Budynek był rzekomo starszy od miasta, a w jego sypiących się murach i pustych pokojach zawsze straszło. Krążyły też pogłoski, że tam właśnie mieszkali ongiś Kellanved i Tancerz, a także ich towarzysze, między innymi Dasseem oraz obecna regentka, Gburka, i tam uknuli plany wszystkiego, co wydarzyło się później. Weteran musiał przyznać, że ciemną, deszczową nocą gmach rzeczywiście wygląda złowrogo. Otaczały go czarne, martwe drzewa, a rozrzucone po nagim podwórzu wzgórci przypominały kurhany. Miejscowi woleli udawać, że budynek

w ogóle nie istnieje, a kiedy już o nim wspominali, nazywali go Domem Umarłych. Hart nie potrafił uwierzyć, że ktokolwiek zdrowy na umyśle mógłby tam mieszkać – co oznaczało, że jest bardzo prawdopodobne, że Kellanved i Tancerz wyglądali kiedyś przez jego puste okna. Wzruszył ramionami i się odwrócił. W domu z pewnością straszło. Osobiście uważał, że w całym imperium roi się od różnego rodzaju duchów.

Przed wejściem do gospody mokło na deszczu dwóch mężczyzn, wspartych plecami o pozbawiony okien mur. Stali tak blisko wejścia, że Hart słyszał krople deszczu bębniące o ich skórzane płaszcze. Kiedy się zbliżał, czuł na sobie ich spojrzenia, ale gdy dotarł do wejścia, odwrócili wzrok.

– Paskudnie stać na warcie w taką noc – powiedział z uśmiechem do tego po prawej.

Mężczyzna zerknął na niego, omiół spojrzeniem od stóp do głów i ponownie wpatrzył się w deszcz.

– Czekamy na przyjaciela.

Hart zatrzymał się u szczytu prowadzących w dół schodów. Wszyscy wiedzieli, że „Pod Wisielcem” spotykają się weterani, więc ci dwaj raczej nie musieli udawać, że nie stoją na straży na prośbę siedzących w środku kumpli. Miał ochotę im to powiedzieć, ale się powstrzymał. Wyglądali na nowych, więc może nie znali zasad. Wszedł do środka, czując się stary.

Kojec zapewniał, że jego gospoda to jeden z najstarszych budynków w Malazie. Prawda czy nie, zapadła się ona znacznie poniżej poziomu ulicy, a jej zewnętrzne mury zbudowano z wielkich, ręcznie ciosanych bloków piaskowca, takich samych jak te, które składały się na rozsiane po całej wyspie bezimienne ruiny. Główna izba gospody znajdowała się tak głęboko, że wiodące do niej schody dziwnie przypominały zejściówkę prowadzącą do najniższej ładowni statku. Po wytartych stopniach ściekała deszczówka i przed progiem utworzyła się już spora kałuża. Hart zamoczył w niej skraj płaszcza. Złapał za żelazną klamkę dębowych drzwi i drugą ręką sięgnął do wyrytych dłutem, delikatnych

jak pajęczne nici rys biegnących wzdłuż niskiego nadproża. Nie wątpił, że wszyscy mają swoje przesady, ale żołnierze i marynarze ulegali im częściej od innych. To był jeden z jego przesądów. Oddawał w ten sposób honory zapomnianemu ludowi, który ociosał te kamienie. To było swego rodzaju błogosławieństwo – choć nie miał pewności, czy je daje, czy raczej otrzymuje – a także gest mający mu zapewnić bezpieczeństwo. W końcu mieszkał tu na piętrze, choć może raczej należało je zwać parterem. Wąska szczelina okna jego pokoju biegła zaledwie na wyciągnięcie ręki nad pełnym szcurów rynsztokiem przebiegającym między gospodą a bielonym domem z cegły i drewna, należącym do Foki.

Główna izba gospody była wielka i szeroka. Deski sufitowe znajdowały się tak nisko, że można było ich dotknąć albo nawet rozbić sobie o nie głowę, jeśli ktoś nie uważał. Niejeden pijak przekonał się o tym na własnej skórze, kończąc wieczór niespodziewanym, bolesnym wstrząsem. Pośrodku pomieszczenia wznosiły się dwa szeregi grubych kamiennych kolumn. Biegnąca między nimi droga prowadziła od wejścia do wielkiego jak łódź wiosłowa kominka usytuowanego na wprost drzwi. Po obu stronach tego przejścia, w różnych odległościach od paleniska, rozstawiono długie, dębowe stoły. Kamienne ściany były pozbawione ozdób, gdzieś umieszczono w nich małe nisze o łukowatych sklepieniach. W każdej tliła się słabym płomieniem lampka. Głównym źródłem światła były tu jednak wielkie lampy oliwne z brązu, zawieszane na zardzewiałych żelaznych hakach wbitych głęboko w kolumny i ściany. Potężny kominek wypełniał dalszy koniec sali migotliwym, bursztynowym blaskiem rozpraszającym chłód i uzupełniającym oświetlenie posępną nutą.

W pomieszczeniu unosiły się kłęby dymu, ale przynajmniej było tu ciepło i sucho. Hart rozchylił płaszcz. Z obu stron otaczali go pijący mężczyźni, którzy śmiali się i rozmawiali. Gości było dziś znacznie więcej niż zwykle, wyglądało również na to, że są młodszy i bardziej hałaśliwi. Anji wspierała na biodrze dzbanek z brunatnego piaskowca,

napełniając z niego kufle. Przywitała Harta skinieniem głowy. Już wyglądała na zmęczoną. Uśmiechnął się do niej, ale ona poszła dalej. Biedna dziewczyna. Przyzwyczała się do regularnych klientów, spokojnych, starych dziadków, którzy sączyli szklaneczkę trunku przez dwa albo trzy dzwony. Dzisiaj z nawiązką zapracuje na swą wypłatę.

Przechodząc między długimi stołami, Hart czuł na sobie ciężar niezliczonych spojrzeń. Zatrzymał się, ale nikt nie chciał patrzeć mu w oczy. Wszyscy wbijali wzrok w kufle albo w porysowane blaty, szepcząc coś do siebie, jakby mieli nadzieję, że niepożądany gość ich minie. To było dziwne zachowanie u mężczyzn, którzy wyglądali na tak twarde, że mogłoby się здаwać, iż uciekli z więziennego statku albo wyrzucono ich z grup łapaczy nieustannie poszukujących wioślarzy dla imperialnej floty. Hart poszedł na swe zwykłe miejsce, wyczuwając unoszącą się w powietrzu atmosferę napięcia.

Mijając ostatnie stoły, zauważył grupę obdartusów odzianych w wytarte bluzy i płaszcze. Sprawili na nim wrażenie zwykłych ulicznych nędzarzy, ale towarzyszyli im inni, którzy wyglądali na żołnierzy, jako że byli potężniej zbudowani i oznaczeni bliznami. To nie byli typowi klienci gospody, ale przecież Rengel ostrzegał go, by oczekiwał dzisiejszej nocy niezwykłych wydarzeń.

Na jego ławie ustawionej pod tylną ścianą ktoś siedział. W sali było tłoczno i Hart właściwie się tego spodziewał, nie potrafił jednak powstrzymać irytacji. Czy Kojec nie mógł zatrzymać mu miejsca? Za co właściwie płacił czynsz temu cholernemu piwowarowi? Za tę maleńką klitkę na piętrze? Za paskudne żarcie?

Siedzący na jego miejscu mężczyzna miał na sobie skórzaną kamizelkę, nałożoną na watowaną lnianą koszulę opadającą w strzępach na ławę, oraz skórzane nogawice wysadzone żelaznymi ćwiekami. Nałokcice z naoliwionej skóry osłaniały połowę długości przedramion pokrytych gęstą siatką blizn. Były wśród nich pomarszczone ślady, w miejscach, gdzie zdarto ciało, wąskie, blade półksiężycy blizn po ranach ciętych i pokryte gniewnie różowymi cętkami pozostałości po oparze-

niach. Mężczyzna pochylił nisko głowę, rozmawiając z ukrytym w cieniu towarzyszem.

Hart wahał się przez chwilę. Zastanawiał się, czy nie zażądać ustąpienia miejsca. Co prawda, nie liczył na to, że nieznajomy go posłucha, ale dzięki temu mógłby lepiej zobaczyć jego twarz. Mężczyzna wciąż odwracał od niego spojrzenie, patrząc uparcie w bok. W pewnej chwili dzieląca dwóch rozmówców przestrzeń skurczyła się nagle. Pojawił się Kojec, który wszedł do sali przez wąskie tylne drzwiczki. Oberżysta rozejrzał się, trzymając dłonie zatknięte za skórzany fartuch, i wskazał jedyny wolny stolik. Hart powlókł się ku niemu. Miał za sobą pół dnia służby i niech go szlag, jeśli będzie stał choć chwilę dłużej.

Kojec usiadł obok niego.

- Przepraszam za miejsce, Hart - powiedział, unosząc karafkę brzoskwiniówki.

Weteran skinął głową.

- Niezły dziś tłok - zauważył, ale oberżysta nie odpowiedział i w skupieniu napelniał szklaneczkę.

Hart wzruszył ramionami i uniósł naczynie w toaście.

- Za imperium - rzekł Kojec, unosząc swoją szklaneczkę.

- Za dno morza - odparł Hart i przełknął trunkę.

Kojec wciągnął powietrze przez zęby i przesunął krzesło pod tylną ścianę, żeby lepiej widzieć, co się dzieje w sali.

- Ehe, to nie są zwyczajni klienci. No wiesz, to przez tę dzisiejszą noc.

- Księżyc Cienia.

Oberżysta uniósł wzrok.

- Ehe, masz rację. Ale nigdy dotąd o nim nie słyszałem.

Wyciągnął spod fartucha ścierkę i otarł nią błyszczące czoło, a następnie rzadziejące rude, kręcone włosy.

Hart wsparł przedramię o blat, wskazując głową salę.

- Wyglądają groźnie...

Kojec zbył tę sugestię machnięciem ręki.

– Są spokojni, biorąc pod uwagę, ilu jest wśród nich młodych zawa-
diaków. Niczego jeszcze nie złamali, poza pieczęciami na dwóch beczuł-
kach piwa – rzekł z chichotem.

Weteran westchnął. W jego opinii główną wadą Kojca był jego niezachwiany optymizm. Cecha ta przybierała takie rozmiary, że gdyby Hart nie znał go lepiej, mógłby go podejrzewać, że jest słaby na umyśle. Pomyślał, że być może Kojec łatwo ulega nadziei dlatego, że przez jego ręce przepływa mnóstwo pieniędzy.

Zastanowił się, czy nie wpaść później do Foki. Bogowie wiedzieli, że młodemu medykowi przydałoby się dziś jakieś towarzystwo. Ale chłopak zapewne miał już ręce zanurzone po łokcie w lekarskim kuferku. Potem weteranowi przyszło do głowy coś ciekawszego. Skinął na Kojca.

– Widziałeś ostatnio Corinn?

Piwowar uśmiechnął się szeroko. Trąciłby Harta łokciem, ale groźna mina weterana ostrzegła go, że mógłby za to oberwać. Kiedy się zastanowił nad pytaniem, uśmiech zniknął z jego twarzy.

– Nie, nie mogę powiedzieć, żebym widział. Przykro mi, Hart.

Weteran wzruszył ramionami i oparł się wygodniej.

– Mogłaby się przynajmniej pożegnać.

– Staruszek Hart jak zwykle spodziewa się najgorszego. Każę ci przynieść kufel ciemnego.

Wstał i klepnął weterana po plecach.

Hart zbył go machnięciem ręki i odwrócił krzesło, by oprzeć się o ścianę. Przy sąsiednich stolikach było pełno ludzi, ale widział tylko parę znajomych twarzy należących do dwóch mężczyzn, którzy również wynajmowali pokoje u Kojca. Faro Balkat, wąty, chudy jak szczapa staruszek, popijał paraltową wodę, jakby nie była trująca, i rzadko potrafił odróżnić dzień od nocy, natomiast Trenech, olbrzymi mężczyzna, szeroki w barach jak byk bhederin i najwyraźniej równie mało inteligentny, pracował niekiedy dla Kojca jako strażnik i wykidająco w zamian za darmowe piwo.

Choć Kojec zlekceważył lęki Harta, a on sam nie chciał się do tego przyznać, obawiał się, że nie zobaczy już Corinn. Napęniało go to smutkiem, choć miała język ostrzejszy niż taliański sztylet. Poznał ją... Jak dawno temu...? Przed niespełna miesiącem? Sam był zaskoczony, że tak bardzo polubił jej snute przy winie opowieści o legendarnych kampaniach. Spróbował sobie przypomnieć ich ostatnią rozmowę. Czyżby powiedział coś gorszego niż zwyczajowe głupie aluzje? Zbyt prostacki żart o parze starych wojskowych koni pragnących ogrzać się we wspólnej stajni? Choć oboje byli weteranami i patrzyli na świat z takim samym cynizmem, traktowała go, jakby rzeczywiście był prostym pikinierem, którego udawał. Czy to możliwe, że zobaczyła w nim coś więcej, czy też były to tylko marzenia?

Anji weszła do sali przez drzwi dla służby znajdujące się tuż obok stolika i postawiła po drodze na blacie cynowy kufel ciemnego malażańskiego. Pomachał do niej ręką, ale ona wywróciła tylko oczyma na znak, że ma mnóstwo roboty. Gdy przechodziła obok pobliskiego stolika, jeden z gości złapał ją za tyłek. Odwróciła się i wylała mu na kolana wielki kufel *ale*. Trzeba ją było powstrzymać, żeby nie rozwaliła tego kufła na jego głowie. Ze wszystkich stron wspierały ją gwizdy i radosne krzyki.

Hałas przyciągnął uwagę mężczyzny, który usiadł na miejscu Harta. Nieznajomy miał poparzone nie tylko przedramiona, lecz również twarz. Weteran uświadomił sobie nagle, co zostawiło te ślady: imperialny pocisk alchemiczny. Zapewne zapalający.

Zbiry uspokoiły się na widok jego groźnego spojrzenia. Zdziwiło to Harta. Znani mu żołnierze odpowiedzieliby na podobne wyzwanie, rzucając stołkiem, kuflem albo czymkolwiek, co akurat mieliby na podorędziu. Spojrzał z ukosa na nieznajomego, który ponownie zwrócił się ku towarzyszom. Mężczyzna zatoczył szeroki krąg ręką, jakby naśladował cięcie mieczem, i krótki rękaw bluzy odsłonił na chwilę tatuaż: łuk mostu na tle płomieni. Godło Podpalaczy Mostów.

Hart czuł się tak, jakby owe płomienie trawiły mu serce. Na drugim końcu sali siedział człowiek, którego mógł nawet znać w poprzednim życiu. Z trudem powstrzymał się, by natychmiast nie uciec z gospody. Pochylił głowę, jakby wpatrywał się w otchłań kufła, choć wiedział, że jest mało prawdopodobne, by już się kiedyś spotkali. Co więcej, Podpalacz Mostów zapewne nawet go nie zauważył. To było tylko kolejne budzące lęk spotkanie z przeszłością. Zmusił się do przełknięcia następnego łyku. Gardło wypełnił mu smak ciepłego piwa. Omal się nie roześmiał w głos ze swych obaw. Bogowie! Minął ledwie rok, odkąd ostatnio walczył, a już zachowywał się jak płochliwy żreback!

Uniósł nieznacznie głowę i rozejrzał się po zadymionej sali. Noc była zimna i deszczowa, jego ulubione miejsce było zajęte, przeszłość szczyrzyła do niego zęby od sąsiedniego stolika niczym trupia główka, a Corinn ponownie wystawiła go do wiatru, choć ostatnio prawie co dzień wymieniała się z nim opowieściami i być może nawet zaczęła na niego spoglądać w ten szczególny sposób. Zważywszy wszystko razem, wskazany był odwrót na z góry wyznaczone pozycje. Pod wyrkiem czekała butelka czerwonego wina z jego ojczystych stron, zachowana z myślą o takim właśnie niefortunnym wieczorze.

Wstał i odsunął krzesło. Czując na plecach spojrzenia wszystkich gości, otworzył drzwi dla służby, pochylił się i wszedł do przedpokoju. Kojec przerobił to pomieszczenie na prowizoryczny magazyn, dodając kilka półek. Było tu ciemno, zimno i ciasno. Hart mógłby dotknąć obu ścian jednocześnie, nie wyciągając zbytnio rąk. Z tyłu ulokowano wyjście, tak wąskie, że ledwie mógł przecisnąć przez nie szerokie bary. Za nim znajdowały się kręte schody prowadzące do kuchni i pokojów do wynajęcia, a także na dół, do piwnic.

Ruszył w górę, czując na plecach zimny powiew wypływający nieustannie z podziemi budynku. Zastanawiał się nad zagadką, jaką było pojawienie się na wyspie Podpalacza Mostów. Teraz, gdy już wracał do pokoju, naszała go chęć, by dosiąść się do niego i pogadać o dawnych czasach. Jednakże opowieści przeniesionych w stan spoczynku lub

zwolnionych ze służby weteranów z reguły okazywały się smutne bądź nieciekawe. Potrafił sobie wyobrazić los żołnierza, który opuścił Podpalaczy Mostów. Żaden inny przydział nie wydałby mu się atrakcyjny. Nawet służbę w piechocie morskiej uznałby za nudną i frustrującą. Lepsze już zwolnienie ze służby, nawet jeśli potem czekało go tylko jałowe użeranie się z obcym życiem w cywilu.

Hart mu współczuł. Sam przeżył mniej więcej to samo, gdy pozabawiono go miejsca w armii. Dlatego zgłosił się z fałszywymi papierami do miejscowego garnizonu, by wrócić do jedyne go życia, jakie potrafił zaakceptować.

W tej zagadce kryło się jednak coś więcej niż po prostu jeden człowiek. Mijając kuchnię, Hart pomachał ręką do Sallila. Kucharz odpowiedział mu skinieniem głowy, po czym wrócił do wachlowania się na stromych schodach prowadzących do zaułka. Na górze było ciemno i Hart musiał po omacku znaleźć drogę do pokojów. Niektóre z nich wynajmowały Anji i kilka jej przyjaciółek zajmujących się okazjonalnym kurestwem, w jednym zaś mieszkał sam Kojec. W wąskim korytarzu Hart przypomniał sobie, gdzie poprzednio widział zgraję podobnych obdartusów. Wysiedli z galery przyływającej z Jakata, drugiego miasta na wyspie. Statek przybił na noc do publicznego nabrzeża.

Weteran zatrzymał się przed drzwiami. Zagadka była rozwiązana. Zarejestrowane w Jakata statki otrzymywały rzadko wystawiany list kaperski pozwalający na „przechwytywanie” nieimperialnych jednostek u wybrzeży Quon Tali. Krótko mówiąc, po dziś dzień przetrwała tam pradawna tradycja piractwa. Były Podpalacz Mostów prawdopodobnie czuł się jak w domu wśród takiej zgrai oprychów.

Z pewnością zawinęli do portu, by przeczekać nadchodzący sztorm. Nic dziwnego, że wystawili na straży dwóch ludzi. W mieście zapewne działały kupieckie kartele, których towary „skonfiskowali” ci właśnie ludzie.

Hart wyjął klucz, który nosił na rzemieniu zawieszonym na szyi. Był przekonany, że udało mu się odgadnąć, skąd się wzięli nietypowi goście.

Będzie mógł w spokoju wypić wino, nie przejmując się nimi. Zostało tylko przekonać się, czy coś wyniknie z tej całej bzdury z Księżycem Cienia.

Rozdział II.

Spotkania

Rybak odłożył skórkę chleba i zostawił na stole miskę parującej zupy. Podeszedł do okna, gdzie na lodowatym wietrze z południa powiewał kawałek materiału. Siedząca przy kominku żona spojrzała na niego.

– Co się stało, Toben?

Odsunął tkaninę i patrzył przez chwilę na południe. Potem się odwrócił, wbijając wzrok w podłogę.

– Muszę wyjść, kochanie.

– Teraz?

Opuściła na kolana sweter, który właśnie łątała.

– Ehe.

– Przy tym księżycu nie złapiesz żadnej ryby.

– To prawda. On przyciąga inne istoty.

– Nigdy dotąd nie musiałeś wychodzić.

– Ehe. – Podeszedł do kobiety i delikatnie zabrał sweter z jej dłoni. – Ale teraz nie jest tak, jak kiedyś. Nie ma równowagi.

Uniosła dłoń. Chwycił ją i uściśnął mocno.

– Nie wychodź – wyszeptwała gwałtownie. – Proszę. Boję się.

Pochylił się, by ucałować ją w dwoje niewidzących, jakby wpatrzonych w pustkę oczu.

– Przykro mi, maleńka. Muszę.

– Wiesz, że moja miłość będzie z tobą.

– Tak, najdroższa.

Rybak wciągnął sweter. Nabral łopatką trochę węgielków z kominka i wrzucił je do piecyka, a potem nabił krótką glinianą fajkę i zapalił ją od kolejnego węgielka.

- Dobranoc, kochanie. - Uśmiechnął się. - Zaśpiewaj dla mnie, dobrze?

Uniosła rękę.

- Wiesz, że to zrobię. Wracaj szybko.

- Najszybciej, jak będę mógł.

Zwróciła głowę ku drzwiom i wyteżyła słuch. Usłyszała wiatr zawodzący pośród skał oraz fale napierające na brzeg, powoli i nieubłaganie. Drzwi się zamknęły. Kobieta pochyliła głowę i złożyła dłonie na kolanach.

* * *

Wiatr był miarowy i zimny. Po niebie mknęły chmury – pierwsze chorażwie nieprzerwanego frontu, który zajmował cały horyzont na południu. W srebrzystym blasku księżyca, wśród chat przycupniętych na jałowym, południowym brzegu wyspy nie poruszało się nic i nikt poza jednym rybakim schodzącym ku kamienistej plaży. Na silnym wietrze jego piecyk lśnił jasno jak latarnia morska. Mężczyzna zatrzymał się i nasłuchiwał przez chwilę. Wydawało mu się, że słyszy niesione wiatrem ujadanie gończego psa. Spojrzał na południe i skrzywił się z niezadowolaniem. Horyzont przesłaniały ciemne chmury, wśród których migotały niebieskozielone światła. Marynarze powiadali, że wabią one ludzi w śmiertelną pułapkę.

Przekonał się, że fale sięgają niemal jego wyciągniętej na brzeg łodzi. Postawił piecyk na żelaznej podstawie na środkowej ławce poprzecznej i popchnął dziób ramieniem. Odskoczył jak oparzony. Kadłub był skuty lodem. Jego warstwa pokrywała drewno niczym druga skóra. Rybak zmełł w ustach przekleństwo i dotknął dłonią zamarzniętej powierzchni. Lód stopił się natychmiast. Wyglądzone przez lata

drewno pokryły kropelki wody, błyskawicznie przeradzające się w parę, którą porywał wiatr. Rybak ponownie popchnął łódź, nucąc cicho pod nosem. Ślizgała się po kamieniach, zmierzając ku morzu. Mężczyzna popychał ją aż do chwili, gdy woda sięgnęła mu ud, po czym wdrapał się do środka.

Poruszył grubymi wiosłami, śpiewając pieśń, która była już stara, gdy ludzie po raz pierwszy dotarli na wyspę. Zaokrąglone, zniszczone erozją skaliste wzgórza zniknęły za rufą, jakby gwałtowny wichur uniósł w dal całą wyspę.

Obrócił łódź jednym wiosłem, kierując ją dziobem na południe, a potem usiadł zwrócony twarzą ku rufie. Malaz zmienił się w ciemną linię na dalekim horyzoncie. Dzielące rybaka od wyspy morze pokrywały wysokie fale, które piętrzyły się stopniowo na wietrze, gładkie jak starożytne wzgórza. Wokół padał gęsty grad, ale ani jedna grudka nie tknęła siwych, targanych wiatrem włosów mężczyzny. Na łódź opadały oceaniczne fale wysokie jak maszty okrętów, oplecione pajęczyną lodu, szronu i piany, wszystkie jednak przesuwały się pod nią łagodnie, uspokojone jego pieśnią.

Czoło sztormu mknęło na południe, przechodząc w nieprzerwaną linię skłębionych chmur. Niesiony wiatrem śnieg przeradzał się w deszcz, który rozpraszał się na długo przed dotarciem do łodzi. Błyskawice przeszywały chmury, niżej zaś światła barwy szmaragdu i najgłębszego błękitu lśniły na podobieństwo kołyszących się na falach klejnotów. Rybak jednak tego nie widział. Patrzył na północ, ściskając w zębach fajkę, i nie przestawał śpiewać, choć słowa pieśni porywał wichur.

* * *

Kiska prędko straciła z oczu mężczyznę, który tak niespodziewanie pojawił się w porcie. W tym również wyczuła zapach grot. Miała nadzieję, że nie przyszło mu do głowy, że ktoś może go śledzić. Gdyby

przyszło, byłby w tej chwili już za nią, obserwował ją ze ścieżki w Rashan, Grocie Ciemności, albo nawet z włości samego Kaptura, Ścieżek Umarłych. Co prawda, nawet Kiska rozumiała, że w noc taką jak ta próba uzyskania dostępu do którejś z tych grot nie byłaby zbyt rozsądna.

Ślad jej celu oraz jego strażników prowadził przez dzielnicę magazynów w głąb łądu. Mijał najbiedniejsze dzielnice, gdzie było pełno kramów ze starą odzieżą, sklepików wytapiaczy tłuszczu z kości, lombardów oraz garbarni. Jeśli intruz nadal będzie szedł w tym samym kierunku, wkrótce znajdzie się w jeszcze podlegszej okolicy – w Mysiej Dzielnicy, najbrudniejszej, najnędniej i dręczonej najpaskudniejszymi chorobami części miasta.

Przy pierwszej błotnistej uliczce, nad którą przebiegał drewniany mostek, ślad skręcał raptownie na północ. Kiski nie zaskoczyła ta nagła zmiana kierunku. Wyobrażała sobie niesmak, jakim przybysze z pewnością zareagowali na cuchnące nieczystości i gnijące kuchenne odpadki pływające w stojącej wodzie przesączającej się z sąsiedniego bagna. Mogłaby z łatwością podążać za nimi przez labirynt zaułków, zwłaszcza teraz, gdy wiele z nich było zaledwie lepki od brudu ścieżkami wijącymi się w poczerniałych ruinach pozostałych po letnich zamieszkach. Jednakże właśnie dlatego, że spędziła dzieciństwo w tej dzielnicy i całe życie starała się z niej za wszelką cenę wydostać, zawsze wracała tam z największą niechęcią.

Ślad prowadził łagodnie pod górę, w stronę bogatej dzielnicy kupieckiej. Przecinał aleje handlowe, skręcając coraz bardziej na północ, biegł przez brukowane arkady pełne witryn sklepów, zamkniętych szczelnie przed nadchodzącą nocą. Następnie minął region kupców bławatnych i zaczął się wspinać na położone na północnym zachodzie wzgórza, zmierzając ku Dzielnicy Świąteł, gdzie znajdowały się wille bogaczy. Większość ukrytych za wysokimi bramami domów stała pusta. Obecnie służyły one jedynie jako prowincjonalne rezydencje, gdyż arystokra-

tyczne rodziny przeniosły się na drugą stronę Cieśniny Wiatrów, do Unty. Tam właśnie rezydował cesarski dwór.

Był już wieczór i szybko robiło się chłodniej. Z południa, znad Morza Sztormów, dał lodowaty wicher. Chmury wciąż zasnuwały niebo nieprzerwaną powłoką, mknąc na północ jak gnany wiatrem dym. Ciężki płaszcz Kiski łopotał na wietrze, zaczepiając o porośnięte bluszczem żelazne płoty biegnące wzdłuż bulwarów. Jego prawa poła przylegała jednak do boku dziewczyny, obciążona ukrytą w niej kuszą.

Kiska przystanąła w cieniu starożytnej kolumny, cokołu, na którym wznosił się marmurowy posąg nacta. Te skrzydlate istoty o długich kłach ponoć zamieszkiwały ongiś wyspę. Ulice były zupełnie opustoszałe. Poza dostrzeganym chwilami celem i jego eskortą widziała tylko kilku spóźnialszych. Zgarbieni, osłonięci szalami i chustami ludzie umykali do domów przed nadchodzącą nocą.

Dzisiejszą nocą. Wybrali akurat tę noc. Księżyc Cienia, Święto Wszystkich Dusz, Noc Cieni. Miała wiele nazw. Kiska przez całe życie słuchała starych legend, opowieści wręcz niewyobrażalnych i w takim stopniu niezwykłych, że dziewczyna wywracała oczyma z pogardą, gdy tylko matka znowu zaczynała je powtarzać. Jednakże przed kilkoma dniami sytuacja się zmieniła. Kiska usłyszała przypadkiem, że dzięki jakimś nieokreślonym tajemnym metodom przewidziano, że właśnie dziś nadejdzie Księżyc Cienia. Od owego czasu udało się jej podsłuchać makabryczne opowieści o monstualnych ogarach, żądnych zemsty widmach oraz miejscowym nawiedzonym domu zwanym Domem Umarłych. Gdy tylko o nim wspomiano, ludzie kreślili chroniące przed złem znaki i powtarzali szeptem jeszcze mroczniejsze legendy, mówiące o złośliwych monstrach, które ongiś w nim mieszkały, jakby chciały przejąć na własność choć część jego starożytnej, złowrogiej aury – o Kellanvedzie, Tancerzu, Gburce i o mrocznym sercu imperium, które miało się narodzić.

Podsłuchane przez Kiskę opowieści sugerowały, że każdy mieszkaniec miasta miał przodka albo krewnego, który zaginął podczas Księ-

życa Cienia. Dziewczyna pomyślała cynicznie, że to z pewnością znakomita okazja, by pozbyć się żony jędzy albo męża obiboka.

Jej własna matka z pewnością zabarykadowała się już w pokoju i zacisnęła powieki, modląc się do Chema – starego morskiego boga z wyspy – o bezpieczeństwo dla siebie i rodziny. Gdyby Kiska rozmawiała z nią w ciągu ostatnich dni, z pewnością spróbowałyby ją również zamknąć, jak zrobiła to Agayla podczas zamieszek spowodowanych nowymi prawami wprowadzonymi przez regentkę. Kiska jednak całe życie ignorowała niemal wszystkie zakazy matki, dlaczego więc teraz miałyby postąpić inaczej? Zwłaszcza że był to pierwszy Księżyc Cienia w jej życiu.

Śledzeni przez nią ludzie śmiało szli po opustoszałych ulicach, nie obawiając się dzisiejszej nocy. Jeśli nawet znali dotyczące jej legendy – co było wątpliwe – z pewnością uważali je tylko za osobliwe lokalne wierzenia w dusze umarłych, potwory i biesy grasujące po ulicach. Kiska wstydziła się, że w jej rodzinnym mieście ludzie ulegają takim przesądom. Co by się stało, gdyby zaprzestała pościgu? Gdyby się ukryła na poświęconym gruncie albo w jakiejś świątyni? Potrafiła sobie wyobrazić pogardliwy uśmiezek dowódcy szponów. W końcu czego można się było spodziewać po prowincjonalnych talentach?

Śledzona grupka majaczyła daleko przed nią w półmroku. Przybysze wciąż wspinali się pod górę brukowaną ulicą. Nad ziemią pojawiła się nagle niesiona wiatrem mgła. Grupka zniknęła za rogiem, ale Kiska zachowywała czujność. Równie dobrze mogli czekać na nią w zasadzce. Przeszłaby obok nich i niczego by nie zauważyła aż do chwili, gdy zimne żelazo wbiłoby się między jej żebra. Albo, co bardziej prawdopodobne, zawężony jedwabny sznur zacisnąłby się na jej szyi jak pętla.

Otuliła się szczelniej płaszczem, próbując strząsnąć z siebie strach, tak jak strząsnęła wodę z impregnowanej tkaniny. Musi po prostu przyjąć założenie, że do tej pory jej nie zauważyli. W przeciwnym razie jej nerwy nie wytrzymają.

Za rogiem znajdował się podjazd dla wozów. W ciągu stuleci koła wyżłobiły w kamieniu dwa głębokie rowki. Ścigani zniknęli. W głębi ulicy, wbudowane w wysoki mur, widniały potężne, rzeźbione drzwi z drewna. Kiska wiedziała, co jest za nimi. Posiadłość rodziny E'Karialów. Była niewielka w porównaniu z najwspanialszymi rezydencjami w mieście, ale całkiem porządna. Takie przynajmniej wrażenie odniosła dziewczyna, obserwując ją z zewnątrz podczas nocnych wędrówek. Od dawna nikt tam nie mieszkał. Pomyślała, że jeśli to miejsce umówionego spotkania, trudno by było znaleźć bardziej odludny punkt. Rzecz jasna, istniała też możliwość, że jakaś fatalnie poinformowana latorośl rodu E'Karialów wybrała akurat tę noc, by dokonać inspekcji rodzinnego dziedzictwa.

Odetchnęła kilka razy, powoli i głęboko, a potem przeszła do wylotu uliczki położonej naprzeciwko. Bluszcz był tam tak gęsty, że niemal nic nie widziała za jego zasłoną. Przy każdym kroku po jej plecach przebiegały ciarki. W każdej chwili spodziewała się, że poczuje wbijające się w ciało ostrza sztyletów. Dotarła jednak do porośniętego bluszczem zaułka bez żadnych incydentów. Potem przebiegła do następnej uliczki, tym razem błotnistej. Wiedziała, że tędy prowadzi droga do furty na tyłach posiadłości. Musiała omijać głębokie kałuże i przedzierać się przez kolczaste chaszczce, omal więc nie przeoczyła ukrytej w cieniu wnęki.

Uklękła przed omszałymi drzwiami, poprawiła płaszcz i wyteżyła słuch. Usłyszała skapujące z liści krople deszczu, wiatr szumiący wśród gałęzi oraz odległy, nieustający szum morza uderzającego o brzegi wyspy. Drzwi cuchnęły zgnilizną, a we wnęce utrzymywał się stęchły zapach gleby. Rzecz jasna, nie zamierzała otwierać drzwi. Każdy zauważyłby na pierwszy rzut oka, że to już nie jest możliwe. Framuga zapadła się pod ciężarem muru i gdyby Kiska popchnęła zbutwiałe deski, zapewne wpadłaby do ogrodu. Z tego miejsca mogła jednak podsłuchiwać bezpieczniej, niż gdyby wystawiała głowę ponad mur.

Nie słyszała nikogo. Odczekała całe pięćdziesiąt uderzeń serca. Chyba byli już w środku. Pora spróbować wspiąć się na mur. Wyszła z wnęki i przyjrzała się kamiennym blokom oraz pnączom porastającym ich szorstką powierzchnię. Żaden problem. W poszukiwaniu osłony przeszła w miejsce, gdzie za murem rosły tuż obok siebie trzy wysokie aruskusy. Wystawiła głowę i ramiona nad mur, by przyjrzeć się zdziczałemu ogrodowi. Wyglądał jeszcze gorzej niż podczas jej poprzedniej wizyty. Na rabatkach nie zostało nic oprócz uschniętych łodyg i chwastów, a płytki centralnego patio zaścieniały pożółkłe liście. Na marmurowej ławie, tak białej, że niemal świeciła w ciemnościach nocy, siedziało dwóch mężczyzn. Kiska zamarła w bezruchu.

Nic nie słyszała, ponieważ żaden z nich się nie odzywał. Obaj patrzyli na południowe niebo. Można by pomyśleć, że przyglądają się spokojnie chmurom. Człowiek siedzący po prawej był tym, którego śledziła. Zdjął kaptur, odsłaniając wygoloną czaszkę, ciemną jak żyzna gleba. Na pierś opadał mu długi warkoczyk. Drugi mężczyzna był stary i blady jak duch. Miał białe włosy, garbił się i przechylał głowę, a jego chude ramiona wyglądały jak złożone skrzydła. Obaj siedzieli nieruchomo niczym posągi już od dłuższego czasu. Czy nie mogli się poruszyć, czegoś zrobić albo powiedzieć? Zastanawiała się, jak długo zdoła tak wisieć na murze ze stopami wciśniętymi w szczelinę.

Wydawało się jej, że upłynął pełen dzwon, choć naliczyła tylko sto pięćdziesiąt uderzeń serca, nim wreszcie z przesmyku między chmurami wyjrzał księżyc i noc rozbłysła srebrzystym blaskiem. Staruszek odchylił głowę i wybuchnął ochryplym śmiechem. Brzmiało to tak, jakby księżyc przyznał mu rację. Mężczyzna z kutra odpowiedział mu niechętnym, niezobowiązującym tonem, nadal wpatrując się w nocne niebo. Kiska wyteżała słuch, by usłyszeć ich słowa, ale zagłuszał je stukot gałęzi nad jej głową.

Wymienili jeszcze kilka zdań. Nagle staruszek złapał rozmówcę za ramię i warknął coś. Młodszy mężczyzna wstał, odtrącając jego dłoń. Powiedział coś cicho, ale staruszek nie zareagował. Potem człowiek,

który przyplłynął kutrem, podszedł do granicy ogrodu. Jego towarzyszy spuścił głowę, jakby wypatrywał jakichś regularności pośród pięknych płytek i zeschniętych liści. Kiska schowała głowę.

Co przed chwilą widziała? Czy była to tylko zwykła rozmowa dwóch skłóconych krewniaków albo byłych przyjaciół? Spotkali się potajemnie, tak jest, ale to jeszcze nie było zbrodnią. To spotkanie miało jednak w sobie coś z rytuału, jakiegoś rodzaju obrządku. Staruszek mógł być czarną owcą rodziny. Być może odkryła przypadkiem coś, co E'Karialowice chcieli zachować w tajemnicy, jakiegoś trupa w ogrodzie. Powinna zbadać tę sprawę. W końcu zbieranie potencjalnie użytecznych informacji było jednym z elementów jej pracy.

Gdzieś w oddali, w mieście, pies zawył do księżycy, który znienacka znów pojawił się na niebie. Gwałtowność słyszalna w jego głosie przeszła Kiskę dreszczem. Dziewczyna przypomniała sobie legendy o demonicznych ogarach pojawiających się w noc Księżycy Cienia. Jeśli to cholerne ujadanie nie uspokoi się przez całą noc, a zapewne tak właśnie się stanie, jutro na targowisku będą krążyły opowieści, niestworzone bajdy o cudownych ocaleniach i ogromnych, nadnaturalnych bestiach. Ludzie zawsze wierzą w to, w co chcą uwierzyć.

Miała już zamiar ruszyć z powrotem do wylotu zaułka, gdy nagle jej uwagę przyciągnął dźwięk dobiegający zza muru. Stukot płytek. Zawahała się, niepewna, czy nie jest to tylko wytwór jej wyobraźni, po czym wspięła się z powrotem na górę. Ławka była pusta. Obok niej klęczał intruz z portu, mężczyzna, który pojawił się w tak zaskakujący sposób. Wyprostował się, spoglądając na leżący u jego stóp przedmiot, a potem zniknął bez śladu, jakby pochłonęły go cienie. Kiska wybałuszyła oczy z wrażenia. Magia grot. Minęło kilka chwil, nim się zorientowała, co nieznamy zostawił na patio. To było ciało staruszka, leżące na ziemi twarzą do dołu.

Zeskoczyła z muru i odwróciła się gwałtownie, przywierając plecami do porośniętej pnączami ściany. Spadła na nią kaskada kropelek. Czy ją zauważył? Czy ona będzie następna? Wyciągnęła długi nóż. Lewak

z rękojeścią przystosowaną do parowania ciosów był najgroźniejszą bronią, jaką miała przy sobie Kiska, pomijając kuszę. Wsparła ją na biodrze, celując w wylot zaułka. Nie ulegało wątpliwości, że nieznajomy jest adeptem. Ale której groty? Jego zniknięcie przypominało nieprzeniknioną ciemność Rashan, wyglądało jednak nieco inaczej. Tego właśnie bała się najbardziej. Nasunęła się jej przerażająca myśl: co, jeśli to był jeden ze szponów? Sprawiał wrażenie wystarczająco biegłego. Ogarnął ją strach – przybycie tajemniczej, wysokiej rangą przedstawicielki imperium, której towarzyszyła eskorta szponów, potajemna wizyta... Czyżby imperialna regentka postanowiła zrobić porządki? Jeśli tak, Kiska była zgubiona. Jak brzmiało to stare powiedzenie? Szpony zawsze podróżują w interesach! Mało brakowało, by roześmiała się w głos. Zamiast tego znalazła pocieszenie w dotyku ściskanego w urękawicznianej dłoni noża.

Czas mijał i w końcu Kiska musiała z dziwną niechęcią przyznać, że nie padnie ofiarą morderstwa. Równie dobrze mogła spróbować się dowiedzieć, co się wydarzyło na patio. Schowała lewak i ponownie wskoczyła na mur. Ciało staruszka nadal leżało za ławą. Nie dostrzegła nikogo więcej. Zapuszczony ogród był zalany blaskiem księżyca. Nagle noc wypełniło kolejne wycie. Dziewczyna wzdrygnęła się trwożnie. Bogowie! Mogłoby się zdawać, że to cholerne bydlę jest tuż obok! Kto w ogóle trzymał takie zwierzęta? Kiska zdecydowała, że, nim nadejdzie świt, sama zarżnie psisko, chyba żeby ktoś zrobił to przed nią. Zsunęła się ostrożnie na ziemię po drugiej stronie muru.

Staruszka pchnięto dwa razy nożem w plecy. Kiska zastanawiała się, czy tę robotę zlecił człowiek, którego śledziła. Czyżby zażądał czegoś od rozmówcy? Złożył mu propozycję nie do odrzucenia? A może nic nie wiedział o morderstwie? Szpony, czy kto to tam był, mogły sądzić, że do spotkania w ogóle nie doszło. Nogą przewróciła trupa na plecy i zaczęła go przeszukiwać.

Wsunęła dłonie pod bluzę, jeszcze ciepłą od krwi. Mężczyzna złapał ją za nadgarstek. Otworzył oczy. Kiska wyciągnęła odruchowo lewak

i wbiła mu go w pierś, wspomagając uderzenie całym ciężarem ciała. Była pewna, że zadała śmiertelny cios, ale staruszek nadal jej nie puszczał ani nie zamykał oczu. Stężenie pośmiertne? Otworzył usta w przerażającym uśmiechu. Na podbródek wypłynęła strużka czarnej krwi. Przyciągnął Kiskę bliżej z nieubłaganą, nadnaturalną siłą, wykrzywiając z dezaprobatą zakrwawione wargi.

– Widzisz, ja nie żyję – wyszeptał. – A dziś wzeszedł Księżyc Cienia.

Kiskę ostrzegano przed podobnymi okropieństwami, ale nigdy w nie wierzyła. Amatorskie, pobieżne szkolenie zdało się jej na nic. Dziewczyna krzyknęła przeraźliwie.

* * *

Gdy Hart szarpał się z zardzewiałym zamkiem, ktoś w korytarzu wyszeptał jego imię. Odwrócił się nagle, odrywając wzrok od upartego mechanizmu. Zza ledwo uchylonych drzwi wyjrzała Corinn i machnęła do niego ręką. Wprostował się. Chciał zawołać „cześć”, ale uciszyła go jej nerwowa mina. Kobieta skinęła dłonią po raz drugi i Hart ruszył nieśpiesznie w jej stronę. Uśmiechnął się w drzwiach, próbując zajrzeć do środka. W tym pokoju Anji, a także kilka innych dziewczyn, przyjmowała klientów. Uniósł brew.

– Nigdy bym nie pomyślał...

– Właź do środka, do cholery – syknęła. Otworzyła szerzej drzwi i wciągnęła go do izby.

Choć była wyraźnie wściekła, weteran uśmiechał się jak idiota. Stali blisko siebie w ciasnej klitce, a przecież jej język, ostry jak darudżystański rapier, kaleczył każdego, kto ośmielił się zbliżyć. Hart prawie jej dotykał. Nagle uświadomił sobie, że jej ciemne oczy nabrały głębi, a w czarnym tatuażu biegnącym od czubka nosa do czoła zauważył mnóstwo filigranowych szczegółów.

Lubił sobie czasem wyobrażać, że w tych spoglądających niekiedy nań z ukosa oczach dostrzega ukryte zainteresowanie, dzisiaj jednak

wypełniała je troska. Nieraz marzył o podobnym spotkaniu, zwłaszcza w chwilach, gdy trunek pozbawiał go zdrowego rozsądku albo gdy samotność doskwierała mu boleśnie i pragnął z kimś pogadać. A teraz, gdy do niego doszło, czuł się zażenowany. Kobieta popatrzyła na Harta i potrząsnęła głową.

– Musiałeś się tu pokazać akurat dzisiaj, co?

Przez chwilę czuł się jak mąż hulaka wracający do domu po trzydniowym pijaństwie. Roześmiał się, wskazując palcem swój pokój.

– Corinn, ja tu mieszkam. Gdzie niby miałbym dziś siedzieć?

– W koszarach! Miałeś tam zostać. Dlaczego nie mogłeś... Och, mniejsza z tym. – Machnęła ręką. – Wysłuchaj mnie. Mamy tylko chwilę. Wszystko, co powiem i zrobię, ma na celu uratowanie ci życia. Jasne?

Stał tak blisko niej, że poczuł leciutką nutę piżma. Perfumy z jakichś nieznanych kwiatów? Zamorskie przyprawy? Kadzidło? Była półkrwi Napanką i to egzotyczne pochodzenie dawało się niekiedy wyczuć. Zamrugał i przełknął ślinę. Był starym koniem, dawno już odesłanym na pastwisko, a mimo to nadal rozwierał chrapy, gdy tylko zwęszył klacz.

– Uratowanie życia? Corinn, mam zamiar wypić butelkę czerwonego kańskiego i walnąć się spać. Chyba że zaplanowałaś na dziś coś innego...

W jej oczach błysnął gniew.

– Ty cholerny idioto, próbuję ocalić twoją bezwartościową skórę.

Uniosła pięść i otworzyła ją. Na bladej, naznaczonej bruzdami skórze dłoni leżała metalowa odznaka, na której farbą i emalią wyobrażono kamienny łuk nad polem płomieni. Godło Podpalaczy Mostów, tego samego pułku, w którym służył mężczyzna siedzący na dole. Pułku wchodzącego ongiś w skład Trzeciej Armii. Armii, którą Dassem, z Hartem u boku, prowadził do boju w Falarze i w Siedmiu Miastach.

Mógł jedynie pomyśleć: „A więc stąd się bierze ten stale ją otaczający zapach dymu”. Piżmowa woń, która w połączeniu z tą małą

odznaką wydała się nagle śmiertelnie groźna.

– O nie – jęknął. – Kapturze, nie. Czego ode mnie chcesz?

W korytarzu rozległy się kroki. Corinn podeszła bliżej.

– Chcę, żebyś zrobił, co ci mówię, bo wiem, kim jesteś. Poznałam cię. Byłam w Y'Ghatanie. Widziałam, jak rozbito Miecz. Wiem, kim jesteś. – Ujęła go za ramię ciepłą, twardą dłonią. – Nie wtrącaj się dziś w nic i to pozostanie naszą tajemnicą. Tylko... nie wtrącaj się.

Drzwi otworzyły się za jego plecami. Odwrócił się. W korytarzu stał mężczyzna ze śladami po poparzeniach w towarzystwie dwóch innych, którzy przedtem siedzieli z nim w sali. Mierzyli do niego z kusz. Poparzony mężczyzna spojrział na Corinn, która skinęła krótko głową.

– Nie ma broni.

Hart mógł jedynie myśleć o jej słowach. „Wiem, kim jesteś”. Czy to znaczyło, że ją tu przysłano? Że go obserwowała? Czuł się oszołomiony, jakby wszystko, co ukrywał przez ostatni rok, zważyło się nagle na niego jak podkopany mur.

Spojrzenie mężczyzny niczego nie wyrażało.

– Jestem Popiół – oznajmił. – Sierżant Popiół. A ty jesteś moim więźniem.

* * *

Posadzili go w boksie z tyłu sali, obok Kojca i naprzeciwko Trenecha i starego Faro Balkata. Staruszek najwyraźniej zasnął. Opierał się ciężko o ścianę wpatrzony w pustkę. Z zabarwionych na fioletowo ust zwiślała mu kapka śliny. O dziwo, Trenech podtrzymywał go potężną dłonią. Hart zerknął na Kojca, który sprawiał wrażenie raczej zdziwionego niż zaniepokojonego, po czym skierował spojrzenie na Popioła. Mężczyzna podawał się za sierżanta, lecz zapewne był oficerem. Stał pośrodku sali, rozmawiając z Corinn i kilkoma ze swych ludzi.

– Co oni chcą zrobić? – wyszeptał Kojec.

– Nie mam pojęcia.

W pierwszej chwili Hart sądził, że przyszedli po niego, że Gburka w końcu dotarła do jego imienia na długiej liście swych wrogów. Teraz jednak nie był już tego taki pewien.

– Co się stało na dole? – zapytał.

Piwowar wyjął ścierekę i otarł błyszczące od potu policzki oraz czoło.

– To moja wina – wyjąkał. – Nie potrafię w to uwierzyć. Kazali mi odesłać cały personel. Jak mogłem się dać tak nabrać?

– Ale czego oni chcą, człowieku?

Kojec zamrugał.

– To złodzieje. Cholerna banda złodziei!

Hart stłumił śmiech. Odwrócił się i spróbował spojrzeć w oczy Corinn.

– Nie, Kojec. Myślę, że tu chodzi o coś więcej.

Kobieta odwzajemniła spojrzenie Harta, ale jej twarz niczego nie wyrażała. Można by pomyśleć, że go nie zna. Skinął do niej leciutko głową. Kiedy odwrócił wzrok, spozjrzał prosto w oczy Trenecha. Potężnie zbudowany mężczyzna patrzył na niego, czy raczej na wskroś przez niego. Na czoło wystąpiły mu kropelki potu. Ścisnął prawą dłońią blat tak mocno, że aż mu zbieleły kostki.

Hart rozmawiał z nim tylko kilka razy. Był przekonany, że Trenech jest słaby na umyśle – dziecko w ciele olbrzyma. Czy to, co się wydarzyło, przeraziło go, czy też wprawilo w bezmyślny szal? Pomyślał, że powinien go jakoś uspokoić, ale nie przychodziły mu do głowy żadne odpowiednie słowa.

Odwrócił lekko głowę i przyjrzał się intruzom. Większość, około trzydziestu, siedziała zbита w grupę pod drzwiami, rozmawiając ze sobą szeptem. Bliżej, w migotliwym świetle kominka, za dwoma stołami zasiedli Popiół, Corinn i kilkunastu innych. W tej grupie średnia wieku mogła wynosić około trzydziestu pięciu lat. Wszyscy zaciągnęli pasy i rzemyki zbroi. Niektórzy palili krótkie gliniane fajki. Nikt się nie odzywał. Hart rozpoznał wśród nich trzech wąsatych Wickan, którzy nosili wysadzane ćwiekami kurty z utwardzanej skóry oraz kolcze rękawy,

dwóch ciemnoskórych Dalhończyków, twarz jednego z nich zdołała rytualne blizny, a prawe oko drugiego było białe jak mleko, jednego Napańczyka, niskiego i krępego jak pniak, jego niebieskawa skóra wyblakła, nabierając koloru błotnistej zieleni, dwóch śniadych mężczyzn z Siedmiu Miast, noszących kolcze koszule pod długimi, ciasno zapiętymi opończami. Reszta zapewne pochodziła z Quon Tali. Mieli standardowe malazańskie kolczugi wojskowe, z szeregiami rombów ze szmelcowanej na niebiesko stali nabijanymi na skórę. Wszyscy mieli kusze – na plecach albo leżące na stołach bądź ławach obok nich. U ich pasów albo na szelkach wisiały krótkie miecze skryte w pochwach. Bez wyjątku byli weteranami, a zapewne również Podpalaczami Mostów.

Reszta to były uliczne męty i zbiry, zidentyfikowane przedtem przez Harta. Wielu z nich miało krzywe szable wiszące u pasa gałkami do przodu na jakatakańską modłę, inni zaś byli uzbrojeni w długie proste taliańskie noże, zakrzywione dalhońskie sztylety, a w dwóch przypadkach nawet długie obusieczne untańskie miecze używane do pojedynków. Nosili najprzeróżniejsze zbroje, ale nawet najcięższe z nich były niewiele więcej niż kamizelami z utwardzanej skóry albo długimi przesywanicami z wyściółką.

Niektórzy zdjęli skórzane zbroje, w których najwyraźniej nie było im zbyt wygodnie. Hart odwrócił z niesmakiem wzrok. To były tylko miejskie zbiry. Nie wypatrzył wśród nich ani jednego weterana. Co miał nadzieję osiągnąć z nimi Popiół? I Corinn? Kobieta opuściła głowę, rozmawiając z sierżantem. Hart wbił w nią wzrok, licząc, że przyciągnie jej uwagę intensywnością spojrzenia. Wiedział, że Corinn jest magiem, ale czy rzeczywiście była w kadrze Podpalaczy Mostów? Sądził, że wszyscy oni zginęli podczas kampanii w Siedmiu Miastach i w Genabackis.

Westchnął i potarł powieki. Na wszystkich bogów na górze i na dole. Siedem Miast. Y'Ghatan. Niemal czuł delikatny zapach cynamonu unoszący się nad pustynią, czuł też bezlitosny żar. Tamten dzień, tamta zdrada – wspomnienie wróciło i zabolalo jak cios nożem w serce. Zadrżał. Przypomniał sobie pył, dławiące tumany, które drażniły mu

gardło i przesłaniały widoczność, a także hordy odzianych w długie szaty obrońców Siedmiu Miast. Ponownie ujrzał niewiarygodny atak Dassema, który przy pomocy Trzona przedarł się przez tłum wrogów. Potem zobaczył, jak Dassem się potyka, łapie za pierś. Dassem powiedział coś jeszcze do Harta, jakiś żart lub słowa pożegnania zagłuszone zgiełkiem bitwy.

Weteran rozluźnił szczęki i powoli wypuścił powietrze. Teraz oboje z Corinn znali prawdę o sobie. Czego od niego chciała? Być może niczego. Być może po prostu próbowała go ostrzec, powiedzieć mu, żeby się w to nie mieszał ani nikomu nie zdradził jej tożsamości. Zapewne rzeczywiście starała się uratować jego marne życie. Pochylił się, próbując spojrzeć jej w oczy.

Nagle wycie psa wstrząsnęło kamiennymi murami z siłą eksplozji pocisku Moranthów. Dźwięk wznosił się i opadał, niski i tubalny. Hart nigdy w życiu nie słyszał gwałtowniejszego, głodniejszego zewu. Corinn wzdrygnęła się, jakby coś ją ugryzło, obrzuciła Harta pełnym paniki spojrzeniem, a potem odwróciła wzrok. Młode zbiry rozejrzały się, wytrzeszczając oczy. Dłonie weteranów powędrowały mimo woli ku kuszom.

Kącikiem oka Hart zauważył, że na pulchnych ustach Trenecha wykwitł chytry, niepokojąco kretyński uśmieszek. Weteran przełknął ślinę. Nagle zaschło mu w gębie. Był więźniem bandy bezlitosnych przestępców albo dezserterów, zdradziła go kobieta, a za towarzystwo miał głupca, bezmyślnego śliniącego się kalekę oraz imbecyla wielkiego jak bhederin. Do tego nastąpiła napełniająca tubylców panicznym lękiem noc, która zdarzała się raz na pokolenie. Gorzej już chyba być nie mogło.

Faro Balkat rozchylił powieki, ukazując białka oczu.

– Wszedł Księżyc Cienia – oznajmił głosem tak spokojnym, jakby zamawiał następną kolejkę.

Kiska nagle zorientowała się, że leży na dnie wąskiego parowu. Zadała sobie pytanie, czy padła ofiarą halucynacji. Widać stąd było tylko wąską wstążkę nieba. Mknęły po niej strzępki chmur. Dmący w krętym kanionie wiatr sypał jej w twarz gorącym piaskiem. Potarła powieki. Co się wydarzyło? Usłyszała ochryply śmiech i zerwała się gwałtownie.

Na dno wąwozu ześliznął się jakiś mężczyzna, spowalniając upadek dłońmi, stopami i łokciami. Na dole przewrócił się, odsłaniając wystające spod szat białe łydki. Podniósł się i pobiegł ku niej. Kiska rzuciła się do ucieczki. Wykrzyknął jakieś słowo i dziewczyna zatrzymała się raptownie. Nogi odmówiły jej posłuszeństwa. Mężczyzna przystanął obok niej, uśmiechając się jak jeden z posągów nactów, jakie spotykało się w ogrodach i zaułkach Malazu. Kiska mogła poruszać rękami, dzieliła go więc w szczękę. Zaskoczony staruszek padł na plecy. Dziewczyna odzyskała zdolność ruchu i znów pobiegła przed siebie.

Po dwóch zakrętach kanion kończył się skalną ścianą złożoną z licznych warstw przypominających złożone ubranie. Kiska warknęła ze złością i zaczęła się wspinać, dotarła jednak zaledwie na wysokość wyciągniętego ramienia, gdy zwietrzałe występy skalne załamały się pod nią i dziewczyna zsunęła się w dół, ocierając sobie bok i podbródek. Wylądowała na piasku, dysząc ciężko.

– Nic nigdy nie jest takie łatwe, jakby się zdawało, co? Szkoda, że sam o tym nie pamiętałem.

Pisnęła i poderwała się gwałtownie, wyciągając nóż.

Staruszek uśmiechnął się szyderczo i strzepnął pył z szat.

– Ja nie żyję. Pamiętasz?

Kiska nie opuściła lewaka.

– Gdzie jesteście? Co tu się dzieje?

Mężczyzna ponownie rozciągnął usta w uśmiechu szaleńca. Rozpostarł ręce i rozejrzał się.

– Wspaniałe miejsce, prawda?

– Co mi zrobiłeś?

– Miejsce, którego istnienie postulowano już od kilku tysięcy lat – ciągnął. – Miejsce, którego charakterystykę wydedukowałem ze starożytnych źródeł. Miejsce, królestwo, które powinno należeć do mnie, jeśli w ogóle ma do kogoś należeć. Królestwo, którym będę władał suwerennie. Ścieżka Cienia.

On bredzi, pomyślała Kiska.

– Odeślij mnie z powrotem. Nie chcę tu być. Chcę wrócić do domu, do Malazu.

Mężczyzna uniósł zakrzywiony palec.

– Ach, ale przecież nadal tam jesteś. Wcale nie opuściłaś swej małej, nędznej wyspy. A jednocześnie przebywasz tutaj. Dwa królestwa zachodzą na siebie. Dwa miejsca stały się jednym. To właśnie się nazywa konwergencją.

– Gównu mnie obchodzi, jak to się nazywa. Odeślij mnie!

Staruszek poruszył ustami, ale jego słowa zagłuszył ryk jakiejś bestii, niosący się echem przez otaczający ich labirynt kanionów. Dźwięk wybrzmiał powoli. Na ziemię posypały się skalne okruchy. Wszystkie włoski na karku i ramionach Kiski zjeżyły się nagle. To nie był pies...

Mężczyzna zerknął na ściany kanionu. Mina mu zrzedła.

– Mam mniej czasu, niż myślałem.

Nóż zadrżał w dłoni Kiski. Dziewczyna chciała uciekać, krzyczeć, błagać o pomoc.

– Czasu na co? Co...

Uciszył ją skinieniem dłoni.

– Wysłuchaj mnie. Nazywam się Oleg. Przed wielu laty odwiedził mnie pewien człowiek. Twierdził, że interesują go arkana moich badań. Współpracowaliśmy. Jego zdolności i głębokie zrozumienie manipulacji grotami zdumiewały mnie. Mnie, mistrza, który nie ma sobie równych! Był...

Nagle zasłonił oczy otwartymi dłońmi. Z jego ust wyrwał się nieartykułowany okrzyk gniewu.

– Zdradził mnie! Ukradł moją pracę i zostawił mnie na śmierć! – Zaciśnięte w pięści dłonie przesunął do ust. – Dzieło całego życia! – Jęknął, wpatrując się w jakąś wymaginowaną scenę. – Stracone na zawsze. Wyrwane z mojego ciała. Mój wzrok. Władza mówienia.

– Odesłij mnie z powrotem, Oleg – wyszeptała Kiska. – Proszę.

– Nie... uda... ci... się! – zawył, unosząc twarz ku niebu.

Kiska wytrzeszczyła oczy, zdumiona skalą jego szaleństwa.

Złapał ją za ramiona, ignorując sztylet, i wbił w nią spojrzenie oczu, które przypominały otchłanie z wijącymi się w nich stworami.

– Tym człowiekiem był Kellanved, cesarz Malazu. Dzisiejszej nocy wraca na wyspę. Szpony i ich pani z pewnością sądzą, że pragnie odzyskać tron, ale wszyscy, którzy w to wierzą, to głupcy. Spróbuje po raz drugi wejść do Domu Umarłych. Grają o inną, znacznie wyższą stawkę. On i Tancerz.

Dłonie Olega parzyły dziewczynę. Spróbowała się wyszarpnąć, ale trzymał ją z siłą bestii. Z jakiegoś powodu nie potrafiła się zdobyć na to, by użyć trzymanego w rękę noża. Być może po prostu nie chciała się dowiedzieć, jak bardzo jest bezużyteczny.

Oleg nie przestawał mówić. Z jego oczu widoczne były tylko białka.

– Jeśli im się uda, królestwo, w którym się znajdujemy, Królestwo Cienia, będzie należało do nich! Dawno temu Kellanved i Tancerz weszli do przeklętego budynku, który zwiecie Domem Umarłych! Dokonali tam niezwykłego odkrycia. Wielu niezwykłych odkryć. Kellanved potrzebował stu lat, by je zrozumieć.

Pochylił głowę, wykrzywiając usta w grymasie wściekłości.

– Stu lat i wyników mojej pracy, oczywiście. Ale teraz są już gotowi. Trzeba ich powstrzymać. Powiedz... powiedz człowiekowi, z którym się spotkałem... temu przekłętemu głupcowi! Powiedz mu, że przedostałem się do Cienia i wszystko widziałem. Miałem rację!

Kiska zdołała się wyszarpnąć i odsunęła się od niego.

– Ale jak mam to zrobić?

Oleg otworzył usta, lecz jego słowa zagłuszyło wycie psa, tytaniczne i wszechogarniające. Dziewczyna obejrzała się błyskawicznie, przekonana, że ujrzy bestię gotową zacisnąć szczęki na jej gardle. Zobaczyła jednak coś zupełnie innego: za jej plecami nie było już skalnej ściany, tylko dwie kręte ścieżki, rozgałęziające się pod skałą wyrzeźbioną przez wiatr na podobieństwo drzewa. Znów spojrzała na Olega.

- Co tu się dzieje?

Staruszek przygłodził rozczochrane włosy.

- Powstrzymywanie ich bardzo mnie męczy - mruknął. - Już niedługo.

Nagle spojrzał na Kiskę.

- Powiedz mu, temu mężczyźnie, że atak musi nastąpić w chwili transsubstancjacji. Dla takich jak on odpowiednim losem jest pogrzebanie! Powiedz mu, że Kellanved planuje wszystko stracić, by móc wszystko zdobyć. Potrafię już przewidzieć, że klęska stanie się dla niego przypieczeniem zwycięstwa. Powtórz mu, co ode mnie usłyszałaś.

- Ale co to ma znaczyć, na mądrość T'riss?!

Oleg zadrżał konwulsyjnie.

- Nie może mu się udać! Tron należy do mnie! Nasz czas dobiegł końca.

- Zaczekaj...

Obraz rozmył się przed jej oczyma. Przesłoniła go ciemność. Dziewczyna zachwiała się i przewróciła. Jej twarz muskał wilgotny wiatr. W oddali słyszała szum fal, miarowy jak powolne bicie serca. Trup Olega leżał u jej stóp wśród pokruszonych płytek. Ujęła bolącą głowę w dłoń. Co tu się wydarzyło? Czy w ogóle coś się wydarzyło? Przykucnęła obok zwłok, dotknęła mokrego od krwi ubrania. Nadal było wilgotne i lepkie. Co to właściwie było? Jakies zakłęcie, iluzja? Bełkot obłąkańca?

- A niech cię - wyszeptala do martwego już ciała. - Co ze mną zrobiłeś?

Rozejrzała się wokół. Jak długo stała tu pogrążona w transie? Po niebie mknęły chmury, lały się z nich strugi przeraźliwie zimnego deszczu. W przerwach między obłokami widziała gwiazdy, lśniły jednak dziwnie blado, jakby się przestraszyły opasłego, srebrzystego księżyca, który przycupnął tuż nad horyzontem. Odwróciła od niego wzrok, wstrząśnięta wspomnieniem słów Olega.

Czy powinna przeczekać resztę nocy w zaroślach pod murem, czy też pobiec do kogoś i opowiedzieć, co usłyszała? Ale do kogo? Do szponów w Twierdzy Mocka? Raczej nie. Oleg mówił, że są oni jedną z sił, które zetrą się ze sobą dzisiejszej nocy. Jedną z grup na polu znacznie tłoczniejszym, niż im się zdawało. Nie była też przekonana, czy kontakt z nimi byłby bezpieczny. Któż więc został? Podpięć Pell? Przekazał całą władzę szponom, nawet nie ruszając z fotela tłustego dupska! Nie, na wyspie była tylko jedna osoba, która mogła cokolwiek z tego wszystkiego zrozumieć: ciotka Agayła. Ona będzie wiedziała, co robić. Ale z drugiej strony...

Kiska przyjrzała się ciału. Wydawało się odrażająco oklapłe, jakby razem z krwią i tajemnicami uszło z niego powietrze. Może wszystko to było tylko przedśmiertnym bredzeniem szaleńca, do samego końca nieprzystającego knuć obłąkańczych spisków. Ta myśl dodała jej otuchy. Tak, zapewne tak właśnie było. Inne wyjaśnienie... byłoby po prostu zbyt absurdalne.

Zwróciła wzrok ku wzgórzom w głębi łądu. Ich szczyty niknęły w nisko wiszących chmurach. Wyglądało na to, że sztorm przyniesie tylko ulewę i ulotne cienie. Zmęczona, przemarznięta Kiska poprawiła przemoczone ubranie i odgarnęła za uszy mokre włosy. Takie ponure noce zawsze ją przygnębiały. Zadała sobie pytanie, ile czasu minęło i czy zdąży po drodze do domu Agayli wypatrzeć śledzonego mężczyznę – tego samego, z którym kazał jej porozmawiać Oleg. To mogło jeszcze być możliwe. Co, jeśli uda się jej go odnaleźć? Jak powinna postąpić? Podejść do niego i powiedzieć, że ma dla niego wiadomość od ducha?

Odwróciła się i odchrząknęła, widząc, że stoi za nią jakiś mężczyzna w szarym płaszczu. Nieznajomy przyglądał się jej, unosząc głowę. Gdy podszedł bliżej, okazało się, że jest znacznie niższy, niż jej się zdawało. Kiska wsunęła prawą dłoń pod płaszcz, zaciskając ją na rękojeści kuszy. Mężczyzna uniósł przed sobą zaciśnięte w pięści dłonie, trzymając je na wysokości ramion. Kiska nie widziała nic między nimi, poznała jednak postawę posługującego się garotą dusiciela.

– Kim jesteś? – zapytała cicho, opierając się pragnieniu uniesienia ręki do gardła.

Mężczyzna ruszył ku niej bez słowa. Zaczęła się cofać, szukając w myślach wyjścia z sytuacji. Jak daleko ma do muru? Czy znajdzie tam kryjówkę? Jak szybki jest nieznajomy?

Zostawiła za sobą, z lewej strony, marmurową ławkę i zwłoki Olega.

– Kim jesteś?! – krzyknęła, nie próbując się już dłużej maskować.

Skrytobójca rozciągnął usta w wąskim, drapieżnym uśmiechu, nie przestając podążać za nią. Dlaczego był aż tak pewny siebie?

Uniósł ramiona nad głowę, jakby chciał ją udusić gołymi rękami, i przeszedł nad trupem Olega. Czy raczej w niego wdepnął. Jego stopa zniknęła. Kiska uniosła kuszę i wystrzeliła, ale belt przeszył bez szkody to, co było tylko rozplywającą się już w cieniu iluzją.

– Cholera – zdążyła tylko warknąć wściekła na własną głupotę dziewczyna, nim drut zacisnął się na jej szyi. Przeszył ją zimny jak lód ból. Nie mogła zaczerpnąć tchu. Chciała krzyczeć, błagać, płakać, cokolwiek, lecz z jej gardła nie wydostał się żaden dźwięk.

Skrytobójca pochylił się do ucha Kiski, wspierając podbródek na jej ramieniu.

– Chciałem cię zostawić w spokoju – wydyszał jej do ucha. – Ale byłaś uparta. Nic z tego nie powinno cię obchodzić. Nie miałaś dla nas znaczenia. Teraz odeślę cię do mojego pana.

Poczuli, że pięści po obu stronach jej szyi zaciskają się przed ostatnim szarpnięciem. Wyginała plecy, tłukła ramionami i kopała, ale to nic nie dało.

Wtem coś pojawiło się przed nią niczym ryba wypływająca z mrocznych głębin. Uformowały się ciało i twarz – Oleg. Cień uniósł palec, wskazując za jej ramię, i poruszył ustami. Wiatr wypowiedział słowa w jakimś gardłowo brzmiącym języku. Tuż obok rozległ się krzyk i uderzył grom. Kiska odwróciła się w ciemności, wymachując szaleńczo kończynami. Powietrze wypełnił przeraźliwy wrzask i dziewczyna padła na moką, gliniastą ziemię.

Otworzyła powoli oczy. Ubranie miała gorące i wilgotne. Kręciło się jej w głowie, czuła nudności, a dzwonieniu w uszach towarzyszył pulsujący ból. Czyżby zemdlą? Nie, huk gromu jeszcze nie wybrzmiał do końca, a z jej płaszczu buchała para. Leżała na grządce w północnej części ogrodu E’Karialów. Żyła i najwyraźniej nie odniosła żadnych ran. Dźwignęła się, stając na czworakach, a potem się wyprostowała i chwiejnie powlokła ku patio, depcząc trawę i zeszcłe łodygi.

Marmurowa ławka się przewróciła. Obok widniała w ziemi dziura. Buchająca z niej para mieszała się z siąpiącą mżawką. Czy to był prawdziwy piorun, czy magia? Zwłoki leżały tam gdzie poprzednio. Skrytobójca zniknął bez śladu.

Dziewczyna zakłęła, a przynajmniej spróbowała to zrobić. Zdołała wydać z siebie jakiś dźwięk – coś pośredniego między kasznięciem a ochrypłym jękiem. Uderzyła otwartą dłońią w rozgrzaną tkaninę płaszczu. Jakim cudem to przeżyła? Odgarnęła włosy z twarzy i powlokła się do przewróconej ławki. Była za ciężka, by Kiska zdołała ją podnieść, dziewczyna więc osunęła się po prostu na rzeźbioną marmurową nogę. Przebiegła palcami po szramie na szyi. Wypuściła z sykiem powietrze i cofnęła dłoń, by przyjrzeć się rękawicy. Ciemna, wilgotna krew zalśniła w blasku księżyca. Może wcale tego nie przeżyła?

Ta myśl ją rozbawiła. Kiska parsknęła śmiechem, lecz nagle wciągnęła powietrze. Na oddech Kaptura! Nawet przełykanie śliny sprawiało jej cierpienie. Może to dobry znak? W końcu cienie chyba nie czują bólu?

Zaczerpnęła powoli tchu. Powietrze drapało jej obolałe gardło jak druciana szczotka. O tym zdecydowanie powinna opowiedzieć Agayli. Pod osłoną Księżycy Cienia załatwiano stare porachunki. Będzie musiała wstać. Ktoś z pewnością się tu zjawi, żeby zbadać sprawę. W końcu przebywała w arystokratycznej dzielnicy.

Powoli odzyskała słuch. Miała wrażenie, że słyszy coś w oddali: ujadanie psa. Tak jest, wściekle i donośnie. Towarzyszyły mu jakieś przenikliwe krzyki. Przestała się przejmować własnym bólem, gdy przyszło jej do głowy, że tej nocy wszyscy mogą być zbyt zajęci, by się interesować jej losem.

* * *

Usłyszawszy słowa Fara, sierżant Popiół zajrzał do boksu Harta. Następnie zerknął spod opadających powiek na jednego ze swoich ludzi i ponownie zajął się dokumentem, który studiował razem z Corinn i kilkoma innymi ludźmi. Wskazany mężczyzna, zapewne kolejny Podpalacz Mostów, wstał i ruszył ku nim. Jego kroki niosły się w ciszy głośnym echem.

– Każ staremu się zamknąć.

Mężczyzna miał kolczugę z żelaznych rombów nabijanych na utwardzoną skórę, a na głowie garnczkowy hełm z poczerniałej stali. Dawno temu stracił gdzieś czubek nosa. Cienkie wąsy opadały mu poniżej podbródka. Sprawiał wrażenie znużonego, jakby było mu wszystko jedno, co zrobi. Hart zdawał sobie sprawę, że w tym przypadku pozory nie mylą. Mężczyzna poderżnie gardło Farowi, jeśli ten odezwie się znowu. Siedzący obok Harta Kojec wytrzeszczył z przerażenia oczy. Trenech patrzył tępo przed siebie. Podpalacz Mostów zacisnął dłoń na rogowej rękójści sztyletu, który miał za pasem.

– Damy sobie z nim radę – zapewnił pośpiesznie Hart.

Mężczyzna zawahał się, omiół ich spojrzeniem, a potem chrząknął i się odwrócił. Kojec śledził go wzrokiem.

– Bogowie! Myślisz, że naprawdę by...?

– Zamknij się, Kojec.

Oberżysta wzdrygnął się wyraźnie urażony. Hart zerknął z ukosa na Popioła i resztę zgromadzonych wokół stołu ludzi. Przyglądali się czemuś... Mapie?

Wycie rozległo się po raz kolejny, tym razem dalej. Ludzie rozejrzeli się wokół, popatrzyli na ściany, a potem na siebie. Hart miał wrażenie, że wypełniająca pomieszczenie aura napięcia stała się gęsta jak dym. Faro znowu się poruszył, jakby dręczyły go niespokojne sny. Trenech zacisnął delikatnie dłoń na jego ramieniu i staruszek coś wyszeptał: bezsensowny bełkot albo słowa w obcym języku. Wydawało się, że Trenech je zrozumiał. Ścisnął go po raz drugi i skinął głową.

Uwagę Harta przyciągnął zgrzyt przesuwanych ław oraz łoskot kroków na kamiennej posadzce. Intruzi przygotowywali się do opuszczenia gospody. Popiół stanął przy drzwiach, wydając rozkazy pięciu ludziom. To sierżanci, zdecydował Hart. Mieli w sumie dwunastu weteranów oraz około trzydziestu wynajętych zbirów. Z górą czterdziestu ludzi. I Corinn. Prawdziwy mag kadrowy byłby bezcenny. Co jednak mieli nadzieję osiągnąć? Ograniczony cel taktyczny? A co na wyspie spełniało jego definicję? Do głowy przychodziła mu tylko Twierdza Mocka, ale to nie miało sensu. Nie było tam nic, dla czego warto ryzykować życie. Chyba że nie chodziło im o coś, ale o kogoś... o przedstawicielkę imperium. Skrytobójstwo? Ale nikt nie zabierał czterdziestu uzbrojonych ludzi, żeby dokonać zamachu. Zostawało... Porwanie? Hart potrząsnął głową. To było śmieszne!

Popiół podszedł do ich boksu. Szła za nim Corinn. Mężczyzna zatrzymał się obok, a potem skupił na poprawianiu skórzanych, wzmocnionych żelazem rękawic.

– Macie moje słowo, że przeżyjecie tę noc, jeśli będziecie tu siedzieć spokojnie i nie sprawicie nam kłopotów. – Uniósł wzrok. – Jasne?

Tylko Hart pokiwał głową. Kojec ścisnął w dłoniach ścierkę, a Trenech gapił się na stojącą za Popiołem Corinn. Sprawiał wrażenie, że

chce jej zadać jakieś pytanie.

– Bardzo dobrze – rzucił mężczyzna i się oddalił.

Corinn zatrzymała się jeszcze na chwilę, by obrzucić Harta twardym spojrzeniem, mówiąc: „Zrób, co ci kazał”. Weteran gapił się na nią, nie wiedząc, co odpowiedzieć. Zerknęła jeszcze ze zdziwieniem na Fara, jakby widziała go po raz pierwszy w życiu.

Hart przyglądał się opuszczającym gospodę drużynom. Płomienie koksowego piecyka rozjarzyły się jaśniej, gdy od drzwi dmuchnął wilgotny powiew. Corinn zaczęła, aż niemal wszyscy opuszczą zadymioną salę. Jeszcze raz spojrzeli sobie w oczy. Wzruszyła lekko ramionami w przeproszającym geście i wyszła. W gospodzie zostało czterech obcych mężczyzn. Wszyscy sprawiali na Harcie wrażenie wynajętych zbirów, ulicznej hołoty. Zapewne dwóch dalszych stało na straży przed budynkiem. Z czasem zmienia ich koledzy, a oni wrócą do gospody. Wszyscy czterej usiedli za stołem ustawionym mniej więcej w połowie odległości między boksem a drzwiami wejściowymi. Jeden wyjął kości do gry. Przez dłuższy czas było słychać tylko szum wiatru, buzowanie płomieni, stukot kości oraz ciche rozmowy strażników. Hart przyglądał się im uważnie. Jakie miał szanse? Czy mógł liczyć na Kojca? Na Trenecha?

Widział, jak potężnie zbudowany przyglup radził sobie ze wszczynającymi burdy klientami w gospodzie. Brał po prostu dwóch pijaków pod pachy i wyrzucał ich za drzwi. Ale wynajęte zbiry to co innego. Zerknął na Trenecha i omal nie zaklął na głos. Ten dureń zasnął! Usta miał szeroko otwarte i zaślinione, a oczy zamknięte. Oddychał głęboko, jego szeroka pierś unosiła się i opadała jak miechy w kuźni. Hart przeszył go pełnym złości spojrzeniem. Wszyscy zachowywali się dziś jak szaleńcy.

Strażnicy wybuchnęli śmiechem, odchylając się na krzesłach. Jeden z nich, najmłodszy, wstał i ruszył dziarskim krokiem w stronę boksu. Chudy chłopak miał na sobie długą skórzaną przeszywanicę, rozciętą na bokach. Idąc, trącał ją nogami. Spod za małego hełmu sterczały gęste czarne kręcone włosy. Zatknął kciuki za pas i popatrzył na nich z góry.

To tylko chłopak, pomyślał skwaszony Hart. Górną wargę młodzika porastał mu bledziutki blond meszek. Tacy jak on byli jednak niebezpieczni. Chcieli udowodnić samym sobie, ile są warci.

– Gdzie chowasz najlepszą gorzałkę, oberżysto? – Kojec wytrzeszczył szeroko oczy. Młodzieniec skrzywił się, przesuwając dłoń w stronę noża. – Nie udawaj głupiego, bo będę musiał to wyciągnąć.

Hart trącił łokciem Kojca, który poderwał się nagle, jak obudzony ze snu.

– W spiżarni – wydyszał. – Za tym drzwiami. W szklanych butelkach.

Młodzieniec podszedł do drzwi, otworzył je i po chwili wrócił z brązową flaszką. Zatrzymał się jeszcze przy boksie.

– Trzymasz w kuchni lód, staruszk? – zapytał.

Zdziwiony Kojec zmarszczył brwi i pokręcił głową.

Strażnik skrzywił się i wrócił do stołu.

– Co to jest? – zapytał szeptem Hart.

– Destylowany alkohol produkcji Moranów.

Weteran przeszył oberżystę zdumionym spojrzeniem.

– Bogowie, to czysty spirytus. Jak długo go ukrywałeś?

Zawstydzony Kojec spuścił wzrok.

– Wybacz, Hart. Dolewam go do trunków.

– Za jakieś dwa dzwony wpadną pod stół, ale nie mogę czekać tak długo.

Kojec chciał coś powiedzieć, ale jeden ze strażników uciszył go, krzyżując:

– Spokój, do cholery! Żadnych szeptów!

Oberżysta zamknął usta. Hart wyprostował się lekko, ale doszedł do wniosku, że ślepa szarża nie byłaby najlepszym pomysłem. Opadł z powrotem na ławę. Zaczeka jeszcze parę chwil.

Strażnicy wrócili do gry w kości. Wychylali jedną kolejkę po drugiej, wciągając powietrze, gdy spirytus parzył ich w gardła. Hart przeklinał ich w myśli jako głupich amatorów, najmniej kompetentnych w zgrai

przyglupów. Rzecz jasna, nie było mowy, by Popiół zostawił tu na straży wartościowych ludzi. Wszyscy będą mu potrzebni do wykonania zadania. Weteran zacisnął leżące na blacie pięści. Nie mógł już dłużej znieść bezczynności.

– Chyba nie wierzycie, że Popiół po was wróci, co?! – zawołał na całe gardło.

Kojec spojrział na niego ze zdumieniem.

Wszyscy czterej strażnicy odwrócili się jak jeden mąż. Ich oczy błyszczały w kłębach buchającego z piecyka dymu.

– Zamknij tę przeklętą przez Kaptura gębę.

– Czyżby już wam zapłacili?

Najmłodszy zerwał się z miejsca, ale inny pociągnął go w dół.

– Zamknij gębę, bo przyszpilę ci ozór do szczęki – warknął.

Hart skrzywił się z niezadowoleniem. Czuł się niemal rozczarowany, że nie udało mu się sprowokować ich do działania. Przynajmniej wszystko by się rozstrzygnęło, w jedną albo w drugą stronę. Nie lubił czekania. Jeszcze pięćdziesiąt uderzeń serca i rzuci się do szarży. Jako broń posłuży mu tamta butelka. Musi działać. Nie miał pewności, dokąd zmierza Popiół ze swą bandą.

Kojec trącił go stopą. Hart zerknął na niego. Oberżysta gapił się na podłogę. Twarz mu pobladła, wybałuszył oczy. Weteran również spojrział w dół. Kamienną posadzkę pokrywała gruba na szerokość kciuka warstewka mgły niczym pierwsza zapowiedź przypływu. Opar wypływał zza drzwiczek spiżarni.

Te mroczne schody wiodące do zimnych piwnic. Nikt tam nigdy nie schodził. Na łaskę T'riss! Mniejsza już o szalejącą na dworze burzę. Co gromadziło się teraz wokół nich?

Faro wyprostował się gwałtownie. Kojec pisnął ze strachu. W szeroko otwartych oczach staruszka błyszczało zrozumienie. Hart odwrócił wzrok. Te oczy otwierały się na otchłań znacznie głębszą niż wszelkie piwnice.

– *Shtol eg'nah lemal* – wyszeptał Faro do Trenecha.

Hart nigdy w życiu nie słyszał tego języka, choć przypominał mu on nieco starotaliański. Trenech jednak zrozumiał wypowiedziane przez staruszkę słowa. Spojrzał na strażników.

Najmłodszy z nich zerwał się nagle.

– Każ się zamknąć temu staremu...

Całą gospodę wypełniło wycie psa, dobiegające tuż zza drzwi. Strażnicy zamarli, spojrzeli na wejście, a potem na siebie nawzajem. Ich szeroko otwarte oczy błyszczały w blasku ognia. Potem rozległ się ludzki krzyk, pełen porażającej grozy i rozpaczki. Po chwili przeszedł w łkanie. Strażnicy zerwali się z miejsc. Wyciągnęli broń, zaszepotali coś do siebie i najstarszy podszedł do drzwi. Jego ręka zawisła nad klamką.

– Dzwon?! – zawołał. – Dzwon, jesteś tam?!

Klamka zgrzytnęła, gdy ją nacisnął. Pociągnął drzwi i wyjrzał na zewnątrz. Do środka wpadł zimny wiatr. Płomienie zamigotały, obłoki dymu i mgły zatańczyły gwałtownie. Hart usłyszał szum deszczu.

– Dzwon?! Theo?! – zawołał strażnik, spoglądając w górę schodów.

Naprzeciwno Harta rozległo się westchnienie.

– Już niedługo, przyjacielu – wyszeptał Faro do Trenecha. – Bardzo niedługo.

Mówił teraz po taliańsku, choć z silnym akcentem.

Trenech skinął głową. Obaj ignorowali Harta i przerażonego Kojca.

Młody strażnik warknął coś pod nosem i podszedł do boksu, wyciągając nóż. Błądą twarz zlewał mu pot. Machnął nożem na Trenecha, a potem na Harta, a gdy ci się nie przestraszyli, przeniósł uwagę na Fara. Jeśli jednak chciał się do niego dobrać, musiał sięgnąć ręką za Trenecha, a Hart widział, że chłopak chce tego uniknąć. Dłoń, w której ścisnął nóż, drżała. Dręczyły go frustracja, niepokój i strach. Hart wiedział, że właśnie w takich chwilach ludzie najłatwiej tracą panowanie nad sobą.

– Każcie mu się zamknąć, bo przysięgam na bogów, że zabiję skurwysyna!

Hart skinął głową. Trenech i Faro sprawiali wrażenie, że nic nie słyszeli.

– Eli! – zawołał drugi strażnik. – Chodź tu, do cholery!

Młodzieniec zgarbił się i oddalił powoli, szurając nogami po podłodze. Zamknięto drzwi i czwórka mężczyzn odbyła krótką rozmowę. Hart miał wrażenie, że sprzeczą się o to, kto ma wyjść na dwór i sprawdzić, co się stało z ich towarzyszami.

Tłący się na kominku ogień zamigotał i zgasł. Nikt nie odezwał się ani słowem. Jedynym źródłem światła w pomieszczeniu były dymiące piecyki i nisko umieszczone pochodnie płonące słabym, żółtym blaskiem. Ognia nie zgasił wiatr, przyczyną nie był też brak powietrza. Dla Harta wyglądało to tak, jakby płomień wessały kamienie paleniska. Kostki nóg przeniknął mu wilgotny chłód. Zbierały się tu czary, powolne przywołanie przywodzące na myśl ciśnienie narastające w gejzerze. Hart pamiętał to wrażenie z niezliczonych pól bitew. Wkrótce nastąpi wybuch.

– Przestań – wysyczał do Fara. – Nie ma sensu pogarszać sytuacji.

Staruszek zamrugał powiekami ropiejących oczu, jakby sam chwiał się na krawędzi przepaści.

– Sytuacja stanie się znacznie gorsza, jeśli zaraz stąd nie znikniemy – oznajmił.

Hart wstał od stołu. Co ten dziadek kombinował?

Eli usłyszał ich rozmowę.

– Dość już tego! – ryknął i ruszył ku nim.

Hart popatrzył na trzech pozostałych strażników, prosząc ich wzrokiem o interwencję, ale odpowiedziały mu spojrzenia pełne leniwej obojętności. Żaden nie ruszył się z miejsca.

– Wyłażcie z tego cholernego boksu – zażądał Eli, machając nożem.

Faro wpatrywał się w pustkę, jakby nie usłyszał groźby.

– Daj spokój – spróbował przemówić mu do rozsądku Hart. – Staruszkowi pomieszało się w głowie z przepicia.

Nóż zwrócił się w jego stronę.

– Zamknij się, na Otchłań – wydyszał Eli. Jego źrenice rozszerzyły się nagle.

Hart milczał. Z początku cieszył się, że na straży nie został żaden weteran, teraz jednak żałował, że nie ma tu choć jednego. Każdy żołnierz, piechoty morskiej albo innych oddziałów, który uczestniczył w imperialnych kampaniach, potrafiłby zwęszyc niebezpieczeństwo, niezwykłą, pełną napięcia atmosferę. Pachniało tu grotami, magią. Jedyne, co mógł w takiej sytuacji zrobić biedny piechociarz, to zwiewać w bezpieczne miejsce.

Faro przełamał impas.

– Otrzymaliście ostrzeżenie – oznajmił niespodziewanie.

Eli rzucił się na niego, ale Trenech złapał go za rękę i szarpnął mocno. Hart usłyszał trzask pękających kości, a potem krzyk Kojca. Osilek puścił młodzieńca. Eli wyprostował się, wpatrzony w koniec złamanej kości sterczący mu z przedramienia. Odrzucił głowę do tyłu i wydał z siebie przeraźliwy wrzask, który ucichł nagle, gdy Trenech uderzył go kantem dłoni w gardło. Boks zalały kropelki gorącej krwi i strażnik zwałił się na ziemię.

Piwowar krzyknął po raz drugi, ale Hart zatkał mu usta dłonią. Nie ruszał się z miejsca, wbijając spojrzenie w zaszklone oczy Fara.

Nastąpiła pełna zdumienia cisza. Potem rozległ się głośny tupot, gdy wszyscy trzej strażnicy rzucili się na Trenecha. Zabrzmiały przekleństwa, ochryply wrzask i łoskot ciała padającego na masywny, dębowy stół. I znowu cisza, która jednak trwała zaledwie chwilę.

Piwowar szarpnął się w uścisku, a potem znieruchomiał. Faro gapił się przed siebie, rozciągając usta w pełnym zadowolenia uśmiechu. Weteran puścił Kojca, który położył głowę na stole, kwiląc rozpaczliwie.

– Idźcie już – rozkazał Faro. – Nadchodzi Cień. I inni. Heroldzi oznajmniają. Musimy być gotowi.

Hart przełknął ślinę i skinął głową. Kojec zaczerpnął tchu, chcąc coś powiedzieć, ale weteran znowu zatkał mu usta. Potem wyszedł z boksu, wlokąc piwowara za sobą. Trenech stał w drzwiach, zwrócony plecami do wnętrza izby, blokując wejście niczym granitowy obelisk. Hart pociągnął piwowara ku tylnemu wyjściu. Na podłodze leżały trupy strażników zabitych potężnymi ciosami. Na widok zmasakrowanych zwłok oberżysta natychmiast zemdlął.

Rozdział III.

Ogary cienia

Miotany sztormem maleńki stateczek kołysał się na oceanie. Gęstą powłokę chmur przesywały błyskawice. Ciemność rozpraszał jedynie pomarańczowy blask stojącego na środkowej ławce piecyka. Rybak nie przestawał wiosłować, kierując dziób łodzi pod wysokie fale. Wszędzie wokół na ciemnoszare wody sypał się grad i lał ulewny deszcz, jednakże ani kropelka nie spadła na łódź, by wyparować z sykiem na piecyku albo zwilżyć rozczochrane włosy mężczyzny. Na opalonych nadgarstkach rybaka błyszczały bransolety z brązu, a obszerny wełniany sweter skrywał muskularne ramiona. Wydawało się, że przesłaniające niebo chmury drżą przy każdym uderzeniu wiosła, każdym ruchu jego szerokich pleców. Śpiewał coraz głośniejszy, zaciskając zęby na cybuchu fajki. Jego jękliwy głos niósł się na wietrze.

*Latem wypłynąłem na łódce ze swą piękną żonką,
Zabawiliśmy długo, hen, na gładkiej wodzie.
Piękniejsza od lilii jest moja najmilsza,
Porusza się z gracją na błyszczących falach.
Jej oczy są głębsze niż morze,
A serce cieplejsze niż zimne, zimne morze.*

Pośród fal na powierzchni wyłonili się Jeźdźcy. Ich opalizujące zbroje lśniły srebrno-szafirowym blaskiem. Odchylili się do tyłu i cisnęli

wyszczerbione lodowe lance. Błyszczące orężę pomknęło nad falami. Gdy dotarły do otaczającego łódź oka ciszy, obróciły się w mgłę.

Daleko na południu, rozsuwając zaslonę ulewy, pojawiła się góra barwy najgłębszej akwamaryny i srebrzystego szronu. Parła wprost na łódź, niepowstrzymana i majestatyczna jak lodowiec. Rybak poruszał wiosłami coraz szybciej. Piecyk płonął przed nim niczym szkarłatne słońce. Z przedniej powierzchni góry lodowej buchnęły proporce pary. Lodowiec zaczął się cieleć, wypełniając powietrze bryzgami morskiej wody.

Morze u podstawy podążającej za łodzią góry lodowej ogarnęło wrzenie. Nim zdążyła się zbliżyć, pochłonęły ją odmęty. Pozostała po niej tylko szmaragdowa plama kipiącej cieczy, którą szybko pokryła pajęczyna lodu.

Z pokrytego krą morza wyłoniły się kolejne sylwetki. Miały barwę najgłębszego indygo, a pod ich łuskowymi hełmami było widać tylko ciemność. Zamiast długich, pełnych zadziorów lanc z lodu dzierżyły krótkie, tępo zakończone różdżki barwy ametystu i oliwinu. Skierowały je ku odległej łodzi. Z czubków różdżek wytrysnęły cyjanowe błyskawice, które przeszywały powietrze, lecz rozpraszały się całkowicie przed dziobem stateczku. Istoty zanurzały się jedna po drugiej, unosząc wysoko różdżki.

Na pewien czas łódź została na morzu sama. Kołysała się na falach jak fragment rozbitego statku. Rybak nie przestawał wiosłować. Wkrótce jednak pojawiły się inne sylwetki, jasne i opalizujące. Otaczały łódź kręgiem i zanurzały się z powrotem. Wtem z mgły wyłoniła się kolejna góra lodowa. Na fale padały strugi deszczu ze śniegiem, ale zgarbiony rybak niewzruszenie wiosłował, ściskając w zębach fajkę, i śpiewał...

A serce cieplejsze niż zimne, zimne morze.

Kiska biegła Bulwarem Nadrzecznym. Po jednej stronie kamiennym korytem płynęła rzeka Malaz, ciemna i zimna jak lód. Skórzane pantofle dziewczyny uderzały bezgłośnie o mokry bruk. Odkąd opuściła Dzielnicę Świąteł, nie widziała już śledzonego mężczyzny. Nisko nad ziemią kłębiła się mgła, która przesłaniała widok i muskała zimnymi palcami twarz oraz ramiona Kiski. Niebo przesłoniły czarne, niesione wiatrem chmury. Mogłoby się wydawać, że wszystkie gwiazdy zgasły. Tylko wiszący nisko nad horyzontem księżyc oświetlał mokre od deszczu ulice słabym blaskiem. Kiska miała nadzieję, że odnajdzie cel gdzieś bliżej śródmieścia, nigdzie jednak go nie zauważyła. Czy on i jego strażnicy na pewno poszli tędy? Dokąd jednak mogli się udać?

Czuła się tak, jakby była ostatnią żywą duszą na wyspie. Zadrżała na tę myśl. Zatrzymała się na Kamiennym Moście i spojrzała w obie strony kanału. Lekki deszczyk, przypominający raczej unoszący się w powietrzu opar, zamazywał widoczne w oddali obiekty. Nic tam się nie ruszało, dziewczyna odnosiła jednak wrażenie, że dostrzega jakieś ruchy. Obejrzała się, wyciągając wzrok. To były cienie. Cienie, które migotały jak płomienie zanieczyszczone sadzą.

Na jej oczach cała fala cieni spłynęła ze wzgórza. Pochłonęła chaty na palach i pełzła dalej, rozlewając się po wodzie niczym melasa. Za kilka uderzeń serca dotrze do Kiski. Dziewczyna rzuciła się do ucieczki, ale było już za późno. Gdy fala ją ogarnęła, była jeszcze na moście. Biegła na oślep, ocierając oczy dłonią. Nagle przestała czuć bruk pod nogami i wdepnęła z piskiem w lodowatą wodę.

W pierwszej chwili myślała, że wpadła do rzeki, potem jednak zorientowała się, że to tylko cienka warstewka cieczy spływającej po wilgotnym piasku. Wyprostowała się, dysząc ciężko. Serce waliło jej jak młotem. Cienie się rozproszyły i zrobiło się jaśniej. Zobaczyła, że stoi wśród wysokich wydm, lśniących srebrzystym blaskiem w świetle księżyca.

Wiedziała, że nie przebywa już w Malazie, podejrzewała też, co to za miejsce. Niebo miało gniewny kolor ołowiu. Wysoko w górze było widać

wąskie pasma niesionych wiatrem chmur. Wszędzie wznosiły się strome piaszczyste wydmy. Wspięła się na jedną i rozejrzała. Ciągnęły się aż po horyzont we wszystkie strony. Okolica przypominała Grotę Cienia, do której niedawno zabrał ją Oleg.

Jeden szczegół się jednak nie zgadzał: źródło srebrnozielonego blasku wypełniającego horyzont z jednej strony. Lodowiec. Kiska nigdy nie widziała lodowca, słyszała jednak relacje podróżników. Mówili, że to są góry z błyszczącego lodu. Do tej pory nie wierzyła w ich opowieści, sądząc, że przesadzają, bo długoletnie picie wypaczyło ich wspomnienia. Teraz jednak ujrzała dowód na własne oczy. Przypomniała sobie z niesmakiem, jak mała jest jej rodzinna wyspa i w związku z tym jak bardzo ograniczone musi być jej, Kiski, doświadczenie. Spróbowała sobie wyobrazić rozmiary takiej masy lodu, jej przygniatający ciężar. Jak daleko od niej się znajdowała? W monotonnym krajobrazie nie było żadnych punktów orientacyjnych. Dziewczyna strzepnęła z ubrania wilgotny piasek, drżąc na zimnym wietrze.

– Zapomniałem już, jak imponująco to wygląda na pierwszy rzut oka – powiedział ktoś głuchym głosem za jej plecami.

Odwróciła się, wyciągając noże, a potem podskoczyła i pisnęła zaskoczona.

Kimkolwiek mógł być nieznajomy, dawno już nie żył. Zmumifikowany trup kierował ku niej puste oczodoły, szczerząc w uśmiechu pożółkłe zęby. Z kościstej postaci zwisały strzepy stroju – grubego płaszcza nałożonego na znoszoną zbroję ze skóry i brązu. Zza ramienia sterczała rękojeść skrytego w zardzewiałej pochwie miecza. Kiskę zalała zimna groza.

– Jesteś z Malazu? – zapytał trup w archaicznej postaci taliańskiego.

– Tak – wyjąkała. – Z Malazu. Z wyspy Malaz.

Istota skinęła powoli głową, która wyglądała na zespoloną w jedną całość z hełmem z zaśniedziałego brązu.

– To jest teraz wyspa? Wielokrotnie wędrowałem po tamtych okolicach.

– Kim jesteś? Co to za miejsce?

– Nazywam się Chodzący po Krawędzi. Wędruję po granicach Kurald Emurlahn. Wy zwiecie ją Cieniem. To jest część tego królestwa.

Kiska uniosła nóż, wskazując odległy lodowiec.

– W takim razie co tam widzisz?

– Coś, co jest tu intruzem, podobnie jak ty.

– Aha. – Dziewczyna opuściła rękę, drżąc z zimna. – Ale ja nie chciałam tu trafić.

– Porwała cię Przemiana, burza cieni. One będą się zdarzać często. Sugeruję, żebyś nie opuszczała domu.

– Domu? – Kiska parsknęła ochryplym śmiechem. – A gdzie tu znajduje dom? – Zamknęła gwałtownie usta. – Chcesz powiedzieć... że mnie odeślesz?

– Tak. Nie powinnaś tu przebywać.

– W takim razie chyba muszę ci podziękować. – Odgarnęła włosy i spojrzała na wydmy. Czy to rzeczywiście był Malaz? Nagle coś sobie przypomniała. – Czy znasz człowieka imieniem Oleg?

– Nie. Nigdy o nim nie słyszałem.

– A co z władcą? Jeśli to jest Cień, to czy istnieje jego tron?

Chodzący po Krawędzi milczał przez długą chwilę. Dziewczyna zbliżyła się do niego. Czyżby umarł?

– Dlaczego pytasz? – odezwał się wreszcie.

– Powiedziano mi, że dzisiejszej nocy ktoś może spróbować go zagarnąć.

– Niezliczeni już podejmowali takie próby. I wszyscy ponieśli klęskę, nawet ci, którym na pewien czas się udało. W pewnym sensie ja również. Teraz muszę po wieki wędrować po granicach królestwa, a i tak powiodło mi się lepiej niż większości.

O dziwo, Kiska poczuła się rozczarowana tymi słowami. Podejrzała, miała nadzieję, że Oleg okaże się szaleńcem. Teraz będzie musiała spróbować przypomnieć sobie coś więcej z jego gadaniny.

Nagle rozległo się niskie zawodzenie. Istota uniosła uschniętą rękę przypominającą wykrzywioną gałąź dębu i wskazała drugi brzeg strumienia. Na jej zwiędłych palcach lśniły złote pierścienie.

– Ogar zwęszył twój zapach. Uciekaj, póki możesz, dziecko.

Kiski nie trzeba było do tego zachęcać. Nagle jednak coś sobie przypomniała.

– Co to jest pogrzebanie?

– Cena niepowodzenia. Wieczna niewola w Domu Cienia.

Wycie rozległo się znowu, tym razem bliżej. Odbijało się echem od błyszczącej ściany lodu.

– Nie masz już wiele czasu – zauważyła istota głosem przypominającym szelest zeschniętych liści. – Idź do wieży Oba i błagaj go o opiekę.

– Do wieży Oba? Przecież to tylko pusta ruina. Obo jest mitem.

– Godzinę temu z pewnością to samo powiedziałybyś o pewnych Ogarach.

Kiska zamrugła zaskoczona.

– A co z tobą? Czy nic ci nie grozi?

Sucha szyja istoty zaskrzypiała, gdy Chodzący po Krawędzi uniosł głowę i skierował na dziewczynę puste oczodoły.

– Ogary są moimi kuzynami. Wszyscy jesteśmy na swój sposób niewolnikami Cienia. Dziękuję ci za okazaną troskę, ale musisz już zniknąć.

Chodzący po Krawędzi uniosł szponiastą dłoń w geście pożegnania.

Świat nagle pociemniał. Wszędzie wokół wiły się przypominające czarne skrzydła cienie. Przez chwilę Kisce wydawało się, że słyszy chór szeptów w mnóstwie różnych języków. Potem cienie umknęły i zorientowała się, że stoi na Bulwarze Nadrzecznym na południe od brzegów Malazu.

W tej samej chwili noc przeszło wycie tak ogłuszające, że Kiska podskoczyła ze strachu, jakby Ogar był tuż obok, gotowy zacisnąć na niej szczęki. Zerwała się do biegu, nie ośmielając się obejrzeć. Zaledwie kilka przecznic przed nią wyszczerbiony szczyt zniszczonej wieży Oba

wznosił się ku niebu niczym złamany sztylet. Ogar zawył znowu. Dziewczyna się potknęła. Wokół niej rozległy się krzyki wyrrywające się z ust przerażonych ludzi, którzy zamknęli się w domach. Kiska minęła róg, przebiegła przez plac i przeskoczyła niski murek otaczający podwórkowiężę. Padła na ziemię i leżała, drżąc, pośród liści i śmieci na opustoszałym dziedzińcu. Wytężała słuch.

Nie usłyszała jednak niczego poza dziwnie odległym szumem fal i zawrotem wiatru. Po chwili udało się jej zapanować nad oddechem, uspokoić puls. Wtem coś poruszyło spadłymi gałęziami. Dziewczyna stłumiła pisk strachu. Uniosła leciutko głowę i ujrzała chudą stopę w skórzanym sandale. Spojrzała w górę. Stał nad nią wiekowy mężczyzna odziany w wystrzępione brązowe szaty z wełny. Podpierał się gałęzią drzewa jak laską. Był łysy, poza tylko wąskim paskiem długich, rozczochranych białych włosów tuż nad uszami.

Łypnął na Kiskę ze złością, zezując wzdłuż długiego haczykowatego nosa.

– Co to ma być? – mruknął, jakby wdepnął w krowie łajno.

Kiska zamrugwała. Kim był ten zniedołężniały staruszek? Z pewnością nie mógł być Obem, złośliwym potworem z legend.

– Kim jesteś, na mądrość T'riss? – zapytała nieufnie. Podniosła się, nie spuszczać wzroku z nieznajomego.

– Kim jestem? – pisnął staruszek. – Kim jestem? Jakaś ulicznica wtargnęła do mojego domu i śmie mi zadawać pytania?

– Twojego domu?

– Tak jest, mojego.

Mężczyzna wskazał kosturem wieżę. Kiska po raz pierwszy zauważyła, że potężna budowla wznosi się nieuszkodzona ku niebu, na którym świecą gwiazdy, ale nie ma na nim ani śladu księżyca. Rozejrzała się wokół. Ku morzu opadały znajome wzgórza, a na północy wznosiła się ściana urwisk, nie było tu jednak żadnego miasta. Na polu porośniętym bagienną trawą oraz pałąk szerokolistną nie wypatrzyła ani jednego budynku.

– Gdzie my jesteśmy?

Staruszek dźgnął ją kosturem w ramię.

– Jesteś głupia, czy co? W mojej wieży!

– Jesteś Obo?

Mężczyzna wykrzywił usta w grymasie gniewu i znów uniósł laskę.

Kiska wyrwała mu ją z rąk i odrzuciła na bok.

Staruszek wbił w nią spojrzenie.

– Jak...? To mój kij!

Dziewczyna napięła mięśnie, czekając, aż porazi ją magiczny atak lub spadnie na nią powodująca gnicie ciała klątwa. Jednakże mężczyzna tylko się odwrócił i ruszył po kamiennych schodach ku jedynym drzwiom wieży.

– Zaczekaj... hej, zaczekaj!

Drzwi się zatrzasnęły. Kiska podbiegła do nich i zaczęła je okładać pięściami.

– Otwieraj! Co mam teraz zrobić?!

Drzwi się uchyliły.

– Możesz sobie pójść.

– Ale tam jest Ogar! Nie możesz mnie zostawić...

Spojrzało na nią załzawione oko.

– Już sobie poszedł. Teraz ty zrób to samo.

Kiska wskazała bagno.

– Ale dokąd mam iść? Tam nic nie ma.

– Nie tutaj – warknął poiryutowany staruszek. Kiska nadal nie mogła się zdobyć na to, by zwać go Obem. To legendarne imię należało do czarnoksiężnika z minionych wieków, jednej z postaci występujących w krwawych opowieściach, które tak lubiła snuć jej matka. – To nie jest miejsce dla ciebie. Wracaj tam, skąd przyszłaś.

Skinęła głową.

– Świetnie. Tego właśnie chcę.

– To idź już i daj mi spokój.

Właściciel wieży zatrzasnął drzwi.

Kiska zeszła ze schodów.

– Dobra, zrobię to! – zawołała. – Nie potrzebuję twojej pomocy.

Przystanęła pod niskim murkiem, nasłuchując uważnie. Tak naprawdę nie była pewna, co się spodziewała usłyszeć. Może zew Ogara. Słysać było jednak tylko wiatr szumiący w trawie oraz morskie fale. Jej spojrzenie przyciągnęły jakieś światła. Odwróciła się i popatrzyła na niebo na południu. Widać tam było niebieskozielone błyski, wyglądające jak chorągwie namalowane na tle nocy. Kiska zadrżała, przypominając sobie legendy, mówiące, że te światła są odbiciem Jeźdźców Sztormu, którzy wynurzają się z odmętów, by wciągać statki do swego lodowatego, podwodnego królestwa. Zawsze dotąd śmiała się z podobnych bajań... ale teraz nie wiedziała już co myśleć. Wytarła dłonie o mokre spodnie i dmuchnęła na nie. Właściciel wieży kazał jej wracać tam, skąd przyszła, ale jak miała to zrobić?

Wypatrzyła w półmroku ustawione pionowo monolity, jakiegoś rodzaju konstrukcję otoczoną zagajnikami skarłowaciałych drzew oraz niskimi pagórkami. Wydawało się, że stoi ona dokładnie w tym samym miejscu, gdzie w Malazie... Kiska wstrzymała oddech i cofnęła się trwożnie.

Niech Pożoga ma w opiece mą duszę.

Dokładnie w tym samym miejscu, gdzie w jej czasach znajdował się Dom Umarłych. Tu jednak był to grobowiec.

Oplotła się rękoma, by stłumić gwałtowny dreszcz wywołany nie tyle chłodem, ile szokiem. To miejsce naprawdę było jej domem. A przynajmniej kiedyś nim się stanie. Poczula się zupełnie pozbawiona znaczenia, być może nawet głupia. Dotąd żyła w przekonaniu, że w Malazie nic nigdy się nie zmienia. Nie była pewna, czy może wierzyć słowom właściciela wieży, który zapewniał, że będzie mogła wrócić do miasta. Jaki jednak miała wybór?

Przysięgła sobie, że jeśli uda się jej wrócić, natychmiast pójdzie do Agayli. Jeśli ktokolwiek wiedział, co tu się dzieje i co należy zrobić, to

z pewnością ona. Mniejsza już z tym całym szalonym mamrotaniem o powrocie, Domu Umarłych i Cieniu. Będzie miała o czym jej opowiadać!

Zaczerpnęła głęboko tchu, żeby się uspokoić, przeszła przez murek i natychmiast straciła równowagę. Gwiazdy zawirowały jej nad głową. Potem przesłoniły je chmury, które przemknęły przez jej pole widzenia jak czarne strzępy materiału. Za ich kurtyną świecił księżyc przypominający oko giganta z dawnych czasów. Nad ziemią unosiły się wstęgi mgły. Kiska wstała, krzywiąc się z bólu, i potarła rozbity łokieć. Odwróciła się, by spojrzeć na wieżę Oba, która znowu zmieniła się w ruiny. Wróciła do Malazu, tego, który знаła. Obo ją odesłał albo może nie w ogóle nie zrobił i wystarczyło, żeby opuściła podwórko wieży. Któż by zgadł, na czym to polegało? Być może Agayla potrafi jej to wyjaśnić. Tak czy inaczej, wróciła i teraz musi jak najszybciej dotrzeć do domu ciotki. To oznaczało, że trzeba się będzie narazić na wędrowkę przez ulice. Odruchowo skryła się pod najbliższym murem.

Raz jeszcze zerknęła na zburzoną wieżę Oba. Może udałoby się przeczekać do świtu na jej podwórzu? Kogo próbowała oszukać? Wiedziała już, że ma do czynienia z siłami wykraczającymi poza jej pojmowanie. Któż mógłby mieć o to do niej pretensję? Kiska omal nie warknęła z irytacji. Agayla z pewnością wiedziała, co tu się dzieje. Musi z nią porozmawiać.

W oddali znowu rozległo się wycie. Kiska wzdrygnęła się trwożnie. Bogowie na dole! Zerwała się do biegu i zniknęła w wąskiej ulicy.

Gdy Kiska dotarła na miejsce, zabrzmiał glucho drugi tej nocy dzwon. Ciotka Agayla mieszkała samotnie w pokojach na zapleczu swego sklepu na Przestronnej, uliczce tak wąskiej, że balkony na piętrze stykały się, zasłaniając księżyc.

Kiska oparła się całym ciężarem o drzwi i zaczęła łomotać pięściami w masywne deski. Agayla mówiła jej kiedyś, że pochodzą one z okrętowego kadłuba. Ledwie zadrżały pod wpływem jej ciosów. Dziewczyna odsunęła się, przemoczona i do cna wyczerpana. Nad nadprożem

i z obu stron wejścia wisały girlandy utkane z bzu i wonnych ziół. Kiedy Agayla zdążyła to zrobić? Osłonięte małym, dwuspadowym daszkiem drzwi pokrywały jakieś ciemne, smoliste plamy. Wyglądały, jakby zrobiono je szmatą umaczaną w zmielonych liściach. Kiska poczuła ostry zapach pieprzu. Przywarła do drzwi, zbyt zmęczona, żeby się dziwić.

– Ciociu? – wyszeptwała. – To ja. Otwórz. Proszę, otwórz. Proszę.

– Hej? Kto to drapie w moje drzwi, błagając o wpuszczenie? Cóż to za zbłąkana dusza?

– To ja! Otwórz.

– Ja? Oho! Żaden cień nie przejdzie przez mój próg dzięki tak wątpliwej wymówce. Idź zawracać głowę komuś innemu.

– Ciociu! Proszę! Tu są potwory! Wpuść mnie!

Drzwi otworzyły się z grzechotem. W wąskim wejściu stała Agayla. W jednej ręce trzymała świecę. Ostre rysy kobiety rzucały w jej blasku głębokie cienie.

– Wiem o tym, moja droga. Dlatego właśnie nie powinnaś przebywać na dworze.

Kiska wpadła do środka i zatrzasnęła drzwi. Zdyszana, przemarznięta do szpiku kości, oparła się o nie plecami i zasunęła rygiel.

Agayla potrząsnęła głową, jakby Kiska była małą dziewczynką, która wróciła z podwórka uwalana błotem.

Dziewczyna wskazała drzwi, nadal ciężko dysząc.

– Nie stój tak! Mówię ci, że tam są potwory! Duchy! Demony! Widziałam je! Ledwie uszłam z życiem.

Agayla zacisnęła usta.

– Wszyscy o tym wiedzą, moja droga. I wszyscy mają wystarczająco wiele rozsądku, by siedzieć w domu. – Weszła do sklepu, zamiatając z szelestem długimi spódnicami. – Wszyscy oprócz ciebie, jak widzę – dodała, oglądając się. – No chodź, trzeba cię doprowadzić do porządku.

Kiska wbiła zdumione spojrzenie w plecy Agayli. Co miała na to powiedzieć? Przeżyła tyle okropności i nie usłyszała nawet słowa... Wła-

ściwie czego? Współczucia? Ciekawości? Nawet: „Miło cię znowu zobaczyć”?

* * *

Gdy Agayla owijała ją w ręczniki i suszyła jej włosy, Kiska opowiedziała o wszystkim, co się wydarzyło: o ludziach z kutra, spotkaniu, zamordowaniu Olega, Królestwie Cienia i Ogarze. No, prawie o wszystkim. Pomięła milczeniem spotkanie z Chodzącym po Krawędzi, prastarą istotą z Cienia. I z Obem też, nie było sensu czynić opowieści jeszcze bardziej niewiarygodną.

Przez cały ten czas Agayla nie odzywała się ani słowem. Dziewczyna domyślała się, że ciotka pozwala jej się wygadać. Gdy wreszcie umilkła, Agayla ujęła ją za podbródek i uniosła jej twarz. Kiska skrzywiła się.

– To wszystko? – zapytała starsza kobieta, chowając mokre kosmyki włosów dziewczyny z powrotem za ucho.

Kiska skinęła głową.

Agayla wyduła wargi, otrzepała spódnice i wstała z krzesła.

– Przyniosę lekarstwo na tę ranę na szyi.

Poszła do sklepu, znikając za szeregami szafek. W każdej z nich było pełno szufladek zawierających mnóstwo różnego rodzaju ziół.

Ciotka przykryła Kiskę grubym kocem. Na małym kominku pod tylną ścianą palił się ogień, więc dziewczyna wkrótce przymknęła powieki. Agayla cały czas krzątała się w aptece, a na ciele Kiski tańczyły cienie. Dziewczyna słyszała szelest otwieranych szuflad i stukot szklanych słoiczków. Nad jej głową kołysały się druciane koszyczki, zawieszane na krokwiach w skupiskach gęstych jak grona owoców. Suszone korzenie, liście i całe rośliny sięgały z nich ku niej jak chwytne dłonie. Zastawione szafkami ściany wznosiły się aż po sufit. W każdej z szafek były setki maleńkich szufladek oznaczonych skrawkami żółtego welinu. W ciągu minionych lat Kiska zajrzała tu niemal we wszystkie zakamarki, wachając i oglądając z uwagą suszone przyprawy, sproszkowane kwiaty,

korzenie, bulwy, liście i łądygi marynowane w occie albo spirytusie – w najróżniejszych osobliwych płynach – przechowywane w butelkach, beczułkach, karafkach, fiolkach, zapieczętowanych lakiem słoniowych kłach, a nawet rogach. Niektóre z nich były tak wielkie, że Kiska zadawała sobie pytanie, od jakiego rodzaju zwierzęcia mogły pochodzić.

Teraz zalał ją melanz tych wszystkich zapachów, silniejszych niż kie-dykolwiek. Po raz pierwszy od chwili dotarcia do portu poczuła, że opuszcza ją napięcie.

Wreszcie Agayla wróciła, przynosząc tacę z wielką misą i złożone ubrania. Kobieta podwinęła rękawy bluzy i związała z tyłu długie, czarne włosy. Odstawiła tacę, zdjęła z ognia kociołek i napełniła misę wrzątkiem. Po powierzchni wody pływały płatki kwiatów, a pod nią unosił się jakiś proszek.

Agayla władczy gestem odepchnęła czoło Kiski i zaczęła myć jej szyję, jakby miała do czynienia z umorusanym dzieciakiem. Dziewczyna ponownie skrzywiła się z bólu.

– Twoja relacja była bardzo chaotyczna, ale chyba potrafię ją streścić – oznajmiła kobieta. – Wygląda na to, że wetknęłaś nos tam, gdzie nie trzeba, i mało brakowało, a by ci go odgryźli. To by ci się słusznie należało.

– Ciociu!

– Sza, moja droga. Wysłuchaj mnie. Ten skrytobójca miał rację. Nic z tego, co się dzieje, nie dotyczy ciebie. A jeśli chodzi o Olega, nie powinien był ci nic mówić. Prawdę powiedziawszy, jestem bardzo rozczarowana jego brakiem rozsądku.

Kiska odepchnęła dłoń kobiety.

– Wiesz, kim on jest... był?

Agayla uniosła jej podbródek.

– Tak, wiem kim był, dawno temu.

Kiska spróbowała wstać, ale Agayla popchnęła ją na krzesło.

– A co z...

- Siadaj! - rozkazała. - Proszę, usiądź - dodała łagodniejszym tonem.

Zaskoczona dziewczyna usiadła. Agayla zawsze była despotyczna, ale Kiska rzadko padała ofiarą jej temperamentu.

Starsza kobieta otarła z westchnieniem czoło.

- Przepraszam. To trudna noc dla nas wszystkich...

Nagle umilkła, nasłuchując. Powoli zwróciła się w stronę wyjścia.

Kiska również wyteżyła słuch. Usłyszała nienaturalnie głośny zgrzyt pazurów na bruku. Potem coś sapnęło, głośno jak byk, i powęszyło pod drzwiami. Nastąpiła chwila ciszy, którą zmąciło mrozące krew w żyłach ujadanie. Dziewczyna zatkała uszy dłońmi. Agayla zerwała się, unosząc ręce. Zew ucichł w oddali. Bestia odeszła.

Kiska spróbowała przełknąć ślinę. Pożogo Opiekunko, czyżby dotarł za nią aż tutaj? Wytropił ją węchem? Spojrzała na Agaylę i zobaczyła, że twarz ciotki pobladła. Kiska nie wierzyła własnym oczom: kobieta, która nigdy niczego się nie bała, była przerażona.

Dziewczyna dotknęła jej zaskakująco zimnego przedramienia.

- Agayla, powiedz mi, o co tu chodzi - wyszeptała.

Kobieta zamrugała, jakby nagle wróciła z bardzo daleka. Przyjrzała się Kisce i rozciągnęła usta w błędym uśmiešku.

- Proszę bardzo. Opowiem ci historię. Ale musisz obiecać, że posłuchasz mojej rady. Zgoda?

Kiska się zawahała. Ciotka Agayla nie zażądałaby od niej obietnicy, której nie mogłaby dotrzymać, prawda? Zawsze była surowa, ale również rozsądna. Sprawiała też wrażenie bardzo dobrze poinformowanej. Poznać takie tajemnice... Skinęła głową.

- Świetnie. - Agayla odsunęła jej głowę do tyłu i wróciła do przemywania rany. Kiska wzdrygnęła się pod wpływem nagłego bólu. - Znasz legendy o cesarzu. O Tancerzu, jego przyjacielu i strażniku. O Gburce, która stworzyła Szpon, a teraz została imperialną regentką. O Dassemie

i Mieczu Imperium. O Tayschrennie i całej reszcie. Teraz opowiem ci wersję, której nikomu nie powinnaś powtarzać.

Agayla uszczyptała podbródek Kiski i obrzuciła ją ostrzegawczym spojrzeniem. Dziewczyna ponownie skinęła głową.

– Świetnie. Miecz Imperium złamano przed niespełna rokiem daleko na północy, w Siedmiu Miastach. Słyszałaś o tym?

– Pogłoski dotarły tu wraz z armią.

– No więc, po złamaniu Miecza Gburka jest pierwsza w linii sukcesji. Dassem zginął następnego nocy, razem z dwoma innymi żołnierzami Miecza, którzy przeżyli bitwę. Niektórzy uważają, że przyczyniła się do tego Gburka, czy raczej jej Szpon, ale to nie należy do sprawy. Być może nie słyszałaś, że ostatnio Kellanveda i Tancerza widuje się coraz rzadziej. Dotarły do mnie słuchy, że zaabsorbowały ich badania nad tajemnymi sprawami. Imperialni wodzowie, gubernatorzy i pięści skarżyli się Gburce, że Kellanved zaniedbuje swe obowiązki. Z pewnością szpony rozniecają ogień niezadowolenia, eliminując jednocześnie swych konkurentów, pazury. Wielu utrzymuje, że Kellanved i Tancerz nie żyją, zginęli w wyniku nieudanego eksperymentu, który miał im pozwolić zbadać naturę grot. Oleg był przekonany, że zna prawdę. Tak czy inaczej, pojawiło się prorocтво, mówiące, że Kellanved powróci na Malaz, wyspę, na której tak dawno temu wszystko się zaczęło. I proszę, po kilku latach na Malaz zawitał Księżyc Cienia. Tak oto różne grupy i stronnictwa spotkały się na naszej małej wyspie, przekonane, że dzisiejszej nocy historia imperium wkroczy na nowy szlak. Jakby sam Księżyc Cienia nie był wystarczająco niebezpieczny. On i cała reszta.

Agayla wykręciła szmatę nad miską. Kiska się wyprostowała.

– Mniej więcej to samo powiedział Oleg. Mówił, że on przybędzie.

Przypomniała sobie jednak coś więcej. Oleg warknął ze złością, że sam zamierza zawładnąć królestwem. Ale co Dom Umarłych miał wspólnego z Cieniem? Co, do licha, chciał jej wtedy powiedzieć?

Wszystko to wydawało się jej teraz bezsensowne. Transsubstancjacja, pogrzebanie... ale z drugiej strony Chodzący po Krawędzi rozpoznał

to słowo. I kim, czy może czym, właściwie był? I jeszcze zagadka Olega. Czyste szaleństwo: „Kłęska stanie się dla niego przypieczętowaniem zwycięstwa”.

Spojrzała na ciotkę Agayłę.

– Cała reszta?

– Oleg Vikat – ciągnęła właścicielka sklepu, przygotowując biały, płócienny bandaż. – W swoim czasie akolita Kaptura i badacz teurgii. Twierdzi, że odkrył fundamentalne fakty tłumaczące funkcjonowanie grot, a nawet głębsze tajemnice. – Westchnęła. – Niewykluczone, że to szaleniec, ale sam wielki mag imperialny, Tayschrenn, przyznał, że w gąszczu stworzonych przez niego teorii kryje się pewna dziwna logika. Oleg ukrywał się od kilku dziesięcioleci. – Pokręciła głową. – I pomyśleć, że obawiał się śmierci z rąk szponów.

– A ten mężczyzna w szarym stroju? Czy nie był szponem, któremu rozkazano uciszyć Olega?

Agayła wstała i zaczęła owijać bandażem szyję Kiski, zaciskając go mocno na karku.

– Nie moja droga. To był kultysta. Czciiciel Groty Cienia. Wszyscy członkowie kultu to skrytobójcy. Oni również tu przybyli, żeby odprawić swe krwawe rytuały pod Księżycem Cienia.

Kiska dotknęła szorstkiego bandaża. Kiedy przełknęła ślinę, wydał się jej niemal za ciasny.

– Tak... powiedział, że ośle mnie do swojego pana. Ale co z resztą? Z tymi ruchomymi cieniami i tak dalej?

Ciotka Agayła wzruszyła ramionami na znak, że pełne wyjaśnienie wykracza nawet poza jej wiedzę.

– Widziałaś to wszystko jedynie dlatego, że tej jednej nocy wszystkie portale, przejścia i szczeliny między bramami uchylają się nieco. Wszystkie duchy, wskrzeszeńcy i bogowie mogą dziś dotknąć świata, choćby tylko leciutko. Do tej pory sprzyjało ci niezwykle szczęście, biorąc pod uwagę, co mogłaś spotkać. Dlatego... – Przerwała i wytarła ręce. – Dobra, pomówimy o tym później. – Usiadła obok Kiski i ucisnęła jej

dłonie z zaskakującą siłą. – Rozumiesz? Za dużo jest tego wszystkiego, by jedna osoba mogła nad tym zapanować. Dla wielu będzie to noc długo oczekiwanej zemsty i desperackich prób. Rzadka okazja wyrównania dawnych rachunków, chwila, gdy mury dzielące nasz świat od innych słabną... gdy mogą się przez nie prześliznąć cienie. Świt z pewnością nadejdzie, bez względu na to, co wydarzy się nocą. Nie ma znaczenia, kto przeżyje, a kto zginie. Jutro ludzie znowu będą potrzebowali przypraw i ziół, a także wścibskich szpiegów amatorów, którzy dobrze znają miasto. Nawet stary, gruby podpieść Pell zapewne nadal będzie dowodził garnizonem. Życie toczy się dalej.

Kiska wyrwała dłonie z uścisku.

– Rozumiem, do czego zmierzasz, ale nie mogę tu tak siedzieć. Nie drugi raz. Nie po tym, co wydarzyło się podczas zamieszek.

Agayla zacisnęła usta.

– Zapewne uratowałam ci wówczas życie, dziecko.

– Nie jestem dzieckiem i nie pozwolę, żebyś mnie tu zamknęła. Ani na jedną noc, ani na całe życie. Popadłabym w obłąd. Zresztą i tak już jestem w to zamieszana. Muszę przekazać wiadomość.

Agayla zachnęła się na te słowa.

– To tylko szalone przepowiednie samolubnego, żądnego władzy durnia.

Słowa Olega faktycznie brzmiały śmiesznie, ale starożytna istota, jaką był Chodzący po Krawędzi, w nie uwierzyła. Kiska przyjrzała się uważnie Agayli. Co właściwie o niej wiedziała? Zwała ją „ciocią”, lecz nie łączyły ich więzy krwi. Niekiedy wyglądało na to, że nazywa ją tak połowa mieszkańców wyspy. Gdy wprowadzano w życie edykt regentki zakazujący stosowania magii, Agayla zrobiła wszystko, co w jej mocy, żeby zatrzymać ją w domu, choć Kisce i tak udało się spędzić większość czasu na ulicach. Dopiero gdy nadeszło najgorsze, czyli zakrojona na pełną skalę oblawa na wszystkich podejrzanym o posiadanie talentu, Kiska wylądowała zamknięta na piętrze.

Cóż to była za noc! Płakała, błagała Agayłę, próbowała otworzyć okna siłą, ale przekonała się, że stały się niewrażliwe na jej ciosy. W końcu musiała się zadowolić wyglądaniem przez małe okienko na piętrze. Kto by pomyślał, że pożar robi aż tyle hałasu? Ryk płomieni i przeraźliwy świst wiatru. Smród płonących ciał, krzyki, ludzie biegnący bez ładu i składu po pogrążonych w mroku ulicach. I eksplozje, magia! Później, tej samej nocy, była świadkiem pewnego incydentu: stała na szczycie schodów, a Agayła zatrzymała się w wejściu, spoglądając na rozwścieczonych żołnierzy.

– Aresztuję cię, cholerna czarownico – warknął pierwszy z nich. Jego szara opończa i płaszcz były świeżo ufarbowane, przez co wydawały się niemal czarne. Rekrut z imperialnej piechoty morskiej.

Agayła tylko skrzyżowała ramiona na piersiach. Kiska wyobrażała sobie jej twarde, pełne dezaprobaty spojrzenie, zdolne stopić nawet kamień. Żołnierz uniósł pośpiesznie rękę, by uchronić się przed złym okiem, i wyciągnął miecz.

– Chcesz mnie przekląć? – warknął.

Inny żołnierz odepchnął go na bok. On również nosił szary mundur, ale luźny, wystrzępiony i wyblakły. Kiska zauważyła błysk srebrnych odznak na jego piersi. Weteran.

– Gdzie indziej znajdziecie mnóstwo woskowych wiedz i sprzedawców miłosnych eliksirów – poinformowała go Agayła. – Nie będziecie mnie nękać, prawda, sierżancie?

Żołnierz zdjął wzmocnione metalem rękawice i otrzepał je o płaszcz. Z materiału buchnęły kłęby czerwonego pyłu. Ochrowego! Czyżby nadal miał na płaszczu piasek Siedmiu Miast? Weteran i Agayła popatrzyli sobie w oczy.

– No wiesz, jak przyjdzie co do czego, mamy ze sobą pięciu kadrowych magów – oznajmił wreszcie żołnierz, spluwając w bok.

– No to wezwij ich. Ale pomyśl o swojej misji, sierżancie. Rozkazano ci wyszkolić tych ludzi czy ich stracić?

Sierżant prychnął pogardliwie.

– W dupę z takim szkoleniem – mruknął pod nosem. Ukłonił się płytko Agayli, nie zdejmując hełmu, i skinął dłonią na swych żołnierzy.
– Ruszać się, durne wypierdki wielbłąda.

Odepchnięty przed chwilą żołnierz wyciągnął miecz.

– Aragan, to jest jedna z nich – zaprotestował. – I mówią, że jest...

Pochylił się nad uchem sierżanta i coś wyszeptał.

Kiska miała wrażenie, że usłyszała słowo „bogata”. Weteran wyrwał żołnierzowi miecz i uderzył go płazem w ramię. Mężczyzna pisnął z bólu i oddalił się pośpiesznie.

– Powiedziałem, ruszać się! – ryknął sierżant. – Zabierać stąd tyłki! – Ponownie spojrzął na Agaylę. – Lepiej zamknij te cholerne drzwi, bo inaczej wrócę i wywlokę cię za włosy.

Agayla ukłoniła się uprzejmie.

– Oczywiście, sierżancie.

Gdy kobieta wróciła na górę, Kiska powiedziała, że nigdy jej nie wybaczy tego, że zamknęła ją w domu w najbardziej ekscytujący dzień w jej życiu.

– Ekscytujący? – zapytała Agayla, unosząc brew.

A teraz dziewczyna znalazła się w tym samym pokoju podczas podobnej nocy. Po raz kolejny powierzyła się opiece tej kobiety... i zaufała jej osądowi.

Kiska odchrząknęła.

– Tego właśnie pragnęłam przez całe życie. Proszę. Pozwól mi coś zrobić.

Odwróciła wzrok, nie chcąc patrzeć ciotce w oczy. Bała się, że Agayla uzna ją za rozpuszczone dziecko. Nad miską unosiły się obłoczki pary. Jak to możliwe?

Agayla milczała.

– Ciociu... co to jest?

Kobieta spojrzała w dół i nagle znieruchomiła.

– Dobrzy bogowie – wyszeptła.

W parę chwil miska gorącej wody zamieniła się w półkulę parującego lodu leżącą tuż przy ogniu.

– Co tu się dzieje? – zapytała cicho.

Agayla wstała z krzesła z twarzą bez wyrazu i szeleszcząc spódnicami, podeszła do starego, zawalonego zwojami biurka.

– Proszę bardzo – zaczęła. – Muszę przyznać, że wolałabym zatrzymać cię tu wbrew twojej woli. – Obejrzała się przez ramię. – Ale wtedy nigdy byś mi nie wybaczyła, prawda?

Kiska skinęła głową, tłumiąc uśmiech i pragnienie rzucenia się Agayli do nóg.

Kobieta pociągnęła nosem, wyjmując zwój ze skrytki.

– Tak jest. Przez tyle lat siedziałś w tym zapomnianym zakątku imperium, pragnąc, by wreszcie coś się stało, a teraz dzieje się więcej, niż obie mogliśmy sobie wyobrazić. – Napisała na żółtym papierze jakąś wiadomość. – Mam dla ciebie zadanie, jeśli już koniecznie musisz coś zrobić, bo inaczej nigdy nie wybaczysz ani sobie, ani mnie.

Zwinęła kartę, zapieczętowała ją woskiem skapującym ze świecy i odcisnęła w nim swój pierścień.

– Proszę. – Przywołała Kiskę skinieniem. – Chodź tu. Zanieś to człowiekowi, którego nazywasz swoim celem. Kiedy już przeczyta list, zrób, co ci rozkaże. Hmmm?

Kiska schowała zwój pod koszulę.

– Dobra, ciociu. Bardzo ci dziękuję. Ale kim on jest? Gdzie go znajdę?

Agayla zbyła te pytania machnięciem ręki.

– Nie byłby zadowolony, gdybym ci powiedziała, ale jeśli ktokolwiek może dzisiejszej nocy zapewnić ci bezpieczeństwo, to tylko on. Znajdziesz go gdzieś po drodze stąd do Twierdzy Mocka. Jeśli wejdzie do twierdzy, zanim go dogonisz, nie idź za nim. Obiecujesz?

– Tak, ciociu, obiecuję.

Objęła czule Agaylę. Ciotka pachniała przyprawami.

- Dziecko... - ostrzegła Kiskę, odsuwając się od niej - ...możliwe, że potem nie będziesz mi dziękować. Wolałabym, żebyś tu została. Jednakże wplątałaś się w to w jakiś sposób, więc nie mogę ci przeszkadzać.

Kiska skinęła głową. Poprawiła spódnicę, kamizelkę i płaszcz. Dotknęła ostrożnie bandaża na szyi i przekonała się, że ból minął.

Agayła ujęła jej dłoń. Kiska uniosła wzrok i zauważyła z zaskoczeniem, że kobieta przygląda się jej uważnie. W ciepłym spojrzeniu ciotki dostrzegła również twardy błysk.

- Po ulicach krążą dziś istoty, które zmiażdżyłyby cię bez chwili zastanowienia. Jeśli spotkasz jedną z tych bestii, po prostu stań nieruchomo, jakby to było zwyczajne dzikie zwierzę. - Odetchnęła głęboko. - Powinna cię zignorować.

Teraz, gdy wreszcie mogła swobodnie wyruszyć na spotkanie księżycy Cienia, Kiska zaczęła się wahać. Przypomniała sobie wycie. Pazury zgrzytające na bruku. Powrócił strach.

- Tak, ciociu - odparła słabym głosem.

- Świetnie. Zanim pójdziesz, przygotuję dla ciebie parę rzeczy do zabrania - powiedziała Agayła i poprowadziła ją na front sklepu.

* * *

Hart dźwigał Kojca na plecach. Obute stopy oberżysty wlokły się po ziemi, zostawiając w błocie dwa ślady. Jedną z jego rąk weteran przerzucił sobie przez szyję, a drugą ściskał w lewej dłoni. W prawej dzierzył jeden z największych noży kuchennych Sallila. Kojec ważył sporo, ale Hart ignorował jego ciężar, skupiając się na obserwacji ulicy Tylnej oraz omijaniu zaścieniających zaułków odpadków. Świecił księżyc, co chwila przesłaniany przez niesione wiatrem chmury. Wyglądało na to, że droga jest wolna.

Ugiął nogi w kolanach i powłókł się przed siebie. Tłuste cielsko Kojca ocierało się o ściany zaułka po obu stronach, ale po chwili Hart

wyszedł na ulicę. Zatrzymał się pod pierwszymi drzwiami po prawej stronie. To było mieszkanie medyka.

– Foka – zawołał półgłosem. – Foka, otwórz...

Miastem wstrząsnęło ogłuszające wycie, które jakby dobiegało ze wszystkich ulic i wylotów zaułków. Hart zachwiał się i omal nie wypuścił piwowara.

– Do Kaptura z tym.

Weteran uniósł nogę, stęknął z wysiłku i kopnął drzwi, rozbijając framugę. Wpadł do środka, zrzucił Kojca na podłogę i pośpiesznie wstał z powrotem we framugę. Na kamiennym palenisku pod jedną ze ścian żarzyły się węgielki, ale poza tym wewnątrz oświetlał jedynie blask księżycy napływający przez szparę w rozbitych drzwiach. Wypatrzył krzesło i oparł je o drzwi.

– Nie ruszaj się! – usłyszał głos dobiegający gdzieś z góry za jego plecami.

Hart znieruchomiał, wpatrując się w drzwi. Uniósł rękę.

– To ja. Hart.

– Odwróć się!

Weteran wykonał polecenie. Wyteńczył wzrok i zdołał wypatrzeć w ciemności sylwetkę Foki. Medyk stał na szczycie schodów, odziany w nocną koszulę. W rękach trzymał ogromną arbaletę, opartą o poręcz na piętrze.

– To ja, do cholery! – warknął Hart.

Foka nawet nie drgnął.

– Widzę. Masz nóż. Skalecz się nim.

– Co?

– Skalecz się. W rękę, żebym to zobaczył.

– Nie mam czasu na...

Foka obniżył kuszę.

– Zrób, co ci mówię.

Leżący na podłodze Kojec jęknął i poruszył się ospale.

Hart zacisnął zęby i zaciął się w podstawę kciuka. Po dłoni i przedramieniu spłynęła krew.

– Widzisz? – zapytał, unosząc rękę.

Foka chrząknął i szedł kilka stopni niżej, nadal celując w weterana. Hart przyjrzał się archaicznej arbalecie obłęzniczej, ładowanej za pomocą mechanizmu blokowo-korbowego. To była jedna z najcięższych i najbrzydszych imperialnych broni obsługiwanych przez jednego żołnierza. Foka ledwie był w stanie ją unieść. Musiał się opierać o poręcz. Hart bał się, że w każdej chwili broń może wystrzelić sama. Miał wielką ochotę uskoczyć w bok, ale gdyby to zrobił, i w nim, i w drzwiach pojawiłyby się cholernie wielkie dziury.

– Ostrożnie... – wydyszał, czując ucisk w żołądku.

Wyraźnie zaskoczony Foka spojrzął na arbalecę i ją opuścił.

– Przepraszam.

Nawet nie była naładowana. Hart wypuścił z sykiem powietrze i pokręcił głową. Powinien był to zauważyć.

Medyk odłożył broń na stół i uklęknął przy Kojcu.

– Jest ranny?

– Nie – odparł ze śmiechem weteran. – Zemdlął ze strachu.

Foka podszedł do kominka, przytknął do węgielków szczapę drewna i zapalił od niej lampę.

– Co się stało?

Hart wyjrzał na ulicę przez szparę w opartych o framugę drzwiach.

– Niech on ci opowie, jak już się ocknie. Ja nie mam czasu. – Odwrócił się. – Masz jeszcze moje rzeczy?

Foka skinął głową. Czarne, kędzierzawe włosy opadały mu na twarz. Wskazał ręką za siebie.

– Są w magazynie.

– Dobra.

Hart przeszedł nad Kojcem.

– Zaczekaj, niech cię szlag. – Foka wskazał bezradnie na Kojca. – Pomóż mi go przenieść na ławę.

Hart odsunął z westchnieniem stół na bok i ujął oberżystę pod pachy. Foka wziął nieprzytomnego za nogi, dźwignęli go razem i zanieśli na jedną ze stojących pod ścianami ław. Foka odesłał Harta skinieniem dłoni i zabrał się do rozpinania fartucha piwowara.

Hart zapalił następną lampę oliwną.

– Dlaczego kazałeś mi się skaleczyć? – zapytał.

– Słucham?

Foka pochylił się nad głową nieprzytomnego, zaglądając mu w oczy.

Weteran uniósł zakrwawiony kciuk.

– Dlaczego kazałeś mi się skaleczyć w rękę?

– Duchy nie krwawią, Hart – odparł medyk, unosząc z uśmiechem głowę.

– Ta cholerna arbaleta nic by ci nie pomogła w starciu z duchem.

Foka wzruszył chudymi ramionami.

– I tak nie mogłem jej naładować.

– Na kły Fenera, Foka. Musisz nad sobą popracować.

Gdy Hart podszedł do drzwi magazynu, wydało mu się, że słyszy dobiegający z góry kobiecy głos. Medyk odpowiedział coś uspokajającym tonem.

W pomieszczeniu, za podróżnym kufrem, znalazł pakunek z rzeczami, których nie odważył się trzymać w pokoju. Był owinięty w płótno, długi na zasięg jego rozpostartych ramion. Postawił go na kufrze i rozpiął dwa skórzane pasy, którymi był owiązany. Rozchylił impregnowaną skórę i wydobyl dwa miecze, schowane w pochwach i przytroczone do pasów. Zawiesił je sobie na plecach, tak by wystawały zza ramion, a krótkie sztylety wsunął za pas po obu bokach.

Ponownie wsadził rękę za kufer i wyjął stamtąd drugie zawiniątko, wielkości ludzkiej głowy. Trzymając je w jednej ręce, rozchylił miękką skórę. W środku był hełm z poczernianej stali. Miał kolczy czepiec, zwi-

sający zeń jak wystrzępiona koronka, oraz długi nakarczek. Wizura w kształcie litery T oraz ciasne policzki patrzyły na Harta jak duch przeszłości, odcięta głowa jego drugiego ja. Oddech uwiązał mu w piersi. Przez długi czas nie odważył się nawet spojrzeć na ten hełm. W wyściełanym wnętrzu tkwiły dwie pancerne rękawice. Wszystko to pachniało potem, oliwą i zapewne również krwią. Niemalże słyszał szcęk bitwy i krzyki walczących. Potrząsnął głową, chcąc się uwolnić od uporczywych wspomnień, i wsadził hełm pod pachę. Uniósł lampę oliwną i prychnął pogardliwie na widok pikowanej muślinowej koszuli oraz skórzanej kamizelki, które miał na sobie. Będzie wyglądał jak idiota: uzbrojony po zęby człowiek w takim stroju i w hełmie na głowie!

Kiedy szedł na dół, usłyszał jęki Kojca. Oberżysta leżał na ławie z wilgotną szmatą na twarzy. Foka uklęknął przy murowanym kominku, dodając dREW do ognia. Nad płomieniami wisiał czarny sagan.

– Jaką truciznę tam warzysz? – zapytał Hart, kładąc hełm na stole.

Foka odwrócił się, spojrział na broń, którą obwiesił się weteran, a potem na hełm. Odpowiedź zamarała mu na ustach. Otrząsnął się, nie spuszczając wzroku z hełmu.

– To tylko krupnik. Jestem głodny.

Spojrzenie Harta również powędrowało w stronę stołu. Hełm wyglądał jak jakieś makabryczne trofeum. Weteran odchrząknął.

– Hmm, Foka, nie masz przypadkiem na składzie jakiejś zbroi?

Medyk zachnął się, grzebiąc w węgielkach.

– Chyba się nie wybierasz do miasta, co?

– Wybieram się – obruszył się weteran.

– Niemożliwe, żeby to było aż tak ważne, Hart.

– Nie wiem. Muszę się przekonać.

Foka uniósł rękę, wskazując kufer o żelaznych okuciach ustawiony pod tylną ścianą.

– Należała do mojego stryjecznego dziadka. Z okresu wojen granicznych między Gristem a Khemstem. To było dawno temu. Nie mam nic

innego.

Hart uniósł pokrywę.

– Na zęby Togga – wydyszał.

W środku znajdowało się mnóstwo zawiniątek, worków, a także fragmentów zbroi: kawałki kolczugi, nałokcice, nagolenniki z utwardzanej skóry wzmocnione stalowymi obręczami. Wybrał kirys oraz przeszywanicę, która wyglądała na wystarczająco długą, by sięgnąć mu do kolan. Składała się z przedniej i tylnej części, połączonych rzemieniami w ramionach i po bokach, a także łuskowych rękawów. Na skórzanej wyściółce, grubej niemal na jego kciuk i zmiękczonej przez lata używania, wspierała się wielowarstwowa, pełna łat płatanina złożona z kolczugi, kawałków kości, ćwieków i stalowych prętów. Od pasa w dół na skórę naszyto połączone ze sobą żelazne kółka. Hart podniósł ciężki strój i zagwizdał. Ten, kto wkładał coś takiego na bitwę, musiał być silny jak byk.

Przyjrzał się rzemieniom.

– Czy na północy nie słyszeli o kluciu sztychem?

– W tamtych czasach głównie się rąbali.

Skinął głową, przypominając sobie wszystko, co słyszał o trwających wiele pokoleń bratobójczych wojnach między pomniejszą gristańską szlachtą, z jej mnóstwem księstw, protektoratów, baronii i niezależnych majątków. Zaciągnął się na długo po tym, jak cesarz zagarnął te ziemie, jakby wsypał do kieszeni garść drobnych pieniążków.

Spojrzał Foce w oczy.

– Mogę to wziąć?

Medyk machnął ręką w geście zgody.

Hart zdjął pas i zaczął wciągać kirys. Kojec jęknął, zdjął szmatę z twarzy i spojrzał ze zdziwieniem na weterana.

– Co się stało? Co ty wyprawiasz?

– Dorwę tych złodziei, Kojec.

Hart zaczął się wciskać w przeszywanicę.

– Złodziei? Ale Trenech... a potem... – Kojec jęknął po raz drugi i zamknął oczy. – Niech nas Pożoga ma w opiece.

Foka uniósł brwi.

– Złodziei? – zapytał.

Hart wzruszył ramionami. Szarpał się właśnie ze sprzączkami u boku i przez chwilę medyk mógł tylko mu się przyglądać. Wreszcie podszedł do niego, odepchnął jego ręce i zapiął zrećnie pasy. Weteran przyglądał mu się z uwagą.

– Już to kiedyś robiłeś – zauważył.

Foka uniósł wzrok i zacisnął usta. Gniew w jego oczach zaskoczył Harta.

– Z reguły zdejmuję zbroję – wyjaśnił medyk. – A żołnierz leży na ziemi, tryska z niego krew i brak mu paru kończyn.

Hart przełknął ślinę, słysząc gorycz w jego głosie, nie powiedział jednak nic. Wreszcie Foka nałożył mu kirysy i klepnął go po plecach.

– Gotowe – oznajmił zjadliwym tonem. – Możesz już wstąpić do Żelaznego Legionu.

– Dziękuję – rzekł Hart.

Nie dbał o to, czy medyk się obrazi, bo był mu szczerze wdzięczny. Foka jednocześnie pochwalił go i zganił na swój szczególny sposób. Żelazny Legion był doborowym pułkiem ciężkiej piechoty, ale został wycięty w pień, gdy Kellanved najechał na niezależne wówczas królestwo Unty.

Gdy Foka służył jako medyk w armii malazańskiej, musiał być świadkiem naprawdę straszliwych wydarzeń, które spustoszyły jego duszę, jeżeli w tak młodym wieku nauczył się podobnie intensywnej pogardy. Po przybyciu do miasta Hart poznał młodego uczonego „Pod Wisielcem”. Często ze sobą rozmawiali. Choć Foka pragnął towarzystwa, był niecierpliwy i irytowało go wszystko, co miał do powiedzenia Hart. Co więcej, podczas służby w armii młodzieniec uzależnił się od pyłku otępiających d'bayańskich maków. Hart brzydził się tym nałogiem. W końcu się pokłócili i Foka przestał przychodzić do gospody. Weteran

miał nadzieję, że medyk będzie dziś przytomny, obawiał się jednak, że może tu zastać tylko oszołomionego nałogowca z idiotycznym uśmiechem na twarzy, wdychającego dławiący żółty dym i niedbającego o to, że całe miasto idzie do Kaptura.

Foka podszedł do stołu, ale nie chciał dotknąć hełmu. Nagle uśmiechnął się, a potem parsknął śmiechem.

– Pewnie jutro zwałą się do mnie tłumy pacjentów. Niespokojne bogate wdowy, którym trzeba uśmierzyć wapory i zdiagnozować choroby nerwowe. – Popatrzył na Harta i przeniósł wzrok na Kojca. – Nie pozwól, żeby coś ci się stało, bo moje usługi będą dla ciebie za drogie. – Rozciągnął usta w kwaśnym, autoironicznym uśmiešku.

Hart wziął hełm pod pachę.

– Przepraszam za te drzwi.

Foka zamknął oczy i wzruszył ramionami.

– Chyba już otworzę interes. Przyjdź potem i pokaż mi, co z ciebie zostało.

Hart odstawił drzwi na bok.

– Zrobi się. – Zasalutował w starym imperialnym stylu, unosząc pięść do piersi. – Dziękuję za zbroję. Unikaj tego cholernego dymu.

Foka westchnął i odwzajemnił salut.

Hart potruchtał Tylną w stronę Kamiennego Mostu położonego blisko bagnistego ujścia głównego koryta Malazu. W odległości trzech przecznic od gospody natknął się na ciemną plamę na bruku. Leżały tam wyprute trzewia. Zatrzymał się i wyczuł słuch. Noc była spokojna. Szum fal wydawał się dziwnie stłumiony, ale wiatr zawodził jak zwykle. Na okolicznych ulicach nie zauważył żadnych śladów przemocy. Przykucnął i przyjrzał się uważniej szczałkom. To były ludzkie wnętrzości, buchające parą w wilgotnym powietrzu. Czyżby tylko tyle zostało po Dzwonie, strażniku „Spod Wisielca”? Czy to była robota Ogara? Wyglądało to raczej na atak drapieżnego kota, takiego jak puma z Równin Seti albo śnieżny lampart z Gór Fennów w północnej Quon Tali. Ale z dru-

giej strony to cholerne ujadanie brzmiało tak, jakby wydobywało się z gardła bestii wielkiej jak bhederin.

Wstał i spojrzął na posępną ścianę urwisk oraz Twierdzę Mocka, która przycupnęła na nich jak czarna chmura burzowa. Nie było tam widać żadnych świateł, nie paliły się żadne ognie. Mogłoby się wydawać, że forteca jest martwa jak krypta. Hart był jednak przekonany, że w jej salach znajdzie rozwiązanie tajemnic, jakie przyniosła dzisiejsza noc. Miał przynajmniej taką nadzieję. Nie wiedział, gdzie indziej mógłby go szukać. Truchtał przed siebie. Dotarł już do centrum miasta.

* * *

Kiska zatrzymała się na progu, żeby uściskać Agayłę. Wydawało się, że trwa to bez końca. Wreszcie starsza kobieta odsunęła się, nadal zaciskając dłonie na ubraniu Kiski, i wpatrzyła się w ciemność. Przez pełną przerażenia chwilę dziewczyna myślała, że ciotka jej nie wypuści. Ponownie nawiedziły ją wizje życia zmarnowanego na maleńkiej wysepce, ciąglego krążenia po jej ciasnym terytorium. Gdy jednak starsza kobieta powiedziała: „Niech cię Pożoga ma w swej opiece”, myśli Kiski ponownie umknęły w noc. Pomachała ciotce na pożegnanie, ale myślami przebywała już na Przesmyku Cyrulika, wielkim, biegnącym z północy na południe bulwarze, który oddzielał stare miasto od nowego. Po paru chwilach przykucnęła w cieniu komina, czując pod stopami krawędzie wilgotnych dachówek, a za plecami ciepłe cegły, i przyjrzała się opustoszałym ulicom. Miasto robiło wrażenie wymarłego. Zamknięto wszystkie okiennice i wywieszono w oknach zasłony, by ukryć wszelkie oznaki życia. Księżyc spoglądał na to z góry drwiącym okiem.

Dziewczyna ścisnęła trzymaną na kolanach kuszę, starając się odnaleźć odwagę w jej ciężarze i trwałości. Minęła zaledwie kilka ulic, a już nie wiedziała, gdzie jest. To doświadczenie wstrząsnęło nią dogłębnie. Można by sądzić, że nagle znalazła się w innym mieście. Nie miała poję-

cia, w którą stronę pójść ani jak wrócić do punktu wyjścia. Mimo to ulice wydawały się jej niesamowicie znajome. Miała wrażenie, że znajduje się blisko miejsca, na które natrafiła podczas rozruchów spowodowanych przez zakaz uprawiania czarów wydany przez regentkę.

To było pierwszej nocy protestu, zanim zwykle tłumienie zamieszek przerodziło się w rabunki, podpalenia i wymuszenia, zanim Agayla zamknęła ją w domu. Kiska przyglądała się z dachu, jak niedoświadczeni żołnierze wpadają w szal, upojeni nagle zdobytą władzą. Zachowywali się jak portowe zbiry, a nieliczni weterani nie potrafili – albo nie chcieli – ich powstrzymać.

Odwróciła się wówczas, zniesmaczona tym widokiem, i oddaliła od brzęku tłuczonych witryn oraz huku pożarów, stąpając ostrożnie po dachach. Nagle jednak jej uwagę przykuł krzyk. W ciemnym zaułku trzech żołnierze dopadli starego mężczyznę, siwowłosego i chudego jak szczapa. Wyglądał na rybaka, jako że miał wytartą koszulę i spodnie z impregnowanej tkaniny. Bili go i kopali ze śmiechem, a on cały czas cofał się w głąb zaułka. Ten widok rozwścieczył dziewczynę. Bez chwili zastanowienia wyrwała z dachu największą dachówkę, jaką zdołała znaleźć, i cisnęła ją między żołnierzy.

Jeden z nich padł natychmiast na ziemię, trafiony ciężkim pociskiem. Jego towarzysze krzyknęli z zaskoczenia i uciekli z zaułka. Rybak oddalił się chwiejnym krokiem, a Kiska podbiegła do narożnika dachu i zeszła na dół po zakratowanym oknie. Trzymając się mocno krat, postawiła stopy na szczycie plotu, a potem zeszła na zaśmiecony bruk.

Żołnierz leżał nieprzytomny, być może nawet martwy. Jego koledzy zniknęli. Poszukała spojrzeniem staruszka, ale nigdzie go nie znalazła. Z pewnością się oddalił, kiedy złaźiła z dachu. Potrząsnęła głową i odwróciła się, żeby odejść, przekonała się jednak, że dwaj pozostali żołnierze nie uciekli tak daleko, jak się jej zdawało. Blokowali jedyne wyjście z zaułka. Mogła spróbować wspiąć się z powrotem na dach, nie sądziła jednak, żeby dali jej na to czas.

Nagle usłyszała kroki. Odwróciła się i oparła plecami o mur. Trzeci żołnierz wstał. Połowę twarzy miał zalaną krwią, a skórzany hełm był przekrzywiony. W jego ciemnych oczach gorzała wściekłość.

Kiska sięgnęła po noże, ale żołnierz przycisnął jej ręce do boków, obejmując ją z siłą niedźwiedzia.

– Chodźcie, chłopaki! – zawołał ze śmiechem. Przsunął okrwawioną twarz do jej twarzy, szukając ust. – To była korzystna zamiana – wyszeptał ochryple.

Przytrzymał ją jedną dłonią za nadgarstki, a drugą sięgnął do piersi, rozrywając koronkową koszulę, którą miała pod kamizelką. Koledzy zachęcali go głośnymi okrzykami, a ze wszystkich stron dobiegał ryk tłuszczy.

Kiska zamarła z przerażenia. Nagle uświadomiła sobie skalę zagrożenia. Jak mogła dopuścić do takiej sytuacji? Mało brakowało, by zaczęła błagać o łaskę, ale przypomniała sobie, czego uczyła ją Agayla. Ręce miała unieruchomione, odchyliła więc głowę maksymalnie do tyłu i z całej siły walnęła żołnierza bykiem. Ryknął z bólu i puścił ją, zataczając się do tyłu. Usunęła mruganiem łzy. Przed jej oczyma zatańczyły gwiazdy.

– Suka – warknął. Jego głos ledwie się przebijał przez krzyki i odgłosy walk.

Kiska usłyszała zgrzyt wyciąganej z pochwy stali. Potrząsnęła głową, ponownie zamruła i uderzyła na odlew gałką sztyletu. Trafiony w zranioną skroń mężczyzna zwałił się bez słowa na ziemię.

– Cholerna kurwa! – zawołał jeden z jego towarzyszy. Popędził ku Kisce, rozkładając szeroko ręce, by uniemożliwić jej ucieczkę.

Obserwowała go ze zdumieniem. Czy naprawdę sądził, że będzie próbowała zwać? Czy ten dureń nie widział, jak się mają sprawy? Że to on i jego kumpel powinni uciekać? Skuliła się, udając przerażenie, i mężczyzna natychmiast podszedł bliżej. Kopnęła go w krocze. Zgiął się wpół, wypuszczając z sykiem powietrze. Kiska odwróciła sztylet w dłoń i zdzieliła go gałką w skroń. On również runął na ziemię.

Dziewczyna spojrzała na ostatniego z żołnierzy. Stał bez ruchu, jego sylwetka rysowała się wyraźnie na tle blasku pochodni w wylocie zaułka. Podekscytowana, zdyszana Kiska skinęła nań, jakby chciała powiedzieć: „Teraz ty”. Czmychnął jak spłoszony królik.

Usiadła ciężko na brudnym bruku. Miała wrażenie, że hałas słabnie, podobnie jak pomarańczowożółta luna. Czuła, że wszystkie jej kończyny drżą. Nagle zgięła się wpół i zwymiotowała, po czym otarła usta ramieniem. Na niszczycielskie objęcia Pożogi! To było stanowczo za blisko, żeby tak ryzykować. Właściwie po co to zrobiła? Żeby uratować staruszkę przed skopaniem? Siedziała tam jeszcze przez chwilę, dręczona mdłościami i zła na siebie. Wreszcie wstała, schowała sztylety i wspięła się na płot. Poprzysięgła sobie, że ostatni raz w życiu narażała się dla kogoś innego.

A mimo to była tu teraz, choć ze strachu przebiegały ją ciarki. Miasto zmieniało się na jej oczach. Cienie wędrowały. Nieznane ulice i budynki pojawiały się nagle, by po chwili zamigotać, rozpląnąć się i ponownie zmaterializować w innym miejscu. Nawet dźwięki wydawały się dziwnie zniekształcone. Gdzie się podział szum fal? Kiska spędziła w porcie całe dzieciństwo i nie potrafiła sobie przypomnieć ani jednego dnia wolnego od miarowego pulsu morza. Teraz go nie słyszała. Zawsze dotąd potrafiła określić, gdzie się znajduje, dzięki zapachom i głosowi fal. Ale dzisiaj wszystko wyglądało inaczej. Nie była nawet pewna, gdzie jest droga do Twierdzy Mocka. Podobnie jak tamtej nocy sprzed kilku miesięcy podjęła większe ryzyko, niż się spodziewała. Wówczas jednak zaatakowano tylko jej ciało, teraz zaś odnosiła wrażenie, że stawka jest znacznie wyższa. Miała ochotę schować się tu jak jakiś przemoczony dzieciak, choć gardziła sobą za takie myśli. Nawet wizja idącego jej tropem Ogara nie skłoniłaby jej, żeby się stąd ruszyć.

Zamrugła i starła z twarzy lodowatą mgiełkę, obserwując rzadkie chmury, przemykające nad miastem jak gniewne ptaki. Wtem między budynkami po prawej przemknął sunący niżej obłok lśniący srebrzystym, opalizującym blaskiem. Opadając na ziemię, przybrał postać

ogromnego psa wyciągającego przed siebie przednie łapy. Po krótkiej chwili murami domów wstrząsnęło ogłuszające wycie. Kiska podskoczyła gwałtownie, jakby w jej plecy wbił się sztylet.

Wrzasnęła, głos dziewczyny zlał się w jedno z krzykami ludzi zamkniętych w mieszkaniach poniżej. Rzuciła się do ucieczki i przeskoczyła na sąsiedni dach, nie zważając na śliskie od deszczu dachówki.

Potem opadła na balkony na piętrze. Balansowała na rozklekotanych poręczach i skakała z jednej na drugą, by złapać się występu muru albo szczytu spiczastego dachu. Wspinała się po dachówkach, strącając je ze stukiem na ziemię, biegła po rozklekotanych wiatach pomiędzy budynkami i po płaskich, krytych cegłą albo kamieniem dachach gmachów rządowych. Wreszcie wspięła się na szczyt spiczastego dachu i przeskoczyła nad wąskim przejściem na świątynię poświęconą Fenerowi. Zaciśnęła urękawiczoną dłoń na wlocie rynny w kształcie głowy dzika, stęknęła z wysiłku, podciągnęła się, uklękła, wspierając ręce na kolanach, i zacerpnęła głęboko tchu.

Chyba nie pójdzie tu za nią? Znajdowała się na poświęconym gruncie. Była bezpieczna. Uniosła głowę i wyjrzała zza kamiennej półki. Cienie tańczyły w powietrzu jak niesione wiatrem zasłony. Dziewczynie zakręciło się w głowie. Odwróciła wzrok i odgarnęła włosy. Zapewne nic jej nie ścigało, ale lepiej tu nie czekać, żeby się upewnić.

Nagle z otwartego wyjścia wyłonił się jakiś mężczyzna. Kapłan Fenera z dziczymi kłami wytatuowanymi na policzkach. Uśmiechnął się na jej widok.

– Ach, więc to jest nasz straszliwy intruz.

Kiska zaczęła się oddalać.

– Stój! Zaczekaj!

Usłyszała, że kapłan idzie za nią, i weszła na kolejny kwiaton w kształcie głowy dzika. Wiatr szarpał jej mokrym ubraniem.

– Na krew Fenera, dziecko, nie rób tego!

Odbiła się z całej siły obiema nogami i złapała za brzeg dachu budynku naprzeciw. Uderzyła kolanem o kamienną elewację i omal nie

spadła. Podciągnęła się na górę, dziękując bogom za ciasną zabudowę miasta, a także za skąpstwo jego mieszkańców, którzy byli zbyt oszczędni, żeby wszystko zburzyć i zacząć od nowa.

Leżąc płasko na śliskim od deszczu dachu, zauważyła, że kapłan nadal się jej przygląda, marszcząc czoło. Wstała i pomachała do niego.

Staruszek przystawił dłonie do ust.

- Moje modlitwy będą ci towarzyszyć! - zawołał, przekrzykując wichher.

Raz jeszcze machnęła dłonią na znak podziękowania i pokuśtykała przed siebie, nie zważając na ból kolana.

Dotarła do końca dachu dwupiętrowego budynku i stanęła na jego szczycie, wciągając głębokie hausty zimnego, nocnego powietrza. Widziała w oddali laski i pagórkowate łąki, na których gdzieśgdzie wznosiły się ruiny zwane powszechnie Omszałymi Skałami.

Obejrzała się na dachy, które zostawiła za sobą. Jakaż była głupia! Wydawało jej się, że znajdzie bezpieczeństwo gdziekolwiek na dworze! Bogowie na górze. Dziś działała tu wielka magia, o jakiej jej się nawet nie śniło. To było jak w opowieściach o największych bitwach stoczonych przez imperium - klęska protektorki Heng zmiażdżonej przez malazańskich magów kadrowych; rozbicie legendarnej osłony wyspy Kartool; oblężenia Świętych Miast; czy walne bitwy toczone daleko za morzem, na kontynencie Genabackis.

Strach opadł powoli. Serce Kiski biło wolniej i zdołała zapanować nad oddechem. Miejsce trwogi zajęło podniecenie. Nigdy jeszcze nie czuła się tak podekscytowana. Jej kończyny przebiegało mrowienie, mięśnie rwały się do akcji. Czuła się silna, kompetentna. Nozdrza dziewczyny wypełniał zapach mocy i pragnęła ją zdobyć dla siebie.

Przyjrzała się porośniętym rzadkim laskiem błoniom. Być może wcale nie uciekała na oślep. Trafiła w odpowiednie miejsce. Między drzewami coś się kryło. Położyła się na brzuchu wzdłuż szczytu dachu i znieruchomiła na pewien czas, by obserwować wydarzenia. Na zagaj-

nik padało słabe światło księżyca. Aruskusy lśniły w tym monochromatycznym blasku, jakby płonęły.

Nagle coś się poruszyło... to, co brała za cienie gałęzi poruszających się na porywistym wietrze, przerodziło się w postaci przemykające od jednej kryjówki do drugiej. Odziani na szaro, podobni do duchów ludzie skradali się ku największemu z porośniętych mchem kamiennych wzgórz. Między gałęziami bliźniaczych wysokich cedrów coś rozbłysło, a potem zgasło – być może odbicie światła księżyca w polerowanym metalu.

Kultyści śledzili poprzednio jej cel, czemu więc nie mieliby robić tego dalej? W końcu ktoś jeszcze – poza nią – byłby na tyle głupi, żeby przebywać na dworze w taką noc? Kiska odwróciła się, by znaleźć drogę zejścia.

Przebiegła przejściem między budynkami, przedarła się przez gęste zarośla i znalazła w lasku, przemykając od drzewa do drzewa. Mniej więcej pośrodku błoni natknęła się na ciało. Odziana na szaro kobieta – członkini kultu Cienia – nie mogła być wiele starsza od Kiski. Zwłoki leżały na boku, wsparte o pień samotnego, bezlistnego dębu. Dziewczyna uklękła, by im się przyjrzeć. Szaty utkano z płótna wysokiej jakości. Były w nieładzie, co sugerowało, że ciało przeszukano. Kobiętę zabito szybko i profesjonalnie, jednym pchnięciem ostrza. Na jej podolku zebrała się kałuża krwi, która spłynęła czarnymi plamami na zawężone korzenie wystające z poszycia.

Kiska ujęła w urękawiczoną dłoń długie jasnorude włosy i uniosła głowę zabitej. Nie знаła jej, ale to o niczym nie świadczyło, jeśli organizacja rzeczywiście była tak tajna, jak twierdziła Agayla. Ofiara mogła równie dobrze przybyć tu z Wolnych Konfederacji, które ponoć leżały daleko na południu Genabackis.

Kiska puściła głowę i zauważyła plamę na piersi kobiety. Cienką bluzę ukrytą pod wierzchnimi szatami rozdarła. Rozchyliła ostrożnie tkaninę. Wysoko na piersi zabita miała tatuaż przedstawiający pazurzystą nogę jakiegoś drapieżnego ptaka, być może sokoła albo jastrzębia.

Kiska przyjrzała się temu znakowi, zastanawiając się nad jego znaczeniem. Agayla wspominała o Pazurze, organizacji będącej dawnym rywalem Szponu. Kiska nigdy przedtem o niej nie słyszała. Nagle wiatr przyniósł strugę deszczu i z włosów dziewczyny ściekły kropelki wody. Kiedy spadły na tatuaż, jego barwy się zamazały. Zafascynowana Kiska potarła znak dwoma palcami. Zamienił się w plamę barwnika.

Dziewczyna kucnęła. Proszę, proszę. Czyżby jakiś znak rozpoznawczy? Dlaczego akurat ptasia noga? Przyszły jej na myśl szpony, ale znała ich znak i on wyglądał inaczej. To była kolejna tajemnica tej wypełnionej nimi nocy. Zapamięta ją sobie i zbadą później. Dość już czasu tu zmitrzęła.

Dąb, pod którym położono ciało, wyrastał z luki między dwoma niskimi kamiennymi murkami, porośniętymi mchem tak gęsto, że wyglądały jak biegnące równolegle wzniesienia terenu. Być może kobieta strzegła tej trasy dlatego, że wiodła ona – o ile Kiski na zawodziła pamięć – do pagórka z kamiennych bloków, który powinien się znajdować po tej stronie głównej formacji. Kiska popatrzyła na drzewa i uświadomiła sobie, że niepokojący taniec cieni dobiegł końca. Noc była teraz zupełnie spokojna. Albo owe zjawiska występowały przelotnie, albo ta okolica była z jakiegoś powodu od nich wolna. Na przemian pochyłając się i czołgając, dziewczyna dotarła do muru, zza którego powinna zobaczyć zasadniczą część ruin. Oparła się o kamienną barierę, wzięła w garść, sprawdziła kuszę i wystawiła głowę nad jej szczyt.

Niemal natychmiast zauważyła człowieka, którego szukała. Siedział wsparty o kamień, nogi miał wyprostowane, a ręce skrzyżowane na piersi. Zsunął kaptur. Długi, czarny warkoczyk opadał mu na ramię. Uniósł smagłą, szczupłą twarz ku nocnemu niebu i skrzywił się. Wyrażenie nie spodobało mu się to, co zobaczył. Czterech strażników zajęło pozycje wokół niego. Dwaj przykucnęli za kamieniami, a dwaj stali pod kamiennymi kolumnami porośniętymi mchem i pnączami. Dalej, wokół starożytnego kamiennego wzgórza, czekali spowici w płaszcz

ludzie. Było ich co najmniej pięćdziesięciu. Nie ulegało wątpliwości, że zapędzili tu jej cel. A teraz czekali – ale na co?

Choć Kiska miała nałożone rękawice, potarła dłoń o udo, jakby chciała zetrzeć z niej pot. Z pewnością zamierzali odesłać tego mężczyznę do swego pana, tak jak próbowali zrobić to z nią. Teraz jednak najwyraźniej czekali na kogoś albo na coś... na jakiś znak. Przekląła swego pecha. Miała cel w zasięgu wzroku, a mimo to pozostał dla niej nieosiągalny, jakby nigdy go nie znalazła. Niech szlag trafi los i nieodpowiedzialne Bliźniaki. Spowodowały dzisiaj straszliwy zamęt!

Strażnik w futrzanej czapce, noszący długie wąsy typowe dla Seti, podszedł do ściganego przez nią mężczyzny i wskazał na północ. Na Twierdzę Mocka? Cel skinął głową, wstał, otrzepał luźne spodnie i otulił się szczelniej płaszczem. Strażnicy go otoczyli.

Niektórzy z kultystów poruszyli się nagle, zbliżając się ku kamiennej wyniosłości. Kiska naliczyła piętnastu. Chciała ostrzec mężczyznę, ale z pewnością już o tym wiedział. Spojrzała z powrotem na kamienny wzgórek i zamarła w bezruchu. Obok niego stało trzech wyjątkowo wysokich i chudych kultystów w jasnych szatach barwy popiołu. Skąd się wzięli, na tajemnice T'riss? Mogłoby się zdawać, że wyłonili się z nocy.

Jeden z nich uniósł niedbałym gestem urękawiczoną dłoń i kultystyści runęli do ataku.

Kiska przemknęła do kolejnej kryjówki, żeby nie stracić celu z oczu. Mężczyzna i jego strażnicy wycofywali się w zwartej grupce. Napastnicy ścigali ich z nożami w rękach. Płaszcze powiewały za nimi. Mężczyzna i jego towarzysze ustępowali w miarowym tempie, zostawiając za sobą trupy. Trójka dowódców, czy może kapłanów, obserwowała to z daleka. Kiska posuwała się równoległe do walczących, spoglądając na nich w przerwach między drzewami. Strażnicy ścierali się z napastnikami, a potem cofali ku osłanianemu mężczyźnie. Zdumiewały ją ich umiejętności.

Większa grupka ścigających zdecydowała się na skoordynowany atak ze wszystkich stron i każdy ze strażników musiał walczyć z więcej niż jednym przeciwnikiem jednocześnie. Kisce serce podeszło do gardła. To tego człowieka poleciła jej odnaleźć Agayla! To on miał, według słów Olega, coś zrobić dzisiejszej nocy! A teraz otoczyli go skrytobójcy i nie mogła w żaden sposób mu pomóc. Spóźniła się! Omal nie krzyknęła z powodu frustracji.

Dwaj strażnicy padli na jej oczach i kultyści rzucili się na jej cel. Mężczyzna skinął nagle dłonią i Kiskę oslepił niespodziewany rozbłysk. Gdy pocierała powieki, przetoczył się nad nią grom. Ponownie spojrzała na ściganych. W miejscu, gdzie przed chwilą kłębiło się około dziesięciu walczących ze sobą postaci, teraz zostały tylko trzy: jej cel i dwóch jego ocalałych strażników. Wszyscy spoglądali na trzech wysokich kultystów.

Ten, który stał pośrodku, uniósł rękę, jakby chciał zerwać blokującą mu drogę pajęczyny.

Dwaj pozostali zamarli w bezruchu.

Szeregowi kultyści czekali na rozkaz, ściskając w rękach broń.

Choć Kiska nie zaliczała się do talentów, wiedziała, że potrafi wyczuć podobne sprawy. Mimo że od obu mężczyzn dzieliło ją jakieś sto jardów, była świadoma gromadzącej się między nimi mocy. To było tak, jakby siedziała głęboko pod pokładem statku, wiedząc, że tuż obok niej kłębią się mroczne, niepojęte siły, zdolne zmiażdżyć kadłub i pochłonąć ją w jednej chwili. Wstrzymała oddech, czekając na najdrobniejszy ruch, który mógł uwolnić narastającą między nimi energię.

I nagle usta zatkała jej dłoń w szorstkiej skórzanej rękawicy. Ktoś otoczył ramieniem jej talię i uniósł ją nad ziemię.

Kiska wypuściła z rąk kuszę, wrywała się i wierzgała. W tym samym czasie wyciągnęła jednak prawą dłonią swój najmniejszy nóż. Gdy tylko sztylet wysunął się z pochwy, napastnik szarpnął gwałtownie głową dziewczyny. Przed jej oczyma pojawiły się gwiazdy, a wzdłuż kręgosłupa przebiegł bolesny prąd.

– Rzuć to, dziewczyno – warknął cicho napastnik. – Bo skręcę ci kark jak gałązkę.

Odrętwiała Kiska wypuściła sztylet z palców.

Mężczyzna przerzucił sobie bezwładną ofiarę przez ramię. Jej serce biło jak szalone. Nieznajomy poniósł ją z powrotem wzdłuż równoległych murków. Minęli zwłoki kobiety i Kiska pomyślała, że to z pewnością on ją zabił. Przeklęła siebie za to, że nie przyszło jej do głowy, że morderca może nadal być w pobliżu. Oddalali się od ruin. Cały czas nasłuchiwała, ale nie dotarły do niej odgłosy walki. Gdy mężczyzna wszedł do gęstszego lasu, dołączyło do niego dwóch następnych. Trudno było określić, czy to żołnierze, czy zwykłe zbiry, ale zachowywali się z dyscypliną typową dla weteranów. Jeden spojrzął na nią i wyjął zza pasa czarną płachtę. Ten, który ją niósł, zdjął dłoń z jej ust.

– Cicho – ostrzegł.

Nim Kiska zdążyła cokolwiek zrobić, zakneblowali ją i zarzucili na głowę czarny worek. Dopiero wtedy spróbowała krzyknąć, ale było już za późno. Szarpała się, gdy związali jej ręce z przodu, a potem nogi w kostkach.

Mężczyzna ponownie przerzucił ją sobie przez ramię i ruszył truchtem przez las. Kiska przestała się opierać, mimo że była oburzona tak haniebnym traktowaniem.

Myliła się co do jednego. Ktoś inny również okazał się na tyle głupi, by przebywać dziś na dworze. A ona była tak zaabsorbowana obserwacją walki, że zupełnie zapomniała o ostrożności.

Pomyślała z niesmakiem, że w pełni zasłużyła na wszystko, co ją spotka.

* * *

Po długiej wędrówce Kiskę wniesiono do pokoju i zwalono na krzesło – z taką siłą, że aż zabolęło ją biodro. Dziewczynę otoczyli mruczący coś pod nosem mężczyźni. Przeszukali ją, zabierając sztylety i strzałki do

rzucania. Śpieszyło im się jednak i przeoczyli jeden nóż ukryty w fałdzie kołnierza płaszcza. Niecierpliwe dłonie wsuwały się do rękawów, obracały jej ręce na wszystkie strony, rozchyliły kaftan i kamizelkę z wyściółką, a potem rozwiązały troki lnianej koszuli. Gdyby Kiska nie była zakneblowana, roześmiałaby się w głos. Świetnie wiedziała, czego szukają. Tatuazy – prawdziwych bądź fałszywych – przedstawiających szpon albo uciętą ptasią nogę.

Nie znalazłszy ich, doprowadzili jej ubranie do porządku.

– Cholerni durnie – usłyszała tuż obok męski głos.

Zdjęli jej worek z głowy, a potem wyjęli knebel. Kiska zamrugiała i potrząsnęła głową, by odrzucić włosy z oczu. Ujrzała przed sobą zylatego mężczyznę o szerokich barach. Jego ogorzałą twarz pokrywała zdumiewająca siatka blizn po poparzeniu ługiem albo wrzącym olejem.

Nieznajomy odsunął się i spojrzał w stronę stołu, przy którym siedział, trzymając nogi na krześle, człowiek, który ją pojmał. Kiska poznała go po skórzanej kurcie z szeregiem żelaznych rombów oraz prostym hełmie z poczernianego żelaza. Cienkie wąsy opadały mu poniżej podbródka, a liczne blizny zamieniły jego nos w bezkształtną bryłę. Mężczyzna wzruszył ramionami.

– Kazałeś mi kogoś capnąć. Dorwałem jedną z tych w szarych szatach, ale było z nią za dużo kłopotów. Potem złapałem tę. Gapiała się na walkę.

Znajdowali się w gospodzie. Kiska ją rozpoznała: „Pod Księżycem Południa”. Przebywający tu ludzie przypatrywali się jej obojętnie albo wyglądali przez okna i drzwi. Naliczyła około czterdziestu.

Mężczyzna o poparzonej twarzy spojrzał na nią.

– No dobra. Jak brzmi twoja opowieść? Dla kogo pracujesz?

– A ty dla kogo?

Uderzył ją w twarz, tak silnie, że poczuła się, jakby oberwała w szczękę żelazną sztabą. Usunęła mruganiem łzy i potrząsnęła głową, zszokowana raczej jego obojętną brutalnością niż bólem.

Przyjrzał się jej z mrozącym krew w żyłach spokojem, oceniając skuteczność ciosu. Nagle coś odciągnęło jego uwagę. Chrząknął i odwrócił wzrok. Zza pleców Kiski wyszła kobieta. Była niska i ciemnowłosa, a od jej czoła do koniuszka nosa biegł tatuaż złożony z cieniutkich linii i spiral. Uniosła podbródek Kiski, niemal identycznym ruchem jak wcześniej uczyniła to Agayla. Kiska już kiedyś widziała tę kobietę. Carla? Catin? Nieznajoma wyduła wargi i skinęła głową, jakby ona również ją poznała. Dziewczyna zauważyła z przerażeniem, że w oczach nowo przybyłej rozpoznanie ustąpiło miejsca żalowi. Zrozumiała, że nie ujdzie z tego z życiem. Zdjęcie worka z głowy oznaczało dla niej wyrok śmierci.

Gdy kobieta już się odwracała, jej spojrzenie padło na piersi Kiski. Wyciągnęła rękę i dotknęła koniuszkami palców zwiniętego listu Agayli. Kiska zerknęła jej błagalnie w oczy. Kobieta również na nią popatrzyła. W jej oczach malowało się zrozumienie, lecz również litość, jakby Kiska była już trupem. Podeszła do siedzącego za stołem mężczyzny.

– To miejscowy talent – oznajmiła cicho. – Jest niezależna. Składa meldunki tylko Pellowi.

Mężczyzna wzruszył ramionami, jakby przestało go to już obchodzić. Przesunął palcem po leżącej na stole mapie.

– Pójdziemy okrężną drogą. Zignorujemy tę bandę.

– A co, jeśli znowu na nich wpadniemy?

Mężczyzna spojrział na nią z typową dla siebie obojętnością.

– Twoim zadaniem jest dopilnować, żebyśmy nie wpadli.

Więzy wpijały się w nadgarstki Kiski. Dziewczyna pragnęła powiedzieć coś na swą obronę, błagać, grać na zwłokę... cokolwiek... ale słowa uwięzły jej w gardle. Intuicja podpowiadała jej, że jeśli się odezwie, zabiją ją od razu, żeby mieć spokój. Milczała więc, koncentrując się na słuchaniu. Co planowała ta banda? Rabunek pod osłoną panującego dziś chaosu? Jeśli tak, to co mieli z tym wspólnego kulturyści? Czy doszło do starcia między tymi dwiema grupami?

Kobieta ponownie na nią spojrzała, zaczerpnęła tchu i wyszeptwała coś do ucha poparzonemu mężczyźnie. Ten uśmiechnął się w odpowiedzi, rozciągając zaciśnięte usta w grymasie całkowicie pozbawionym wesołości.

– Robisz się miękka? – zapytał, nie unosząc wzroku.

Kobieta poprawiła kamizelkę i spojrzała na Kiskę, lekko wzruszając ramionami, by pokazać jej, że zrobiła, co mogła. Choć mężczyzna właśnie skazał ją na śmierć, dziewczyna odpowiedziała płytkim ukłonem. Strach nie ścisnął już jej gardła. Chciało jej się płakać. To śmieszne, ale powstrzymało ją coś, o co nigdy siebie nie podejrzewała: duma.

Mężczyzna zwinął z chrzęstem mapę i wręczył ją jednemu z podkomendnych. Potem skinął na swych ludzi, rozkazując im podejść bliżej. Kiska naprężyła mięśnie, oddychając płytko. Wychodzili stąd, a ona z nimi nie pójdzie.

Poparzony mężczyzna powiedział coś do czterech podwładnych. Jednym z nich był ten, który ją pojmał. Byli starsi od pozostałych, sprawiali też wrażenie twardszych i spokojniejszych. Kiska wiedziała, że nie dyskutują o niej. Jej los był już przesądzony.

Stojący przy frontowym oknie młodzieniec pisnął nagle i odskoczył od ściany.

– Spłodzony przez Kaptura duch! Cień! Pod drzwiami!

Dowódca i otaczający go ludzie przystąpili do akcji bez słowa rozkazu, potwierdzając przekonanie Kiski, że są weteranami, być może oddziałem imperialnej piechoty morskiej.

Ten we wzmocnionej żelaznymi rombami kurcie wyciągnął dwie krzywe szable i podszedł do drzwi. Uderzeniem łokcia odepchnął na bok młodszego najemnika, który stał tam na straży. Dwaj weterani ukłękli naprzeciwko wejścia, mierząc w nie z kusz. Reszta żołnierzy zajęła pozycje z tyłu, razem z dowódcą i kobietą. Wszyscy czekali w napięciu, spoglądając na drzwi. Kiska, która siedziała na krześle ustawionym w głębi pomieszczenia, przy prowadzących do piwnicy schodach, rów-

niez na nie patrzyła. O dziwo, ona też wyczuwała czyjąś obecność, jakby coś cicho drapało w drzwi.

Jeden z mężczyzn, zapewne najemnik, opuścił posterunek przy bocznych drzwiach, minął Kiskę i podszedł do dowódcy.

– Co to? – zapytał szeptem.

Poparzony mężczyzna przeszył go pełnym wściekłości spojrzeniem i nakazał gestem wracać na miejsce.

Weteran stojący pod drzwiami przykucnął i obejrzał się na kobietę. Gdy ta skinęła głową, uśmiechnął się jak szaleniec i otworzył szeroko drzwi.

Za nimi była pusta ulica, mokry od deszczu bruk i ledwie widoczne za zasłoną cieni i mgły Błonia Omszałych Skał po drugiej stronie. Żołnierz wystawił głowę, ale nagle schował ją z powrotem i odsunął się trwożnie od wejścia.

Na drzwi padło światło, tworząc niespokojny deseń cieni i fosforescencji. Kobieta podeszła bliżej i przyjrzała się temu wzorowi. Po paru chwilach wróciła na miejsce.

– I co? – zapytał dowódca.

Zacisnęła i otworzyła dłonie, jakby chciała coś z nimi zrobić, ale brakowało jej odwagi.

– To przekłete przez Kaptura zaproszenie. Wezwanie. Musimy ruszać. Natychmiast!

– Nie mam nic przeciwko temu.

Rozkazał swoim ludziom odsunąć się od drzwi, a potem dał ręką znak.

– Ruszamy! – ryknął żołnierz w nabijanej rombami przeszywanicy. Ci, którzy stali pod oknami i przy stołach, popatrzyli niepewnie na niego, a potem spojrzeli na ulicę. – Tak jest, kochaniutcy – oznajmił mężczyzna tonem tak radosnym, jakby wybierał się na letnią wycieczkę. – Prosto w paszczę niebezpieczeństwa!

Kiska wbiła w niego wzrok. Czyżby oszalał?

Sierżant – bo doszła do wniosku, że taki ma stopień – wsparł pięści na biodrach i rozejrzał się po izbie, jakby nagle poczuł obrzydliwy smród.

– Ruszać...

Nocą wstrząsnęło wycie głośnie jak dźwięk największego z świątynnych dzwonów, tak bliskie i potężne, że ściany i podłoga gospody zdrząły. Kiska wzdrygnęła się gwałtownie. Krzesło podskoczyło i omal nie przewróciło się razem z nią. Wszyscy znieruchomieli, wybałuszając oczy. Tylko dowódca i kobieta zachowali zimną krew.

– Zamknijcie te cholerne drzwi! – rozkazał dowódca.

Sierżant chciał wykonać rozkaz, ale kiedy złapał za klamkę, znieruchomiał, wpatrując się w ulicę.

– Demony samego Kaptura – wydyszał przerażony.

Kiska nie widziała ulicy z miejsca, gdzie siedziała, zobaczyła jednak, jak młody najemnik stojący przy oknie, wrzasnąwszy przeraźliwie, zwymiotował. Dowódca wyciągnął miecz. Sierżant zatrzasnął z całej siły drzwi i uskokzył w bok.

– Przygotować kusze! – ryknął.

Ludzie chwycili za broń.

W tej samej chwili drzwi eksplodowały do wewnątrz. Drzazgi posypały się na boki jak odłamki szkła. Ogar wsunął do pomieszczenia łeb i bark. Był większy, niż Kiska sobie wyobrażała, wielki jak muł. Pokrywała go kosmata sierść w jasnobrązowe i szare cętki. Bestia pokręciła głową z boku na bok, jakby chciała przyjrzeć się wszystkim uważnie, najpierw jednym okiem, brązowym, a potem drugim, jasnoszarym. Zasypał ją deszcz bełtów, ale wszystkie wbijały się we framugę albo rykoszetowały od skóry. Ogar napreżył mięśnie kłębu, wciskając się do środka. Framuga pękła po obu stronach.

W izbie rozległy się krzyki. Meble się łamały, warczenie i pokasywanie Ogara brzmiało jak eksplozje. Pomieszczenie wypełnił wilgotny oddech bestii. Niektórzy ludzie atakowali ją mieczami, ale nie przyniosło to efektu. Większość próbowała uciec przez okna albo chowała się

pod stołami. Dziewczyna przewróciła krzesło i rzuciła się na podłogę, akurat na czas, by zobaczyć, że dowódca uciekł na piętro. Kobieta zdążyła już zniknąć. W odległości kilku stóp od Kiski sierżant złapał jednego z najemników za przeszywanicę i cisnął nim prosto w Ogara, po czym wyskoczył na zewnątrz przez zamkniętą okiennicę. Dziewczyna sięgnęła za plecy, wyciągnęła ukryty w kapturze nóż i zaczęła wściekle piłować krępujące jej nogi więzy, dziękując bliźniaczym bogom przy-padku, że ręce związane jej tylko w nadgarstkach.

Przetoczyła się pod stołem, docierając do boksu. Potwór szalał w sali, uderzał na lewo i prawo, zwalając ludzi z nóg. Złapał jednego z mężczyzn w pasie i podrzucił jak kość. Krew spryskiwała otynkowane ściany i smołowane belki, brocząc potężne łapy Ogara, który kroczył z łoskotem po pokrytych słomą deskach podłogi. Warcząca niczym kamienna lawina bestia przechodziła nad przewróconymi stołami, wiskając zakrwawiony pysk do boksów. Gdy podeszła bliżej, Kiska poczuła jej gorący, cuchnący oddech.

Leżąca bez ruchu dziewczyna zauważyła, że trzech mężczyzn trzyma się jeszcze na nogach. Jeden z nich przycupnął w boksie naprzeciwko, dysząc szybko i ochryple. Gapił się na Ogara, nieruchomy i przerażony. Drugi lkał przy drzwiach, próbując naładować kuszę. Trzeci był weteranem. Wcisnął się w kąt izby, unosząc przed sobą krótki miecz.

Warczenie ucichło. W gospodzie zapadła cisza. Wtulona w podłogę Kiska zobaczyła, że okrwawiona łapa zatrzymała się przed jej boksem. Pazury bestii wyrywały drzazgi z twardego drewna podłogi. Dziewczyna nie mogła się ruszyć ani oddychać. Nie byłaby w stanie krzyknąć, nawet gdyby chciała. Powietrze wypełnił korzenny zapach pustyni. Kiska wyobraziła sobie, że ogromny pysk zawisł nad nią i opuszcza się powoli. Zacisnęła powieki i objęła głowę rękami.

W pobliżu ktoś kaszlnął. Bestia się odwróciła. Drewno pękło z trzaskiem, potem Kiska usłyszała wilgotny chrzęst miażdżonych kości. Wyjrzała na zewnątrz i zobaczyła, że Ogar uniósł błyszczący od krwi pysk znad ciała, spoglądając na człowieka z kuszą. Ten wyczuł uwagę bestii

i znieruchomiał. Jego oczy stały się nagle ogromne. Ogar rzucił się do ataku, zacisnął zęby na ramieniu mężczyzny i potrząsnął nim gwałtownie. Rozległ się głuchy chrzęst, oderwane od ręki ciało poleciało w górę i lupnęło mocno o kolumnę.

Drugi mężczyzna – młodzieniec – łkał przerażony. Nagle padł na kolana i pochylił głowę. Ogar warknął.

– Kellanvedzie! – zawołał młodzieniec. – Ratuj mnie! Wzywam twojego imienia!

Kiska przypomniała sobie o więzach i znów zaczęła rozpaczliwie piłować. Po chwili uwolniła nogi. Ledwie zdając sobie sprawę, co robi, odwróciła nóż w dłoniach i zaczęła dźgać nim rozpaczliwie sznur krępujący nadgarstki.

Na drugim końcu sali rozległo się skrobanie pazurów. Ogar wyskoczył w górę, jak wyrzucony z katapulty, i zacisnął szczęki na głowie mężczyzny. Kości pękły z trzaskiem. Z paszczy bestii popłynęła krew i wypadły kawałki ciała. Monstrum podrzuciło łbem, ciskając na bok bezgłowe ciało. Trup zatrzymał się nieopodal boksu Kiski, brocząc krwią podłogę. Dziewczyna poczuła podchodzący do gardła smak żółci.

– Staruszek chyba go nie usłyszał – wycedził weteran, mącąc ciszę, która nagle zapadła. Potem odrzucił na bok miecz i został z pustymi rękami.

Ogar spojrzał na niego. Kiska również wlepiła spojrzenie w młodzieńca, zafascynowana jego spokojem. Z torby u pasa żołnierz wyciągnął okrągły przedmiot wielkości dużego owocu, ciemnozielony i błyszczący. Spojrzał Kisce w oczy i wskazał głową tylne schody.

Pokazał przedmiot Ogarowi.

– Zostało tylko nas dwóch, chłopcze.

Dziewczynie zaparło dech w piersiach. Słyszała opowieści... Rzuciła się ku krótkim schodom wiodącym do pomieszczenia na dole, przetoczyła się, wstała i zaczęła bieć. Wpadła po ciemku na stół i zatrzymała się, nie mogąc złapać tchu. Wyprostowała się z wysiłkiem, rozejrzała

wokół i zobaczyła pod jedną ze ścian snop księżycowego blasku padający na schody dla służby.

Z góry dobiegł krzyk mężczyzny, pełen furii i nienawiści. Kiska dotarła do schodów, otworzyła kopniakiem zaryglowane drzwi spiżarni i wypadła na zewnątrz, ale natychmiast potknęła się i runęła na żwirowaną ścieżkę, uderzając się w bark i w kolano. Gdy leżała półprzytomna na ziemi, potężna eksplozja światła i gorąca wyrwała z jej brzucha jęk bólu. Płomienie osłepiły dziewczynę. Nad jej głową przelatywały drzazgi oraz większe, płonące fragmenty. Usłyszała przeciągłe wycie bólu, które umilkło w oddali. Ogar uciekł, być może w poszukiwaniu wody.

Kiska nie zwracała już uwagi na odniesione rany, jakby jej przecięzione nerwy przestały funkcjonować. Wstała i pokuśtykała zaułkiem przed siebie. Wiedziała, że nawet gdyby miała złamany kręgosłup, i tak odczołgałaby się z tego miejsca przerażającej rzezi. Ruiny gospody płonęły jasno za plecami dziewczyny, oświetlając jej drogę między trawionymi ogniem szczątkami.

* * *

Hart usłyszał nagle nieartykułowany krzyk, który niósł się echem w labiryncie zaułków po prawej. Stał jak wryty. To była młoda kobieta. Wrzeszczała przeraźliwie, jakby coś zagrażało jej duszy. Wbił wzrok w mroczne wyloty uliczek. Z cieni wybiegła dziewczyna w ciemnym ubraniu. Długie czarne włosy przesłaniały jej twarz.

Zawahala się na jego widok.

– Proszę, pomóż mi! – zawołała wreszcie. – Proszę.

Przywołał ją skinieniem dłoni.

– Jesteś ranna, dziecko? Gdzie mieszkasz? Blisko?

Rzuciła mu się w ramiona, nie więcej niż skóra i kości w jego uścisku. Załkała pełnym przerażenia głosem.

Weteran wbił wzrok w ciemność za jej plecami.

– O co chodzi?

Złapała go jedną ręką za ramię i wtuliła twarz w jego bark. Przyciągnęła ją bliżej.

– Co się stało, dziecko?

Szyję przeszył mu nagły ból. Ręka nieznajomej owinęła się wokół niej z siłą imadła, a jej nogi poruszyły się gwałtownie, krzyżując się za jego plecami. Hart zataczał się od ściany do ściany, próbując oderwać głowę dziewczyny od szyi.

– Co to, na przekłętą Ricktera?

Dziewczyna odchyliła głowę. Spojrzały na niego czarne oczy. Uśmiechnęła się chytrze, odsłaniając ostre jak igły zęby.

Hart złapał ją ręką za szyję tuż poniżej zuchwy.

Uśmiechnęła się jeszcze szerzej.

– Chyba nie wygonisz mnie samej w taką noc, szlachetny panie?

Hart wolną ręką wyciągnął lewak i spróbował ją pchnąć, ale dziewczyna złapała go za nadgarstek i wykręciła mu kończynę. Zawył z bólu. Szarpał się gwałtownie, ale w końcu nóż wypadł mu z odrętwiałej dłoni.

Padł na ziemię i spróbował się przetoczyć, ale ona wciąż była nad nim. Przywarła do niego niczym całun. Hart spojrzał w dół i zobaczył z przerażeniem, że to już nie dwie nogi wyciskają mu dech z piersi, ale pojedyncza, węzowata kończyna, która owinęła się wokół niego od piersi aż do kolan. Ucisk miażdżył mu żebra. Pokrywające ją łuski lśniły w blasku księżyca. Krzyknąłby, gdyby tylko mógł zaczerpnąć tchu. Nadal odpychał jej głowę od swej szyi, ale ramię i dłoń bolały go coraz bardziej. Twarz dziewczyny zbliżała się, cał po cał. Rozchyliła usta, odsłaniając maleńkie, ząbkowane kły. Jej oczy drwiły z jego wysiłków.

Zdołał jakoś zaczerpnąć odrobinę powietrza.

– Na pomoc! – zawołał.

Zachichotała dziewczęco.

– Dziś nikt ci nie pomoże. Ta noc należy do łowców Cienia. Czy nie słyszysz zewu ich głodu? – Przynęła się bliżej, przytrzymując dłonią

jego kark. – A teraz pokażę ci mój głód. To będzie znacznie przyjemniejsze od ich głodu. Obiecuję.

Mimo że Hart odpychał ją ze wszystkich sił, jej przetłuszczone włosy muskały już jego twarz. Jego własna krew skapywała z jej ust na jego policzek, parząc go, jakby się obróciła w kwas. Z ust istoty wydobył się wilgotny syk. Hart odsunął twarz tak daleko, jak tylko zdołał.

Wtem stworzenie warknęło z wściekłości. Ciało istoty przesunęło się gwałtownie, a włosy uniosły się nad twarz weterana. Hart spojrział w tamtą stronę. Ktoś zacisnął dłoń na włosach napastnika i odciągnął jego głowę od ofiary. Stwór syczał, wił się i warczał. Jego szyja odginała się do tyłu pod niewiarygodnym kątem, a oczy gorzały złowrogą furją. Wtem pojawiła się klinga, wyszczerbiona i przeżarta rdzą. Przypominająca raczej stary żelazny pręt niż miecz broń wbiła się w blade ciało w odległości kilku cali od twarzy Harta i oderżnęła głowę od ciała nierównym, poszarpanym cięciem, jakby przecinała zgniły owoc. Na niedoszłą ofiarę chlusnęła cuchnąca, gorąca krew. Ciało stworza miało się spazmatycznie, jego ręce okładały weterana, a węzowa kończyzna tłukła o kamienną nawierzchnię.

Hart rzucił się w bok, wycierając policzki i oczy gorączkowymi ruchami dłoni. Skażona krew parzyła jak trucizna.

– Bogowie! O bogowie!

Dźwignął się na kolana i zwymiotował. Potem otarł usta i osunął się na ziemię, z rozkoszą oddychając głęboko.

Jego zbawca przystanął nad zaszlachtowanym stworzeniem. Bezgłowe ciało nie przestawało drgać. Jak pijawka, pomyślał Hart i o mało znowu się nie porzygał. Wstał powoli i splunął, żeby sobie przeczyszczyć usta.

– Dziękuję, nieznajomy.

Mężczyzna nie odpowiedział. Hart przyjrzał się mu w migotliwym blasku księżyca i pomyślał, że być może wpadł z deszczu pod rynnę. Jego zbawca nie żył już od dawna. Był chodzącym, z mumifikowanym trupem odzianym w resztki zbroi. W wyschniętych ustach szczyrzyły się

żółte zęby, a oczodoły były ciemnymi dziurami. W jednej ręce trzymał odciętą głowę o czarnych włosach zlepionych krwią.

– Obrzydliwe pasożyty – stwierdził stwór głosem suchym jak szelest przesypującego się piasku. Cisnął głowę na bruk, aż potoczyła się pod pusty wózek ulicznego handlarza.

Hart oderwał wzrok od miejsca, w którym zniknęła.

– Ehe. Cholernie obrzydliwe.

– Nie sądzę, proszę, że należę do Cienia. Są tu intruzami. Tak samo jak ty.

– Jak ja? – Hart przyjrzał się istocie. Przypominała wojownika Imas-sów, choć była wyższa i szczuplejsza. Zastanawiał się, dlaczego go uratowała. – Komu mam dziękować za ocalenie życia?

Istota pochyliła głowę w płytkim ukłonie. Wyschnięte ciało zatrzęs-czało jak garbowana skóra.

– Nazywam się Chodzący po Krawędzi.

– Hart. I co teraz?

Chodzący po Krawędzi wskazał szkieletową dłonią na stojące wzdłuż ulicy sklepy.

– Lepiej schowaj się gdzieś w środku. Do domów nikt nie powinien wtargnąć.

– Przykro mi, ale nie mogę tego zrobić.

Istota wzruszyła ramionami.

– W takim razie życzę ci więcej szczęścia.

– Serdecznie dziękuję.

Hart oddalił się. Tajemnicza istota pozostała na miejscu. U końca ulicy weteran odwrócił się, by spojrzeć na nią raz jeszcze, ale już jej nie było. Teraz z kolei on wzruszył ramionami i skierował się ku pobliskiej publicznej studni. Musiał zmyć z siebie plugastwo.

Hart zatrzymał się pod zrujnowaną fontanną poświęconą Poliel i wylewał sobie na głowę kolejne wiadra lodowatej wody. Potem potruczał Szlakiem Toca, ale po krótkiej chwili zwolnił i się rozejrzał. Czy nie powinien już trafić na Kamienną? Wbił spojrzenie w gęstsze plamy ciemności. Szeregi domów mieszkalnych i witryn sklepowych nie wyglądały znajomo. Dzisiejsza noc w jakiś sposób oszukiwała jego zmysł orientacji. Nie był nawet pewien, którędy przed chwilą przechodził.

Zdjął hełm, odgarnął mokre włosy i starł z twarzy resztki zimnej wody. Czyżby skręcił w niewłaściwą uliczkę? Ale w którym miejscu? Kręta droga wiodła między tylnymi ścianami sklepów i domów mieszkalnych. Nie było tam żadnych przerw. Nagle poczuł świeży powiew i usłyszał skrzypienie niezliczonych konarów kołyszących się na wietrze. Na wyspie zostało bardzo niewiele lasów. Szum morza... W której chwili przestał go słyszeć? Od miesięcy jego uspokajająca kadencja towarzyszyła mu, kiedy pracował, jadł i spał. Czy to możliwe, by stłumiła go gęsta mgła? Przecież wiały dziś porywiste wiatry.

Brukowana uliczka wiodła teraz pod górę. Zakręty i serpentyny nie miały znaczenia, „pod górę” bowiem od zawsze znaczyło „do Twierdzy Mocka”. Z pewnością tam właśnie skierowali się najemnicy. Na wyspie nie było nic innego, co mogłoby ich zainteresować.

Po kilku zakrętach uliczka zaprowadziła go z powrotem na płaską powierzchnię. Hart ponownie zagubił się w labiryncie wąskich alejek, których nigdy dotąd nie widział. Po niebie przemykały delikatne jak skrawki materiału obłoczki. Księżyc w pełni, wiszący na niebie niczym unoszące się w powietrzu jezioro rtęci, oślepił go swym blaskiem. Tylko widok Twierdzy Mocka, która przycupnęła wysoko na urwiskach, błyszcząc srebrzyście w tej monochromatycznej poświacie, upewniał go, że rzeczywiście znajduje się w Malazii. Gdyby nie to, mógłby przysiąc, że zawędrował do innego miasta, położonego w jakimś odległym kraju.

Poczuł na karku muśnięcie suchego, gorącego powietrza. Potarł skórę w tym miejscu, a gdy cofnął dłoń, ujrzał, że ma na niej piasek.

Piasek? Skąd się tu wziął, do licha? Znieruchomiał, pocierając ziarenka między kciukiem a palcem wskazującym, i rozejrzał się wokół. Czy księżyc nie znajdował się przed chwilą na lewo od urwisk?

Wąskim przejściem poniosło się głuche parsknięcie. Gdzieś w oddali jakieś zwierzę zwęszyło trop. Potem Hart usłyszał zgrzyt pazurów o kamienie. Przełknął ślinę, wciskając plecy w ścianę. Odruchowo sprawdził broń. Po prawej były drzwi. Uderzył w nie, ale nikt nie odpowiedział. Ponownie walnął w mocne deski. Usłyszał czyjś głos, ale nigdy w życiu nie zetknął się z tym językiem.

– Otwieraj – warknął.

Znowu usłyszał zachrypnięty głos. Tym razem Hart rozpoznał słowo *hrin*. *Hrin*? Ktoś chyba kiedyś mu mówił, że to dawne określenie wskrze-szeńca.

W ustach zaschło mu od innego rodzaju strachu. Bał się, że traci zmysły. Tego właśnie najbardziej obawiał się w grotach: ich zdolności wypaczania umysłu. Z dotykalnym wrogiem mógł walczyć, jak jednak stawić czoło obłędowi? Przypomniał sobie ostrzeżenie starego Rengela. „Nocą miastem będą władać biesy i jeszcze gorsze stworzenia”.

Odwrócił się i zaczął biec. Bolesnie uderzał stopami w twarde kocie łby. Mijał zabite deskami witryny sklepów, ślepe i odstręczające. Z oddali, jak ze statku na morzu, dobiegł głuchy dźwięk dzwonu. Hart zatrzymał się i wyteżył słuch. Trzeci dzwon wieczoru. Po lewej alejka zbiegała ostro w dół, ku widocznym dalej dachom magazynów. Uświadomił sobie, że jest blisko portu, ale mgła zasłania mu widok. Na jego oczach uniosła się nienaturalną falą nad magazyny i ruszyła ku niemu.

Cofnął się, odwrócił i pobiegł z powrotem. Pod górę, musi cały czas iść pod górę. Tam właśnie ich znajdzie. I co wtedy? Co zrobi...

Nagle ogłuszyło go mrozące krew w żyłach wycie. Potknął się, zasłonił uszy dłońmi. Przerażliwy zew wznosił się i opadał niby rozpaczliwy lament umarłych. Hart wyciągnął broń, choć nie widział bestii i właściwie nie liczył na to, że miecze przydadzą się na coś w starciu z takim potworem.

Niech go Togg broni, czyżby bestia go zwęszyła? Czy w ogóle posługiwała się węchem? Być może podążała jakimś innym, bardziej tajemniczym tropem? Hart zobaczył, że mgła węduje w ślad za nim. Rzucił się do ucieczki.

Alejka, którą biegł, przecinała wąskie schody. Hart ruszył w górę, ale zaraz się zatrzymał. Z dołu dobiegał hałas. W spowijającej alejkę mgłę coś się przemieszczało. W pierwszej chwili miał ochotę zejść na skrzyżowanie i stanąć do walki, położyć wreszcie kres dręczącemu go strachowi i niepewności, zwyciężyć albo zginąć. Jednakże doświadczenie, mądrość zgromadzona w ciągu dziesięcioleci spędzonych pośród tumultu pola bitwy ostrzegły go, by tego nie robił. Jaki miał powód sądzić, że to, co czaiło się na dole, ścigało go czy nawet wiedziało o jego istnieniu? Po co wymuszać konfrontację przez zablokowanie wąskiego przejścia? Z przytłumionym warknięciem znowu ruszył pod górę, nie chowając broni.

Wytarte schody kończyły się pod wąziutką szczeliną między budynkami wychodzącymi na plac Jakani. Hart wcisnął się w nią bokiem i po chwili wyszedł na otwartą, spowitą morzem skłębionej mgły przestrzeń. Pod stopami miał zdradziecki, śliski bruk. Jego kroki odbijały się od murów głuchym, zniekształconym echem. Nagły powiew ochłodził mu twarz. Mgła rozstąpiła się i Hart ujrzał ciemne fasady domów. Cienie przemykały przed nimi tak szybko, że nie był w stanie prześledzić ich wzrokiem.

Z mroku dobiegł miaukliwy głos. Weteran zacisnął dłonie na rękojeściach, starając się uspokoić oddech. W zaułku było słychać szuranie. Pojawiła się przygarbiona postać, posuwająca się naprzód boleśnie powoli.

Hart stanął w pozycji bojowej. Jeden miecz uniósł wysoko, a drugi trzymał nisko. Nie zaatakował jednak; coś tu było nie w porządku. Postać posuwała się naprzód niepewnie, zataczała się, powłóczyła nogami. Hart nieraz już słyszał, jak ranni ludzie wydawali z siebie zwierzęce odgłosy. Mężczyzna – bo to był mężczyzna – skrzyżował ramiona

na brzuchu, jakby niósł przed sobą jakiś cenny dar. Hart opuścił broń. Co to miało być? Jakaś głupia sztuczka?

Nieznajomy był coraz bliżej.

– Stój! – zawołał Hart.

Mężczyzna go posłuchał i przechylił głowę. Poruszył ustami. Ich otwór był plamą czerni na tle nocy. Uniósł rękę, wyciągnął ją w stronę weterana. Hart usłyszał mlaszczący dźwięk rozdieranej powłoki z na wpół zakrzepłej krwi. Ciemna, skłębiona masa wypadła z brzucha nieznajomego i runęła na bruk. Nieznajomy zwałił się obok niej.

Hart spróbował oblizać wargi, ale nie był w stanie rozluźnić szczęk. Podszedł do ciała i dźgnął je sztychem miecza. Mężczyzna wyglądał na martwego od dawna.

– Wysłuchaj mnie – wyszeptał trup.

Hart uniósł oba miecze.

Zbrukana krwią ręka uniosła się, przywołując go skinieniem.

– Ogar – jęknął trup. Hart pochylił się nad nim. Nie czuł, by z ust zabitego wydobywało się powietrze. – Zabił mnie. Zabił nas wszystkich. – Weteran uświadomił sobie, że to jeden z bandy najemników, którzy pojмали go w gospodzie. – I... i...

Ręka poruszyła się znowu, każąc weteranowi pochylić się jeszcze niżej. Kiedy to zrobił, złapała go za rękaw. Spróbował ją strząsnąć, ale palce wpiły się w tkaninę jak haki.

Trup uśmiechnął się, odsłaniając próchnicze zęby.

– I... idzie za mną.

– Co?

– Teraz... ty też zginiesz.

Hart spojrział na czerwony ślad krwi pozostawiony przez zabitego. Ślad ciągnący się do schodów, którymi przed chwilą tu przyszedł.

– Ty skurwysynu!

Trup zaśmiał się drwiąco.

Hart spróbował się wyprostować, ale ręka go nie puszczała.

– Bydlak – warknął i odciął dłoń uderzeniem miecza. Zatoczyła łuk w powietrzu i spadła na kamienie.

Od strony schodów dobiegło ciche sapanie. Hart odsunął się od trupa i rozejrzał po placu. Odchodziło od niego siedem uliczek. Nie tracąc czasu, popędził ku najbliższej.

Uciekał w panice, biegnąc wąskimi zaułkami. Płuca wypełniał mu ogień, gardło trawił ból. Wreszcie zwolnił, by zaczerpnąć tchu, i przyznał się przed sobą do błędu. Ty durniu, nie zdołasz przed nim zwać! Walcz! Odwrócił się i przywarł plecami do ściany z wielkich, gładko ociosanych głazów. Dotyk zimnego kamienia chłodził klepsydrowy nakarczek zbroi. Hart wciągał powietrze gwałtownymi haustami, starając się uspokoić. Nie zmęcz się przed walką, oszczędzaj energię. Ha! Za późno na te rady. Zachowywał się jak pryszczaty rekrut przed pierwszą bitwą.

Snopy księżycowego blasku padły na budynki po drugiej stronie ulicy. Wszystkie okna były szczelnie zamknięte. W jednym z bliższych domów jakaś staruszka zawodziła głośno, odmawiając modlitwę do Pożogi Opiekunki. W oddali zabrzmiał krzyk, po czym nagle ucichł. Hart otarł twarz i odsunął się od ściany. To nie było najlepsze miejsce na to, co zaplanował. Będzie potrzebował więcej wolnej przestrzeni.

* * *

Pokonawszy dwa zakręty, wyszedł na szeroką esplanadę służącą jako poranne targowisko. Wiedział już, gdzie się znajduje: blisko bulwaru prowadzącego na Szlak Sięgacza. Wybrał miejsce obok środkowego rynsztoka i rozrzucił nogami zgniłe śmieci, płosząc chmary szczurów. Przykucnął i rozprostował ramiona.

Słyszał już sapanie i prychanie bestii, przebijające się przez szum wiatru. Bogowie! Musi być wielka jak koń! Nagle zapragnął rozwalić kopniakiem któreś drzwi i skryć się za solidnymi murami. Co jednak

mógłby zrobić w którymś z tych maleńkich sklepików? Schować się pod stołem? Bestia osaczyłaby go tam jak szczura.

Na wietrze poniósł się donośny zew, który się podnosił i opadał jak płaczące wycie wilka. Hart uniósł głowę, nasłuchując. Czyżby monstrum uciekło? Nie, z zaułka, którym tu przyszedł, dobiegał zgrzyt pazurów o kamień. Na zęby Kaptura! Jest ich więcej!

Przyglądał się ceniom tańczącym pod niesionymi wiatrem chmurami i modlił o to, by się okazało, że żelazo ima się tych demonów. Często tak właśnie było, zwłaszcza jeśli wsparto je odpowiednią siłą. Na przykład wtedy, gdy Urko, dowódca słynący z krzepy, zaszlachtował enkar'ala podczas wojny w północnym Falarze. On jednak nie był Urkiem. Mógł liczyć tylko na jedną szansę. Szkoda. Zawsze sądził, że zginie w walce, wołałby jednak, żeby była ona bardziej wyrównana.

Wokół zapadła cisza. Nie wiedział, gdzie jest czająca się w zaułku bestia – zakładając, że to właśnie ją słyszał. Wyteżył słuch i napiął mięśnie, czekając na atak.

Pazury zgrzytnęły o kamień, z tyłu i z lewej. Hart obejrzał się, ale nic nie zobaczył.

Nagle usłyszał kroki. Rzucił się w bok i zatoczył krąg mieczem. Klinga uderzyła o bruk, syjąc iskrami. Padając, weteran ujrzał Ogara większego niż lew z Gór Fennów. Bestia zamknęła szczęki w miejscu, gdzie przed chwilą stał, i popędziła dalej, orząc pazurami kamienie. Hart ujrzał w przelocie brązową, kosmatą sierść oraz bliznę na tylnej łapie. Potem stwór skoczył przed siebie i zniknął w cieniu.

Hart podniósł się z wysiłkiem i spojrział w ślad za bestią.

To nieuczciwe. Cholernie nieuczciwe, przyjacielu.

Poprzysiął sobie, że zada Ogarowi ból, nim ten rozerwie go na strzępy, choć nie liczył zbyt na to, że zdoła osiągnąć ów cel.

Stukot pazurów otaczał go ze wszystkich stron. Zimny wiatr rozprasał mgłę, ale Hart nadal nie mógł wypatrzeć bestii. Wreszcie ujrzał ją na drugim końcu placu: plamę głębszego cienia w półmroku. Ślepią koloru płynnego bursztynu otworzyły się nagle, rozległ się warkot, od

którego okna zatrzęsły się we framugach. Włoski na karku weterana się zjeżyły, ale przynajmniej wiedział już, że czeka go frontalny atak.

Ogar popędził ku niemu, w krótkiej chwili rozwijając zdumiewającą prędkość. Dopadł Harta, nim ten zdążył zdecydować, czy potwór istnieje naprawdę, czy też jest tylko iluzją.

Zdołał wepchnąć rękę z bronią, rękojeścią do przodu, w gardło napastnika, ale bestia zbiła go z nóg swym impetem i powlokła z brzękiem i klekotem pod masywną piersią. Stalowe łuski zbroi wbijały się mu boleśnie w bark. Monstrum zacisnęło kły na jego przedramieniu, miażdżąc kości. Hart ryknął z bólu.

Bestia zawlokła weterana pod mur i potrząsnęła nim jak terier szczerem. W obawie, że za chwilę urwie mu rękę, Hart przelał cały ból w jeden gwałtowny ruch – zamachnął się wolną ręką i walnął stalową gąłką w czaszkę demona. Rozległ się dźwięk przypominający uderzenie w dzwon. Bestia podskoczyła i prychnęła, jakby chciała go wypuścić. Kaszlnęła jednak tylko i twarz Harta owiało gorące, smrodliwe powietrze. Stwór ruszył naprzód, wlokąc przeciwnika po bruku. Uderzał nim o ściany i łamał jego ciałem belki, biegnąc przez labirynt zaułków. Kamienne stopnie wbijały się w plecy weterana i rozbijały mu kolana. Zwymiotował pianą i krwią. Słyszał krzyki. Gdy usta wypełniły mu krwawe wymiociny, uświadomił sobie, że nie tylko on krzyczy.

W końcu bestia znudziła się tą zabawą i pozwoliła Hartowi odtoczyć się na bok. Miał złamaną, zmasakrowaną rękę, ale nie czuł już bólu, a tym bardziej strachu. Znalazł się w miejscu, którego nie odwiedzał od czasu swej ostatniej bitwy przed niespełna rokiem. Poczł się tak, jakby spotkał starego przyjaciela. Ogarnęła go przyprawiająca o zawrót głowy euforia. To było miejsce, do którego uciekał podczas najtrudniejszych walk. Siła i odporność wypływały stąd niepowstrzymanym strumieniem, a jego ciało było tylko odległym automatem z krwi i kości, poruszającym się zgodnie z jego wolą. Tu nie sięgały żadne obrażenia. Ranny, leżący na ziemi Hart wyszczerzył zęby do Ogara.

Bestia stała nad nim, owiewając go gorącym oddechem. Pokrywała ją sparszywiała czerwonawobrazowa sierść, z prześwitującymi w niej bliznami po niezliczonych walkach. W jej ślepiach gorzał ogień.

Weteran wyciągnął zdrową ręką sztylet z pochwy u pasa.

Skończ z tym! – mówił spojrzeniem tym płonącym ślepiom. No jazda!

Łeb pochylił się ku jego piersi i Hart wbił sztylet w rozwartą paszczę. Bestia odskoczyła gwałtownie, kaszląc i warcząc, po czym potrząsnęła pyskiem, przyskając na boki krwią i śliną.

Hart chciał się roześmiać, ale dopadły go mdłości. Mam cię! Zraniłem cię, splodzony przez Kaptura skurwysynu!

Stwór zatoczył kilka kręgow, sapiąc i pocierając pysk łapami. Potem potrząsnął ogromnym łbem i walnął w bieloną ścianę szopy, która zawałiła się z hukiem. Bestia odwróciła się i łypnęła złowrogo na Harta. Weteran pomyślał ze smutkiem, że ten cios był dla niej zaledwie uządleniem osy. Ręka mu opadła. Miecz uderzył z brzękiem o bruk. Kręciło mu się w głowie. Ze wszystkich stron napierała nań ciemność. Zobaczył gdzieś w oddali, że Ogar szykuje się do kolejnego skoku.

Z pewnością stracił przytomność, gdyż spoglądało na niego oblicze, którego widoku zdołał uniknąć podczas wszystkich bitew i pojedynków. Sam Zakapturzony przyszedł w końcu po jego duszę. Hart żałował, że nie ma siły go opluć. Osunął się na niego całun ciemności. Poczuli, że spada w bezdenną czeluść. W końcu pochłonęła go noc i nie czuł już nic.

* * *

Nie znajdziesz mnie, nie znajdziesz, nigdy mnie nie znajdziesz, powtarzała w myślach Kiska. Oplotła ciasno kolana ramionami i kołysała się miarowo w przód i w tył. Nigdy mnie nie znajdziesz, nigdy mnie nie znajdziesz.

Siedziała w maleńkiej chatce, a na dworze padał deszcz. Potarła podbródkiem rozbite kolano.

Kto nie potrafi cię znaleźć? – zadała sobie pytanie.

Nikt. Nikt nigdy tego nie potrafił. Żadne z dzieci, z którymi bawiła się w chowanego. Ani jeden z miejscowych złodziei, z którymi rywalizowała. Nawet ciocia ze swoją magią. Za to Kiska potrafiła znaleźć każdego. Zawsze. Agayła mówiła, że ma do tego talent. I kto jeszcze nie potrafi cię znaleźć?

Kiska kołysała się jeszcze przez pewien czas, nucąc do siebie: nikt, zupełnie nikt. Obok rozległo się skomlenie. Spojrzała w tamtą stronę. Do jej biodra przytulił się pies. Duży. Zwierzę skierowało na nią smutne, pełne strachu oczy.

Dziewczyna westchnęła, puściła jedną ręką kolano i pogłaskała psa, który zaskomlił po raz drugi i przysunął się jeszcze bliżej. Kiska pokłusowała głową.

Myślę, że one potrafiłyby cię znaleźć, dziewczyno, powiedziała sobie. Gdyby tylko zechciały.

Znowu westchnęła i pomasaowała kolano w miejscu, gdzie w czarnych spodniach widniała dziura. Utworzył się tam szorstki strup. Zgięła nogę i skrzywiła się z bólu. Zaniepokojony pies pisnął.

Nie mogę tu zostać na zawsze.

Potarła powieki. Zostań tu.

Na tej wyspie? Na zawsze?

– To śmierć za życia – wyszeptwała Kiska, spoglądając w ciemność.

Pies postawił jedno ucho. Dziewczyna spojrzała na niego. Przykro mi, mój drogi. Po prostu nie mogę się już dłużej ukrywać.

Wstała. Znajdowała się w wychodku, kabinie z desek niewiele większej niż ustawiona pionowo trumna. Wyjrzała zza sięgających jej do pasa drzwiczek. Tylne okna budynku zabito deskami. W domu mieszkała młoda rodzina. Kiska знаła właścicieli. Zajmowali się eksportem

suszonych ryb i byli dość zamożni. Mieli nawet wychodek w ogrodzie warzywnym.

Tam właśnie się schowała. To była najwspanialsza noc w jej życiu, a ona siedziała zamknięta w sraczu. Spełniło się wszystko, o czym zawsze marzyła, i co zrobiła? Uciekła!

Pies położył głowę na jednym z brudnych pantofli dziewczyny i zerknął na nią. Kiska przeszukała kieszenie i sakiewki. Kawalek sznurka, chusteczka, igły, nasączone maściami szmatki, które dostała od Agayli. To było wszystko, co jej zostało. Rozłożyła jedną ze szmatek i przycisnęła do kolana. Syknęła z bólu. Kto by pomyślał, jak wielka przepaść dzieli marzenia o przygodach od widoku ludzkiej głowy pękającej niczym melon w szczękach bestii z innego królestwa? Nic dziwnego, że potem porzygała się w zaułku.

Człowiek z imperialnego kutra... on nie bał się chodzić dziś po ulicach. Stawił czoło całej bandzie kultystów. Z pewnością wiedział, na co się naraża. Kiska była o tym przekonana. A mimo to przybył tutaj. Oleg kazał jej dostarczyć mu wiadomość, uważał, że ma ona kluczowe znaczenie. Ale on był szalony. Natomiast Agayla... ona również poleciła Kisce go odnaleźć.

Dłoń dziewczyny powędrowała do spłaszczonego zwoju na piersi. Był przeznaczony dla niego. Czy już dotarł do twierdzy? Bez wątpienia... ale takiej nocy jak dzisiejsza nic nie mogło być pewne. Jeśli tak się stało, odzwierny, Lubben, z pewnością jej o tym powie. Być może nawet ją wpuści. Jeśli dobrze to rozegra.

Otworzyła drzwi. Pies znowu zaskomlił. Obejrzała się i zobaczyła, że zwinął się na podłodze wychodka, nie chcąc wystawić przez próg nawet nosa. Pożegnała się z nim i ruszyła skrótem na Szlak Szańcowy.

* * *

Noc zrobiła się nieziemsko cicha. Nawet kroki jej obutych w pantofle stóp oraz szmer oddechu wydawały się ogłuszającym hałasem. Od czasu

do czasu ciszę mąciło ujadanie Ogara i Kiska kuliła się trwoźnie. Poza tymi przerażającymi momentami – za każdym razem była pewna, że nadeszła jej ostatnia chwila – noc wydawała się pogrążona w całkowitej martwocie. Tylko księżyc się poruszał, obserwując ją srebrzystym okiem. Dziewczyna zmierzała do portu, tam gdzie brzeg docierał do urwisk i najstarsze nabrzeża ustępowały miejsca przegniłym pirsom.

Wdrapała się na śliskie kamienie u podstawy klifu. Jej koszulę zmoczyła morska piana, a fale na dole szeptały nienaturalnie cicho. Pantofle o sznurowych podeszwach dobrze trzymały się podłoża, ale ręce Kiski wciąż się ześlizgiwały, kalecząc się na ostrych jak noże krawędziach.

Po chwili udało się jej wspiąć na wąziutką półkę biegnącą po nierównych głazach. Pokolenia temu tą dróżką wędrowały dzikie kozy. Dawno już o niej zapomniano i nie było jej widać z dołu ani z góry. Kiska lubiła sobie wyobrażać, że to właśnie ta ścieżka tłumaczy tajemnicze pojawianie się i znikanie miejscowych piratów.

Posuwała się ostrożnie naprzód po śliskich występach, często nie szerszych niż jej stopa. Szlak porastały cierniste chaszczce i musiała się przez nie przedzierać bądź je omijać. Znalazłaby jednak drogę nawet z zawiązanymi oczyma. Nieraz już chodziła tędy nocą. Ścieżka prowadziła do jej ulubionego miejsca na wyspie, pomijając mieszkanie Agayli.

Mgła spowiła ją niczym całun, przesłaniając leżącą jakieś dwadzieścia sążni w dole zatokę. Na południowym niebie migotały zielone i różowe światła, przypominające Kisce legendy o Jeźdźcach, którzy pojawiali się zimą, by prowadzić marynarzy ku zgubie. Przypomniła też sobie opowieści o zjawach i ożywieńcach, nawiedzających ponoć twierdzę, do której się wspinała. Nawet na tych urwiskach nie brakowało duchów. Straszliwi tu marynarze, którzy utonęli, zwabieni zbyt blisko skał przez przodków Kiski. Dziewczyna wywodziła się ze starego rodu piratów i rozbójników. Ponoć nocą wciąż można było tu usłyszeć zawodzenie widm żądnych zemsty na swych mordercach. Słyszała w dzieciństwie mnóstwo podobnych opowieści, ale nie wierzyła dotąd

w żadną z nich. W tym również w tę o Księżycu Cienia, który sprowadza na wyspę demony...

Wyciągniętą w górę ręką Kiska wymacała zagłębienie w granicie. Wiedziała, że nareszcie dotarła do przejścia. Dyszała ciężko, nie tylko z powodu wysiłku towarzyszącego wspinaczce. Mokre ubranie lepiło się jej do skóry. W powietrzu unosił się intensywny fetor rozkładającego się humusu i ptasich odchodów. Dziewczyna oparła się o pochylą ścianę, żeby chwilę odetchnąć. Szczeliny, w której się znalazła, nie można było właściwie zwać jaskinią; była tylko rozstępem w żywej skale wyspy, poszarpanym rozdarciem wnিকającym w głąb urwiska. Pod stopami Kiski chrzęściły skalne okruchy. Znalazła tu kiedyś miejsca, gdzie nie było podłoża, a tylko zwężająca się do szerokości palca rozpadlina.

W dzieciństwie często przychodziła się tu bawić. To była jej kryjówka, choć miała wrażenie, że Agayla wie o jej istnieniu. Kiska zbadała każdy cal rozchodzących się promieniście pęknięć oraz galerii wąskich, pionowych szczelin. Mimo że legendy mówiły o sekretnych jaskiniach, w których ukryto skarby – klejnoty i złoto – nie znalazła niczego w tym rodzaju. Jediną nagrodą za jej wysiłki były połamane, zbutwiałe deski oraz kawałki zżartego solą żelaza.

Górą biegł Szlak Szańcowy. Ostatni odcinek wspinaczki będzie trudny. Kiska potarła dłonie, żeby je rozgrzać. Gdy do pokrytych warstwą soli skałeczeń napłynęła krew, dziewczyna poczuła piekący ból. Być może powinna owinać ręce kawałkami tkaniny, ale co się stanie, jeśli materiał ześlizgnie się na skale albo poluzuje?

Nagle usłyszała stukot. Przywarła do ściany urwiska i wytrzymała słuch: tkanina ocierająca się o skałę, spadające kamyczki. Ktoś się wspiął. Zaczęła się przesuwac w głąb jaskini. W tej samej chwili w wąskim kamiennym przejściu pojawiła się sylwetka. Wyglądała jak jeden z ożywieńców, o których mówiły opowieści.

Strach sparaliżował na moment jej duszę. Zwolniła i nieznajomy – męczyzna z krwi i kości – zdążył ją złapać za rękę. Omal się nie

uśmiechnęła na myśl o błędzie, jaki popełnił. Wykorzystała punkt oparcia, żeby wyprowadzić kopnięcie, i trafiła go w skroń.

Mężczyzna stęknął z bólu, ale nie zwolnił uścisku. Z twarzy Kiski zniknął uśmiech.

Kopnął ją w rozbite kolano. Z ust dziewczyny wyrwał się okrzyk bólu. Noga ugięła się pod nią. Kiedy Kiska upadła, mężczyzna puścił jej rękę.

– Nie stawiaj oporu – ostrzegł.

Wbiła w niego wzrok. Widziała po ciemku właściwie tylko zarys sylwetki, ale wydał jej się znajomy.

Wydobył kawałek cienkiego sznura i zatrzymał się nad Kiską. Instykt mówił jej, by w żadnym wypadku nie pozwoliła znowu się związać. Uderzyła zdrową nogą, trafiając go wysoko w wewnętrzną stronę uda.

Mężczyzna syknął głośno, ale pochylił się nad nią.

Kiska zakryła twarz.

– Proszę, nie! – zawołała, wyciągając nóż z kołnierza.

Nim jednak zdążyła zrobić z niego użytek, napastnik nadepnął obutą stopą na jej nadgarstek i uderzył ją w skroń twardym jak żelazo przedmiotem. Ciemną jaskinię wypełniły czerwone i żółte gwiazdy, które przygasały powoli.

– Znasz kilka sztuczek – przyznał z niechęcią mężczyzna. – Ale ze mną nie masz szans, dziecko. Nie zmuszaj mnie, żebym cię zabił.

Kiska zamrugała oślepią tańczącymi przed jej oczyma światłami.

– Kim jesteś, na pociągnięcie Pani?

Mężczyzna zignorował jej pytanie.

– Odwróć się – rozkazał.

Posłuchała go, a on związał jej ręce za plecami.

Pojawił się nowy przybysz i pierwszy mężczyzna podszedł do niego. Rozmawiali przez chwilę i Kiska go rozpoznała. Płaska, naznaczona bli-

znami twarz, wąsy cienkie jak u kota. To był osobisty strażnik człowieka, którego szukała.

Roześmiała się w głos. Obaj mężczyźni zignorowali ją pogrążeni w rozmowie. Mówili cicho i nie słyszała ani słowa. Nowo przybyły zawrócił, a Seti podszedł do niej i wyjął spod płaszcza czarną płachtę. Kiska poznała worek i wiedziała, do czego go użyje.

- Mam wiadomość dla twojego pana - oznajmiła, nim zasłonił jej głowę. Jego dłonie zatrzymały się na uderzenie serca, po czym znowu ruszyły w dół.

Dziewczynę otoczyła ciemność.

- Człowiek, z którym spotkał się w ogrodzie, nie żyje - powiedziała, stanowczo zbyt szybko i głośno jak na jej gust. Serce dziewczyny tłukło gwałtownie.

Cisza. Było słycać tylko posępny szum fal na dole. Kiska nie słyszała nawet kamyków grzechoczących pod stopami. Zupełnie nic. Czy strażnik jeszcze tu był? On albo ktokolwiek? Czyżby ją tu zostawili? Być może był to przejaw osobliwie pojętej dobroci. W końcu będzie bezpieczniejsza tutaj niż na ulicach.

Nagle ktoś delikatnie zsunął worek z jej głowy. Włosy dziewczyny zaplątały się w szorstką tkaninę.

Przykucnął przed nią mężczyzna. Jego pociągła twarz barwy mahoniu wydawała się dziwnie gładka, a nawet pozbawiona wyrazu. Ciemne, podkrążone oczy. Brązowa, wygolona czaszka i długi, opadający na ramię warkoczyk. Proste, zaciśnięte usta, które wyglądały, jakby miały pęknąć, gdyby ktoś zmusił go do uśmiechu. Jej cel.

- Słyszałem, że masz dla mnie wiadomość.

Mówił po taliańsku jak arystokrata, ze śladem nieznanego Kisce akcentu. Na tej wyspie wydawał się zupełnie nie na miejscu, jak złoto w rybich ustach.

Z twarzą bez wyrazu czekał na odpowiedź.

- Pod koszulą - zdołała wykrztusić Kiska. Spróbowała poruszyć ręką, ale przeszkodziły jej więzy.

Uniósł dłoni.

- Czy mogę?

- T... tak.

Miał na dłoniach czarne rękawice, a palce długie i cienkie.

- Nie! - warknął strażnik. Uniósł Kiskę za kołnierz i wsunął jej rękę pod koszulę, muskając małą pierś.

Uśmiechnęła się, chcąc go skonsternować, ale jego oczy niczego nie wyrażały.

- Hattar - wyszeptał z wyrzutem jej cel.

Zerknęła na niego.

- Tak. Hattar.

Znalazł zwój, po czym przewrócił dziewczynę na bok i przycisnął kolanem jej bark, wypychając powietrze z płuc swym ciężarem. Zwój zaskrzypiał, kiedy go rozwinął.

- Hattar - westchnął mężczyzna. - Przecież nie umiesz czytać.

Człowiek z równin mruknął coś pod nosem.

- Puść ją.

Seti uniósł z niechęcią kolano. Kiska wciągnęła powietrze, krztusząc się piaskiem i pyłem. Dręczył ją ból we wciśniętym w nierówne kamienie boku.

- Chcę z nią porozmawiać.

- Hę?

- Pomóż jej wstać.

- Panie...

Zapadła cisza. Kiska czekała cierpliwie. Może mężczyzna spojrzął znacząco na Hattara? Wykonał jakiś gest? Seti uklęknął przed nią, tak żeby go widziała, i pokazał jej zakrzywiony nóż o groźnym wyglądzie. Drugą ręką złapał ją za włosy i przysunął smagłą, naznaczoną bliznami twarz do jej twarzy.

- Porozmawiasz z moim panem - wyszeptał. - Ale jeśli choć drgniesz, ten nóż... - pomachał nim przed jej oczyma - ...wbije ci się

w serce od tyłu, nim zdążysz poczuć, że dotknął twojej ładnej, miękkiej skóry. Rozumiesz?

Skinęła głową, otwierając szeroko oczy.

Hattar również kiwnął głową, po czym podniósł Kiskę i ją odwrócił. Jego pan trzymał zwój w jednej ręce i stukał nim w drugą, opuściwszy lekko kąciki ust.

– Przepraszam za Hattara. On bardzo poważnie traktuje swe obowiązki.

Kiska omal nie skinęła głową, ale się powstrzymała.

– Tak. To prawda.

Mężczyzna westchnął i potarł powieki.

– Jak ma na imię twoja ciotka? – zapytał nagle.

– Agayła.

– A co zawsze robi, gdy nadejdzie Środek Zimy? Jak rozumiem, tutaj czasem zwiecie ten dzień Odwrotem Jeźdźca.

Kiska wytrzeszczyła oczy. Czy dobrze słyszała? Środek Zimy? Omal nie wzruszyła ramionami, ale poczuła na plecach ukłucie sztyletu i natychmiast zeszywniała.

– Hmm... pyta Talii Smoków, co przyniesie następny rok.

– Tak. Wielu to robi. I?

To był test. Z pewnością chciał ją sprawdzić. Ale dlaczego Środek Zimy? Co takiego...? Nagle sobie przypomniała. Pewnego wieczoru zakradła się na górę i schowała na pomoście, obserwując Agayłę, która przesiedziała całą noc, od północnego dzwonu aż po pierwszy brzask. Słyszała szelest czółenka i miarowe postukiwanie krosien. Agayła tkąła. Kiska oblizwała suche wargi.

– Tka.

Jej cel skinął głową.

– Jak się nazywasz?

– Kiska.

Uniósł brew.

- A naprawdę?
- Co? To jest tam napisane?

Mężczyzna czekał cierpliwie. Kiska czuła, że stojący za jej plecami Hattar napina mięśnie, gotowy zadać śmiertelny cios.

- Kiskatia Silamon Tenesh.
- Ponownie skinął głową.
- Zgadza się, Kiska. Możesz mi mówić... Artan.
 - Artan? Ale to nie jest twoje prawdziwe imię?
 - Nie jest.
 - Ach, rozumiem.

Dziewczyna powstrzymała się przed zapytaniem, jak brzmi prawdziwe. I tak by jej nie odpowiedział.

Artan rozwinął zwój. Drgnął leciutko zaskoczony. Kiska pomyślała, że to, co jest tam napisane, musi być naprawdę zdumiewające, jeśli skruszyło jego żelazne opanowanie. Wypuścił z sykiem powietrze, stukając w zwój koniuszkami palców.

- Czy napisała, że widziałam wasze spotkanie? - zapytała Kiska.

Artan nie odpowiedział. Wpatrywał się w dal, jakby się pograżył w medytacji.

- Artan?

Zamrugał i ponownie przetarł stare, znużone oczy. Nagle popatrzył uważnie na dziewczynę, jakby nasunęła mu się nowa myśl.

- Nie. Tego tam nie ma.
 - A co jest?
- Wręczył jej otwarty zwój.
- Czy to coś dla ciebie znaczy?

Nie było na nim żadnych słów. Na papierze nakreślono pośpiesznie prostokąt, a w nim narysowano jakąś stylizowaną postać. Kiska nie była pewna, co to ma być. Wojownik na koniu? Płynący człowiek?

Zaciekawiona dziewczyna przyjrzała się rysunkowi i zobaczyła, że jest niebieski: błyszczące, opalizujące barwy; płyty zbroi połyskujące

jak wewnątrz muszli; i lód, rosnąca pajęczyna lodowych łusek.

– Widzę lód – wyszeptwała zdumiona.

– Naprawdę?

Artan wyrwał jej zwój, który zamienił się w popiół w jego urękawiczonych dłoniach. Potem otrzepał ręce. Ten gest zaniepokoił Kiskę. Widziała tę samą sztuczkę w wykonaniu ubogich ulicznych magików.

– To jak brzmi twoja wiadomość? – zapytał.

Kiska spojrzała na niego ze zdziwieniem.

– Czy to nie...

Artan uniósł brew i dziewczyna zauważyła, że miała rację. Jego usta pozostały niemal całkowicie prostą linią.

– Nie. To była jej wiadomość. Nie twoja.

– Znasz ją?

– Spotkaliśmy się kilka razy... dawno temu.

– Naprawdę? Hmm, moja wiadomość dotyczy Olega.

Tym razem uniósł obie cienkie brwi.

– Znasz jego imię?

– Podał mi je.

– Rozumiem. Mów dalej.

– Podążałam za tobą do miejsca waszego spotkania.

Artan spojrzał na Hattara. Ze smutkiem? Z wyrzutem? Za jej plecami rozległo się gniewne warknięcie.

– Po twoim odejściu zamordował go człowiek w szarych szatach – podjęła pośpiesznie Kiska.

Artan niemal wydał wargi. Przymrużył powieki ciemnych oczu.

– W takim razie jak mógł ci powiedzieć, jak ma na imię?

– Ach, rozumiesz, odczekałam chwilę, a potem weszłam do ogrodu i się mu przyjrzałam.

– I wtedy do ciebie przemówił?

– Tak.

Artan westchnął.

- Księżyc Cienia. Oczywiście. I co ci powiedział?

Kiska zmarszczyła brwi.

- No więc, mówił dziwnie i trochę od rzeczy. Jego słowa... nie wiem, co miały znaczyć. Tak czy inaczej, chciał, żebym ci przekazała wiadomość.

Artan poderwał się nagle.

- Wymienił mnie z imienia?

- Nie. Powiedział, żebym ją powtórzyła człowiekowi, z którym przed chwilą rozmawiał. I... nazwał cię nieodpowiedzialnym idiotą.

Kącki ust Artana uniosły się leciutko. Z lekką przesadą można by to było nazwać uśmiechem. Dotknął warg palcami.

- Mów dalej.

- Powiedział, że, hmm, teraz, kiedy nie żyje, zrozumiał, że od początku miał rację.

- Trudno podważyć tę opinię - zauważył z przekąsem Artan.

- I że Kellan...

Otrzymała cios w tył głowy.

- Hattar!

Kiska usunęła mruganiem łzy z oczu.

- Przepraszam - rzekł Artan. - Powinienem być cię ostrzec. Nie wypowiadamy tego imienia.

- Rozumiem. Chciałam ci powiedzieć, że on, to znaczy Oleg, mówił, że tylko głupcy wierzą, że tamten wraca po to, by odzyskać cesarski tron.

Artan ponownie spojrzął na Hattara.

- W takim razie po cóż wraca?

- Chodzi mu o inny tron. Tron Cienia.

Artan zacisnął zęby z miną człowieka, który już dawno nauczył się ukrywać myśli.

- Przykro mi, ale wszystko to słyszałem od Olega już wcześniej.

Wstał i otrząpął spodnie.

– To prawda!

– Przykro mi, Kiska, ale skąd to wiesz?

– Stąd, że potwierdził to ktoś inny.

Artan znieruchomiał. Nie okazywał tego, ale dziewczyna widziała, że wzbudziła jego zainteresowanie.

– A kto?

– Kiedy byłam w mieście, coś mnie porwało. Przemiana. Znalazłam się w Cieniu. Spotkałam tam kogoś. Starą istotę, która wyglądała jak ożywiony trup, czy może jak Imass. Nazywała się Chodzący po Krawędzi. To właśnie on powiedział mi, że wielu już próbowało zagarnąć tron Cienia.

Spojrzała na Artana z wyczekiwaniem, ale wydawało się, że ta wiadomość nic dla niego nie znaczy.

– A czy mówił, że... cesarz... też to zrobi?

– Nie. Ale wcale się tym nie dziwił. I...

Kiska opuściła ramiona. Cholera! Mówiła mu!

– Przykro mi. Potrzebuję więcej dowodów.

Artan miał rację, oczywiście. Wszystko to była tylko bezsensowna gadanina człowieka, który sam przyznawał, że nienawidzi Kellanveda. Była głupia, że mu uwierzyła.

– Musimy już iść.

– Zaczekaj! Powiedział też, że podczas koniunkcji ścieżki między królestwami się otwierają.

Artan skinął głową.

– Tak. Ale nie to było przedmiotem naszej dysputy. Przyznaję, że w teorii tak jest.

– Aha. No więc Oleg powiedział, że podczas transsubstancjacji zachodzi największa możliwość... hmm... pogrzebienia. Że wtedy właśnie najłatwiej będzie złapać go w pułapkę i to najlepszy moment na atak. – Kiska zmarszczyła brwi. – Rozumiesz, co to znaczy?

Artan westchnął.

– To tylko jakieś taumaturgiczne teorie. Efekty jego badań. Osobiście nie jestem tego taki pewien. Czy to już wszystko?

– Nie. Jest jeszcze jedno.

– Słucham?

– Hmm, ta ostatnia część brzmi dla mnie... troszkę głupio.

– Tylko ona?

Kiska roześmiała się nerwowo.

– Powiedział, że on planuje wszystko stracić, by móc wszystko zdobyć, i że klęska stanie się dla niego przypieczętowaniem zwycięstwa.

Artan potarł powieki kciukiem i palcem wskazującym. Kiska zastanawiała się, czy ten gest jest u niego nawykiem, z którego nawet nie zdaje sobie sprawy.

– Biedny, stary Oleg – rzekł z westchnieniem Artan. – Aż do samego końca asekurował się i przemawiał enigmatycznie jak wyrocznia. Dziękuję, Kiska. Zapamiętam sobie te spekulacje.

– Ale pójdę z wami, prawda?

– Na Wielką na dole, nie.

– Co?

– Hattar, zwiąż ją porządniej.

– Już się robi.

– Chwileczkę...

Człowiek z równin zatkał usta Kiski knebel i zacisnął go mocno. Potem związał jej łokcie, przycisnąwszy je do boków, przewrócił ją na ziemię i skrępował nogi.

– Żegnaj – rzucił stojący u wylotu jaskini Artan. – Pozdrów ode mnie ciotkę.

Kiska przekłęta go przez knebel. Hattar stanął nad nią, przyglądając się swemu dziełu. Zostali w jaskini sami.

Uklęknął obok, wyjął futrzany kapelusz i nałożył go na długie, natłuszczone włosy.

– Jeśli znasz się na rzeczy, uwolnisz się z tych więzów. W takim przypadku nie idź za nami. Jeśli zobaczę, że znowu nas śledzisz, przytnę ci piórka, mały ptaszku. Rozumiesz?

Przekłęła go aż po najodleglejsze Ścieżki Kaptura. Hattar zachichotał – zapewne rozśmieszyła go jej dola – i poszedł. Została sama.

Przez parę chwil leżała bez ruchu i nasłuchiwała, by się upewnić, że w pobliżu rzeczywiście nikogo nie ma, że Hattar nie obserwuje jej z ukrycia. Potem jednak doszła do wniosku, że to głupie, gdyż z pewnością nie czekałby tu, kiedy jego pan odszedł. Zajęła się więzami. Wygięła dłonie, by przystawić kciuk pod odpowiednim kątem do skały, a potem nacisnęła. Wyskoczył ze stawu z trzaskiem i znajomym ukłuciem bólu. Następnie, używając krawędzi kamieni – a nawet samych ścian – zsunęła krępujące jej nadgarstki pętle sznurów ku palcom. Reszta była już łatwa.

Kiedy zrzuciła sznur z nóg, była wolna. Nie wątpiła, że udało się jej to znacznie szybciej, niż się spodziewał ten skurczybyk Hattar. Miałyby ich nie śledzić! Pewnie, że to zrobi. Dojdzie tam przed nimi! Pokaże im, czego potrafi dokonać. Nikt nie będzie zostawiał jej związanej jak prosię na bankiet.

Wespnie się na Szlak Szańcowy i zakradnie do twierdzy. Jeśli będzie trzeba, wdrapie się na mur, tak jak to zrobiła przed wielu laty, tylko po to, żeby się przekonać, czy potrafi. Nagle przypomniała sobie ostrzeżenie ciotki Agayli: nie idź do twierdzy! Ale tam właśnie będzie Artan. Poza tym działały się wielkie rzeczy i ścierały ze sobą jeszcze większe moce, nikt więc nie będzie zwracał na nią uwagi.

Rozdział IV.

Starzy wrogowie, starzy przyjaciele

Pośrodku wiru szalejącego w sercu lodowatego oceanu żarzył się samotny, pomarańczowy węgielek. Kołysał się w rytm ruchu wiosł rybaka, rozbijających ze stukiem okruchy lodu. Jeźdźcy krążyli w oddali. Od czasu do czasu rzucali się do ataku, lecz wkrótce znikali w odmętach. Lodowe oszczepy, którymi rzucali w łódź, zmieniały się w obłoki mgły. Rybak nadal śpiewał swą pieśń, choć wargi przymarzły mu do zębów.

Jeden Jeździec odważył się wynurzyć wewnątrz otaczającego rybaka kręgu spokoju. Niesiony falą zbliżył się do łodzi, ale mógł jedynie wyc z wściekłości i okładać własne ramiona, gdy jego lśniąca perłowym blaskiem zbroja topniała. Potem pochłonęła go wrząca woda. W oddali, pośród lodowych szpikulców i tafli, pięciu przyglądających się temu Jeźdźców w szatach barwy indygo naradzało się między sobą. Do piersi przyciskali ametystowe różdżki. Emanowała od nich rozszerzająca się sfera zimna. Ścisnęli kolanami swe wierzchowce – spienione fale – i rozproszyli się. Jeden z nich wskazał różdżką na południe.

W oddali, ze wzburzonych wód wyłoniła się kolejna góra lodowa, najmniejsza z całej flotyli. Ze wszystkich stron eskortowali ją Jeźdźcy. Rybak nie zważał na nich. Wiosłował dalej. Zgarbił plecy, skupiając całe swe jestestwo na poruszaniu wiosłami i na pieśni. Góra była coraz bliżej. W jej sercu uwieczono jakąś mroczną sylwetkę.

W tej samej chwili, gdy z pierwszej ostrogi góry buchnęła para, Jeźdźcy zanurzyli się w pełnej brył lodu wodzie. Po zboczach góry lodo-

wej spływały strugi cieczy, a z jej szczytu wichur porywał porożce śniegu. Wtem od przodu kolosa oddzielił się odprysk szmaragdowego lodu. W górę trysnęła fontanna morskiej piany, która przemknęła nad łodzią i zniknęła pod jej dziobem. Z serca góry lodowej sterczał teraz drewniany dziób statku. Spływały z niego strugi wody, wiatr porywał obłoczki pary. Uwięziony w gorze lodu statek mknął wprost na maleńką łódź.

Odwrócony plecami do wichury rybak nie przestawał wiosłować. Wreszcie góra lodowa, która uwięziła *Sen Rheni*, rozpadła się na fragmenty i zniknęła pod powierzchnią. Śpiewał nadal, choć dziób *Snu Rheni* zawisł nad jego głową. Poruszał wiosłami, kiedy łódź rozpadła się na kawałki, a piecyk zgasł w eksplozji pary i pochłonęły go fale. *Sen Rheni* płynął dalej, przechylając się mocno. Gdy potężna fala uderzyła prosto w jego burtę, przechylił się jeszcze bardziej, zawahał i poszedł pod wodę. Wśród unoszących się na wodzie szczątków było też jedno wiosło. Pokryła je już skorupa lodu. Jeźdźcy Sztormu mijali pośpiesznie wrak. Niektórzy unosili lance wysoko nad głowy, a potem je opuszczali, wskazując na północ. Na horyzoncie, między chmurami a wzburzonym morzem, rozbłysła błyskawica, ukazując ciemną plamę ładu.

* * *

O południowy brzeg uderzały wysokie grzywacze gnane mroźnym szkwałem. Kobieta szła powoli kamienistym brzegiem. Jej długie czarne włosy i liczne spódnice łopotały na wietrze. Otuliła się szczelnie szalem i weszła na wąską ścieżkę wiodącą do zbudowanej z darni i wyrzuczonego przez morze drewna chaty tuż nad plażą. Otworzyła drewniane drzwi i zajrzała do mrocznego wnętrza. Siedząca w środku kobieta zamarała w bezruchu, zwrócona twarzą ku drzwiom. Na jej kolanach leżała zapomniana robótką, a oczy ślniły biało w ciemności.

Kobieta stojąca w drzwiach zadrżała.

– To ja, Agayla.

Jej oddech zamarzał w lodowatym powietrzu wnętrza chaty. Podeszła bliżej. Szron skrzypiał pod jej butami. W osmalonych szczapach leżących na kominku lśniły białe kryształki lodu. Usta i oczy siedzącej kobiety pokrywała warstewka mroźnej bieli.

Agayla sięgnęła po robótkę, ale wełna rozprysła się na drobne kawałki.

* * *

W słabym świetle księżycy przebijającym się tu i ówdzie przez chmury Agayla podeszła do skraju plaży, gdzie leżały przyniesione przez najwyższe fale szczątki drzew i kawałki starych desek. Z dopiero co wyrzuczonego przez morze kłębowiska wodorostów i martwych ryb buchały kłęby pary. Kobieta patrzyła na południe, ku zachmurzonemu horyzontowi, gdzie wśród białych grzbietów fal było widać jaskrawe szmaragdowe i lazururowe błyski. Zamierzała dotrzeć do wysokiego skalistego cypla górującego nad plażą. Stał już tam ktoś inny – stary mężczyzna w obszernej, brązowej szacie. Jego łysą czaszkę okalało pasemko długich, białych, targanych wiatrem włosów. Skrzyżował ręce na piersi i spoglądał ze złością na południe.

– Widziałś kiedyś coś takiego, Agayla? – zapytał, nie odwracając się, gdy była już blisko. Choć wiatr świstał przeraźliwie, bez trudu zrozumiała jego słowa.

Szła ostrożnie po kamieniach, podtrzymując jedną ręką spódnicę.

– Od czasu najwcześniejszych ataków nic podobnego się nie wydarzyło, Obo.

Przystanąła obok niego, owijając się szczelniej szalem.

Mężczyzna chrząknął i zrobił jeszcze groźniejszą minę.

– A co z rybakiem? – zapytał, unosząc brwi.

– Przegrał. Był na morzu sam. Wiedzą, że jesteśmy nieosłonięci. Wyczuli to.

- Ta idiotka, Gburka, postanowiła zakazać uprawiania magii na wyspie. Dlaczego nie zadała sobie pytania, co sprawia, że rodzi się tu tyle talentów? Zaklinacze wiatru, uspokajacze sztormów, woskowe wiedźmy, czarnoksiężnicy, interpretatorzy Talii Smoków, co tylko zechcesz. Jeźdźcy nie ośmielali się zbliżyć bardziej niż na kilkaset mil.

- Nie wiedziała o tym, bo nikt o tym nie wiedział, Obo - zauważyła Agayla.

Splunął w bok.

- Znikam stąd. Nie zdołamy tego powstrzymać.

Przeszyła go wściekłym spojrzeniem.

- No jasne. Uciekaj do swojej wieży. Oboje wiemy, że ją potrafiisz obronić. Ale co będzie z wyspą? Jak ci się podoba perspektywa mieszkania na martwej skale nieustannie obleganej przez Jeźdźców?

Pociągnął nosem.

- To może mieć pewne zalety.

Potrząsnęła ze wzgardą głową.

- Nie próbuj tego. Uczyniłeś z tej wieży swoją kotwicę, a ona stoi na wyspie. Musisz się w to zaangażować. Nie masz wyboru.

Obo skrzywił usta, jakby zjadł coś obrzydliwego. Wskazał podbródkiem na południe.

- I tak nie możemy wygrać. Nas dwoje to za mało.

- Wiem o tym. Dlatego poprosiłam o pomoc jeszcze kogoś.

- Co?! Jak śmiałaś?! - naskoczył na nią Obo. - Kogo? Kto to jest? Kto tu przybędzie? To nie ten szaleniec, prawda?

- Na Moce, nie. Nie on. Zresztą on wybrał inną drogę. Nie, to ktoś inny.

- To mi się nie podoba.

- Wiedziałam, że tak będzie - zauważyła z westchnieniem Agayla. - Na razie musimy stawić im opór.

- Jeśli ten ktoś nie przypadnie mi do gustu, odejdę. Przysięgam, że to zrobię.

- Tak, Obo.

Agayla zachwiała się, jakby uderzył w nią nagły podmuch. Cofnęła się o krok pod wpływem niewidzialnego nacisku. Sięgnęła za siebie, oparła się o głaz i pomasaowała czoło.

- Bogowie na górze. Nigdy nie czułam czegoś tak mocnego.

Obo pokiwał głową, ponownie krzyżując ramiona.

- Uparte skurwysyny, co?

* * *

Hart otworzył oczy i ponownie ujrzał oblężenie Y'Ghatanu. To był jego stary koszmar. Przeżywał go raz po raz, we śnie i na jawie. Jednak od ostatniego takiego incydentu minęło już sporo czasu i weterana zaniepokoił fakt, że znowu znalazł się w tym miejscu.

Słyszał głośny łopot tkaniny na nieustannym wietrze, rozkazy wywarkiwane przez kogoś w pobliżu. Czuł odór spalonych skórzanych strojów i gnijących ciał. Jego wątpliwości i utrzymujący się od dawna niepokój zniknęły niczym woda w garnku pozostawionym pod palącym słońcem Siedmiu Miast. Zwarte szyki malazańskich żołnierzy stały, zwrócone do niego plecami, przed płaskim polem przesłoniętym chmurami niesionego wiatrem piasku. Na tej równinie leżały ciała, a z ziemi pod różnymi kątami sterczał las włóczni i oszczepów. Za obłokami pyłu wznosiły się ciemnobrązowe mury pierwszego z czterech poziomów starożytnych ruin. Fortyfikacje sprawiały na Hartcie wrażenie zbudowanych po prostu z ubitej ziemi. Dalej, na północnym horyzoncie, piętrzyły się wyszczerbione, podobne do siekaczy turnie Thalasu.

Zawodzenie wiatru zniekształciło brzmienie wydanych rozkazów. Żołnierze wymaszerowali. Hart wpatrzył się w kłęby pyłu, odsunął hełm i splunął piaszczystą plwociną. Manierka uderzała rytmicznie o pierś jego łuskowego kirysu. Wziął ją w rękę i skinął głową do brodatego, zakutego w zbroję mężczyzny, który szedł u jego boku.

- Dziękuję, Sztych.

– Co, na Mądrość Pożogi, robimy na tym zapomnianym przez bogów pustkowiu? – poskarżył się Sztých, wkładając hełm, żelazny garnek z osłonami policzków ukształtowanymi na podobieństwo paszczy ryczącego lwa.

Hart nie odpowiedział. Cóż mógł mu rzec? Sztých zawsze na wszystko narzekał. Taki już był. Przed ich szeregiem krążyły mieszane oddziały nieprzyjaciela, złożone z Grali, Debrahlów, Tregynów i straży y'ghatańskiej. Jeźdźcy wykrzykiwali ochryplymi głosami obelgi, których nie sposób było zrozumieć z tej odległości, i uderzali mieczami o okrągłe tarcze z brązu. Hart odwrócił się, spoglądając na białe, muskane wiatrem ściany namiotu dowodzenia.

– Powiedział, że to będzie ostatnia bitwa.

Sztých prychnął pogardliwie.

– Nic z tego. Ta kraina to jedno wielkie gniazdo szcurów. Zawsze będzie następna i jeszcze następna. Ci ludzie nigdy nie pogodzą się z prawdą.

Hart spojrzał na powiewającą na wietrze flagę, na żołnierzy piechoty morskiej pełniących straż przy wejściu do namiotu i na swych czterech braci, którzy stali obok nich.

– Może i tak. Ale on powiedział, że to jego ostatnia bitwa.

Sztých zerknął na niego, mrużąc osłonięte hełmem powieki.

– Chyba w to nie wierzysz? On zawsze tak mówi.

– No nie wiem. Ten bloorgiański kapłan, Lanesh... pamiętasz, co on bredził.

Sztých uderzył otwartą dłonią w miecz, który wisiał u jego pasa.

– Ta świnią? Wścieka się, że Dassem jest bliżej Kaptura, niż on kiedykolwiek się znajdzie. Nasada mówił, że powinniśmy mu wypruć flaki. Tym razem zgadzam się z tym krwiożerczym bydlakiem.

Hart się wyprostował. Odsunięto połę namiotu i oficerowie wyszli na zewnątrz szeregiem.

– Już idą.

Dassem trzymał pod pachą hełm z kitą z końskiego włosia. Czterej pozostali strażnicy osobiści z „Miecza” czekali na niego przy wejściu.

– Chwała Mieczowi! – zakrzyknęli żołnierze w pobliskich szeregach.

Dassem uniósł w odpowiedzi ukrytą w pancernej rękawicy dłoń. Pojawili się też nieliczni członkowie kadry magów: stary A'Karonys dzierzący laskę wyższą od niego, olbrzymi Bellurdan, Nightchill oraz łysy konus, Loczek.

– Chciałbym, żeby stary potwór był z nami – wyszeptał Szytch. – On potrafił utrzymać tę sukę w ryzach.

Hart chrząknął na znak zgody. Ta suka, Gburka, nadal ukrywała się w namiocie. Taliańscy i falarscy podpięści oraz komendanci wyszli już z niego i udali się na posterunki. Ścigali ich gońcy niosący ostatnie rozkazy. Daleko za murami miasta rogi zagrały na alarm. Nieprzyjacielska kawaleria przejechała jeszcze raz przed ich szykami, cisnęła oszczepy i odjechała.

Szturm trwał cały dzień. Ryk i zgiełk bitwy rozbrzmiewały i cichły, gdy komendanci dowodzący skrzydłami szukali słabych punktów obrony. Hart czuł woń dymu i smród palonych ciał, kiedy A'Karonys uderzał w mury kaskadą płomieni, by po chwili jego atak odparły niedobitki Świętych Falah'dów. Hart i jego bracia otoczyli kręgiem Dassema, Miecz Imperium oraz dowódcę malazańskich sił, czekając przez cały upalny dzień na chwilę, gdy Miecz włączy się do walki. Gońcy krążyli w obie strony, przynosząc Dassemowi wieści i przekazując jego rozkazy. Z niesionych wiatrem obłoków pyłu wyłoniła się kompania saperów, którzy zasalutowali Dassemowi. Choć ich twarze oblepiał piasek, uśmiechali się szeroko. Wreszcie udało się zrobić wyłom w murach.

Powoli, krok po kroku, regularna piechota ruszyła do szturmu. Żołnierze wdrapali się na pierwsze wzniesienie, docierając do wyłomu w najniższej położonym kręgu umocnień. Imperialni saperzy wykonali zadanie, wysadzając w powietrze cały odcinek murów, ale obrońcy nadal skutecznie bronili się w wyłomach. Nocą wznosili barykady ze skrzyń i belek, a za dnia Malazańczycy musieli je rozbierać. Wspinając

się na rampę, Hart obliczył, że każdy krok w górę piaszczystego, osypującego się zbocza kosztował życie tysiąca ludzi. Wszystko przesłaniała nieprzenikniona chmura czerwonego pyłu. Z przodu dobiegały tłumione krzyki oraz szczęk oręża, niesione porywistym wiatrem.

Przyjrzał się murom następnego poziomu. Były zaledwie stosem wysuszonych na słońcu cegieł. Dlaczego tutaj, w tej żalosnej dziurze? Dlaczego akurat tu zebrały się niedobitki powstańczych armii oraz kilku ocalałych, świeżo namaszczonych falah'dów? Jeńcy przechwalali się, że to niezwykle starożytny gród, zwali go ukrytym protoplastą wszystkich Świętych Miast. To była dogodna teza, wzięwszy pod uwagę, że wszystkie pozostałe miasta padły. Dogodna, a zarazem smutna. Świadczyła, jak nisko upadła dumna ongiś cywilizacja. Ostatnia, odarta z godności legenda pokonanego ludu.

Dassem skinął na swych sygnalistów i kurierzy przestali krążyć. Powierzył kontrolę nad bitwą dowódcom pododdziałów: Amaronowi, Chossowi i Sójeczce.

– Ostatnia? – zapytał Hart, podchodząc bliżej.

Dassem spojrział na niego. W jego ciemnych oczach pojawił się łagodniejszy wyraz.

– Tak jest. Ostatnia.

Hart wziął się w garść, myśląc o szeptach, które dobiegały z tak wielu źródeł, o paktach i przysięgach złożonych samemu Zakapturzonemu.

– Nie możesz tak po prostu odejść – sprzeciwił się.

Dassem otrząpał z pyłu długą, burgundowo-szarą opończę z cesarskim berłem wyszytym na piersi.

– To najmniejsze z moich zmartwień, Hart – wyszeptał. – Nie brakuje takich, którzy aż nazbyt chętnie zajmą jego miejsce. T'ris wie, że praktycznie ustawiają się w kolejce.

– To nie będzie takie proste.

– Proste!

W czarnych oczach Pierwszego Miecza rozgorzał ogień. Hart cofnął się o krok. Dassem przesunął dłonią przed oczyma, jakby chciał zetrzeć z nich jakąś straszliwą wizję. Jego długie, czarne włosy, związane z tyłu głowy, kołysały się na wietrze jak kita hełmu, który miał pod pachą. Przystawił dłoń do czoła, żeby przyjrzeć się bitwie.

– Popęłnił błąd – wyszeptał.

Hart zadał sobie pytanie, czy Pierwszy Miecz chciał, by to usłyszał.

– Odebrano mi wszystko, co miało dla mnie znaczenie. Nie mam już nic do stracenia...

Hart gorąco pragnął ująć swego dowódcę za ramiona i krzyknąć: „A co z twoją duszą, Dassem?!”. Zachował jednak milczenie.

Wyczuwał, że nie ośmieli się już posunąć dalej, że Dassem dał mu wszystko, co był skłonny ofiarować. Co zresztą mógł wiedzieć o paktach zawartych w czasach jego dziadka? Albo o tajemniczych planach Kaptura, jeśli już o tym mowa?

Z tysięcy gardeł wyrwał się ogłuszający ryk. Regularni żołnierze malazańskiej Trzeciej Armii przedzierali się na kolejny poziom fortyfikacji.

– Już niedługo. Wkrótce ujrzymy Surgena – mruknął Dassem.

Rozciągnął usta w uśmiechu, odsłaniając zęby. Jego twarz zamarała w wyrazie niecierpliwości. Hart przyłapał się na tym, że lituje się nad nieprzyjacielskimi żołnierzami. Dassem włożył hełm i ruszył naprzód. Hart i reszta Miecza – Szytch, Nasada, Jelec, Trzon i Klinga – otoczyli go kręgiem.

Kiedy szli, Hart cały czas wypatrywał Surgena. Surgen Ress twierdził, że jest ostatnim z namaszczonych obrońców Świętych Miast. Mniejsza z tym, że Świętych Miast było tylko siedem i wszystkich siedmiu obrońców padło od miecza Dassema. Surgen dał życie pretensjom Y'Ghatanu do tytułu ósmego Świętego Miasta – ukrytego, ale najstarszego. Hart zastanawiał się, jak długo przetrwają te ambicje.

Z obłoków pyłu wyłonili się jak duchy ranni żołnierze. Niektórzy wlekli się o własnych siłach, innych dźwigali na noszach towarzysze.

Wszyscy zatrzymywali się na widok czarnej kity na hełmie Dassema. Ci, którzy byli w stanie, salutowali, inni po prostu odprowadzali go tęnym spojrzeniem.

Wreszcie dotarli do drugiego wysokiego nasypu i prowadzącej na jego szczyt rampy. Wokół leżały sterty trupów: malazańska piechota w szarych opończach nałożonych na łuskowe zbroje i stos obrońców Siedmiu Miast. Ich szaty i chusty łopotały na wietrze. Mijając drugi pierścień murów, Hart i jego bracia zacieśnili krąg wokół Dassema.

Wyciółka zbroi Harta była już cała mokra. Pot skapywał mu z czoła. Usta miał wyschnięte i pełne pyłu. Mrugał co chwila, oczy piekły go i łzawiły od unoszących się w powietrzu drobin. Krzyki i szczęk oręża jak zwykle go ogłuszały, czuł się jednak spokojniejszy niż podczas poprzednich bitew. Wiedział, że ocalali kapłani-magowie Siedmiu Miast, falah'dowie, nie mogą ich zaatakować, dopóki są powstrzymywani przez kadrę malazańskich magów.

Podbiegł do nich kurier.

– Surgen wyruszył w pole – oznajmił, salutując. – Na prawej flance.

Dassem odesłał go i spojrzał na swych strażników.

– Postaram się, żeby tym razem się nie wymknął.

Hart i jego bracia uśmiechnęli się, widząc, że ich dowódca wyciągnął miecz. Wszyscy ruszyli w prawo.

Regularne oddziały rozstały się, robiąc im przejście. Dassem wyszedł na przód, Szytych i Klinga zajęły pozycje na skrzydłach. Hart, Trzon, Nasada i Jelec podążali z tyłu.

Po chwili dotarli na pierwszą linię. Sierzanci wskazali Dassemowi drogę ku miejscu, gdzie pośród wiru walczących, otoczonych unoszącymi się w powietrzu obłokami pyłu, zajął pozycję Surgen. Na widok czarnej kity Pierwszego Miecza y'ghatańscy żołnierze zawyli z wściekłości. Ogarnął ich szał bojowy. Rzucali się do ataku na oślepa, jakby chcieli ich zgnieść swą masą. Hart wiedział, że tym, którzy padną z ręki Dassema, obiecano status świętych męczenników. Nagle zza zasłony pyłu wyłoniła się eskorta Surgena, dwudziestu doborowych strażników

w czerwonych chustach na głowach. Ich twarze naznaczono licznymi kreskami. Dassem wysunął się na czoło. Y'ghatańska piechota napierała na nich z siłą lawiny. Wkrótce Hart zorientował się, że obrońcy Siedmiu Miast otoczyli ich ze wszystkich stron.

Z początku nie niepokoił się zbyt. To zdarzało się wcześniej i z pewnością będzie się również zdarzać w przyszłości. Był pewien, że malazańskie oddziały przystąpiły już do kontrataku, by się do nich przebić. Surgen pojawił się i skrzyżował miecze z Klingą, było jednak oczywiste, że Klinga nie jest przeciwnikiem, o którego mu chodzi, cofnął się więc, żeby zaatakować stojącego samotnie Dassemą. Najwyraźniej nikt nie ważył się z nim mierzyć. Albo ci, którzy się na to ośmielili, ginęli już po pierwszym ciosie.

Miecze uderzały o siebie ze szcękaniem. Eskorta Surgena naciskała mocno na Harta, pragnąc powalić jego i jego braci, po czym otoczyć Dassemą. Podobna taktyka była jednak typowa. Hart starł się z jednym z członków eskorty. Walczył ostrożnie i defensywnie, posługując się mieczem i tarczą. Miał ciężką zbroję i starał się nie przemęczać, czekając na okazję, by załatwić przeciwnika. Jego przewaga polegała na tym, że wiedział, że musi tylko wytrzymać do chwili, gdy Dassem wykończy swojego rywala.

Początkowo walka układała się niekorzystnie dla obrońców. Dassem zmuszał Surgena do odwrotu i Miecz posuwał się naprzód, osłaniając swego dowódcę. Ostatni obrońcy Siedmiu Miast cofali się krok za krokiem, z pozoru ustępując przed naciskiem. Hart jednak nadal nie mógł się doczekać przybycia żołnierzy regularnych malazańskich oddziałów. Tego dnia mieszkańcy Y'Ghatanu, obywatele-żołnierze wzmocnieni weteranami ze wszystkich rozbitych tubylczych armii, utrzymali się, choć dotąd zawsze się załamywali.

Dassem ciągle parł naprzód. Hart załatwił ostatniego ze stojących mu na drodze strażników i podszedł bokiem do dowódcy, by zatkać lukę.

Surgen atakował oboma mieczami, a Dassem parował wszystkie uderzenia. Jego miecz przerodził się w niewyraźną plamę. Nagle coś przeszło pole widzenia Harta. Dassem wciągnął gwałtownie powietrze i pochylił się, jakby został ranny. Kolejny atak? Strzała albo bełt? Hart nie był pewien, co widział. Surgena również to zaskoczyło, ale natychmiast przyspieszył, by wykorzystać szansę. Dassem odpierał jego ataki jedną ręką, trzymając się za pierś. Jelec i Klinga złamali szyk, by włączyć się do walki.

I nagle otworzyły się przed nimi Ścieżki Kaptura.

Czując zapach krwi niezwykłego wojownika, który pozostawał symbolem, odkąd ludzie sięgali pamięcią, Surgen rzucił się do ataku. Towarzyszyła mu eskorta wraz z niedobitkami regularnych oddziałów. Jelec i Trzon walczyli jak fanatycy, by Miecz miał szansę odwrotu jako jednostka. Jednakże tylko Dassem mógł się mierzyć z Surgenem. Jelec wkrótce padł pod ciosami bliźniaczych mieczy namaszczonego obrońcy otoczonego patronatem Świętych.

Hart ryknął głośno, domagając się wsparcia, ale jego krzyk zagłuszyły wrzaski rozgorączkowanych nieprzyjaciół. Dassem opuścił głowę, chwiał się na nogach. Ani Hart, ani żaden z jego braci nie mogli odebrać się od walki choć na chwilę, żeby mu pomóc. Hart cierpiał straszliwie, widząc, jak dowódca potyka się i wspiera o jego plecy podczas dręczącego odwrotu po nierównym gruncie.

Co to był za pocisk? – zastanawiał się trawiony furją. Kto mógł go dosięgnąć? Jak to się stało, że akurat tego dnia, o tej godzinie, y'ghatańscy obywatele-żołnierze pokonali malazańskich profesjonalistów? Co wzmocniło ich kręgosłup?

Otoczeni ze wszystkich stron próbowali przebić się do swoich. Hart mógł jedynie uderzać nieustannie tarczą i ciąć mieczem dłonie, które chwyciły jej zaostrome żelazne brzegi. Przez pewien czas ich piątka unosiła się nietknięta na falach nieprzyjaciół niczym fragment zatopionego statku. Potem zostało czterech: on, Dassem, Sztych i Nasada. Trzymali się jeszcze przez kilkanaście uderzeń serca, aż wreszcie Surgen

przedarł się przez tłum jak niedźwiedź rozpędzający sforę psów. Choć Dassem sprawiał wrażenie bliskiego śmierci, nadal z łatwością radził sobie z regularnymi żołnierzami. Sztych zastąpił drogę Surgenowi, podczas gdy Hart i Nasada nadal odpierali ataki tłumy. A malazańscy żołnierze ciągle nie przychodzili z odsieczą. Sztych starł się z Surgenem. Hart widział bardzo niewiele z tego pojedynku. Był zbyt zajęty obroną przed atakami nieprzyjacielskiej piechoty. Wrogowie rzucali się nań jeden po drugim, rozpaczliwie starając się go powalić. To, co zobaczył, wystarczyło jednak, by przekonać go o wielkości Sztycha. Jego brat z Miecza przeszedł sam siebie, wytrzymał z otoczonym patronatem obrońcą dłużej, niż ktokolwiek uznałby za możliwe. Hart ryknął po raz kolejny, domagając się odsieczy. Wiedział, że jeśli wkrótce się jej nie doczekają, zginą pod ciosami mieczy Surgena.

Sztych padł. Z ust Harta wyrwał się gniewny okrzyk. Jego towarzysz walczył pięknie. Nie zasłużył na porażkę, to było niesprawiedliwe. Hart wykorzystał swą furję, by przedrzeć się do luki. Nigdy nie zapomniał pojedynku, który nastąpił później. Gorejące oczy Surgena cały czas wpatrywały się w punkt za jego plecami... w okaleczonego Dassema, który był tak blisko.

Czując, że nadciąga koniec, regularni żołnierze z Siedmiu Miast odsunęli się, by zrobić miejsce Surgenowi. Obrońca ruszył do ataku z pewną siebie, nawet pogardliwą miną. To jeszcze wzmocniło determinację Harta. Posypały się ciosy, ale on po prostu pochylił się, jak szalas stojący na drodze lawiny, zdecydowany wytrzymać wszystko, co rzuci przeciwko niemu Surgen.

Przeciwnik karał go surowo za tę zuchwałość, ale Hart nie ustępował. Obrońca walczył z niewiarygodną biegiłością. Prawie dorównywał siłą Hartowi i był od niego znacznie szybszy. Spoglądając w pełne zaciekłości oczy obrońcy, widząc, jak otwiera usta, jakby już poczuł smak krwi Dassema, Hart wyrzekł się nadziei ocalenia życia. Pogodził się ze śmiercią, pragnął jedynie wytrzymać wystarczająco długo, by pozbawić Surgena satysfakcji zwycięstwa. Odpierał jego ciosy, a gdy tylko mógł,

wykorzystywał swą byczą siłę, żeby odepchnąć go do tyłu. Pchnięcie na brzuch. Hart chrząknął tylko i wyprowadził cięcie na głowę przeciwnika. Ten był jednak tak szybki, że się uchylił i skończyło się na skaleczeniu grzbietu nosa. Potem Surgen cofnął się na moment. Hart miał nadzieję, że go zamroczył, nie widział jednak zbyt wiele, gdyż oczy przesłaniała mu różowa mgiełka zmieszanego z krwią potu.

Czekał, wciągając kolejne hausty powietrza, i wciąż się cofał, podczas gdy Nasada wrzeszczał ogłuszająco, rąbiąc mieczem na wszystkie strony. Zawładnął nim ślepy bitewny szal. Dassem chwiał się na nogach i parował ataki jak pijak, ale nadal potrafił się obronić przed zwykłymi żołnierzami.

Surgen zawył ze świętego oburzenia i ponownie rzucił się na Harta. Miecz przeszył powietrze z błyskawiczną szybkością. Hart mógł jedynie czekać, by się przekonać, co zamierza przeciwnik. Szkoda już się stała. Czuł, że życie zeń wycieka, spływając mu po nogach ciepłą, wilgotną strugą. Jego tarcza pękła pod ciosami Surgena. Hart wypuścił miecz i złapał przeciwnika za nadgarstek.

– Giń! Giń! – warknął mu obrońca prosto w twarz.

Hart uśmiechnął się ze znużeniem.

– Gdy tylko będę mógł, przyjacielu.

Rozwścieczony Surgen spróbował wyszarpnąć rękę, ale nikt, nawet sam Dassem, nie potrafił złamać żelaznego uścisku Harta.

Surgen spojrział za jego plecy i otworzył szeroko oczy. Z ust wyrwał się mu nieartykułowany krzyk. Oczy Harta przesłoniła ciemność. Poczul, że jego uchwyt słabnie. Obrońca wyszarpnął się, cofnął. Zalała ich fala regularnych malazańskich żołnierzy. Czyjeś ręce uniosły ranego z pola bitwy. Pozwolił, by zabrali go w ciemność, wiedząc, że zwyciężył w swej ostatniej walce, że po raz kolejny wytrzymał wystarczająco długo...

Hart czekał, aż koszmar się skończy. Po tej chwili zawsze się budził. Serce mu waliło, nie mógł zaczerpnąć tchu. Tym razem jednak ciemność nie nadeszła. Surgen nadal atakował go z solidną fachowością, jakby rąbał mięso. Jednakże zamiast połączonego hełmu z brązu miał na głowie szary kaptur. Gardło weterana ścisnęła świadomość nieuniknionej śmierci. Zakapturzona sylwetka pochylała się nad nim i nakryła go inną postacią ciemności. Hart znów próbował zaczerpnąć tchu, i znów nadaremnie. Uciskał go ogromny ciężar śmierci. Pękały mu żebra. Wreszcie odniósł wrażenie, że nie zostało z niego już nic. Nie zaprzestał jednak walki, choćby tylko po to, by pokiwać palcem, splunąć w ukrytą pod kapturem twarz.

* * *

Wciągnął powietrze. Było tak zimne, że aż rozboleły go zęby. Jego pierś uniosła się, opadła i znowu się uniosła. Wróciło światło. Z początku wszystko było zamazane, ale po chwili przejaśniło mu się przed oczyma. Patrzył na ławicę chmur skupioną po lodowatymi gwiazdami nocnego nieba.

– Jesteś bardzo upartym człowiekiem – dobiegł go z boku czyjś spokojny głos.

Hart odwrócił z jękiem głowę. Na kamiennym bloku siedział mężczyzna w jasnopopielatych szatach z kapturem. Weteran oblizał wargi.

– Kim jesteś, na gównu Fenera? – wychrypiał.

– Mógłbym ci zadać to samo pytanie, ale chyba już znam odpowiedź.

Mężczyzna uniósł jakiś przedmiot: hełm Harta. Trzymał go w urękawiczonych dłoniach, jakby zamierzał skrytykować jego wykonanie.

Hart jęknął. Głowa znowu mu opadła.

– Moi ludzie widzieli twój pojedynek z Roodem. Byli pod wrażeniem. Dlatego, hmm, wtrącili się i przynieśli cię tutaj.

Weteran uniósł na próbę prawą rękę. Przyjrzał się jej i potarł oczy.

– Roodem?

– Ogarem Cienia. Zaskoczyłeś go. Pewnie ostatnio miał zbyt wiele łatwej zwierzyny.

Hart spróbował usiąść i znowu jęknął. Zadał sobie pytanie, jak można się wtrącić w walkę z takim demonem?

– Kazałem im cię uzdrowić, po tym, jak to zobaczyłem. – Postukał palcem w hełm. – Niezwykły okaz.

Hełm lupnął go w brzuch. Hart stęknął z bólu. Tym razem udało mu się usiąść.

Mężczyzna wstał.

– Powinieneś się go pozbyć. Jest zbyt charakterystyczny.

Hart się skrzywił.

– Cholera, nie mam innego. Nadal mi nie powiedziałaś, kim jesteś.

Mężczyzna zignorował słowa weterana. Spojrzał na coś w oddali, a potem przywołał go skinieniem dłoni.

– Zostało nam mało czasu. Wystarczy, że powiem, że mamy wspólnego wroga w postaci szponów.

Hart chrząknął i podźwignął się powoli. Przyjrzał się swoim ramionom, dziwiąc się, że ciało pod popękkanymi żelaznymi ogniwami i rozdartą skórzaną wyściółką znowu jest całe. Wymuszone uzdrowienie na taką skalę było czymś zdumiewającym. Niesłychanym. Powinien być nieprzytomny, a jego ciało przekonane, że został kaleką albo nawet zginął. Co mu zrobili? U boku weterana leżała jego broń i obie pancerne rękawice, jedna gruntownie przeżuta. Przypiął miecze, posykując i krzywiąc się z bólu, gdy poruszał zeszywniałymi kończynami. Mężczyzna przyglądał mu się z twarzą ukrytą w ciemności.

Znajdowali się na Omszałych Skałach, błoniach pochłanianych stopniowo przez rozrastające się w głąb łądu miasto. Hart zauważył też innych ludzi, mężczyzn i kobiety, odzianych w takie same bezkształtne szaty. Stali na straży w brzoźowych zagajnikach i na stertach kamieni.

– Kimkolwiek jesteście, przyszło was tu sporo – przyznał z niechęcią.

– Tak. Ta noc należy do nas. Przejmujemy panowanie nad wyspą na dwie albo trzy noce w każdym stuleciu.

Hart spróbował wypatrzeć coś w cieniu pod kapturem rozmówcy. W jego akcencie wychwytywał osobliwą nutę. Pod kapturem jednak dostrzegł tylko pustkę. Wstrząsnęło to nim: przypomniał sobie szponów... i swój sen.

Pojawiła się kolejna postać, wyglądająca niemal identycznie jak pierwsza. Mężczyźni rozmawiali ze sobą przez chwilę, pochylając się, tak że ich kaptury niemal się stykały. Obaj byli nienaturalnie wysocy i szczupli. Mówili w obcym, śpiewnym języku, którego brzmienie zaniepokoiło Harta. Spotkał się podczas swych podróży z wieloma różnymi językami, ale ten nie przypominał żadnego z nich. Podobnie jak uzdrowienie, niezaprzeczalny fakt, że wyrwali go z paszczy Ogara, oraz słowa zapewniające, że ta noc należy do nich, przywodziło to Hartowi na myśl kult oddający cześć Cieniowi. Była to ponoć sekta parająca się czarami i otaczająca swym patronatem skrytobójców. Najwyraźniej też Szpon polował na jej członków. To miało sens. Zawodowa rywalizacja. Przypominał sobie inną organizację skrytobójców, założoną przez Tancerza, gdy powstawało imperium: Pazur. Szpon Gburki powstał później, jako błada imitacja owego tajnego stowarzyszenia. Słyszał też pogłoski o tym, że po zniknięciu Kellanveda i Tancerza organizacja Gburki wypełniła powstałą pustkę. Że ludzie wierni starej gwardii znikają. Sam nigdy nie poczuwał się do zbyt wielkiej lojalności wobec Kellanveda czy Tancerza. To Dassema nie chciał zdradzić tamtego dnia w Y'Ghatanie. Ocalił życie i od tej pory się ukrywał. Patrząc na tych dwóch, zastanawiał się, czy oni również służyli. Było jednak pewne jak Kaptur, że nigdy ich o to nie zapyta. Odchrząknął. Mężczyzna, z którym rozmawiał przedtem, spojrzał na niego.

– Chodź – powiedział i skinął dłonią, nakazując Hartowi podążyć za sobą, po czym ruszył przez usianą kamieniami łąkę.

Zaskoczony weteran zamarł w bezruchu, lecz po chwili z boków podeszli do niego dwaj kolejni ludzie w bezkształtnych szatach. Szczu-

plejszy z nich poruszał się w tak arogancki, wyzywający sposób, że Hart miał ochotę go zdzielić. Przód szaty i brzegi kaptura miał lekko osmalone. Drugi, tęższy, skinął na Harta dłonią owłosioną i sękatą jak u kowala albo dusiciela.

Zaprowadzili go na wzniesienie górujące nad wschodnią dzielnicą starego miasta.

– Co widzisz? – zapytał ten, który go obudził.

Hart się zawahał. Czego od niego oczekuje? Z niechęcią omiół wzrokiem dzielnicę. Mgła, gęsta jak nisko wiszące chmury, spowijała dachy i pełzła ulicami. Wydawało się, że zmierza w stronę gospody „Pod Wisielcem” – a także sąsiadującego z nią Domu Umarłych.

Przyjrzał się uważniej i zauważył światła, niesamowity niebieskozielony nimb towarzyszący niekiedy manipulacji grotami. Ile razy widział, jak taka sama luna pojawiała się na polu bitwy, nagle jak duch? I ile razy uchylał się przed nią, czując zimny ucisk w żołądku, ponieważ w walce z tym przeciwnikiem jego umiejętności były bezużyteczne? Z tej samej dzielnicy dobiegł go basowy zew Ogara, przypominający odległy wybuch alchemicznych pocisków.

– Co to jest? – zapytał Hart.

– Niektórzy mówią, że to drzwi – odparł mężczyzna. – Wejście do królestwa Cienia. A ten, kto przez nie przejdzie, zostanie królem tej grotki. To zdumiewająca możliwość, tak?

Hart skinął głową z mądrą miną.

– A więc o to chodzi. Chcesz przejść przez te drzwi.

Spod kaptura dobiegł aksamitny śmiech.

– Nie, nie ja. Mam stanowczo za mało mocy. I są zbyt dobrze strzeżone. Ogary to tylko pierwsi strażnicy. Przed świtem próbę może jednak podjąć ktoś inny. Na to właśnie się przygotowujemy.

– A co mnie do tego?

– Mógłbyś nam pomóc.

Hart ponownie skinął głową, tym razem z pogardą.

– A jeśli odmówię?

Kaptur zwrócił się w jego stronę. Weteran odwzajemnił spojrzenie, próbując wypatrzeć w mroku oczy rozmówcy. Cisza się przeciągała, z każdą chwilą coraz bardziej krępująca. Hart potarł bliznę na podbródku.

– Będziesz mógł odejść – zapewnił mężczyzna.

Hart prychnął pogardliwie.

– Tak po prostu?

– Ehe, tak po prostu. Dwaj moi ludzie odprowadzą cię, dokąd zechcesz.

Unosił rękę, wskazując za plecy Harta.

Weteran obejrzał się i zobaczył, że dwaj jego niedawni strażnicy czekają w pobliżu, pod porośniętą mchem skałą.

– Dokąd zechcę?

– Tak.

– W takim razie trzymam cię za słowo.

– Życzę szczęścia, żołnierzu.

Mężczyzna zasalutował, unosząc rękę do piersi w starym geście Cesarskiego Berła.

Hart opuścił rękę, odsuwając ją od blizny, która biegła od policzka do podbródka.

– Pewnie nie chcesz się dowiedzieć, co sędzę o waszych szansach.

Kaptur się przechylił.

– Nie bądź głupi, Hart.

– Ehe. Chyba masz rację. Dziękuję za uzdrowienie.

Kaptur pochylił się w geście pożegnania. Hart cofnął się o kilka kroków, jakby się bał, że w ostatniej chwili mogą zmienić zdanie, a potem ruszył w stronę Bulwaru Nadrzecznego. Dwaj strażnicy podążyli za nim.

Gdy Hart szedł Bulwarem Nadrzecznym, cały czas swędziały go plecy, jakby przyciągnął uwagę Bliźniaków. Nie potrafił się uwolnić od podejrzenia, że dwóm strażnikom rozkazano porzucić go martwego w rowie. To była głupota: w końcu mogli po prostu zostawić go Ogarowi. Niemniej już dawno nauczył się zdrowej paranoi i teraz nie chciała go ona opuścić.

W pewnym momencie, kiedy miał już tego dość, zatrzymał się nagle i odwrócił. Idący dziesięć kroków za nim strażnicy również przystanąli. Szczuplejszy skrzyżował ręce na piersiach, jakby cała ta sprawa go nudziła, a tęższy skinął dłonią, nakazując weteranowi iść dalej.

– Nie macie nic do powiedzenia od siebie, he? – zadrwił Hart, ruszył jednak w dalszą drogę.

Wszystko przez to cholerne proroctwo o powrocie, powiedział sobie. Wcale nie chodzi o tę bzdurę z bramą do Cienia. Zebrałi się tu wszyscy, bo czekają na niego. Na Kellanveda, który ma dziś wrócić po cesarski tron. W końcu nadal jest prawowitym władcą imperium. Hart musiał przyznać, że trudno było uwierzyć, że Kellanved po prostu zniknął i pozwolił Gburce – czy komukolwiek innemu – zagarnąć tron. O ile jeszcze żył, oczywiście.

Wszystko to tylko głupie gadanie. Gdy nadejdzie świt i przepowiedane millennium się nie zmaterializuje, kult zaniknie, jak wiele innych przed nim. Hart nigdy nie był religijny. Tradycyjni boscy patroni żołnierzy, Togg i Fener, wystarczali mu z nawiązką. Od całej reszty teologii tylko bolała go głowa: Starzy przeciw Nowym; powstawanie i upadek Domów oraz ich wpływów; nieustanna walka o ascendencję. Niepokoiło go jednak, gdy widział, że ktoś tak bystry i zorganizowany, jak ten facet w kapturze, wierzy w to wszystko.

Skreślił na północ, w Marszrutę Czaszki. We mgle przed nim pojawił się Szlak Szańcowy. Hart uśmiechnął się na jego widok, a także na myśl o wszystkich pytaniach, które zada Corinn, kiedy już ją znajdzie. Liczył, że usłyszy od niej odpowiedzi. Na kości Kaptura, to mu się należało. Powiedziała mu, że widziała, jak rozbito Miecz. Po co? Czyżby sądziła,

że szokiem skłoni go do współpracy? Odmówił krótką modlitwę do Togga, prosząc, by uszła z tego wszystkiego z życiem.

Gdy tylko dotknął dłonią zimnego granitu Szlaku Szańcowego, znów odwrócił się do dwóch strażników. Stali obok siebie, kilka kroków za nim.

– Co? Nie idziecie dalej?

Szczuplejszy uniósł głowę, spoglądając na twierdzę.

– Znajdziesz tam dziś tylko śmierć.

Hart pragnął zbyć jego słowa śmiechem, ale poczuł, że wzdłuż kręgosłupa przebiegł mu dreszcz. Odesłał strażników skinieniem dłoni.

– Może i tak. Biegnijcie do swojego pana i powiedzcie mu, dokąd poszedłem.

– On wie.

Hart wbił spojrzenie w obu kultystów. Nadal stali nieruchomo. Gapił się na nich jeszcze przez pewien czas, aż wreszcie prychnął zirytowany i ruszył pod górę.

Niezadowolony stąpał po mokrych schodach. Cóż za banda pomylnych głupców! Jakby to szarlatańskie gadanie o „powrocie” miało w sobie choć ziarenko prawdy. Cała ta sprawa była cholernie żenująca i tyle. Zapewne wszystko to była zgraja rozpieszczonych arystokratów, którzy nie przelali na polu bitwy ani kropelki krwi. Nie widzieli, jak Kelanved mordował tysiące ludzi, burząc miejskie mury, albo jak jego ulubieni sojusznicy, T’lan Imassowie, wycinali w pień ludność całych miast. Nie ma powodu żałować tego dalhońskiego starca o uschniętych nogach ani jego przerażającego towarzysza, Tancerza! Jako żołnierz Hart walczył z bardzo wieloma ludźmi i mógł szczerze powiedzieć, że nikogo nie bał się bardziej od tych dwóch.

Dassem rzadko wspominał o cesarzu, a gdy już to robił, ostrożnie dobierał słowa. Opowiadał kiedyś, jak podczas pacyfikacji Delans wszedł do ciemnego namiotu dowodzenia, by poinformować Kellanveda o rozmieszczeniu wojsk. Podczas ich rozmowy adiutant przyniósł zapaloną latarnię i Dassem przekonał się, że jest w namiocie sam. Póź-

niej dowiedział się od admirała Noka, że owego dnia cesarz przebywał na morzu, na pokładzie *Skręta*. Dassem mówił, że to było typowe dla starożytnego Dalhończyka: nikt nigdy nie mógł być pewien, co Kellanved sądzi... ani gdzie się znajduje.

Hart widywał go niekiedy z daleka podczas przeglądu wojsk: niski, czarnoskóry mężczyzna o krótko przyszytych siwych włosach. Takie przynajmniej stwarzał pozory. Na pierwszy rzut oka wydawał się jedynie starym, zasuszonym gnomem. Jednakże wystarczyło jedno jego spojrzenie, by każdy przed nim umykał albo – jeśli tego właśnie chciał Kellanved – padał na kolana. Tyle Hart musiał mu przyznać.

Ale Dassem, Miecz Imperium, dbał o swoich ludzi. Na Królową, armia wręcz go uwielbiała! Pozostali – Gburka i cała reszta – wiedzieli o tym, nawet wtedy. Wyczytał to z ich oczu, gdy towarzyszył Dassemowi na naradach. Gburka i inni dworacy umieli rządzić jedynie za pomocą strachu, natomiast Dassem potrafił zdobyć serce człowieka jednym słowem pochwały albo reprimendy. Do tego w każdej bitwie dowodził z pierwszej linii. Żołnierze przepychali się ku niemu tylko po to, by mieć szansę walczyć u jego boku.

Hart zatrzymał się na serpentynie. Ze wszystkich stron otaczała go noc, czarna, pusta i zaskakująco zimna. Miał wrażenie, że ten chłód przenika aż do jego duszy. Na dole ścieliła się mgła, przesłaniająca stoki i wisząca nad miastem. Poczł dotknięcie lodowatego deszczu i otarł twarz. Cholera, ależ go bolała! W kościach również go łupało. Który to był dzwon nocy? Czwartny czy piąty? Już od dłuższego czasu nie słyszał dzwonu w latarni na molo. Bogowie, był okropnie zmęczony. Oparł się o mur, zastanawiając się, co właściwie ma nadzieję osiągnąć. Spoglądając na unoszące się leniwie w powietrzu obłoczki mgły oraz świecące dziwnie słabym blaskiem gwiazdy, przypomniał sobie tę inną noc. Noc sprzed niespełna roku, noc śmierci jego i Dassem.

Ocknął się w namiocie szpitalnym dla oficerów. Był on mały i pusty, w przeciwieństwie do przeznaczonych dla szeregowych żołnierzy. Tamte zawsze były pełne, a nadmiar rannych kładziono na dworze. Nasada siedział obok na kufrze podróżnym: niski, kudłaty i groźny jak zwykle. Na płócienny kaftan nałożył grubą skórzaną kamizelkę. Pod zasuniętymi połami stały dwie mroczne postacie. Szpony.

- Wróciłeś do nas, hej?

Nasada uśmiechnął się szeroko i poklepał po nodze. Lewą dłonią, ukrytą za plecami, zasygnalizował: „wreszcie uderzyli”.

Hart odpowiedział słabym skinieniem głowy. Uśmiechnął się.

Uderzyli. Ich sześcioro zawsze wiedziało, że to się stanie. Rozmawiali o tym, snuli plany, bali się tej chwili. Ale teraz zostało ich tylko dwóch. Dwóch przeciwko wszystkim szponom Gburki.

- Gdzie on jest?

Nasada wskazał głową wejście.

- Zabrali go celem poddania specjalnej kuracji. Próbowaliśmy powstrzymać, ale... - Wzruszył ramionami.

- Rana?

- Cholernie paskudna. Najgorsza z dotychczasowych. - Nasada uchylił pokrywę kufra, odsłaniając rękojeści dwóch noży. „Musimy się do niego dostać”. - Jak się czujesz? Zmusiłem ich, żeby cię uzdrowili. Narobiłem rwetesu jak sam Togg - wyjaśnił ze śmiechem. „Dasz radę?”.

„Jestem z tobą” - odpowiedział w języku znaków Hart.

- Czuję się jak nowo narodzony kociak - wyznał. - Pomóż mi wstać. Musimy zobaczyć, co z nim.

Przesadził tylko odrobinę. Można powiedzieć, że Surgen zmienił go w chodzącego trupa. Wymuszone uzdrawianie i zrastanie kości czyniło cuda, lecz działało równie traumatycznie, jak same rany. Czuł się jak po wielotygodniowych torturach. Z wysiłkiem powstrzymywał kwaśne wymioty. Twarz i całe ciało zlewał mu pot. Mimo to żył, a poprzysiągł oddać życie za Dassema. Jeśli to szpony stały za tym atakiem, był prze-

konany, że popełniły straszliwy błąd, nie zabijając ich wszystkich od razu. Teraz Gburka zapewne miała związana ręce. Zbyt wielu świadków widziało, że przeżyli.

– Tylko mi nie zemdlej – mruknął Nasada.

Podał towarzyszowi nóż i pomógł mu zwlec się z łóżka. Hart wsparł się na jego ramieniu zarówno dla wywarcia odpowiedniego wrażenia, jak i dlatego, że kolana się pod nim ugięły, ledwie mogąc utrzymać jego ciężar.

Stojący przy wejściu strażnicy wymienili spojrzenia. Obaj byli odziani w stroje bojowe, nie w luźne, czarne płaszcze, w jakich z reguły szpony pokazywały się ludziom. Nieoficjalny mundur tej organizacji składał się z farbowanej na ciemny kolor szaty, skórzanych butów z cholewami, spodni, luźnego kaftana, kamizelki oraz rękawic. Długie, związane włosy opadały im na plecy. Obaj mieli przy sobie cały arsenał, ukryty w kieszeniach i fałdach ubrań. Na ich piersiach po lewej stronie widniały małe, nieprzyciągające uwagi godła Szponu wykonane ze srebra.

Hart powlókł się do wyjścia, wsparty na ramieniu towarzysza. Przesadnie demonstrował słabość, ale zapewne nie udało mu się nikogo oszukać. Nasada był jak niewzruszona opoka, jego siła uspokajała Harta. Dobrze będzie mieć go u swego boku podczas tego, co się wydarzy. Nadali kudłatemu, muskularnemu Seti imię Nasada, ponieważ lubił walczyć z bliska. Po każdej bitwie krew dosłownie spływała zeń strumieniami.

Strażnicy zastąpili im drogę.

– Macie tu zostać. Odzyskać siły. Rozkaz regentki.

Nasada zwolnił kroku.

– Wychodzimy, chłopaki. Odsuńcie się.

– Wydano nam rozkazy, żołnierzu. Nie podważajcie jej autorytetu.

Hart poczuł, że Nasada naprężył mięśnie, gotując się do walki.

– Odsuńcie się – powtórzył ze spokojem. – Bo inaczej przebijemy się przez was jak przez Świętą Gwardię.

Szpony wymieniły pośpieszne spojrzenia. Ten, który przemówił, poruszył szybko dłonią.

- Czary - warknął Nasada.

Wyszarpnął rękę, którą trzymał za plecami Harta, i rzucił nożem. Hart skoczył do przodu, a potem nieco w bok. Coś uderzyło go w ramię, zdzierając opatrunek. Przetoczył się w miejsce, gdzie przed chwilą stali strażnicy. Choć kręciło mu się w głowie, wyciągnął rękę i złapał za kostkę jednego z nich w chwili, gdy ten próbował otworzyć grotę. Mężczyzna stracił równowagę i przewrócił się, tracąc kontrolę nad mocami, które usiłował wezwać. Harta dręczył ból, jego pole widzenia skurczyło się do wąskiego tunelu. Zawładnęła nim furia. Pchnął przeciwnika nożem w krocze, a potem skoczył w górę, chcąc zadać śmiertelny cios w gardło. Tamten zdążył się jednak odsunąć i nóż skaleczył go tylko w podbródek.

O dziwo, szpon zdołał wstać. Hart zwolnił, ponieważ nagle zauważył, że cały prawy bok ma mokry od świeżej krwi, a jego prawe ramię przebiło na wylot coś długiego i ostrego. Skąd to się tam wzięło, w imię Kap-tura?

W urękawiczonej dłoni szpona pojawił się nóż. Hart zaatakował nogi przeciwnika, ale poruszał się zbyt wolno. Gdy mężczyzna zgiął rękę w nadgarstku, gotowy rzucić nożem, Nasada uderzył weń całym ciałem. Obaj zwalili się na ziemię, szamocząc się i wymachując kończynami. Choć wymienili tyle ciosów, że Hart nie był w stanie ich zliczyć, wszystko skończyło się w mgnieniu oka.

Nasada wstał z uśmiechem na ustach. Jedno ucho zwisało mu luźno, urwane niemal całkowicie. Koszulę miał podartą, a z bandaża na piersi zostały tylko strzępy.

- Na Błogosławieństwo Wiatru! - Westchnął, jakby przed chwilą wychylił kufel piwa. - Już od lat miałem ochotę to zrobić.

Hart wstał z jękiem. Pomacał ramię.

- Jestem dziś celem dla wszystkich czy co?

Nasada przyjrzał się jego ranie i wyrwał nóż. Hart wydał stłumiony okrzyk bólu. Musiał się wesprzeć na ramieniu towarzysza, żeby się nie przewrócić. Na widok długiego, śmiercionośnego sztyletu Seti zagwiźdał z podziwem.

– Mógł dojść do serca.

– Bardzo dziękuję.

Nasada kazał towarzyszowi usiąść i ponownie zabandażował mu ramię. Hart przyglądał się jego poczynaniom, zawstydzony tym, jak kiepsko się spisał w tej krótkiej i nieczystej walce. Nie sądził, by miał się dziś na coś przydać.

Nasada wyjrzał na zewnątrz i zameldował Hartowi, że chyba objęto ich dziś nieoficjalną kwarantanną. Oznajmił, że wie, dokąd zabrali Das-sema, po czym otarł krew i zabrał szponom użyteczną broń. Hart cały czas siedział, kręcąc głową. Wreszcie odchrząknął.

– Posłuchaj, Nasada. Chyba nie przydam ci się na wiele. Może powinienś pójść sam?

Potężnie umięśniony mężczyzna podniósł wzrok znad trupa. W jego oczach coś błyszczało. Zdziwienie? Niedowierzenie? Podszedł do Harta.

– Nie przydasz się na wiele! To cud, że żyjesz. Czy wiesz, czego doko-nałeś?

Hart pokręcił głową.

– Oparłeś się Surgenowi! To było zdumiewające! Nie widziałem nawet połowy, ale wszyscy o tym opowiadają. Słyszałem to, siedząc w namiocie. On jest otoczonym patronatem obrońcą Świętego Miasta! Magicznie wzmocnionym. Namaszczone w świątyni. A ty go powstrzymałeś! Myślałem, że już po nas, ale uratowałeś nam skórę. Słyszałem nawet, jak ludzie mówili, że może masz ukrytego w rękawie patrona...

Hart zbył to głośnym śmiechem.

– Nie, mówię poważnie. Kiedy wyjdiesz z tego namiotu, wyglądając jak brzydka bryła granitu, czyli tak jak zawsze, wszyscy się wycofają. Mówię poważnie. – Nasada wskazał trupy. – Nie zdziwiło cię, że ci dwaj

tak łatwo wpadli w panikę? Cholernie dziś zaimponowaliśmy wielu ludziom. Ludziom, którzy byli pewni, że zginiemy.

To również niepokoiło Harta. Poszło im za łatwo. Szpony zachowywały się, jakby miały do czynienia z przeciwnikiem o nieznanym możliwościach. Zbyt mocno starały się zachować dystans. Skinął głową i uściśnął ramię towarzysza.

– Zgoda. Chwała Mieczowi.

Nasada uśmiechnął się z krwiożerczą radością.

– Zostało nas tylko trzech... ale mówię ci, że to o dwóch za dużo.

* * *

Uzbroili się i doprowadzili do porządku, a potem odsunęli połę namiotu i śmiało ruszyli przez szpital polowy. Noc była ciepła i sucha. Palmy daktylowe w pobliskim gaju szeleściły cicho na słabym wietrze, a sierp księżycy lśnił na niebie jak żółta klinga bułata. Przy każdym większym skrzyżowaniu alejek miasta namiotów płonęły pochodnie, ale widzieli niewielu żołnierzy. Pozdrawiali każdego wartownika. Niektórzy ich poznawali i wołali: „Chwała Mieczowi!”. Nasada unosił w odpowiedzi pięść.

– Będą wiedzieli, że się zbliżamy – poskarżył się Hart.

– Im więcej świadków, tym lepiej.

Hart chrząknął, wątpiąc w sens tych słów. Nasada zaprowadził go do prywatnego namiotu rozbitego na skraju szpitala. W środku paliły się lampy, przy zasuniętych połach straż pełniło dwóch szponów. Gdy podeszli bliżej, widok zaskoczenia i niepewności na twarzach słynących z opanowania skrytobójców uradował serce Harta.

Razem podeszli do strażników.

– Przyszliśmy zobaczyć Dassema – oznajmił Nasada, nie zwalniając kroku. Pomachał ręką do żołnierzy obserwujących ich z sąsiednich namiotów.

Po króciutkim wahaniu jeden ze szponów pochylił głowę i odsunął się na bok, unosząc poję. Nasada spojrział w ciemny otwór wejścia. Być może zaniepokoiło go, że ustąpili tak łatwo. Hart poczuł ukłucie zwątpienia. A co, jeśli znowu przenieśli Dassema?

Gliniane lampy oświetlały namiot słabym, migotliwym blaskiem. Dassem leżał na łóżku jak nieżywy, pierś spowijały mu bandaże. W bursztynowym świetle jego ciemna skóra nabrała intensywnego połysku, jakby był posagiem z brązu. Hart się zatrzymał, wyczuwając, że w ciemnych zakamarkach kryje się ktoś jeszcze.

W mroku zaszeleściła tkanina.

– Chwała Mieczowi – usłyszeli kobiece głosy.

Z cieni wyłoniła się Gburka. Tuż za nią podążało trzech szponów. Hart rzadko miał okazję oglądać ją z tak bliska. Jak zwykle była ubrana w koszulę, szarfę i spodnie. Stopy miała bosc. Na jej nieładnej, płaskiej i wąskiej, twarzy malował się wyraz skupienia. Miała krótko obcięte włosy, jak wiele kobiet służących w malazańskiej armii, a jej dłonie pokrywały ciemne zgrubienia. Zrobiła na Harcie wrażenie twardej kobiety. Z pewnością musiała taka być, jeśli zdobyła pozycję trzeciej pod względem znaczenia osoby w imperium.

Trzech towarzyszących jej szponów znał z imienia i reputacji: zastępca Gburki Topper, w charakterystycznych dla siebie zielonych jedwabiach; Opos, mężczyzna o małych jak paciorki oczach i wąskiej twarzy jak u zwierzęcia, któremu zawdzięczał imię; i Nefryt, ciemnoskóra Dalhonka, jedna z najokrutniejszych szponów.

Nasada i Hart podeszli do łóżka Dassema, ignorując Gburkę oraz jej święte. Hart sprawdził tętno, ale nic nie wyczuł.

– Czy on żyje?

– Na razie – odparła Gburka. – Zatrzymał się na granicy królestwa swego patrona. Można by pomyśleć, że Kaptur przyjmie go z radością.

Hart i Nasada wymienili spojrzenia i odwrócili się do Gburki. Hart zauważył, że jego towarzysz obrzucił Oposa szacującym spojrzeniem.

Nefryt stanęła na palcach, pochylając się. Sprawiała wrażenie gotowej rzucić się w każdej chwili na Harta.

Gburka uniosła rękę w uspokajającym geście.

– Postanowiono dokonać zmian. Chossa awansowano na wielką pięć i mianowano go tymczasowym dowódcą Trzeciej Armii.

Nasada prychnął pogardliwie, a Hart wypuścił powietrze. Choss był kandydatem, który mógł zadowolić większość. Kadra oficerska go szanowała, był biegłym strategiem i nie miał patrona. Był zwyczajnym żołnierzem i w związku z tym nie zagrażał Gburce.

Hart oblizał wargi.

– Ale nadal potrzebujesz Dassema. Choss nie nadaje się na obrońcę.

Gburka zmarszczyła brwi i potrząsnęła głową.

– Nie, Hart, nadal nic nie rozumiesz. Wszystko się zmieniło. Surgen kona od odniesionych ran. To nie jest przekonujące zwycięstwo, niemniej zwycięstwo. Obrońcy miasta utracą odwagę, nie będą mieli czasu na nowy rytuał Namaszczenia. Y’Ghatan padnie. Nie będzie już więcej obrońców. Są zbyt kosztowni. Za bardzo... narażeni na atak.

Nasada warknął ze złości. Rzuciłby się na Gburkę, gdyby Hart nie złapał go za ramiona.

– A co będzie z nami?

Gburka uniosła brwi. Pragmatyzm Harta zaskoczył ją i wzbudził jej uznanie.

– A czego pragniecie? Rangi? Tytułów? Pozycji gubernatorów regionów?

Nasada brutalnie ścisnął go za ranne ramię. Hart przygryzł wargi, żeby nie krzyknąć. Wbił palce w plecy towarzysza, układając je na kształt znaku: „zaczekaj”.

– Po pierwsze, Dassem musi przeżyć – zdołał wykrztusić.

Gburka skinęła głową.

– To się da załatwić.

Ta odpowiedź pomogła Hartowi podjąć decyzję. Wyglądało na to, że żadne z nich nie zamierza dziś dotrzymać słowa. Można powiedzieć, że kredo Gburki brzmiało: „żadnych świadków”. Szpon nigdy nie zostawił nikogo przy życiu. To był element jego taktyki terroru. Hart był również przekonany, że Gburka wie, że nigdy nie sprzedałby Dassema, a do tego, szczerze mówiąc, nic jej to nie obchodzi. Musieli jednak odegrać swe role do końca.

– Zgoda – wydyszał. – Na razie zostaniemy z nim.

Gburka wydeła wargi. Hart mógł niemal zobaczyć rozmaite plany i opcje pojawiające się w jej umyśle, gdy przyglądała się jemu i Nasadzie. Zatrzymała spojrzenie na rannym ramieniu Harta i pochyliła lekko głowę.

– Proszę bardzo. Możecie omówić szczegóły z dwojgiem moich przedstawicieli. Opos, Nefryt, zaopiekujcie się tymi panami. Topper, ty pójdziesz ze mną.

Dwoje szponów podeszło pół kroku bliżej. Gburka ruszyła w stronę wyjścia. Hart spojrzał na swoją ranę. Na nowym bandażu pojawiła się świeża krew. Aha. Dlatego doszła do wniosku, że jej najlepsi ludzie powinni sobie poradzić z dokończeniem roboty.

Topper uchylił połę. Gburka pokłoniła się lekko na pożegnanie i wyszła. Nasada i Hart spojrzeli sobie w oczy. Seti ugiął nogi w kolanach i ręce w łokciach. Wyglądał jak niedźwiedź gotowy do ataku. Mrugnął znacząco do towarzysza, pewny siebie jak zawsze przed walką. Hart jednak nie potrafił wzbudzić w sobie podobnego optymizmu. Jego obawy się potwierdziły, gdy po odejściu Gburki do namiotu weszło dwóch szponów pełniących dotąd straż przy wejściu. Opos machnął dłonią, jakby rzucał coś na ziemię, i wszelkie dźwięki dobiegające zza ścian namiotu nagle umilkły.

Cholera, pomyślał Hart, to gwarancja, że nikt nam nie przeszkodzi. Postanowił wykorzystać szalony pomysł, który mu się nasunął, gdy Gburka oceniała sytuację.

– Osłaniaj mnie – warknął do Nasady.

Jednym płynnym ruchem pochylił się, uklęknął i uniósł trzymany w obu rękach nóż nad piersią Dassema. Gburka mówiła, że zatrzymał się na granicy królestwa śmierci. Hart modlił się o to, by się okazało, że mimo woli powiedziała mu prawdę. Kaptur był boskim patronem Dassema, który przysiągł mu służyć, a potem go odrzucił.

Usłyszał, że za jego plecami Nasada sparował pierwsze ataki i nie zastanawiając się ani chwili, uderzył z całej siły nożem.

- Powstrzymaj go - warknął Opos.

Coś odbiło się od czaszki Harta.

Dassem uniósł rękę, złapał go za ramię i odrzucił na bok, a potem usiadł. Hart złamał deski pryczy i zwałił się na klepisko. Ciepła krew spływała mu po twarzy, zalewając jedno oko. Resztę walki obserwował, leżąc na boku. Upadek go ogłuszył i z wielkim trudem zachowywał przytomność.

Czworo szponów popełniło głupi błąd. Być może zmyleni swą przewagą liczebną i kiepskim stanem Dassema postanowili zakończyć sprawę. Hart nie mógł jednak mieć do nich o to pretensji. W końcu nie walczyli u boku Dassema, jak on i Nasada, i nie zdawali sobie sprawy z możliwości Pierwszego Miecza. Poza tym, co typowe dla szponów, byli zbyt pewni siebie.

Dla słabnących oczu Harta wyglądało to jak powolny, starannie zaplanowany taniec. Nasada zatoczył się w bok, zlekceważony przez Oposa, i padł na ziemię, krwawiąc z licznych ran. Pozostałych troje rzuciło się na Dassema, który skoczył ku najbliższemu z nich, wyciągnął rękę i po prostu zmiażdżył mu gardło. Potem zwrócił się ku pozostałym, trzymając trupa przed sobą.

Nefryt i trzeci szpon kontynuowali atak, nie przejmując się tym. Opos cofnął się - rozsądnie, lecz trochę za późno. Zamiast zasłaniać się ciałem jak tarczą, Dassem cisnął nim w przeciwników - tak łatwo, jakby rzucał podkową. Wszyscy zwalili się na ziemię. Ten gwałtowny ruch i jego wykrzywiona w grymasie twarz przekonały Harta, że Pierwszy Miecz naprawdę się wściekł.

Dassem kopnął Nefryt w głowę, wyrwał jej broń z ręki i poderżnął gardło. Drugi ze strażników leżał ogłuszony na ziemi.

Opos spróbował otworzyć grocie, ale musiał przerwać, żeby uchylić się przed rzuconym przez Dassema nożem. Ruszyli do walki. Opos ścisnął w obu dłoniach sztylety. Krążyli wokół siebie, szpon ciał powietrze nożami, a Dassem uchylał się przed atakami. Hart nie mógł nie podziwiać umiejętności Oposa. Nigdy nie widział nikogo lepszego. Szpon popełnił jednak błąd, nie uciekając, gdy tylko Pierwszy Miecz wrócił do życia. Być może winna była arogancja.

Dassem przeszedł do ataku. Pozwolił przeciwnikowi skaleczyć się w bok, żeby złapać go za rękę. Obrócili się wokół siebie i zręczność Oposa po raz kolejny zdumiała Harta. Jednakże umiejętności, siła i szybkość Dassema, nawet znacznie osłabionego, nadal przerastały nieugiętą wolę i znakomite wyszkolenie szpona. Pierwszy Miecz złamał przeciwnikowi nadgarstek, wykręcił rękę i wbił mu jego własny nóż w pierś. Opos padł na ziemię i namiot znowu wypełniły napływające z zewnątrz odgłosy.

Hart uśmiechnął się na widok ich zwycięstwa. Potem zapadł się w zimną, nieprzeniknioną ciemność, która pochłonęła go niczym głęboka woda.

* * *

W nocy odzyskiwał od czasu do czasu przytomność. W pewnej chwili obudził go ból brzucha. Nasada pochylił nad nim bladą, załęknioną twarz i uciszył go skinieniem dłoni. Potem Hart ujrzał przelotnie namioty oraz wozy, bezludne i pograżone w mroku. Jeszcze później syknął z nagłego bólu, a gdy otworzył oczy, zobaczył wysoką, kołyszącą się na wietrze trawę. Odziany w obszerny płaszcz Dassem przyjrzał się mu i uśmiechnął zachęcająco.

Udało im się uciec, choć każdej nocy pokonywali zaledwie kilka mil. Szli na północ przez przełęcz Thalasu, a gdy dotarli do morza, ukradli

małą łódź rybacką. Pożeglowali nią na północny wschód, na Morze Dryjny, a potem na południe. Po miesiącu, opaleni i brodaci, przybili do brzegu w Siedmiu Miastach, na południe od Arenu. Tam się rozstali. Hart i Nasada zamierzali popłynąć łodzią na południe, do Falaru, ale Dassem nie chciał im towarzyszyć.

Przystanęli na kamienistym brzegu, żaden nie chciał nic powiedzieć. Na spodnie i bluzy narzucili luźne szaty, a głowy i twarze owinęli białymi chustami z samodziału. Jediną pamiątką po poprzednim życiu był dla Harta hełm, który niósł zawinięty w koc. Dostał go od Dassema, gdy tylko się ocknął.

Hart skrzyżował ręce na piersi, wpatrując się w odległe góry.

– A więc chcesz zostać sam, tak? – zapytał.

Dassem skinął głową. Spierali się o to już od dawna.

– I co będziesz robił?

– Wyruszę na wędrówkę. Na zachód.

– A co możesz tam znaleźć, w imię Togga? – warknął Nasada, jak zwykle wściekły, gdy coś szło nie po jego myśli.

Zimny jak lód uśmiech Dassema głęboko zranił duszę Harta.

– Coś. Coś tam jest. Może tego właśnie szukam.

Hart odchrząknął. Przypomniał sobie wyszeptane ongiś przez Dassema słowa oraz pogłoski o czystce w najwyższych szeregach kultu Kaptura, które zbierali skrzętnie ze Sztychem i Klingą.

– Życzę ci szczęścia, chociaż nie jestem pewien, czy dobrze by było, gdybyś to znalazł.

Dassem przeszył go ostrym spojrzeniem, powstrzymał się jednak. Na jego twarzy pojawił się wyraz bólu i być może również zrozumienia.

– Pewnie się przekonamy.

– Zaraza na to wszystko! – warknął Nasada i skoczył w fale, by popłynąć do zakotwiczonej łodzi.

– Jeśli koniecznie musisz przemierzyć pół świata, szukaj mnie na równinach Seti! – zawołał, trzymając się burty.

Dassem pomachał mu na pożegnanie.

Hart podszedł do niego i się uściskali. Potem spróbował jeszcze raz, choć wiedział, że to nic nie da.

– Popłynź z nami. Daj sobie z tym wszystkim spokój.

– Mam parę rzeczy do zrobienia.

– Rozumiem. Ale bądź cholernie ostrożny.

– Będę – zapewnił.

– Nie będziesz już miał wiernych strażników.

– Wiem o tym.

Hart wciąż nie potrafił się zdobyć na to, by się pożegnać z człowiekiem, za którego przysiągł oddać życie.

– No wiesz, mógłbym nie wykonać polecenia. Podążyć za tobą.

Dassem znowu uśmiechnął się ze smutkiem.

– To prawda. – Uścisnął bark Harta. – Ale jeśli pójdziesz ze mną, zginiesz. Wiem o tym. Nie dawaj za wygraną, Hart. Istnieją spore szanse, że pożyjesz jeszcze bardzo długo.

Hart poczuł, że nie może zaczerpnąć tchu.

– Widziałeś to?

Dassem puścił jego ramię.

– Idź już. To rozkaz.

Rozwinęli z Nasadą żagiel, a gdy nad skalistym brzegiem zapadał zmrok, pomachali rękami na pożegnanie. Dassem uniósł rękę w długim salucie. Po chwili jego mroczna sylwetka odwróciła się od brzegu i zniknęła wśród drzew.

– Co jest tak cholernie ważne, na kły Fenera? – zapytał po dłuższej chwili Nasada, gdy płynęli wzdłuż brzegu. – Dlaczego nie pozwolił nam ze sobą pójść?

– Myślę, że tam, dokąd on idzie, nie możemy podążyć.

Nasada obejrzał się na towarzysza, jakby chciał sprawdzić, czy mówi poważnie. Hart sam nie był tego pewien.

* * *

Dopiero po wielu tygodniach, na Wyspie Ciosu, zapoznali się z oficjalną wersją wydarzeń owego ostatniego dnia w Y'Ghatanie. Najwyraźniej trzech ocalali członkowie Miecza, osłabieni przez rany, zginęli w wyniku ataku fanatycznych falah'dów Świętych Miast, którzy potem wycofali się za miejskie mury, zabierając ze sobą ciało Dassema.

Surgen zakończył życie tej samej nocy, w okolicznościach, których nigdy do końca nie wyjaśniono. Miasto padło po trzech dniach. Wszyscy się zgadzali, że wielka pięść Choss spisał się dobrze. Ciała Dassema nigdy nie odnaleziono i nikogo nie mianowano Pierwszym Mieczem na jego miejsce.

* * *

Gdy Kiska dotarła do końca Szlaku Szańcowego, przekonała się, że wysoka, nabijana żelaznymi ćwiekami brama twierdzy jest zamknięta. W otworach machikuł po obu stronach nie zauważyła świateł. W normalnej sytuacji każde jej posunięcie śledziłyby wymierzone w nią kusze, a kapitan straży już dawno zapytałby, kto idzie.

Małeńkie drzwiczki w lewym skrzydle bramy były uchylone. U ich podstawy leżało coś, co nie pozwalało im się domknąć. Kiska podkraśla się do nich wzdłuż bramy. To było przedramię, zwrócone wewnętrzną powierzchnią zakrwawionej dłoni ku górze, jak w geście makabrycznego przywitania. Zajrzała do środka przez szczelinę. Ręka należała do jednego z najemników, którzy ją porwali. Nie żył, jego skórzany pancerz był przeбитo na plecach w kilku miejscach. Sądząc z pozycji ciała, próbował uciekać. Ciągający się dalej tunel przesłaniała ciemność. Dziewczyna zdawała sobie sprawę, że świetnie ją widać w blasku księżyca. Wśliznęła się do środka, przesunęła w bok i zamarła w bezruchu, wyżywając słuch.

Nie usłyszała nic poza odległym szumem fal. Pomieszczenie wypełniał smród krwi i kału. Gdy oczy Kiski przywykły do ciemności, zobaczyła na bruku tunelu ciała dwóch kolejnych najemników. Być może rozkazano im pilnować bramy, a potem przyszedł ktoś, kto załatwił się z nimi. Ukłękła i wymacała ciemny ślad jeszcze lepkiej krwi. Jeden z zabitych dowlókł się prawie do małych bocznych drzwi prowadzących do mieszkania odźwiernego, Lubbena. Przeszła nad ciałem i zatrzymała się pod drzwiami, nasłuchując. Minęło kilka uderzeń serca i chciała już odejść, gdy nagle usłyszała szuranie. W środku ktoś był, możliwe, że nasłuchiwał tak samo jak ona. Czy chciała się dowiedzieć, czy to garbus, czy jego morderca? Nie, zostawi to. Gdzieś przed nią na pewno jest Artan...

Drzwi otworzyły się nagle. Wysunęła się z nich muskularna ręka. Dłoń wielkości małej tarczy złapała dziewczynę za koszulę i wciągnęła do środka. Napastnik wsunął Kisce ostrze toporka pod brodę i pchnął ją pod ścianę. Jej nozdrza wypełnił gorący, cuchnący winem oddech.

– Ach, to ty, dziewczyno – warknął Lubben. Przyjrzał się Kisce zdrowym okiem, a potem puścił ją i się odsunął. – Przepraszam.

Kiska odetchnęła głęboko, poprawiła koszulę i kamizelkę. Pomieszczenie było maleńką klitką, dziurą, którą przeoczono podczas budowy twierdzy. Sufit znajdował się tak nisko, że nie mogła się wyprostować, ale garbatemu odźwiernemu to nie przeszkadzało.

– Na Pradawnych, dziecko. Myślałem, że masz na tyle rozsądku, żeby tu dziś nie przychodzić.

Zamknął drzwi i zasunął rygiel.

– Co się dzieje na górze?

Lubben poczłapał do krzesła ustawionego przed zapalonym piecykiem. Pociągnął łyk z bukłaka i otarł usta rękawem brudnego skórzanego kaftana.

– Nie wiem i nic mnie to nie obchodzi.

Kiska drżała z zimna.

– Ale na pewno czegoś się domyślasz.

Lubben roześmiał się i zakasłał ochryple.

– Dziewczyno, domyślam się najróżniejszych rzeczy. Ale wszystkie moje myśli zostają tutaj.

Popukał się palcem w skroń.

– Mam zamiar się tego dowiedzieć.

Odźwierny popatrzył na nią, przechylając głowę, jakby próbował ocenić skalę jej obłądu. Potem wskazał drzwi.

– Jak sobie życzysz.

Kiska się zawahała.

– A ty będziesz po prostu tu siedział?

– W rzeczy samej. – Uśmiechnął się szeroko i pociągnął kolejny łyk.

– Posłuchaj. Tam trwa wojna. Nikt nie bierze jeńców. Rozumiesz? To nie jest towarzyskie spotkanie.

– Świetnie. Pójdę sama.

Lubben zmarszczył brwi, zatkał buklak drewnianą zatyczką i postawił go na podłodze. Następnie odchrząknął i splunął w kąt.

– No wiesz, mogłabyś tu zostać do rana. Jak dotąd było tu bezpiecznie.

Kiska podeszła do piecyka, żeby ogrzać dłonie. Potrząsnęła głową.

– Dziękuję, ale nie. Muszę zbadać tę sprawę. Chodzi... – Powstrzymała się, nie chcąc zdradzać imion ani tego, jaka może być stawka. – To ważne. Muszę się dowiedzieć, co się dzieje.

Ciałem garbusa wstrząsnął niski, gardłowy chichot.

– Tak sobie myślę, że wszyscy chcieliby to wiedzieć.

Kiska miała wrażenie, że Lubben wie więcej, niż chce jej zdradzić. Był odźwiernym twierdzy, odkąd sięgała pamięcią. W dzieciństwie często zbierała się z kolegami pod otwartą bramą, żeby nabijać się z garbusa, który chodził bokiem jak krab i zawsze miał u boku pęk pobrzękujących kluczy. Gdy sobie o tym przypomniała, twarz poczerwieniała jej nagle ze wstydu. Pomyśleć, że o mało nie nazwała go tchórzem za to, że ukrywał się w swej komórce. Jakie miała prawo go osądzać?

Westchnęła.

– Dobra, w takim razie już pójdę.

Lubben skinął głową, wpatrując się w tłące się słabo węgielki, jakby jego również nawiedziły bolesne wspomnienia. Nagle przyszło jej coś do głowy.

– Mógłbyś mi pożyczyć jakąś broń? – zapytała, odwracając się w drzwiach.

Chrząknął, wyciągnął zza szerokiego pasa kindżał i wręczył go Kisce. To był jeden z najgroźniej wyglądających noży, jakie w życiu widziała, zakrzywiony jak kosa.

– Dziękuję.

Odzwierny chrząknął po raz drugi, odwracając wzrok. Kiska odsunęła rygiel.

– Dziewczyno...

Odwróciła się.

– Słucham?

– Trzymaj plecy blisko ścian, słyszysz?

– Jasne. Tak właśnie zrobię.

Wyśliznęła się na zewnątrz i zatrasnęła drzwi.

* * *

Wewnętrzny dziedziniec był pusty i niestrzeżony. Tuż za wzmocnionymi drzwiami głównego donżonu Kiska znalazła czterech kolejnych martwych najemników. Był wśród nich jeden z doborowych weteranów poparzonego dowódcy. Nie mieli żadnych ran, jakby wszyscy po prostu padli nagle trupem. Włoski zjeżyły się jej na karku na myśl o magicznej pułapce. Jeśli rzeczywiście ją zastawiono, miała nadzieję, że energia się wyczerpała. Nie była pewna, ilu najemników ocalało z ataku Ogara: może piętnastu albo dwudziestu. Według jej przybliżonych szacunków

zostało jeszcze z dziesięciu, w tym dowódca oraz kobieta, którą uważała za kadrowego maga.

Komnata audiencyjna była słabo oświetlona. Świece już się wypaliły, pozostały tylko lampki oliwne, które tliły się tu i ówdzie pod ścianami. Większą część pomieszczenia spowijały głębokie cienie, tak mroczne, że gdyby ktoś tam stał, z pewnością by go nie zauważyła. Po jej prawej stronie zaczynały się kręte kamienne schody biegnące wzdłuż ściany. Przedstawicielka imperium i jej eskorta szponów zajęli najwyższe piętra twierdzy.

Pamiętając o ostrzeżeniu Lubbena, podeszła bliżej do ściany. Przy wejściu na schody zawadziła o coś stopą. Przykucnęła. To był jeden z dwóch pozostałych strażników osobistych Artana. Nie żył. W jego gardle tkwiła strzałka do rzucania. Na oddech Kaptura! W tym tempie niedługo nikt nie zostanie przy życiu. Kto ich wszystkich zabijał? Jak dotąd morderstwa śmierdziały szponami.

Na pierwszym piętrze jedna lampka oliwna oświetlała scenę wykraczającą poza najgorsze koszmary Kiski. Leżały tu sterty trupów. Większość z nich stanowili najemnicy. Z tłących się gobelinów i nadpalonych mebli unosiły się smużki dymu. Przez dziurę w rozbitych drzwiach wystawała głowa i górna część tułowia częściowo zwęglonego szpona. Z ciała zwisały wnętrzności. Inny szpon leżał w najgęstszym skupisku trupów, poszatkiwany na kawałki. Wyglądało to tak, jakby ktoś użył w zamkniętym pomieszczeniu jednej z alchemicznych bomb produkowanych przez Moranthów.

Kiska zakryła nos i usta płaszczem, by choć częściowo odgrodzić się od smrodu, i przeszła nad trupami, wchodząc do korytarza wiodącego do drugich schodów. Na podłodze leżał w kałuży krwi jeszcze jeden weteran. Sądząc z liczby trupów, dowódcy zostało najwyżej kilku ludzi. Nie zauważyła wśród zabitych towarzyszącej najemnikom kobiety, Artana ani Hattara.

Ze schodów spływała krew. Pantofle Kiski przylepiały się do niej. Trzymała się blisko wewnętrznej ściany. Przystanęła tuż przed końcem

schodów, za ciałem mężczyzny, który doczołgał się tu z dołu. Poznała przeszywanicę z czworokątnymi płytkami metalu. To był sierżant, który ją pojmał na Omszałych Skałach.

Przeszła nad jego ciałem i przykucnęła na stopniu z głową na wysokości pomostu. Wytężyła słuch. Cisza. Absolutna, niczym niezmacona cisza. Plecy ją zaswędziały. Czyżby wszyscy zginęli?

Usłyszała na dole westchnienie i szelest tkaniny. Obejrzała się. Włoski na karku zjeżyły się jej gwałtownie. Najemnik żył. Uniósł rękę i złapał dziewczynę za kostkę. O mało nie krzyknęła w głos. Pociągnął ją i spadła na niego, uderzając głową o stopnie. Przed oczyma zatańczyły jej gwiazdy bólu. Mężczyzna uniósł rękę, ale zablokowała jego słaby cios, choć skutek tego zsunęła się jeszcze dalej.

Uścisk na kostce osłabł i Kiska wyrwała nogę. Najemnik opadł na schody. Połowę twarzy strawił mu ogień. Wbił w nią spojrzenie.

– To znowu ty – stwierdził z chichotem. O dziwo, w jego głosie słyszała tylko znużenie.

– Co chcecie tu osiągnąć, na otchłanie K’rula? – warknęła Kiska.

Skrzywił się i na krwawiące usta wystąpiła mu piana.

– Co chcemy osiągnąć? Przywrócić dawną chwałę! Sprowadzić Malaz z powrotem na właściwą ścieżkę! Nie masz pojęcia, jak kiedyś wyglądało imperium. On do nas przyszedł! Obiecał nam!

Mężczyzna wykaszlnął odrobinę krwi. Jego oko zaszło mgłą, lecz po chwili znowu odnalazło Kiskę. Dziewczyna nie musiała pytać, kim jest „on”.

– Co tu się wydarzyło? – wyszeptwała.

– Cholerna jatka i tyle. Szpony wylażyły z kątów jak karaluchy. Nie wiem, ilu ich zostało. Podejrzewam, że zbyt wielu. Była przygotowana na najgorsze.

– Kto? Powiedz mi, kim ona jest?

Potrząsnęła nim, ale zamknął oko i głowa opadła mu na stopnie.

– Gburka – wysyczał jeszcze w ostatnim tchnieniu.

Tak jest. Usłyszała odpowiedź. Mógł się jednak mylić. Ktoś mógł go wprowadzić w błąd. Niemniej potwierdził to, co Kiska podejrzewała od początku, choć nie śmiała w to uwierzyć. A teraz, gdy już wiedziała albo podejrzewała, że wie, ciekawość ustąpiła miejsca strachowi. Agayla, Artan, nawet Lubben, wszyscy oni mieli rację. Nie powinna była tu przychodzić. Ta sprawa dotyczyła tych, których wszyscy w służbie imperialnej zwali Starą Gwardią. Zabijają ją – i każdego poza nią – jako niepożądanych świadków.

Ruszyła w dół. Gdy dotarła na piętro, skoczyła w cień. Korytarzem ktoś się zbliżał. W powietrzu nadal unosiły się gęste obłoki dymu, a lampy świeciły słabo, mimo to na widok tej sylwetki nawet w południe pogodnego dnia po plecach przebiegłyby jej ciarki. Nieznajomy wyglądał jak postać z legendarnej przeszłości, przywołana z grobu przez Księźyc Cienia.

Przygarbiona zjawa przechodziła zamaszystym krokiem między trupami, trzymając w rękach dwa długie miecze. Miała archaiczną zbroję, jaką mogła przed dziesięcioleciem nosić Żelazna Gwardia albo Lwi Legion z Heng, a na głowie poobtłukiwany hełm z klepsydrowym nakarczkiem i wizurą. Kiska bardzo się z tego cieszyła, nikt bowiem nie mógłby przeżyć straszliwych ran, o jakich świadczyły uszkodzenia zbroi. Stalowe łuski zwisały na pasach rozdartej skóry oraz wyściółki. Żelazne pierścienie uderzały z grzechotem o podłogę. Z pewnością był to jeden z potworów, o jakich opowiadały legendy o Księźycu Cienia: demon albo niehumanoidalny tyran, który opuścił miejsce spoczynku, by pomścić pradawne krzywdy.

Kiska nie miała dokąd uciekać. Nie zdoła ominąć okropieństwa, a na górę pójść nie mogła. Obserwując niepowstrzymany marsz monstrum, zauważyła kącikiem oka jakiś ruch. Coś uderzyło ze stukiem w masywną zbroję przybysza i odbiło się od niej. Nieznajomy chrząknął i odwrócił się niezgrabnie jak ciężka wieża obłącznicza. Jeden miecz wysunął do przodu, a drugi trzymał z tyłu.

Z cieni przed i za przybyszem wyłoniły się dwie postacie.

Szpony. W ich dłoniach lśniły cienkie jak igły noże. Postać obejrzała się, ale tylko na chwilę.

Kiska przyglądała się z przerażeniem, jak tajemnicza istota przygotowuje się do ataku. Jej postawa i język ciała krzyczały: „skok!”. Pierwszy szpon cofnął się o pół kroku. W tej samej chwili opancerzony olbrzym odwrócił się niewiarygodnie szybko i runął do szarży z prędkością nieobciążonego biegacza. Drugi szpon zdołał odbić kilka ciosów, ale przybysz uderzył zakutą w hełm głową, przewracając go na ziemię. Potem ciął mieczem, wypruwając przeciwnikowi wnętrzności.

Pierwszy szpon rzucił nożem, który ugrzązł w plecach zbroi. Wojownik warknął wściekle i odwrócił się ku niemu. Obaj przyglądali się sobie przez chwilę. Wojownik poruszył barkami jak dzik przygotowujący się do szarży. Uniósł zakutą w potrzaskaną rękawicę dłoń, wskazując szpona.

– Tym razem dostanę twoją głowę, Opos.

Kiska poczuła, że dreszcz przebiegł ją od włosów na głowie aż po palce u nóg. Najwyraźniej tego wezwanego z Cienia demona nie sposób było powstrzymać. Zwyczajni żołnierze nie zabijali szponów od niechcienia ani nie przysięgali, że się z nimi policzą. Być może był to wojownik z przerażających legionów T'lan Imassów służących cesarzowi. Ponoć nosili oni strzępki swych starożytnych zbroi i byli niepowstrzymani jak tajfun.

Szpon się roześmiał.

– Możesz spróbować. Zaczekam na ciebie na górze.

Wycofał się w ciemność i zniknął.

Wojownik prychnął. Potarł plecami ścianę jak czohrający się bhederin. Nóż spadł ze stukiem na ziemię. Potem nieznamy znowu wzruszył ramionami i uderzył mieczem o miecz, jakby przygotowywał się do zamordowania każdego, kogo spotka.

Kiska uciekła na górę, mijając martwego najemnika.

Korytarz na drugim piętrze wyglądał tak samo jak ten na dole. Tu jednak nie było śladów walki. Wiedziała, że znajdują się tu kwatery star-

szych oficerów, sala, w której zbierał się trybunał pod przewodnictwem podpięści Pella, oraz prywatna jadalnia. Wystrój piętra był skromny, jak przystało na wojskowy garnizon: gliniane lampy na ścianie, tu i ówdzie kilka nadgryzionych przez mole chorągwi. Na wąskich stołach spoczywały pogrzebowe urny, wypalone świece oraz miniaturowe kamienne posążki żołnierzy. Ten widok przypomniał Kisce o demonicznym wojowniku, który podążał za nią. Najdalsze drzwi były uchylone. Otworzyła je i skryła się w mroku.

Choć nigdy tu nie była, wiedziała, że znajduje się w prywatnej jadalni, gdzie podpięść Pell przyjmował kapitanów zawijających do portu okrętów oraz innych oficerów. W dawnych czasach piraccy admirałowie pili tu z ważnymi zakładnikami przywleczonymi z lochów na dole.

Zagłębiła się powoli w ciemność. Pod ścianami dostrzegła niewyraźne zarysy krzeseł z wysokimi oparciami. Kilka razy zaczerpnęła głęboko tchu, żeby uspokoić bicie serca. Jadalnia była z pewnością największym pomieszczeniem na piętrze, ale Kisce wydawała się ciasna, jakby dziewczyna nie była tu sama. Zatrzymała się, stanęła na palcach. Nagle wyczuła coś za sobą, odwróciła się błyskawicznie i ujrzała płaską twarz Hattara, wykrzywioną w grymasie gniewu. Seti uniósł palec do ust, nakazując dziewczynie zachować ciszę, a potem skierował ją skinieniem do tylnej części sali. Potknęła się po ciemku o kogoś, kto ją podtrzymał. To był Artan.

Spojrzała na niego i chciała coś powiedzieć, ale przytknął do jej ust skryty w rękawicy palec. Zaciśnęła wargi i skinęła głową.

– Nie powinnaś była tu przychodzić – wyszeptał, pochylając się nad jej uchem.

– Coś tu idzie. Demon w zbroi. Wygląda jak T'lan Imass. Nie można go powstrzymać. Pokonał dwóch szponów.

Jej oczy przywykły już do ciemności i zauważyła, że Artan uniósł brwi w wyrazie niedowierzania albo zaskoczenia. Dostrzegła też, że porozumiewa się z Hattarem w języku znaków. Zdziwiło ją to. Przedtem

odniosła wrażenie, że Seti kiepsko widzi w ciemności. Najwyraźniej od tego czasu wzmocniono mu wzrok. Być może za pomocą groty. Człowiek z równin stanął tuż za drzwiami, trzymając w rękach dwa długie noże. Artan pociągnął Kiskę dalej w głąb sali, do kąta, z którego widzieli przez uchylone drzwi fragment oświetlonego lampami korytarza oraz wejście na schody prowadzące na najwyższe piętro, gdzie mieszkała przedstawicielka – Gburka.

Usłyszeli zakutego w zbroję demona na długo przedtem, nim go ujrzeli. Kroczył ciężko i powoli, a oderwane łuski stukwały o ściany.

Kiedy wreszcie pojawił się w korytarzu, Artan wstrzymał oddech. Kiska zastanawiała się, czy go poznał, czy się przestraszył, czy może jedno i drugie.

– Miałaś rację – wyszeptał cichutko Artan. – To rzeczywiście duch przeszłości...

Postać wypełniała sobą cały korytarz jak ożywiony posąg. Obróciła zakutą w hełm głowę i przeszła mieczem powietrze u podstawy wąskich, krętych schodów. Potem cofnęła się, unosząc oba ostrza.

Ktoś zszedł ze schodów. Szczupła sylwetka okutana w szary płaszcz. Kultysta! Kiska obrzuciła Artana pytającym spojrzeniem, ale zobaczyła tylko, że mężczyzna wytrzeszcza oczy ze zdumienia. Spojrzała z powrotem na korytarz.

Wyglądało na to, że przybysz i kultysta negocjują ze sobą. Nie ulegało wątpliwości, że się znają i nie darzą wzajemnie sympatią. Kultysta mówił szeptem, a wojownik ochryplym basem. Ich głosy niosły się echem w korytarzu.

W końcu jednak najwyraźniej doszli do porozumienia. Kultysta skinął leniwie dłonią i pojawiła się trzecia postać, leżąca na podłodze korytarza. Zakuta w zbroję istota trąciła stopą przybysza, nie odrywając spojrzenia od kultysty. Leżąca postać poruszyła się leniwie. To była ciemnowłosa kobieta, mag grupy najemników, w swej czarnej jedwabnej koszuli i ozdobionej brokatem kamizelce. Po krótkiej rozmowie wojow-

nik schował broń i przerzucił sobie kobietę przez ramię. Potem zawrócił i zniknął im z oczu.

Dlaczego zabrał kobietę? – zastanawiała się Kiska. Czy to było coś w rodzaju ofiary? Wypuściła powietrze. Skończyło się. Prastary wskrzeszenie odszedł. Mimo to Artan ścisnął boleśnie jej ramię. Spojrzała na niego.

Poruszył bezgłośnie ustami, wypowiadając słowo: „cisza”. Ani na moment nie oderwał wzroku od korytarza.

Spojrzała w tę samą stronę. Kimkolwiek był kultysta, odwrócił się i patrzył teraz prosto na nich przez wąsko uchylone drzwi. Znajdował się w oświetlonym korytarzu i nie powinien być w stanie wypatrzeć ich w mroku. Artan stał sztywno jak napięty łuk. Przełknął ślinę.

– Na Robaka Jesieni. To on – wydyszał ze zdumieniem w głosie.

* * *

Hart wszedł do twierdzy przez główną bramę i gdy tylko zobaczył cztery trupy, wyciągnął oba zakrzywione miecze. Poznał w zabitych ludzi z grupy Popioła, zauważył jednak, że nie było wśród nich dawnych Podpalaczy Mostów. Popiół nadal trzymał najlepszych ludzi blisko siebie. Hart miał nadzieję, że jest wśród nich Corinn.

Zatrzymał się pod drzwiami pokoiku Lubbena, chcąc sprawdzić, czy garbus żyje, powstrzymał się jednak. Jeśli żył, mógłby rozpoznać jego hełm. Nigdy nic nie wiadomo. Stary ochlapus był całkiem sprytny na swój sposób. Hart wyszedł na pusty dziedziniec. Wpadło mu do głowy, żeby zajrzeć do koszar, ale przestraszył się myśli o tym, co mógłby tam znaleźć. W historii Szponu zdarzały się gorsze zbrodnie niż wymordowanie małego garnizonu. Przemierzył truchtem dziedziniec i otworzył sztychem miecza drzwi donżonu. Zastał tam kolejne trupy. Szpony uwalniały Popioła od zbytecznego balastu. Być może on sam również miał w tym swój udział. Hart potrafił sobie wyobrazić, że Popiół założył, że jeśli chłopakom będzie sprzyjało szczęście Bliźniaków, może uda im

się zabić paru szponów. Zatrzymał się, zacisnął ramię hełmu, poprawił wystrzępione rękawice i wzruszył ramionami. Dotarł do celu. Na górze czekali „przedstawicielka”, jej złożona ze szponów eskorta, być może również przyjaciółka oraz dwa widma z przeszłości, ponoszące odpowiedzialność za zdradę, której nawet nie próbowały zapobiec. Skupił się, oczyścił umysł z myśli o wszystkim poza celem znajdującym się na szczycie wieży.

Po dziesięciu uderzeniach serca znany bitewny spokój spowił go niczym ochronny płaszcz. Czuł się dobrze. Był cholernie obolały, ale nie brakowało mu sił. Ruszył korytarzem, uginając kolana i ściskając w dłoniach miecze. Nie musiał iść daleko. Już w komnacie audiencyjnej przebiegły go ostrzegawcze ciarki. Rzucił się pod ścianę. Coś przeszło powietrze i zniknęło w cieniu. Hart skierował się ku schodom, przyciskając się do ściany.

Pośrodku komnaty pojawiła się nagle jakaś postać. To był szpon. Kobieta. Jej spodnie zboczyła krew ze straszliwych ran na klatce piersiowej. Dłonie miała puste, a jej oczy zasłyły mgłą.

Hart zmarszczył brwi, nadal posuwając się wzdłuż ściany. Zastanawiał się, czy kobieta w ogóle go zauważyła. Gdy dzieliło ich od siebie już tylko kilka kroków, poruszyła rękami przed sobą. Płomień odległej lampy zamigotał, twarz weterana musnął zimny wiatr, a przed kobietą pojawiła się rosnąca plama ciemności. Przerażony Hart uświadomił sobie, że to Cesarska Grota. W każdej chwili mogło się z niej wyłonić cokolwiek: szpony, armia albo demon. Weteran rzucił się na podłogę i ciął mieczem nogi kobiety. Przewróciła się i portal się zamknął. Weteran przetoczył się, podniósł na kolana i uderzył mieczami w dół. Oba wbiły się w zakrwawioną pierś kobiety. Spróbowała je wyszarpnąć, nadal nie odzywając się ani słowem, ale poruszała się coraz słabiej, aż wreszcie westchnęła i jej ręce opadły.

Hart wstał. Serce waliło mu jak szalone. Bogowie! Jedna ledwie żywa kobieta o mały włos by go wykończyła. Obrócił się wkoło, by się przyjrzeć komnacie. Dlaczego nie używano dziś grot w bardziej aktywnej spo-

sób? Przyszło mu do głowy, że być może podczas Księżyca Cienia czerpanie z nich jest szczególnie ryzykowne. Upewniwszy się, że jest sam, wytarł miecze o szaty zabitej i ruszył w dalszą drogę.

* * *

Z góry spływały obłoczki jasnego dymu niosące ze sobą znajomy zapach. Hart przypomniał sobie niezliczone bitwy, w których walczył. Bez względu na to, czy wojnę toczono w lesie, czy na pustyni, smród śmierci zawsze był taki sam. Gdy dotarł do pomostu, czuł się już jak w domu. Jakby bractwa nie rozbito. Jakby nadal służył w Mieczu. Niemal wyczuwał za plecami obecność towarzyszy, stanowczy dotyk popychający go naprzód.

Wśród trupów chyba z górą połowy ludzi Popioła leżało też dwóch martwych szponów. To musiała być paskudna walka na noże, która dobiegła końca w chwili, gdy jeden z weteranów z Podpalaczy Mostów zrobił użytek z alchemicznego przebijacza, pocisku służącego do zwalczania siły żywej. Te chłopaki zawsze grały ostro. Nie zauważył jednak wśród zabitych Corinn ani Popioła.

Wydało mu się, że dostrzegł na schodach przed sobą jakieś poruszenie, ale to mógł być tylko migotliwy błysk lampki oliwnej. Zatrzymał się gotowy do akcji. Szpony broniły przedtem dostępu do tego odcinka korytarza, więc może tym razem również...

Wtem od jego pleców odbiła się rzucona przez kogoś broń. Stał w bocznej pozycji obronnej, jeden miecz unosząc wysoko z przodu, a drugi trzymając nisko z tyłu. Ilu tych cholernych morderców jeszcze zostało? Komórka Szponu składała się z reguły z pięciu osób. To by oznaczało dwóch. Ale jeśli przebywająca na górze kobieta była pięścią albo kimś jeszcze wyższej rangi, z pewnością przydzielono jej eskortę złożoną z przynajmniej dwóch komórek.

Nagle pojawił się przed nim szpon. Instynkt podpowiedział Hartowi, że drugi spróbuje zająć go od tyłu. Mimo to odwrócił się, żeby się upew-

nić. Nie chciał, żeby się domyślili, że zna ich taktykę.

Szpon stojący z przodu zbliżył się o kilka kroków, wyciągając noże. W jego postawie było coś znajomego, ale Hart zignorował na razie ten problem, rozważając otwierające się przed nim opcje. Przed chwilą widział skutki walki z bliska w starym stylu i stało się to dla niego inspiracją. Tych dwóch zapewne spodziewało się tępej, żołnierskiej szarży na najbliższego przeciwnika. Spełni ich życzenie. Przygotował się do ataku, a potem nagle się odwrócił i pognął do tyłu. Podążający za nim szpon dał się zaskoczyć. Zawahał się. Hart dopadł go, walnął bykiem, wypruł mieczem wnętrzności i zaczął się odwracać. Był jednak za wolny i ciśnięty sztylet wbił mu się w bok.

Zachwiał się od tej rany, wzruszył jednak ramionami, by zademonstrować, że nic mu się nie stało. Z pewnością miał przed sobą jednego z komendantów Szponu. Niewielu ludzi potrafiło rzucić nożem z taką siłą, żeby przebić grubą na kciuk warstwę fiszbinu i utwardzanej skóry.

Komendant? I to znajomy? Słyszał, że ten skurwysyn o małych oczkach jeszcze żyje. Rozprostował ramiona, częściowo po to, by uwolnić się od noża, a częściowo, żeby zastanowić się nad następnym posunięciem. Potrzebował czasu. Na szczęście Bliźniaków, nie zaszkodzi spróbować. Wskazał mieczem na szpona.

– Tym razem dostanę twoją głowę, Opos.

Szpon parsknął śmiechem, przyznając, że on również go poznał.

– Możesz spróbować. Zaczekam na ciebie na górze.

Bogowie na dole. Odgadł trafnie.

Opos cofnął się o krok, a potem zniknął w mroku.

Hart zamarł w całkowitym bezruchu. Czyżby to była tylko zmyłka? Czy wypadnie na niego z innego cienia, jak ten cholerny Ogar? Wypuścił z sykiem powietrze przez zęby. Nie ma sensu się przejmować. Będzie, co ma być. Pokuśtykał do ściany, chcąc się uwolnić od tego cholernego noża. Na szczęście zbroja pochłonęła większą część impetu. Poczul, że rękojeść zawadziła o spoinę między kamieniami, szarpnął w bok i stłumił krzyk, gdy sztylet wysunął się na zewnątrz.

Cholera, ależ to bolało!

Wydawało mu się, że słyszy na schodach kroki. Przyszło mu na myśl, że być może tamto zniknięcie było tylko na pokaz i Opos dopiero teraz uciekł na górę. To by było zabawne: Opos czmychający jak szczur. Hart zachichotał i wziął głęboki wdech. Z koniuszka nosa skapywał mu pot. Uderzył mieczem o miecz, żeby postraszyć skurczybyka.

Odzyskał dech w piersiach, wyprostował się, podszedł do schodów i wszedł na górę, cały czas sprawdzając mieczem przestrzeń przed sobą. Zawahał się na pomoście. Do tej pory miał nadzieję, że nie będzie musiał wchodzić na samą górę. Powinien już chyba znaleźć Corinn, martwą albo żywą. Czyżby Popiołowi i jego ludziom udało się dotrzeć na najwyższe piętra? Musiał przyznać, że uważał to za mało prawdopodobne. A może ukrywali się w jakiejś bocznej sali? Wątpliwe. Popiół zrobił na nim wrażenie fanatyka, w najmniejszym stopniu nieprzejmującego się przewagą przeciwnika.

Niezadowolony z tej myśli Hart postanowił iść dalej. Wystrzegając się zakotwiczonych w grotach pułapek, przed wejściem na schody po raz kolejny przeszył mieczem powietrze przed sobą. Padające na stopnie cienie zafalowały niczym rozgrzane powietrze. Hart cofnął się, unosząc oba miecze. Modlił się do Fenera, żeby się nie okazało, że to kolejny Ogar.

Pojawiła się szczupła postać, kobieta albo mężczyzna, odziana w szatę z kapturem, podobną do noszonych przez wyznawców kultu Cienia. Uszyto ją jednak z delikatniejszej tkaniny, która wyglądała, jakby się mieniła. Nieznajomy zszedł leniwym krokiem ze schodów i te kilka ruchów wystarczyło, by Hart się zorientował, z kim ma do czynienia. Spotykali się rzadko, ale weteran ponad wszelką wątpliwość poznawał tę znużoną, wyrażającą niemal znudzenie postawę – dowód najwyższego stopnia arogancji. To był Tancerz, współspiskowiec i osobisty strażnik Kellanveda, najlepszy skrytobójca imperium.

To mogło dla Harta oznaczać koniec. Z Tancerzem nikt nie mógł się mierzyć. Ten człowiek był artystą w sztuce morderstwa, tak subtelnym,

że wielu nie pamiętało już, że Kellanved miał partnera. Najgorszy rodzaj zabójcy: taki, którego nikt nie zauważa. W dodatku ten podstępny skurczybyk też rzekomo nie żył.

Weteran doszedł do wniosku, że pora przerwać impas.

– To co, damy sobie po razie?

Tancerz machnął nonszalancko ręką, jakby chciał całkowicie zlekceważyć Harta jako niegodnego uwagi i dać mu do zrozumienia, że ma na głowie pilniejsze sprawy.

– Pewnie byś się ze mną nie zgodził, Hart – oznajmił cichym, protekcjonalnie brzmiącym głosem – ale jesteśmy po tej samej stronie.

Hart postanowił nie okazywać niedowierzania. Lepiej być ostrożnym. Tancerz był jak żmija mogąca się przecisnąć przez najmniejszą szczelinę. Będzie milczał, czekał i obserwował.

– Przygotowanie dzisiejszego dramatu kosztowało mnóstwo wysiłku i energii. Wpuszczamy tylko za zaproszeniem, i to ja jestem odzwiercym.

Hart oblizwał wargi, myśląc o Corinn.

– Przede mną przysłała tu kobieta, były mag kadrowy. Gdzie ona jest?

– Mam ją.

– Ty?

– Tak. Ją i Popioła. Oni dochowali wierności i przyszli tu służyć.

– Oddaj mi ją, to odejdę.

Śmiech Tancerza brzmiał jak szelest przesypującego się piasku.

– Czemu miałbym to zrobić? I tak odejdziesz, Hart. Nie masz wyboru.

Hart zgarbił się, zaciskając dłonie na rękojeściach.

– Oddaj mi ją, Tancerz.

– Nie bądź głupi.

Niech go szlag. Miał w ręku wszystkie karty! Hart postanowił spróbować negocjacji.

- To nie ja zachowuję się głupio, Tancerz. Nie zostawiasz mi wyboru, a to nie jest rozsądne. Każdy ma swoją dumę. Nie mogę teraz zawrócić.

- Rzecz w tym, że masz wybór - wyszeptał Tancerz.

Hart jęknął w duchu. Tancerz chciał mu po prostu zademonstrować przewagę swej pozycji. Corinn nic dla niego nie znaczyła, pragnął otrzymać coś w zamian.

- A mianowicie? - wycedził przez zaciśnięte zęby.

- Jedna, ostatnia walka, Hart. Ostatni akt służby ostatniego odprysku roztrzaskanego Miecza.

Ostatniego? Pierś Harta przeszły nagły ból. Naprawdę ostatniego? Nie mógł zaczerpnąć tchu. To znaczy, że Nasada... a nawet Dassem... nie żyli?

- Co mam zrobić? - wyszeptał, tylko niejasno zdając sobie sprawę, że opuścił miecze.

- Oddam ci kobietę, a ty wrócisz do Pralta, który dowodzi moimi sługami w mieście. Jak rozumiem, już się spotkaliście. To powinno ułatwić sprawę. Zrobisz to, co ci każe. Zrozumiałeś?

Hart skinął głową. Być może Tancerz kłamał, ale dlaczego miałby zadawać sobie trud? Zapewne według jego wiedzy Hart rzeczywiście był ostatni.

- A co mi każe? - zapytał ostro, przypomniawszy sobie nagle, gdzie jest i z kim negocjuje.

- To nie będzie nic odrażającego. Tylko walka, Hart. To, z czym radzisz sobie najlepiej.

Odchrząknął.

- Zgoda. Gdzie ona jest?

Tancerz wskazał podłogę.

- Tutaj.

Corinn wyłoniła się z cieni u jego stóp, jakby ściągnięto z niej narzutę nocy. Hart trącił ją stopą, nie spuszczać wzroku z Tancerza. Kobieta jęknęła i się poruszyła.

Weteran burknął coś pod nosem, zły na siebie i na sytuację, w jakiej się znalazł, po czym wepchnął miecze do pochew, przerzucił sobie Corinn przez ramię i spojrzał na Tancerza.

– Chcecie odzyskać tron?

Zakapturzona głowa przechyliła się. Hart wyobraził sobie, że Tancerz uśmiecha się prowokująco.

– Z pewnością zdajesz sobie sprawę, że nie przybyliśmy tu ot, tak sobie. Niemniej od samego początku naszym celem nie był tak niepraktyczny twór, jak królestwo albo imperium. To są tylko symbole. Ja i Kellanved sięgamy wzrokiem znacznie dalej. Zawsze chodziło nam o ważniejsze sprawy. – Tancerz machnął ręką. – Idź już. W mieście zanoszą się na małą, paskudną bitwę. Sądzę, że będziesz się dobrze bawił.

Hart oddalił się powoli. Chciał zapytać o tę bitwę, ale bał się usłyszeć odpowiedzi. Tancerz cofnął się na prowadzące na górę schody, rozpuścił się w cieniach i zniknął.

Skóra Corinn była zimna w dotyku. Hart poprawił sobie kobietę na ramieniu i ruszył w drogę powrotną. To, co usłyszał od Tancerza, zgadzało się z jego własnymi przypuszczeniami na temat cesarza i jego towarzysza. W jego opinii większość ludzi, jak Gburka, uważała zdobycie władzy – politycznej albo osobistej – za szczyt wyobraźalnej ambicji. Jednakże osoby takie jak Kellanved czy Tancerz pragnęły mocy jako niewysłowionej abstrakcji. Władanie królestwem czy cesarstwem było tylko jednym z jej wyrazów. Spróbowali już tego i teraz pragnęły czegoś więcej. Co powiedział ten kultysta, Pralt? Mówił, że chodzi o kontrolę nad grota. To dopiero był cel!

* * *

Hart zatrzymał się na skąpanym w blasku księżyca dziedzińcu i uniósł dłoń do policzka Corinn. Jej ciało przypominało w dotyku wilgotną glinę. Ile czasu minęło? Spojrzał na niebo. Księżyc wkrótce zniknie za murami, zakładając, że dzisiejszej nocy obowiązywały prawa mechaniki

niebieskiej. Czy to możliwe, żeby zbliżał się już szósty dzwon? Rzecz jasna, złamanie słowa nie wchodziło w grę. Jeśli wyspa należała dzisiejszej nocy do kultystów, a oni należeli do Tancerza, nigdzie nie znalazłby bezpiecznego miejsca. Musiał też przyznać, że zżera go ciekawość. Szkoda, że nie będzie mógł uczestniczyć w tym spektaklu tylko jako widz. Ponownie poprawił Corinn na ramieniu. Musi ją szybko zanieść gdzieś, gdzie będzie bezpiecznie, a najbliższego takiego miejsca wolałby nie odwiedzać. Wyglądało jednak na to, że nie ma wyboru.

Zatrzymał się w tunelu głównego wejścia i kopnął w drzwi pokoiku Lubbena.

– Otwieraj!

– Idź stąd! – rozległo się równie niecierpliwie warknięcie.

– Otwieraj, Lubben, ty oślepy od francy lubieżniku!

– Hej! Kto to? – Odzwierny pokuśtykał z głośnym stukiem ku drzwiom. – Znam ten głos. Kto to opowiada o lubieżności, kiedy jest za stary, żeby pamiętać, co to takiego?

– Za stary? – Hart pochylił głowę, spojrzął w głąb tunelu i oparł się o drzwi. – Otwieraj, ty garbaty wybryku natury. Nie czas teraz się wstydzić.

– Wstydzić!

Drzwi otworzyły się gwałtownie i Lubben wyrzwał na zewnątrz. Oko miał zaczerwienione, a w dłoni trzymał bukłak. Zamrugał, przyjrzał się hełmowi Harta, znowu zamrugał, popatrzył na jego brzemię i odsunął się od drzwi. Weteran wszedł do środka, pochylając się pod niskim sufitem, i położył Corinn na słomianym materacu. Opary wina unosiły się w pomieszczeniu równie gęsto, jak „Pod Wisielcem” w ruchliwą noc.

Lubben zachwiał się i podrapał po zarośniętym policzku.

– A kto to taki?

– Jest weteranką, byłym magiem kadrowym. – Hart zdjął hełm i ścisnął Lubbena za ramię. – Dlatego lepiej trzymaj łapy przy sobie.

Garbus prychnął pogardliwie i klapnął z łoskotem na krzesło. Obrzu-
cił Harta podejrzliwym spojrzeniem.

- W co się znowu wmieszałeś?

- W nic.

- Nie próbuj wciskać mi kitu. - Wskazał palcem hełm pod pachą
Harta. - Przez długi czas trzymałeś głowę nisko, przyjacielu. Jeśli teraz
ją uniesiesz, zaraz ci ją utną.

Hart wzruszył ramionami.

- Jesteś drugą osobą, która mi to dziś mówi.

Lubben potrząsnął ze smutkiem głową i pomachał buklakiem.
W środku plusnęło wino.

- No to zmiataj, ty smętny durniu. Posłuchaj - dodał, spoglądając na
niego. Przekrwione oko miał niemal całkowicie zamknięte. - Wydawało
mi się, że zawarliśmy umowę. Ty i ja. Mieliśmy obaj przeżyć tak długo,
żeby móc naszczać na groby ich wszystkich.

Wskazał buklakiem sufit.

- Nadal mam zamiar jej dotrzymać - odparł ze śmiechem weteran.

Garbus prychnął i pokręcił głową.

- Znowu dałeś się wykorzystać. - Tym razem pochylił buklak
w stronę Harta. - Tak samo jak poprzednio. Ich nic nie obchodzi, czy
będziesz żył, więc czemu ty miałbyś się przejmować nimi?

Przełknął resztę trunku i cisnął pusty buklak w kąt.

Hart nie potrafił nic na to odpowiedzieć. Świetnie zdawał sobie
sprawę z tego wszystkiego. Przykrył Corinn brudnym, wełnianym
kocem.

- Zatrzymaj ją tu do świtu, Lubben.

Odźwierny skinął głową z cierpką miną.

- Do zobaczenia - powiedział Hart, odwracając się ku drzwiom.

- Mówisz, że jest magiem kadrowym?

Weteran znowu się odwrócił. Lubben drapał się po podbródku, spo-
glądając na Corinn.

- Ehe.

- A z jakiej jednostki?

- Z Podpalaczy Mostów.

Odźwierny uniósł siwą brew nad zdrowym okiem.

- Niech mnie szlag.

Hart zawahał się, nie wiedząc, co chciał przez to powiedzieć stary garbus. Po chwili wzruszył ramionami.

- Dobra. Uważaj na siebie.

Rozparty na skrzypiącym krześle Lubben uśmiechnął się.

- Mam taki zamiar.

Hart pokiwał jeszcze ostrzegawczo palcem na pożegnanie i wyszedł, pochylając się w niskich drzwiach.

Rozdział V.

Fortele i fatum

Stojący obok Kiski Artan zamigał po ciemku do Hattara, który wyraźnie nie mógł uwierzyć w to, co mu powiedziano. Artan jeszcze raz powtórzył te same znaki. Seti wepchnął ze złością miecze do pochew i odsunął się od drzwi.

Cichy śmiech wypełnił echem całe pomieszczenie, dobiegając z każdego cienia. Kiska poczuła na karku znajome mrowienie. Uświadomiła sobie, że ktoś z pewnością otworzył grootę. W towarzystwie Agayli to wrażenie nawiedzało ją wielokrotnie, gdy ciotka stawiała Talię Smoków. Tym razem jednak było znacznie intensywniejsze: niepokojące i w jakiś niesamowity sposób świadome.

Artan odetchnął głęboko i przestąpił z nogi na nogę, wyraźnie przygotowując się do konfrontacji, której się nie spodziewał ani nie pragnął.

– Rozsądna decyzja, Tay – rozległ się szept brzmiący jak szelest delikatnej tkaniny.

Kiska stłumiła krzyk zaskoczenia. Szept jakby dobiegał z każdego cienia. Nawet zza jej pleców, choć opierała się nimi o zimny, kamienny mur.

Stojący w korytarzu kultysta zdjął kaptur. Miał wąską twarz o delikatnych rysach i czarne włosy ostrzyżone na jeża. Jego oczy lśniły jak czarne klejnoty. Wszedł do pokoju, spojrzął na Hattara i się uśmiechnął. Kiskę poirytowała jego lekceważąca mina. Artan – Tay? Zaciśnął pięści.

– Dobry wieczór, Tay.

– Dobry wieczór.

Kiska obrzuciła Artana przelotnym spojrzeniem. Tay? Na pewno nie znaczyło to Tayschrenn? Wielki mag imperialny, największy z talentów służących imperium?

Przybysz zachichotał. Jego krzywy uśmiezek stał się jeszcze wyraźniejszy. Wydawało się, że ledwie nad sobą panuje, jakby w każdej chwili mógł wybuchnąć śmiechem z jakiegoś sobie tylko znanego żartu.

– Co cię tu sprowadza dzisiejszej nocy?

– Jak zwykle troska o imperium – odparł Artan.

– Ach, więc nadal trzymasz się swej przestarzałej koncepcji neutralności. Zawsze byłeś wyjątkowo sumienny.

– Patrę na sprawy z dłuższej perspektywy.

– Z dłuższej perspektywy? Słyszysz tylko sobie. Tay. – Zerknął na Kiskę. – A kto to jest?

Ciemne jamy jego oczu fascynowały dziewczynę. Miała ochotę odpowiedzieć kultystcie. Nagle zapragnęła powiedzieć mu wszystko o sobie. Artan uściśnął boleśnie jej przedramię. Skrzywiła się i zachowała milczenie.

– Jest ze mną.

Mężczyzna uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– Zawsze szukasz nowych talentów, co, Tay?

Artan nie odpowiedział. Zaciśnął zęby, jakby nie chciał się dać sprowokować. Uśmiech zniknął z twarzy kultysty, ustępując miejsca zdumionej, rozczarowanej minie. Mężczyzna westchnął.

– Zostań tu, jeśli nie chcesz się w to mieszać, Tay. Nie ruszaj się stąd, dopóki nie będzie po wszystkim. Każdy, kto jest na górze, uczestniczy w grze... rozumiesz? – Artan skinął głową. Mężczyzna uklonił się w odpowiedzi. – To do zobaczenia rano.

– Być może.

Na twarz mężczyzny powrócił tajemniczy uśmiezek.

– Tak. Oczywiście. Być może.

Odwrócił się, wyszedł z sali i zniknął za rogiem, jakby zamierzał wejść na schody.

Kiska śledziła go wzrokiem. Miała wielką ochotę sprawdzić, czy naprawdę zniknął.

- Czy to był rzeczywiście on? - zapytała szeptem.

Artan zamigał coś do Hattara, odsunął krzesło i usiadł ciężko za długim stołem. Seti zamknął drzwi.

- Tu powinniśmy być bezpieczni - stwierdził, masując czoło.

Konfrontacja wyraźnie go wyczerpała. To zaskoczyło dziewczynę, gdyż przedtem widziała, że na widok z górą pięćdziesięciu kultystów okazał tylko irytację i lekceważenie.

Skinął na Kiskę, nakazując jej usiąść.

- Naprawdę on? - powtórzył. - Nie w ciele, jeśli o to pytasz. To był fantom... obraz. Najwyraźniej bardzo rozciągnął dziś siły. Nic w tym dziwnego.

- Powiedział do ciebie Tay.

- To prawda.

Dziewczyna oblizała wargi.

- To znaczy Tayschrenn?

- Nie - warknął Hattar.

Artan - Tay - machnął ręką w pełnym znużenia geście.

- Tak.

Na bogów! Siedziała obok jednego z największych czarodziejów epoki. Wielu uważało go nawet za większego od samego cesarza. Pragnęła mu zadać tak wiele pytań, była jednak nikiem i zjawiała się znikąd, jak więc mogła się odważyć wypytywać taką osobistość? Z narastającym przerażeniem wspominała, jak zachowywała się w jego obecności. Dlaczego to tolerował? Spojrzała nań z ukosa. Nagle stał się dla niej kimś obcym, nieskończenie odległym od jej życia.

Pod drzwiami zapaliła się niespodziewanie świeca. Hattar przystawił ją do kandelabru na stole i środkową część sali wypełnił ciepły blask. Na

ścianach wisiały wielkie gobeliny – zapewne łupy wojenne – a między nimi tarcze, chorągwie oraz mnóstwo przedimperialnych bander o najrozmaitszych barwach i wzorach. Tayschrenn siedział u końca stołu znajdującego się najdalej od drzwi, na wykonanym z ciemnego drewna krzesle o wysokim oparciu. Kiska wybrała krzesło stojące z boku, między stołem a drzwiami. Hattar ponownie stanął na straży przy wejściu.

Dziewczyna odchrząknęła.

– I co teraz? – zapytała szeptem.

– Teraz? – Tayschrenn oparł się wygodniej i odetchnął głęboko. Oczywiście miał zapadnięte i podkrążone. – Teraz będziemy czekać.

Kiska skinęła głową.

– Tam jest zupełnie cicho – zauważyła, spoglądając na sufit.

Tayschrenn wyprostował się na te słowa.

– To malazańskie metody – wydyszał. – Dotknięcie mordercy. Szelest tkaniny. Łyk wina. Błysk noża cienkiego jak węzowy kiel. Twoje imię wyszeptane przez kogoś, kiedy zasypiasz. – Potrząsnął głową. Jego mina wyrażała smutek. Albo żal. W oczach odbijał się złocisty blask świec. – A co z tobą? – zapytał niespodziewanie.

Kiska poderwała się gwałtownie.

– Ze mną?

– Tak. Opowiedz mi o sobie.

Poczuła, że jej policzki zapłonęły ze wstydu. Opuściła głowę. Jak mógł zachowywać się tak spokojnie, gdy na górze lada moment miała się otworzyć sama Otchłań?

– Nie ma o czym opowiadać. Urodziłam się na wyspie. Ojciec zginął na morzu kiedy byłam mała. Prawie go nie znałam. Był marynarzem. Matka jest krawcową.

Kiska uniosła wzrok. Tayschrenn przyglądał się jej zza złączonych w piramidkę palców. Na ten widok zaschło jej w gardle.

– A twoje nauki? – zapytał. – W jaki sposób się zaczęły?

Przelknęła ślinę. Znowu się zaczerwieniła, ale nie mogła powstrzymać uśmiechu.

– Można powiedzieć, że przypadkowo. Włamałam się do sklepu Agayli i przyłapała mnie na tym.

Tayschrenn odchylił się i wybuchnął głośnym śmiechem. Ramiona mu opadły. Odpiłyło z nich napięcie. Uśmiechnął się szeroko i Kiska nagle przestała być pewna jego wieku. Pozbawiona wyrazu twarz mężczyzny sugerowała długie życie spędzone na kalkulacji i ukrywaniu uczuć, ale śmiech i uśmiech odmładzały go o dziesięciolecia.

– Byłam bardzo młoda – wyjaśniła nieco urażona Kiska.

– Nie wątpię w to. W przeciwnym razie nie próbowałabyś jej okraść.

– Mówiłeś, że się spotkaliście. Znasz ją?

Myśl, że Agayla mogła znać tak wysoko postawione osobistości, zafascynowała Kiskę. To było tak, jakby ciotka miała drugie, ukrywane w tajemnicy życie.

Tayschrenn pokręcił głową.

– Właściwie tylko ze słyszenia. Można powiedzieć, że to moja koleżanka po fachu.

Kiska oparła się wygodniej. To ci dopiero! Wciąż zdumiewał ją fakt, że знаła kogoś, kogo Tayschrenn uważał za koleżankę. Co by Agayla o tym pomyślała? Znając ją, mogłaby nie być zadowolona. Rzadko mówiła o polityce, ale gdy poruszano przy niej ten temat, reagowała z miażdżącą pogardą.

Kiska obserwowała tego człowieka kącikiem oka. Tylko cienki mur dzielił go od spotkania, które mogło zadecydować o jego losie. Mimo to był nienaturalnie spokojny, a nawet sprawiał wrażenie pogrążonego w kontemplacji. Palcem wskazującym gładził wąski grzbiet nosa. Być może zastanawiał się nad tym, co wyniknie z dzisiejszych wydarzeń, i nad swoim losem. Ale z drugiej strony oznajmił przecieź, że w tej sprawie jest neutralny. Agayla niekiedy nazywała imperialną kadrę magów, którą kierował Tayschrenn, zgrają zwyczajnych biurokratów. W związku

z tym powinno mu być obojętne, kto zasiada na tronie. W grę jednak wchodziły też jego osobiste ambicje.

Choć dręczyło ją napięcie, Kiska była coraz bardziej niespokojna. Nie chcąc wiercić się nerwowo na krześle, zaczęła obserwować Hattara. Nawet on, dziki syn stepów o płaskiej twarzy, uległ panującej tu napiętej atmosferze. Kiska zauważyła, że Seti spogląda w górę. Wpatrywał się z błyskiem w oczach w szczeliny między kamieniami sklepienia, w nadziei że dowie się czegoś o tym, co się dzieje na górze.

Kiska oblizwała suche wargi i odchrząknęła.

– O czym myślisz? – zapytała szeptem wielkiego maga.

Tayschrenn spojrział na nią. Jego oczy lśniły złotym blaskiem w świetle świecy. Powrócił do nich wyraz skupienia.

– Zastanawiam się, kto kogo oszukał – zaczął cichym, pełnym namysłu głosem. – Gburka zastawiła na górze pułapkę na Kellanveda, ale on wybrał czas i miejsce dawno temu, kto wie jak dawno, i przygotowywał się już od tamtej chwili. Więc może ta pułapka jest przeznaczona dla niej? Zapewne Gburka zdaje sobie sprawę z jej istnienia, ale nie potrafi jej uniknąć. Musiała tu przybyć. Oboje musieli. – Zmarszczył brwi i zaciśnął mocno usta. – Ale co mają nadzieję zyskać Kellanved i Tancerz? Ich zwolennicy zginęli albo rozpieczęli się na wszystkie strony. Nie mają żadnego zorganizowanego poparcia poza kultem Cienia założonym przez Tancerza, a kultyści ukrywają się i są nieliczni. Szpony i pięści zarządzający prowincjami nie uznają ich władzy, nawet gdyby wrócili.

– A Oleg? Co sądzisz o jego wiadomości?

Mag skrzywił się. Dotknął palcem skroni, jakby chciał uspokoić pulsującą tam żyłkę.

– Tak jest, Oleg. Nasz mistyk i pustelnik. Lubujący się w samoumarzwianiu biczownik. Być może doprowadziła go do obłądu niespełniona ambicja? A może był prorokiem zlekceważonym przez głupców? – Westchnął. – Jeśli dokładnie prześledzę tok jego rozumowania, prowadzi on do wniosku, że Kellanved i Tancerz popełnią samobójstwo, a w to po

prostu nie potrafię uwierzyć. Znam obu i żaden z nich nigdy by tego nie zrobił.

Samobójstwo? Nie, ona również w to nie wierzyła. Nie tych dwóch. Kellanved zbyt wielkim wysiłkiem utorował sobie drogę do władzy. Zmiażdżyłby każdego i wszystko, co stanęłoby mu na drodze. To leżało w jego charakterze.

Tayschrenn poruszył się nagle, unosząc głowę jak ogar, który zwęszył trop.

– Posłuchaj – szepnął, spoglądając w górę.

Kiska przygryzła wargę i spojrzała na sufit. Miała zeszywniałe ramiona i szyję. Siedziała w bezruchu od tak dawna, że jej zraniona noga również zeszywniała w kolanie. Zgięła ją i rozluźniła plecy. Co się działo? Kącikiem oka zauważyła Hattara, którzy podkraść się do nich jak kot, trzymając w rękach broń, gotowy osłaniać wielkiego maga.

– Jak mamy...

Tayschrenn uniósł palec do ust.

– Słuchaj.

Kiska wyteńczyła słuch. Skała drżała delikatnie pod wpływem odległego rytmu fal, pył osypywał się, a ciepło z kamieni wyciekało w noc z cichym potrzaskiwaniem.

Nagle to usłyszała. Odległe stukanie i cichy szmer – stuk-szmer, stuk-szmer – wędrujące od jednego do drugiego końca sufitu.

Kellanved.

Rzecz jasna, nigdy go nie widziała, ale słyszała wiele opisów. Niektóre z nich były pełne sprzeczności, większość zaś była niejasna. Często podkreślano fakt, że chodził powoli, podpierając się laską, a wszyscy się zgadzali, że jest bardzo stary, ma czarną skórę i srebrne, wełniste włosy wiekowego Dalhończyka z sawann południowo-zachodniej Quon Tali. Oczywiście często wspomniano też, że lubił się ubierać na szaro i czarno.

Tayschrenn i Hattar popatrzyli sobie w oczy, jakby chcieli potwierdzić podejrzenia Kiski.

Nagle na dziewczynę opadł straszliwy ciężar, przygniatając ją niczym niewidzialna dłoń. Wyczuła w pobliżu coś ogromnego, co ukrywało się w ciemności, jakby taliański okręt wojenny przepływał na wyciągnięcie ręki od niej. Złowieszcza, śmiercionośna obecność, zbyt gigantyczna, by zaszczyścić ją swą uwagą. Zerknęła na Tayschrenna i zauważyła, że wykrzywił twarz, ściskając palcami skronie. Z nosa skapnęła mu kropelka krwi.

To on, pomyślała zdumiona. Nawet ja to czuję.

Kroki – bo tym właśnie wydawały się Kisce – umilkły nagle. Nastąpiła długa cisza. Wyobraziła sobie rozmowę, jaką tam prowadzono, i zastanowiła się, jak bardzo Tayschrenn pragnęłby poznać jej treść. Ale z drugiej strony kogoś takiego jak on zapewne znudziłaby konwersacja prowadząca się do wymiany ostrzeżeń i wzajemnych gróźb.

Wapienne bloki sufitu poruszyły się raptownie jak dziecinne zabawki. Z góry posypał się pył. Bezgłośnie wstrząs wcisnął Kiskę w krzesło. Bębni strzeliły jej nagle. Świece zgasły. Z góry dobiegł szcęk metalu. Dziewczyna pomyślała, że to z pewnością broń. Potem usłyszała głuchy łoskot, jakby na podłogę padały ciała, i krzyk – nieartykułowany ryk wściekłości – który wybrzmiał powoli. Nastąpiła pełna napięcia cisza. Kiska ledwie mogła zaczerpnąć tchu.

Znowu zrobiło się jasno. Hattar – spokojny i flegmatyczny – zapalał kolejne świece. Kiska nie potrafiła uwierzyć, że można być tak opanowanym.

Potem znad kamiennego stropu dobiegł przenikliwy krzyk kobiety. Kiska zerwała się z krzesła. Spojrzała na Tayschrenna, ale jego zastygła w bezruchu twarz nic nie wyrażała. Czy to był koniec Gburki? Czy Kellanved i Tancerz zwyciężyli? Jednakże w krzyku nie było słyhać śmiertelnej rozpacz, tylko frustrację i wściekłość.

Tayschrenn odchrząknął. Wytarł nos chustką i odsunął się od stołu. Wstał, poprawił płaszcz na ramionach i zamigał do Hattara. Seti zerknął

na dziewczynę, rozciągając wąską szparę ust w szyderczym uśmiešku. Tayschrenn ruszył już ku drzwiom i nie zauważył reakcji swego strażnika.

Hattar zagroził mu drogę. Wielki mag zatrzymał się zaskoczony. Znowu coś zamigał. Siedząca za stołem Kiska zastanawiała się, co tu się dzieje i czy to może być dla niej zagrożeniem. Nagle poczuła z całą wyrazistością ciężar noża, który dostała do Lubbena. Ale ci dwaj chyba jej nie skrzywdzą?

Hattar zacisnął dłonie na rękojeściach skrytych w pochwach noży.

– Nie – warknął, spoglądając ze złością na Kiskę.

Dziewczyna wstała i przeszła do połowy długości dzielącego ich od niej stołu. Pomasowała stłuczone biodro. Co to miało być? Porządku? Czyżby zamierzali ją uciszyć? Ale dlaczego Hattar miałby nie chcieć tego zrobić? Według niej powinien się ucieszyć z takiej szansy. I dlaczego czekali aż do tej chwili?

Tayschrenn zamigał ze złością. Hattar uśmiechnął się tylko, odsłaniając żółte zęby, i potrząsnął głową. Wielki mag zwrócił się w stronę dziewczyny, wyraźnie zaskoczony i poirytowany.

– Stałem przed dylematem – powiedział, spoglądając na nią. – Muszę iść na górę. Hattar nie chce tu zostać, żeby cię strzec, a ja uważam, że nadal jest zbyt niebezpiecznie, żeby zostawić cię samą. – Kaszlnął w zaciśniętą dłoń, unosząc cienką brew. Mogłoby się zdawać, że czyta w jej myślach. – Jak twoim zdaniem powinniśmy rozwiązać ten problem?

Kiska oblizwała wargi.

– Weź mnie ze sobą.

Tayschrenn odwrócił się do Hattara, jakby problem został rozwiązany. Seti skrzywił się wściekle i nakreślił dłonią jakiś znak, zapewne przeczenie. Wielki mag odpowiedział wzruszeniem ramion, świadczącym, że decyzja rzeczywiście zapadła. Przywołał Kiskę skinieniem dłoni.

– Pójdiesz ze mną. Będziesz się trzymała dwa kroki z tyłu. Nic nie mów i we wszystkim naśladowuj Hattara i mnie. Zgadzasz się? – Kiska skinęła głową, ledwie mogąc oddychać. – Świetnie.

Tayschrenn spojrział na Hattara. Człowiek z równin z wyraźną niechęcią odsunął się na bok. Wielki mag wyszedł na korytarz. Kiska podszła do wojownika Seti, który nie odezwał się ani słowem, choć jego gorące spojrzenie wbijało się w jej czaszkę.

Oboje ruszyli schodami obok siebie, kilka kroków za Tayschrennem. Dziewczyna czuła się tak, jakby przyjęto ją w poczet straży osobistej maga. Uświadomiła sobie nagle, że bez względu na to, co się zdarzy, uczyni wszystko, co w jej mocy, by nie zawieść jego zaufania. Modliła się jednak, żeby nie okazało się to konieczne.

Hattar obserwował ją z ukosa, odsłaniając ostre zęby w pogardliwym grymasie. Odwzajemniła mu się pełnym złości spojrzeniem. Odwrócił wzrok z cichym śmiechem, jakby chciał powiedzieć: „tylko zaczekaj”.

* * *

Gdzieś z przodu paliło się światło. Ta część twierdzy była cieplejsza, przytulna i zamieszкана. Zatrzymali się w bogato ozdobionym korytarzu, po obu stronach którego Kiska ujrzała wiele par lśniących drzwi. Od siedmiu lat te pokoje zajmował podpieńc Pell z kręgiem swych najbliższych współpracowników. Dzisiaj jednak ich tu nie było. Zastanowiła się pobieżnie, gdzie mogli się podziać, szybko jednak o tym zapomniała. Zapewne zamknął się w pełnej wina piwnicy albo spał pijany na pryczy.

Tayschrenn szedł naprzód powolnym, miarowym krokiem. Mijali srebrne zwierciadła oraz portrety nieznanymi jej mężczyznom i kobietom, głowy dzików, zdobyczne miecze oraz sztandary z herbami, jakich Kiska nigdy w życiu nie widziała. Poznała tylko czarny pionowy słup oraz jasnoniebieskie fale położonego daleko na południu Korelri. Z otwartych drzwi na końcu korytarza biło ciepłe światło kominka. Cienie tań-

czyły jak szalone w jego blasku. Policzki Kiski musnął chłodny powiew. Usłyszała szumiące gdzieś w dole morze.

Tayschrenn zatrzymał się w wejściu, zasłaniając widok Kisce. Powiew był tu silniejszy i płaszcz maga się wydał. Tayschrenn skinął jeszcze na Hattara i wszedł do środka. Seti chrząknął, pociągnął dziewczynę za rękaw i dał jej znak, by trzymała się blisko niego. Kiska przełknęła ślinę, starając się uspokoić oddech. Człowiek z równin ponownie wykrzywił usta, jakby się spodziewał, że dziewczyna lada moment zemdleje.

W wejściu uderzyła ją fala gorąca, silna jak podmuch z rozżarzonego pieca. Niosła smród dymu zmieszany z kwaśnym, metalicznym odorem krwi. Hattar zajął miejsce z boku drzwi. Kiska stanęła po drugiej stronie, przywierając plecami do rozgrzanych kamieni.

Znajdowali się w długim, prostokątnym pomieszczeniu. Dziewczyna zastanawiała się, czy może to być jakiegoś rodzaju komnata audiencyjna. Usunięto stąd wszystkie meble i ornamenty. Na wielkim palenisku pod lewą ścianą gorzał ogień. Na podłodze wały się trupy, przypominające zrzucone ubrania. Pod rozbitymi drzwiami na balkon leżało ich więcej. Wszyscy zabici byli szponami. Kiska naliczyła dwunastu.

Pośrodku sali, na prostym, drewnianym krześle, które było tu jedynym meblem, siedziała kobieta. Kasztanowe włosy miała krótko ostrzyżone, na wojskową modłę. Niebieskawy odcień skóry świadczył, że jest Napanką. Miała na sobie zieloną jedwabną koszulę, podartą i spryskaną krwią, szeroką, szmaragdowozieloną szarfę oraz luźne pantalone, ciasno związane w kostkach. Jej stopy były ciemne i pokryte stwardnieniami, jakby zawsze chodziła boso. Obok kobiety klęczał szpon, owijający jej dłoń bandażem. Kiska poznała tego, który walczył z zakutym w zbroję kolosem: Oposa.

Gburka. Dziewczynę zdumiało, jak drobnej jest budowy, jaka jest spokojna i opanowana. Trudno by się było domyślić, że przed chwilą stawiała czoło dwóm nagraźniejszym osobom we współczesnej historii Quon Tali. Ale przecież sama była trzecia na tej liście.

Tayschrenn ruszył w jej stronę. Przyglądała się mu, unosząc kącik ust w zapowiedzi ironicznego uśmiešku. Mag zatrzymał się w połowie drogi i spojrzał na nagą, kamienną posadzkę. Kiska popatrzyła w to samo miejsce, ale nie zobaczyła nic poza bladą plamą czerwonego proszku. Z ust Hattara wyrwał się syk. Człowiek z równin poruszył nerwowo szczękami, zaciskając ręce na kościanych rękojeściach długich noży tak mocno, że aż zbieleły mu kostki. Powoli, ostrożnie, Tayschrenn uniósł poły płaszcza i strzepnął z niego proszek. Potem ruszył dalej, przechodząc nad zwłokami, jakby były zaledwie kałużami na błotnistej ulicy. Zatrzymał się przed Gburką, pochylił nad leżącym najbliżej niej trupem i uniósł jego głowę. Kiska poznała zabitego.

– To Popiół – wyjaśniła Gburka. – Były porucznik Podpalaczy Mostów. Był bardzo zdeterminowanym człowiekiem. – Uniosła zabandażowaną rękę. – To kwas.

Tayschrenn wyprostował się i spojrzał na roztrzaskane drzwi balkonowe. Podeszedł do nich i wyjrzał na zewnątrz.

– A więc już po wszystkim?

Gburka skinęła głową, ale dziwnie ostro, jakby sprawy nie ułożyły się tak, jak tego pragnęła. Na podłodze, tuż przed balkonem, w kałuży krwi leżała laska. Wykonano ją z ciemnego drewna, być może hebanu, i miała srebrną rączkę. Kiska wytrzeszczyła oczy. Bogowie! Czy to był koniec? Czyżby zginął?

Z cienia na balkonie wyłonił się drugi ocalały szpon. Był bardzo wysoki, oszczędzał jedną nogę, a prawą rękę przyciskał do piersi. Skapywała z niej krew. Miał długie, zdumiewająco białe włosy, smagłą twarz, haczykowany nos, kozią bródkę i czarne, błyszczące oczy. Kiska nigdy dotąd go nie widziała.

– Zorganizuj poszukiwania ciał – rozkazała Oposowi Gburka.

Szpon pokłonił się i ruszył ku drzwiom. Kiska przyjrzała mu się z ukosa, gdy przechodził obok, i zauważyła, że koszulę na piersi ma przeciętą, a płaszcz brudny od krwi. Ukryta pod kapturem twarz nie

zwróciła się jednak w jej stronę. Zlecono mu misję i wydawało się, że nic innego nie ma dla niego znaczenia.

Tayschrenn wyszedł na balkon. Niską, kamienną balustradę rozbito albo wysadzono, tworząc w niej szeroką lukę. Wielki mag spojrział w dół, zaciskając urękawiczoną dłoń na roztrzaskanym kamieniu. Jego płaszcz załopotał na wietrze, a z dołu dobiegł stłumiony łoskot fal.

Wrócił do Gburki, zgrzytając butami o posadzkę.

– Nie możesz mieć pewności...

– Mam wystarczającą pewność – warknęła. – Absolutną. Jest po wszystkim. Dziwię się, że chciało ci się tu przyjść.

– Szczerze mówiąc, przyciągnęło mnie coś zupełnie innego... jeśli już koniecznie chcesz wiedzieć.

Gniew zapłonął w oczach Gburki niczym mroczny ogień. Wyciągnęła błyskawicznie zdrową rękę w stronę wielkiego maga, jakby chciała zmiażdżyć go w pięści. Kiska omal nie ostrzegła go krzykiem, ale ogień zgasł równie nagle jak się pojawił. Z ust kobiety wyrwał się cichy śmiech.

– Możesz odgrywać nadętego możnowładcę przed swymi podwładnymi, Tay, ale nie przede mną. Fakt, że tu jesteś, zadaje kłam twoim słowom.

Mag spojrział na nią. Kiska zauważyła, że zamrugał, jakby w ogóle nie zauważył reakcji Gburki. Jak jednak było to możliwe? Tych dwoje już od pokoleń współpracowało ze sobą, razem walczyło i knuło spiski. Musieli bardzo dokładnie wiedzieć, jak daleko mogą się wobec siebie posunąć. Najwyraźniej Tayschrenn pragnął przypomnieć o czymś Gburce.

Uniół i opuścił ramiona, poruszając nimi, jakby rozluźniał mięśnie.

– Skoro nalegasz. Można by jednak sądzić...

– Nie obchodzi mnie, co sądzisz. – Przyjrzała się swej zabandażowanej dłoni. – Skończyło się. Nie jestem już imperialną regentką. Zasiądem na tronie i przybiorę nowe imię. I co ty na to?

Tayschrenn milczał. Kiska podejrzewała, że zdążył już starannie przemyśleć wszelkie możliwe implikacje.

– Chwała cesarzowej – odpowiedział stojący na balkonie szpon, gładząc szyję dłonią obleczoną w zieloną skórzaną rękawicę.

Tayschrenn spojrział na niego, a tamten odpowiedział mu drapieżnym uśmiechem. Łatwo było zauważyć wzajemną niechęć między wielkim magiem a tymi sługusami tronu. Kiska zastanawiała się, jak takie spotkanie wyglądałoby przed laty, gdy obecni byłiby również Kellanved i Tancerz. Istne gniazdo żmij.

Tayschrenn pokłonił się płytko. Kiska nie potrafiła określić czy szczerze, czy drwiąco.

– Zaiste. Chwała – powtórzył.

Gburka odpowiedziała mu krótkim, rzeczowym ukłonem.

– Znakomicie. A teraz musimy omówić wiele spraw...

Wskazała głową Hattara i Kiskę. Serce dziewczyny zabiło gwałtownie.

– A co z nim? – zapytał wielki mag, spoglądając na szpona.

Gburka rozciągnęła usta w wąskim uśmiešku.

– Szpon jest teraz elementem hierarchii dowodzenia, Tay. Każdy z jego agentów posiada część mojego osobistego autorytetu, każdy jest moim reprezentantem. Topper tu zostanie.

Tayschrenn pokłonił się, równie płytko jak poprzednio, i odsunął się od krzesła.

– Twoje zadanie na dziś zostało wykonane – rzekł do Hattara. – Zabierz ją i wróćcie do jadalni. Prześpijcie się trochę. Potem do was przyjdę.

Seti zacisnął zęby, ale kiwnął głową. Tayschrenn skinął od niechcenia dłonią, żegnając się z Kiską, a potem się odwrócił. Hattar wyszedł na korytarz, popychając dziewczynę przed sobą. Zaskoczona tym pośpiechem Kiska obejrzała się. Czyżby to miał być koniec? Nawet się nie pożegnał? Zniecierpliwiony Hattar szturchnął ją w plecy.

Gdy wyszli na korytarz, przeszła go wściekłym spojrzeniem.

– Czy nie mogłabym przekazać mu słówka? – wysyczała.

– Nie teraz – odparł człowiek z równin z pozbawioną wyrazu twarzą.

– Jutro.

Kiska uspokoili się.

– Zgoda. – Ruszyła korytarzem. – No wiesz, po prostu nie lubię, jak się mnie przegania. Zadałam sobie wiele trudu, żeby z nim porozmawiać. – Roześmiała się na myśl o tym. – Od Kaptura trudu.

Zerknęła na Hattara, ale on wpatrywał się przed siebie, ignorując ją. Kiska zamknęła usta. Skarżyła się człowiekowi, którego z pewnością najmniej obchodziły jej żale.

* * *

Gdy wrócili do jadalni, Hattar zablokował drzwi krzesłem, zapalili świece, usiadł, położył obute nogi na stole i rozpiął pas. Położył go obok siebie, by mieć noże w zasięgu ręki.

Kiska wybrała krzesło po drugiej stronie stołu.

– Co to był za czerwony proszek tam, na górze? Trucizna?

Seti wpatrywał się w sufit, ale nagle przeniósł spojrzenie na nią. Z ukrytych pod przymrużonymi powiekami oczu nie sposób było czegośkolwiek wyczytać.

– Słyszałaś o proszku otataralowym?

– Ma coś wspólnego z magią?

– Tłumi jej działanie. – Ponownie spojrzął na sufit. – Na górze, w tamtym pokoju jest bezradny.

– To znaczy, że na pewno Gburka rozsypała proszek – palnęła Kiska.

– A Kellanved...

Hattar pokiwał głową.

– On świetnie wyrównuje szanse. Decydują tylko noże i liczba.

Kiska umilkła, próbując sobie wyobrazić, jak to musiało wyglądać. Kaleki Kellanved w niemagicznym starciu był bezużytecznym brzemieniem. Tancerz musiał jednocześnie walczyć i go osłaniać. Obaj cofali się w stronę balkonu, rozpaczliwie próbując ucieczki. Ile trupów widziała? Dwanaście? Pokręciła głową.

– I co teraz?

– Nic. Czekamy.

Przygryzła wargę, spoglądając na Hattara, który wpatrywał się w mrok.

– Zniełubiłeś mnie od samego początku. Co masz przeciwko mnie? – zapytała po chwili.

Zacisnął usta, najwyraźniej zastanawiając się, czy w ogóle jej odpowiedzieć.

– Straciłem dziś trzech dobrych przyjaciół – warknął wreszcie. – Masz stanowczo zbyt wysokie mniemanie o sobie, jeśli ci się wydaje, że twoja obecność może mieć coś wspólnego z moim nastrojem, dziewczyno.

Spuściła wzrok, czując, że się czerwieni. Za kogo się uważał? Ale z drugiej strony, za kogo ona się uważała? Dla niego była jedynie wścibskim cywilem, który mógł zdradzić ich tajemnice i przeszkodzić w wykonaniu zadania.

Splotła dłonie i wbiła wzrok w zakurzony blat.

– Przepraszam. Wiem, że tylko wykonujesz swój obowiązek, ale nie zniknę dla twojej wygody. Kurczę, przeżyłam dziś bardzo wiele. Może nawet nie mniej niż ty. To musi coś znaczyć!

Uniosła wzrok i otarła oczy. Niech szlag trafi te lzy frustracji! Spojrzała na Hattara, chcąc sprawdzić, czy ośmieli się ją zlekceważyć, i nagle rozdziawiła usta w całkowitym niedowierzaniu. Seti zwiesił głowę do tyłu, usta miał szeroko otwarte, a jego pierś unosiła się i opadała miarowo. Zasnął! Niech go Otchłań pochłonie! Jak mógł?

Spoglądając na niego, poczuła jednak, że jej również opadają powieki. Kolano, bark i bok bolały ją okrutnie, domagając się odpo-

czynku. Wstała z westchnieniem od stołu i zaczęła układać w kominku szczapy, by rozpalić niewielki ogień. Gdy już zapłonął, otuliła się płaszczem i usiadła, oparłszy się plecami o ścianę. Nadal obawiała się o własne bezpieczeństwo, ale wyczerpanie wzięło górę nad niepokojem i jej broda opadła w końcu na pierś.

* * *

U podstawy Szlaku Szańcowego z cieni wyłoniło się nagle dwóch kultystów – tych samych, którzy go tu doprowadzili. Hart ich zignorował. Szczuplejszy zachichotał cicho, jakby osobiście przyłożył rękę do rzezi na górze i znał wszystkie tajemnice, dla których ochrony ją przeprowadzono. Ta myśl rozwścieczyła weterana. Przystanął i spojrzał na nich: żaden nie miał prawa do podobnej arogancji.

Zatrzymali się, ale znacznie bliżej niż poprzednio. Na wyciągnięcie ręki od niego. Szczuplejszy wskazał zakapturzoną głową twierdzą.

– Strata czasu, tak? Jak przedtem mówiłem, słuchasz teraz mojemu panu.

– Powinieneś się nauczyć odrobiny szacunku.

Mężczyzna zerknął na swego towarzysza i roześmiał się w głos.

– Nasz pan zlecił ci zadanie, żołnierzu. Zamknij się i rób, co ci kazał.

– Jeśli waszym panem jest Tancerz, to, tak, zawarłem z nim umowę. Ale w jej skład nie wchodziło tolerowanie pyskatych szczeniaków, takich jak ty.

Hart zamachnął się błyskawicznie i zdzielił kultystę pięścią w skroń.

Nadpalony kaptur zleciał mu z głowy, odsłaniając twarz młodego mężczyzny z krótko ostrzyżonymi jasnymi włosami i brodą. Zdumiony młodzieniec wytrzeszczył oczy. Ze zranionego policzka ciekła mu krew. Nagle wyciągnął spod szat nóż. Jego muskularny towarzysz bez słowa komentarza usunął się na bok. Młodzieniec machnął przed sobą trzymaną w zaciśniętej dłoni bronią.

– Pralt ostrzegał nas, że jesteś niebezpieczny, żołnierzu, ale ja uważam, że jesteś tylko znużonym życiem starszakiem. Odeślę cię do mojego pana.

– Za dużo gadasz, żebym miał się ciebie bać, chłopcze.

Kultysta warknął ze złością i skoczył do ataku. Hart o mały włos dałby się zaskoczyć. Nie wierzył, że młodzieniec rzeczywiście to zrobi. Nóż uderzył w pękniętą żelazną łuskę, tuż obok luki w pancerzu po wewnętrznej stronie ramienia. Hart zacisnął zakutą w rękawicę dłoń na szyi przeciwnika. Nóż zsunął się po jego boku. Drugą ręką wyszarpnął go młodzieńcowi i wbił mu w brzuch, tuż poniżej żeber. Kultysta zadrżał. Z jego ust wyrwał się stłumiony krzyk.

Hart potrząsnął nim, trzymając za szyję i cisnął na ziemię. Jęcząc z bólu, młodzieniec zwinął się, przytrzymując oburącz nóż, jak nadziany na szpilkę owad. Hart spojrzął na drugiego kultystę.

– Idziemy – oznajmił i ruszył w stronę Przesmyku Cyrulika.

Po kilku chwilach usłyszał kroki. Mężczyzna podążył za nim.

* * *

Już na długo przed dotarciem do budynków w starej dzielnicy, otaczających Dom Umarłych i gospodę „Pod Wisielcem”, ujrzał oznaki trwającej tam walki. Lodowata nocna mgła stała się nienaturalnie gęsta, ale przebijaly się przez nią rozbłyski fosforescencji. Z dali dobiegło wycie kilku Ogarów, zagłuszające trzaski energii i huki eksplozji.

Przypominało to Hartowi najstraszliwsze bitwy, w jakich uczestniczył: pojedynki magów, podczas których więcej ludzi ginęło porażonych energią grot niż od cięć ostrym żelazem. Z mgły przed nim wyłonił się kultysta, który zamarł w bezruchu, najwyraźniej czekając na niego. Mężczyzna skinął na Harta, nakazując mu wejść prosto w skłębiony opar. Weteran zacisnął zęby, nie zwalniając kroku. Kultysta ruszył obok niego. Jego poprzedni strażnik zatrzymał się przed barierą, co sugerowało, że w organizacji istnieje swego rodzaju hierarchia. Być może ci,

k którzy przebywali wewnątrz, byli wtajemniczeni w głębsze misteria. Albo może, pomyślał Hart, kult mógł ich bez żalu poświęcić, jeśli cały plan pochłonie Otchłań.

Mleczna mgła przesłaniała wszystko. Najpierw zniknęły budynki, a potem idący obok kultysta. Weteran zadał sobie pytanie, czy przypadkiem nie zaprowadzono go do fragmentu groty. Zajął się rozważaniem tej kwestii i dał się zaskoczyć, gdy z oparów wypadło nagle coś przypominającego nietoperza. Krzyknął głośno i się uchylił. Pojawiła się widmowa sylwetka eskortującego go kultysty, który gestykułował z ożywieniem. Stwór zgiął się wpół i odleciał. Wstrząśnięty weteran uświadomił sobie, że to był zwykły skrawek unoszącego się w powietrzu cienia. Pochylił się do ucha kultysty, który uśmiechnął się szeroko pod kapturem.

– Gdzie jesteśmy? – warknął.

Jego strażnik wzruszył ramionami.

– Ścisłe mówiąc, nigdzie. – Skinął na weterana, nakazując mu się pośpieszyć. – Chodź, nie mamy wiele czasu.

W pewnej chwili Hart ze zdziwieniem zauważył, że zacierają pod górę brukowaną drogą. Mgła była tu rzadsza i po kilku krokach zostawili ją za sobą. Przed nimi, na szczycie łagodnego wzniesienia, wznosił się Dom Umarłych otoczony rozsypującym się murem. Wokół niego czekali kultysty. Reszta miasta była całkowicie niewidoczna, pochłonęła ją mgła. Można by pomyśleć, że przeniesiono go na inną wyspę, razem ze skrytobójcami i Domem. Niebo przesłaniały wysoko unoszące się chmury, rozpraszające w niesamowity sposób światło. Wyglądało ono jak blask wczesnego świtu, padający nie wiadomo skąd. Przed bramą wejściową zebrała się grupka kultystów. Strażnik poprowadził go do nich.

Hart spojrział na Dom Umarłych. Okna były ciemne i zamknięte okiennicami. Nie sposób było zobaczyć, co może się dziać w środku. To jednak podwórze przyciągnęło jego uwagę. Martwe, czarne konary drzew poruszały się jak niespokojne palce, a ziemia drżała i podskaki-

wała, jakby coś pod nią się poruszało. W powietrzu unosiła się woń pyłu, niczym w od dawna zamkniętej krypcie. Przebijał się przez nią zapach ozonu sugerujący nieustanną niskopoziomową aktywność kanalizowanej groty.

Kultysta w jasnej szacie odłączył się od grupy i podszedł do Harta, odsyłając strażnika skinieniem dłoni.

– Pralt? – zapytał weteran.

Mężczyzna skinął głową, zapraszając Harta, by podszedł z nim do ułożonego z kamieni muru.

– Gdzie właściwie jesteście? W Cieniu?

– Niezupełnie. To raczej most. Przejsście stworzone przez niezwykle warunki panujące dzisiejszej nocy.

– A co z Ogarami?

– Zostawiliśmy je z tyłu. Nie musisz się o nie martwić. Stoją przed nami inne wyzwania.

Hart usłyszał w tych słowach nutę ironii, potężnego niedopowiedzenia. Zatrzymał się, wspierając dłonie na rękojeściach mieczy.

– Dobra. Do tej pory robiłem, co mi kazano. Ale teraz, kiedy już jestem na miejscu, chcę się dowiedzieć, o co chodzi.

Pralt popatrzył na podwórze, po czym odwrócił się do Harta. Nawet z tak bliska weteran dostrzegł pod jego kapturem wyłącznie ciemność. Irytowało go to. Skrytobójca skrzyżował ramiona, chowając urękawiczone dłonie w szerokich rękawach szaty, jakby był kapłanem.

– O atak na Dom. Nic więcej.

Hart skrzywił się ze złością.

– A kto go będzie bronił?

– Ach tak. To właśnie niepokoi nas najbardziej. Nikt nie wie, czym właściwie jest Dom. Niektórzy twierdzą, że to po prostu brama, inni zaś utrzymują, że to niezależny byt istniejący w wielu królestwach jednocześnie. Tak czy inaczej, z pewnością nie jesteśmy pierwszymi, którzy próbują nim zawładnąć. Przez wieki niezliczenie wielu podejmowało

takie próby, ale wszyscy przegrali. A ci, którym się nie powiodło, są teraz niewolnikami Domu i muszą walczyć w jego obronie. – Pralt umilkł, pozwalając, by implikacje jego słów dotarły do świadomości Harta. – Pomysłowe, co? Z upływem czasu obrońcy Domu stają się coraz silniejsi. To robi wrażenie.

Weteran zaniemówił na chwilę. Potem roześmiał się.

– Możesz o tym zapomnieć, Pralt. Nie ma szans, żeby twoja banda obdartusów zwyciężyła w podobnym starciu. To przekracza wasze możliwości.

Kultysta skinął zakapturzoną głową, jakby się z nim zgadzał.

– Tak, tak. Brak nam siły ognia, żeby pokonać obrońców Domu. Ale też nigdy nie było to naszym celem.

Hart zmarszczył brwi. Już przedtem nie był zadowolony z kierunku, w którym to wszystko zmierzało, teraz zaś miał pewność, że bardzo mu się nie spodoba to, co usłyszy.

– Nie mam zamiaru służyć jako wabik.

Kaptur zwrócił się ku niemu.

– Przecież robiłeś to całe życie, Hart – stwierdził po chwili Pralt łagodnym tonem. – Nawet Miecz nie był niczym innym jak chorągwią mającą przyciągać najsilniejszych nieprzyjaciół. Przynętą wywabiającą ich z ukrycia.

Hart zacisnął odruchowo pięści, potem jednak zaczerpnął tchu i pominął te słowa milczeniem. Dassem mówił niekiedy podobne rzeczy. Twierdził, że jest piorunochronem armii. Wszyscy zdawali sobie z tego sprawę: on, Nasada, Sztych i cała reszta. Wtedy jednak nie mieli nic przeciwko temu. Byli młodzi i wierzyli, że nikt nie zdoła pokonać Dassema. Cóż to miało za znaczenie? Niech próbuje, kto chce, Miecz zawsze będzie górą. Nie zastanawiali się nad tym, kto czerpie korzyści z ofiary ich krwi i życia.

– To mocne słowa w ustach kogoś, kto pragnie mojej współpracy – warknął wreszcie, wpatrując się w Dom.

- Nic, co moglibyśmy powiedzieć, nie zmieni przeszłości. A poza tym dałeś słowo.

Hart prychnął pogardliwie, zdejmując nadgryzioną przez Ogara rękawicę. Potarł palcem wskazującym bliźnię na podbródku i skinał głową.

- Ehe, rzeczywiście dałem. No dobra. W takim razie ruszajmy.

Pralt wskazał bramę. Hart trzepnął rękawicą w udo, myśląc sobie: akcja dla odwrócenia uwagi przeciwnika. To znaczyło, że prawdziwy atak nadejdzie z innego kierunku i będzie znacznie bardziej dyskretny. Domyślał się, kto go przeprowadzi.

Przed bramą dołączyli do pozostałych kultystów. Hart przyjrzał się im uważnie. I to wszystko? Tylko sześciu? Pralt i jego towarzysz raz jeszcze zamienili parę słów, niemal stykając się zakapturzonymi głowami. Zaniepokojony Hart oparł dłonie na gałkach mieczy. Czy miał być tylko dodatkowym uczestnikiem ataku, czy też chodziło tu o coś więcej? Nie miał aż tak wysokiego mniemania o sobie, by sądzić, że potrzebują jego pomocy. Ani nawet, że zaplanowali jego udział. Nie, to wyglądało na improwizację. Zmianę przeprowadzoną w ostatniej chwili. Był już pewien, że to mu się bardzo nie podoba. Dał jednak słowo, a honor był jedynym, co jeszcze zachował. Pomoże im, ale się wycofa, jeśli zrobi się za gorąco.

Pralt i jego towarzysze przerwali rozmowę, przechodząc na język znaków. Hart nie potrafił ich zrozumieć. To nie był standardowy malarzański język migowy. Nie podobało mu się to w najmniejszym stopniu. Poczul nagle swędzenie karku.

Pralt zwrócił się ku niemu.

- Przygotuj się. Zajmiesz pozycję na środku, między Jaśmin a mną.

Hart skinał głową. Jaśmin odpowiedziała lekkim pochyleniem głowy. Weteran wyciągnął miecze i wyprostował ramiona, żeby rozluźnić mięśnie. Pralt podszedł do pozbawionej ozdób bramy z kutego żelaza.

- Nie wchodźcie na podwórze! - zawołał nagle ktoś za ich plecami.

Hart drgnął.

Odwrócił się. Za nimi stali Faro Balkat i Trenech. Wyglądali tak samo jak zawsze: Faro był wątłym staruszkciem o zaropiałych oczach, a Trenech wielkim jak bhederin tępakiem. Teraz jednak Trenech dzierzył straszliwy topór, wsparty trzonkiem o ziemię, Faro zaś najwyraźniej otrząsnął się z narkotycznego oszołomienia. Grupa kultystów podbiegła do obu przybyszy i otoczyła ich kręgiem. Faro zignorował ich, tak jak poprzednio żołnierzy „Pod Wisielcem”.

Pralt spojrział na nich i pokłonił się sztywno.

– Nasza misja nie jest sprzeczna z waszą! – zawołał. – Dlaczego tu przyszliście?

Kąciki ust Fara opadły w grymasie niezadowolenia. Hart nigdy nie widział u niego równie ożywionej miny.

– Nie próbuj ze mną swych gierek, niewolniku Cienia. Przekraczanie barier osłabia je, a to nam się nie podoba.

Pralt wzruszył ramionami.

– To przykre, ale znam granice, jakie wytycza wam wasza rola. Nie możecie nikomu zabronić wejścia na podwórze Domu.

Faro zacisnął sękatę dłoń.

– To przynajmniej jest prawdą. – Podszedł bliżej. – Proszę was, byście tego nie robili. Igracie z siłami, o których nie macie pojęcia.

Pralt potrząsnął zakapturzoną głową i odwrócił się. Hart wbił wzrok w kultystę. Jaki los zapowiadało to dla niego?

– Czekają na nas – wyszeptła zniecierpliwiona Jaśmin. – Musimy ruszać.

Pralt zwrócił się ku bramie.

– Żołnierzu! – zawołał Faro.

Hart odwrócił się.

– Nie idź tam. Nigdy stamtąd nie wrócisz.

Weteran uniósł miecz w pożegnalnym salucie.

– Przykro mi, Faro. Dałem słowo.

Włożył w tę odpowiedź całą odwagę, na jaką mógł się zdobyć, choć czuł ucisk w brzuchu na myśl, że nie ma już odwrotu.

Zardzewiała brama otworzyła się z głośnym skrzypnięciem, popchnięta przez Pralta. Faro umilkł. Trenech uniósł topór.

Do schodów wiodła wyłożona kamiennymi płytami ścieżka mijająca po drodze nagie wzgórki przypominające Hartowi groby wykopane pośpiesznie po bitwie. Jak dotąd panowała tu cisza, Dom był ciemny i martwy. Pralt i Jaśmin ruszyli naprzód, idąc po bokach. Hart podążył za nimi. Oboje sprawiali wrażenie nienaturalnie spokojnych, mimo że nie mieli żadnej broni. W połowie drogi przystanęli i Pralt odwrócił się do Harta.

Weteran spoglądał na niego niepewnie, oblizując suche wargi.

– Dalej nie pójdziemy – oznajmił kultysta dziwnie uroczystym tonem. – Nie tak to sobie wyobrażałem. Wybacz. Tak rozkazał Tancerz. Żegnaj, żołnierzu.

Pralt i Jaśmin zniknęli. Hart odwrócił się błyskawicznie. Trzej pozostali kultysty również rozpląnęli się w powietrzu. Mogłoby się wydawać, że przyszedł tu sam. Ziemia po obu stronach ścieżki poruszyła się nagle. Z wilgotnej gleby buchnęła para, a konary drzew zakołysały się, skrzypiąc głośno. Na gałęziach i na szczycie niskiego murku zatańczyły niebieskozielone ognie. Wyjście na ulicę blokował Trenech z opuszczonym toporem w rękach. Za nim przystanął Faro, a jeszcze dalej ponownie zgromadzili się kultysty – łącznie z Praltem i Jaśmin – którzy przyglądali się mu z rękami skrzyżowanymi na piersiach.

Hart wskazał na nich mieczem, chcąc krzyknąć, że wyrwie im serca, lecz nagle z Domu dobiegł głośny, zgrzytliwy łoskot. Weteran odwrócił się, unosząc broń. Drzwi otworzyły się z chrzęstem, z ościeża posypał się pył. Wewnątrz była ciemność, którą szybko wypełniła olbrzymia postać.

Zdradzono go. To była powtórka z ostatniego szturm na Y'Ghatan. Za cholerę niczego się nie nauczył. Hart odrzucił głowę w tył i wydał

z siebie ryk gniewu tak przemożnego, że jego żar ogarnął każdą cząstkę jego ciała.

* * *

Agayla i Obo przystanęli na skalnym cyplu pośrodku strumienia nagiej mocy. Fale docierały już poza plażę, uderzając o sterzące wyżej skały. Niosący deszcz ze śniegiem wiatr omijał małą wysepkę spokoju jak zdmuchiwany kurz. Chmury, wiszące nisko nad całą wyspą, muskały szczyty wzgórz. Daleko na południu skłębione obłoki wznosiły się jeszcze wyżej, bijąc w morze nieustannym deszczem piorunów. W blasku błyskawic można było zobaczyć odległy taniec unoszących się na falach Jeźdźców.

Obo odwrócił nagle głowę, wyczuwając w pobliżu czyjaś obecność. Wbił spojrzenie w nagi stok wzgórza. Schodziły z niego dwie postacie. Jeden z przybyszy skinieniem rozkazał drugiemu pozostać wśród skał i ruszył dalej sam. Jego ciemne szaty powiewały na wietrze. Drugi skrył się za wysoką skalną kolumną i przykucnął, wspierając łokcie na kolanach.

– Ktoś idzie. – Agayla nie zareagowała. Obo spojrział na nią. Pochylała się, ściskając głowę w dłoniach, jakby zaraz miała jej pęknąć. – To twój chłopak, Agayla. Chyba przegrałem zakład.

Obrzuciła go pozbawionym zrozumienia spojrzeniem. Stopniowo jednak do jej oczu wróciła świadomość. Zamrugła, rozprostowała ramiona i wstała.

– To dobrze. Bardzo dobrze.

Mężczyzna był coraz bliżej. Widzieli już blask jego wygolonej czaszki. Obo zmełł w ustach przekleństwo.

– Tak jest. To on. Nie ufam mu. Czuć od niego smród Robaka.

– Uwolnił się już od wszystkich więzów, Obo. W przeciwnym razie nie zwróciłabym się do niego. – Ukłoniła się przybyszowi. – Witaj, Tay-schrenn.

Mag odwzajemnił jej ukłon.

– Obo – powiedział na przywitanie, ale starszek odwrócił się do niego plecami. Tayschrenn wskazał ręką na południe. – To wygląda nieporównanie groźniej, niż się spodziewałem.

Agayla skinęła głową.

– Oślamy wyspę przed najgorszym. Przerażające, prawda?

– Przypomina mi najbrutalniejsze poczynania cesarza.

– W porównaniu z tym był tylko głupcem bawiącym się ostrym patykiem – warknął Obo, łypiąc na nich spode łba.

Gdy Tayschrenn na niego spojrział, starszek odwrócił wzrok, spoglądając z powrotem na południe. Wzdrygnął się na widok tego, co tam zobaczył.

Tayschrenn przyjrzał się zmęczonej twarzy Agayli i sztywnej sylwetce Oba. Skinął na kobietę, prosząc ją, żeby usiadła.

– Przegrywacie.

Agayla skinęła głową, zbyt wyczerpana, żeby udawać.

– Tak. Przed świtem będzie po wszystkim... chyba że się zaangażujesz.

– Ale jakaś siła dotąd to powstrzymywała. Gdzie oni się podziali?

– Pokonali go.

– Go? Był tylko jeden przeciwko temu wszystkiemu? Nie ma nikogo takiego. Może Osserc...

Obo ponownie prychnął ze wzgardą.

Agayla pomasowała czoło palcami.

– Doprawdy, Tay. Kto jak kto, ale ty powinienesz zdawać sobie sprawę, że na świecie istnieją starożytne moce, dla których imperium twoje i Kellanveda to tylko kolejna zmiana pór roku. Ścieżek wiodących do ascendencji jest nieporównanie więcej, niż ci się zdaje. – Wyprostowała się z westchnieniem. – Ale teraz nie czas na to. Kampania Gburki przeciwko uprawianiu magii znacznie umniejszyła jego siły. Pozostał

mu tylko drobny ułamek talentu, z którego mógł czerpać. Dlatego przegrał.

– Nie mogła przewidzieć dalej idących konsekwencji swych poczynań.

– Ale ty mogłeś.

Obo odwrócił się błyskawicznie.

– Czy to prawda?

Tayschrenn zacisnął dłonie na kolanach. Jego twarz była nieprzeniknioną maską.

– Tak, miałem pewne przeczucia. Niepokoiła mnie myśl o zmianie prastarej równowagi mocy. – Spojrzał w oczy rozwścieżonego Oba. – Ale przysięgam na Bezimiennych, że nie podejrzewałem, że sytuacja będzie tak dramatyczna... tak niebezpieczna.

– I to jest człowiek, do którego się zwróciłaś – warknął Obo, spoglądając na Agaylę.

Tayschrenna zaskoczyła siła gniewu, który zapłonął w jego piersi w reakcji na pogardę Oba. Nikt nie traktował go w taki sposób. Tolerował drwiny Kellanveda, a obecnie ignorował zachowanie Gburki, która błędnie uważała go za rywala, nikt jednak nigdy nim nie gardził. Wyjął z kieszeni płaszcza parę mokrych rękawiczek z kozłej skóry i zaczął je wciągać na dłonie. Zginając i rozprostowując palce, powiedział sobie, że Obo to w końcu Obo. Zatrzasnąłby drzwi przed nosem samemu Kapturowi.

Agayla przyglądała się mu z uwagą. Tayschrenn pozbył się nieprzyjemnego wrażenia, że poddano go próbie, której nie sprostał.

– Ale pozwoliłeś na to – zauważyła kobieta z zamyśleniem w głosie.

Tayschrenn postanowił wykorzystać szansę, by się wytłumaczyć.

– Gdybym się sprzeciwił rozkazom Gburki, wywołałoby to niepotrzebne podejrzenia.

– Podejrzenia o co?

- Działanie w zмовie, utrzymywanie kontaktów, sympatyzowanie z nim.

- Ach, rozumiem. - Odgarnęła kosmyki mokrych włosów i wytarła czoło dłonią. Tayschrenn z chęcią pożyczylby jej chustkę, ale nie miał nic, co nie byłoby przemoczone. Kobieta spojrziała nań z westchnieniem. - Biedny Tayschrenn. Pewnego dnia obudzisz się i skończysz z tym nędznym politykierstwem i spiskami. Sparzysz się jeszcze wiele razy i osmalisz przy tym wielu innych, nim w końcu odkryjesz mądrość. - Spojrzenie jej ciemnych oczu wniknęło w głąb jego duszy. - Nie zawędrowałes jeszcze na tej drodze wystarczająco daleko, by zacząć się zastanawiać nad kosztem, prawda?

Tayschrenn wytrzeszczył oczy. Od czasu, gdy ukończył szkolenie w świątyni, nikt nie przebił się przez jego osłony z taką łatwością.

- To chcecie, żeby wam pomógł, czy nie?

- Widzisz, w tym tkwi problem. Może się okazać, że twojej pomocy nie chcemy.

Wstrząśnięty Tayschrenn otarł usta dłonią. Stały przed nim dwie moce - tak jest, potrafił to przyznać, moce - którym groziła zagłada z rąk nieprzyjaciela o nieprzewidywalnych możliwościach. A mimo to nie chciały przyjąć jego pomocy?

- Ale wyspa... tysiące istnień.

- Och, daj spokój. Więcej ludzi zginęło podczas samego upadku Unty. Nie udawaj, że ich los cię obchodzi. Nie, jeśli przegramy, będziesz musiał się zaangażować, prawda?

- Czyżby? Twierdzisz, że nic mnie nie obchodzi los tych ludzi, a mimo to będę walczył w ich obronie? Rozczaruję cię. Nie będę się wtrącał.

Obo prychnął.

- Tak? - mruknęła Agayla, spoglądając z powrotem na południe. - Czyżby?

Tayschrenn popatrzył w tym samym kierunku. To, co zobaczył, wyгнаło z jego umysłu wszelkie świadome myśli, jakby nagle zerwano

zasłonę i po raz pierwszy ujrzał przerażającą prawdę o tym, co dla zwy-
czajnych zmysłów wydawało się tylko sztormem na bezprecedensową
skalę. Pogoda była jedynie efektem ubocznym znacznie istotniejszej
bitwy między konkurencyjnymi królestwami. Wezwał swą grotę Thyr,
by zbadać poczynania tajemniczych czarodziejów Jeźdźców Sztormu,
Władających Różdżkami. Ich czary wyglądały jak zasłona energii,
replika migotliwych świateł, które pojawiały się niekiedy nocą na pół-
nocnym niebie. Spływająca z górnych warstw atmosfery bariera nie
kończyła się na poziomie wody, jak większość ludzkich manipulacji
teurgicznych, ale docierała do głębin. Tayschrenn przeszedł ją
wewnętrznym okiem i przekonał się z przerażeniem, że zasłona sięga aż
do niezgłębionych rozpadlin, w których wykrył lśniące serce pozaświa-
towego lodu. Serce, które pulsowało i powiększało się na jego oczach.
Przerwał kontakt, oszołomiony porażającą mocą, jaką spotkał do tej
pory tylko raz, jako suplikant w obliczu swej dawnej pani, D'rek, Robaka
Jesieni, który obgryza świat.

– Możesz się nie wtrącać, Tayschrenn – ciągnęła Agayła. – W takim
przypadku Malaz upadnie, nie będzie już barierą hamującą ekspansję
Jeźdźców. To właśnie od dawien dawna niepokoi wszystkich, prawda?
Że uwolniwszy się z cieśniny, Jeźdźcy zapanują nad morzami? Staną się
powszechnym zagrożeniem?

Tayschrenn skinął ze znużeniem głową, nie wiedząc, do czego zmie-
rza kobieta.

– Tak. Oczywiście.

Agayła skrzyżowała ręce na piersiach i spojrzała mu prosto w oczy.

– A co, jeśli nie chodzi im o samą wyspę? Zastanów się nad tym. Co
znajduje się na Malazie rzut kamieniem od brzegu? Co, jeśli to nie jest
bezmyślny sztorm, który chce się wyrwać na swobodę, tylko wykalkulo-
wana próba zdobycia mocy i wpływów? – Wskazała zajmującą cały hory-
zont burzę o monsturalnych proporcjach. – Powiedz mi, Tayschrenn,
czy Dom zdołałby się oprzeć temu wszystkiemu?

Oszołomiony mag wytrzeszczył oczy. Dom? Cóż on mógł znaczyć dla tych obcych istot? Ale... co w ogóle o nich wiedziano? Były zagadką. Punktem, w którym skupiały się moc i możliwości. Z pewnością nie mógł tego wykluczyć. Być może wcale nie chodziło o to, że wyspa stoi im na drodze. Może chciały zawładnąć tym, co się na niej znajdowało. Przeklął w myślach czarodziejkę i wszystkich powiązanych z Wieszczką. Nic nie mogło się ukryć przed ich spojrzeniem. Musiał jednak jej pomóc. Nie mógł podjąć ryzyka, że ziści się alternatywa, którą mu przedstawiła. Z pewnością zdawała sobie z tego sprawę od początku.

– Zgoda, Agayla. – Pokłonił się. – Wygrałaś. Wesprę was całą swą siłą. Jeźdźców trzeba powstrzymać.

– Nie licz na pocałunki – mruknął Obo.

* * *

W pierwszej chwili Kiska myślała, że to sen. Czuła mrowienie na skórze, jakby ktoś chciał ją pochwycić. Po chwili w jej myśli wniknęła świadomość tego, w jakim miejscu zasnęła. Dziewczyna obudziła się gwałtownie.

Pochylała się nad nią ciemnoskóra kobieta, która wyciągała ręce, jakby chciała ją złapać. Kiska zerwała się na nogi i nieznajoma odskoczyła. Dziewczyna sięgnęła odruchowo do pasa, rękawów i kołnierza, ale nic tam nie znalazła. Warknęła gniewnie, unosząc ręce.

Kobieta wyprostowała się, wyciągając ku niej otwarte dłonie.

– Spokojnie, dziecko. Nieźle mnie przestraszyłaś.

Kiska rozejrzała się. Hattar zniknął, podobnie jak jego pas z bronią. Na kominku żarzyły się węgielki, świece już się prawie wypaliły. Jej nóż leżał na stole. W drzwiach ktoś stał – garbus, ten sam człowiek, od którego pożyczyła broń.

– Ja cię przestraszyłam?

Dziewczyna roześmiała się w głos. Wyprostowała się, krzywiąc się z bólu w boku i w kolanie.

Kobieta – to była napańska czarodziejka, która towarzyszyła najemnikom – skinęła głową.

– Tak. Nałożono na ciebie lekką osłonę. Uzdrawiający sen. Chciałam tylko sprawdzić jej siłę, ale ty się obudziłeś i rozerwałeś ją z łatwością. Stawiasz niezwykle silny opór.

Kiska zbyła te słowa lekceważącym prychnięciem. Czego ona właściwie od niej chciała? Gdzie się podział Hattar? Tayschrenn, jeśli już o tym mowa?

– Gdzie są wszyscy? Ile czasu minęło?

Kobieta uklękła przed kominkiem, żeby ogrzać dłonie i zapewne też uspokoić Kiskę.

– Mieliśmy nadzieję, że ty nam to powiesz. Nikogo tu nie ma. Twierdza jest pusta. A jeśli chodzi o czas... – Wzruszyła ramionami. – Chyba jest już po dziesiątym dzwonie nocy.

Kiska wzięła broń ze stołu i zatknęła za pas.

– Jeśli chcecie odpowiedzi, musicie pójść na górę. Jestem pewna, że szpony z radością ich wam udzielią.

Brzęk żelaza oznajmił, że zbliża się garbus. W słabym blasku kominka Kiska zauważyła, że Lubben ma na głowie zardzewiałą, poobtłukiwaną łebkę. Z jego zdeformowanego ciała zwisały warstwy kolczugi, a ramiona, pierś i brzuch osłaniała zbroja łuskowa. W rękach trzymał toporek o długim trzonku, służący do rzucania. Dziewczyna wytrzeszczyła oczy ze zdumienia. Zwyczajny człowiek z pewnością załamałby się pod tym ciężarem.

– Ona nie zrobi ci krzywdy, dziewczyno – warknął. – Wszyscy już poszli. Wiesz, co tu się stało?

Przenosiła spojrzenie z jednego na drugie.

– Co to ma za znaczenie? Wszystko skończone. Gburka zwyciężyła.

Kobieta się wzdrygnęła.

– Byłaś przy tym? Widziałas to?

Dziewczyna przypomniała sobie, z kim rozmawia.

– Och, Popiół. Widziałam go. Nie żyje. Przykro mi.

Kobieta odgarnęła z westchnieniem długie włosy.

– A mnie nie. Lepiej dla niego. Powinien zginąć już dawno. Obecne czasy nie przypadły mu do gustu. Niemniej musiałam spłacić dług wobec niego.

Kiska odwróciła wzrok.

– Cieszę się, że tobie nic się nie stało.

– A czy jego też widziałaś?

Dziewczyna potarła ramiona, żeby się rozgrzać. W pomieszczeniu panował niezwykły chłód. Była przemarznięta i głodna, ale wypoczęta, jakby przespała całą noc. Nawet kolano wydawało się zdrowe, choć nadal czuła w nim pulsujący ból.

– Nie, ale byłam tam wkrótce potem. Gburka powiedziała, że Kell... że spadli z balkonu. Nikt nie mógłby tego przeżyć. Urwisko jest wysokie na setki sążni.

Lubben i kobieta wymienili pełne niedowierzania spojrzenia.

– Gburce to wystarczyło – ciągnęła urażona Kiska. – Powiedziała, że jest po wszystkim. Nawet... – Przerwała i przełknęła ślinę. – Wszyscy się zgodzili, że tak było.

Jednakże gdy wypowiedziała te słowa, opuściła ją pewność. Gdzie się podziali Hattar i Tayschrenn? I Gburka? Czy to Tayschrenn rzucił na nią zaklęcie? I czy rzeczywiście było to zaklęcie, jak twierdziła kobieta? Czy kłamali, twierdząc, że to koniec? Jeśli tak, z pewnością nie zrobili tego z uwagi na jej obecność. Musieli mieć swoje powody, każde z nich inne. Być może okłamywali się nawzajem z przyzwyczajenia. „Malazańskie metody”. Tak jej powiedział Tayschrenn. W jego słowach kryła się gorzka ironia, a teraz Kiska potrafiła w nich usłyszeć również pogardę dla samego siebie. Potarła dłonie o boki i odwróciła wzrok.

– Sama nie wiem. Wtedy myślałam, że jest po wszystkim.

– Ale nie jest – stwierdziła kobieta. W jej głosie pojawiła się nuta dziwnego gniewu. – To przynajmniej jest pewne. – Kiska spojrzała na

nią ze zdziwieniem. – Wyczuwam tu potężne zaburzenia w grotach – wyjaśniła Napanka. – Silne jak szalejący nad wyspą sztorm. Zapewne tam wszyscy poszli.

– Dom Umarłych – wydyszała Kiska, przypominając sobie słowa Olega.

Kobieta obrzuciła ją ostrym spojrzeniem, jakby poddawała ją ponownej ocenie.

– Tak jest. Dom Umarłych. To wszystko... – wskazała na górę – ...było zapewne tylko zmyłką.

– Ale ci wszyscy zabici! W tym również Popiół.

Kobieta wbiła wzrok w węgielki.

– Nic nie pozwala zachować pozorów lepiej niż porządna masakra. – Wzięła ustawiony na stojaku przy kominku pogrzebacz i poruszyła nim dogasające węgielki, by na nowo rozniecić ogień. – Nie dowiemy się tu już nic więcej, Lubben. – W jej głosie zabrzmiała nuta rozkazu, która zaskoczyła Kiskę. – Musimy pójść do Domu.

Lubben chrząknął na znak zgody, przyciskając toporek do piersi. Fakt, że niezależny, cyniczny garbus tak łatwo podporządkował się rozkazom kobiety, powiedział Kisce bardzo wiele. W gospodzie czarodziejka zachowywała się jak zastępczyni Popioła, który, jeśli wierzyć Gburce, był oficerem Podpalaczy Mostów. Mogła mieć stopień równoważny dowódcy kompanii.

– Zabierz mnie ze sobą – poprosiła Kiska.

Kobieta uśmiechnęła się, widząc jej zapał, lecz pokręciła głową.

– Nie. To zbyt niebezpieczne.

– Mogę się przydać. Wiem wiele rzeczy.

Kobieta przyjrzała się jej, przechylając głowę.

– Na przykład?

Kiska oblizwała wargi, próbując sobie przypomnieć wszystkie ważne fakty, o których mówił jej Oleg, a także to, co podejrzewała.

- Wiem, że musimy tam dotrzeć przed świtem, ale korzystanie z grotty byłoby niebezpieczne, ponieważ Ogary je wyczuwają, a nawet potrafią nimi wędrować. Wiem, że ma się dziś wydarzyć coś, co skupia się wokół Domu. I że... - Przerwała, próbując sobie przypomnieć słowo, którego użył Oleg. - On może być portalem do Cienia...

- Wystarczy!

Zaskoczona Kiska przerwała. Kobieta uniosła rękę w przepraszającym geście.

- Wybacz. Istnieją sprawy, o których lepiej nigdy nie mówić głośno.

Odwróciła się i zaczęła chodzić po pomieszczeniu. Kiska obserwowała ją w napięciu. Była gotowa błagać, ale się obawiała, że tylko poirytuje tym kobietę.

- Będę ją miał na oku - zaproponował Lubben, kryjący się w cieniu poza zasięgiem słabego blasku ognia.

Kobieta zatrzymała się po drugiej stronie kominka i spojrzała na Kiskę.

- Zgoda - powiedziała. - Jeśli chcesz ze mną iść, proszę bardzo. Ale będziesz robić, co ci każę.

- Dobrze.

- Masz na imię Kiska, tak?

- A ty?

Uśmiechnęła się prowokująco, aż zmarszczył się czarny tatuaż na jej czole.

- Corinn. Kiska, czy podróżowałaś kiedyś przez grotę?

W pierwszej chwili dziewczyna miała ochotę skłamać, obawiając się, że prawda pozbawi ją szans. Potrząsnęła jednak głową, sfrustrowana własnym niedoświadczeniem.

Corinn wyduła na chwilę wargi, przyprawiając Kiskę o rozpacz, ale potem wzruszyła ramionami.

- Trudno. Trzymaj się blisko mnie. Lubben, ty pójdziesz z tyłu.

Odźwierny chrząknął niecierpliwie.

– A co z Ogarami? – zapytała Kiska.

Ponownie zobaczyła w odpowiedzi uśmiech, śmiały i pełen życia.

– Będziemy musieli poruszać się szybko.

Skinęła dłonią. Powietrze przed kominkiem zamigotało, jakby nagle buchnęła z niego fala gorąca. Pojawiły się szare smużki, które stawały się coraz jaśniejsze, przeradzając się w strzępki najczystszej, jaśniejącego srebra. Po chwili połączyły się ze sobą, tworząc unoszące się w powietrzu zwierciadło rtęci, które falowało jak woda.

Dzięki temu, co słyszała niekiedy od Agayli, Kiska poznała grootę Thyr, Ścieżkę Światła. Ponoć Thyr posługiwała się sama Królowa Snów.

Corinn podeszła do wiszącego w powietrzu owalu i zniknęła w nim, jakby się zanurzyła w rtęci.

Kiska się zawahała. Bała się, choć była zafascynowana.

– Śpiesz się, dziewczyno – odezwał się Lubben. – Jeśli ją zgubisz, będziesz po kres wieków sama wędrowała po ścieżkach.

Przeżazona tą myślą Kiska skoczyła do portalu. Nie miała pojęcia, czy garbus podążył za nią. To było tak, jakby nagle znalazła się w sali pełnej luster. We wszystkich kierunkach w nieskończoność ciągnęły się odbicia jej i Corinn. Setki czarodziejek odwróciły się ku niej, wyciągając rękę. Dziewczyna zamarła w bezruchu. Serce jej biło jak szalone. Która z nich jest rzeczywista? Której powinna odpowiedzieć?

Wtem nowa Corinn wyłoniła się z jednej ze swych podobizn, jak pływak wynurzający się z jeziora. Kiska wyciągnęła do niej rękę i wstęchnęła z ulgą, kiedy dotknęła ciała.

– Gdzie Lubben?

Kobieta pociągnęła ją za sobą.

– W Thyr każdy musi wędrować własną ścieżką. Trzymaj się blisko mnie.

Przemieszczały się do przodu, nie ruszając się z miejsca. Takie przynajmniej wrażenie odnosiła Kiska. Nie wyczuwała żadnego ruchu, ale Corinn wciąż ciągnęła ją za sobą. Gdy jednak przyjrzała się swym odbi-

ciom, zaczęła zauważać różnice. Niektóre z nich były szczupłe, inne wyglądały osobiwie. Jedno było boleśnie chude i odziane w lachmany, innemu brakowało prawej ręki, która była ucięta w łokciu. Kiskę przeszył dreszcz na ten widok. Przypomniała sobie, jak w dzieciństwie zraniła się podczas upadku. Jeszcze inne odbicie nosiło ciemny strój szpona. Kiedy je zobaczyła, omal nie krzyknęła ze zdumienia.

– Co tu się dzieje?! – zawołała do Corinn, pociągając ją do siebie. – Co znaczą te wszystkie odbicia?

Kobieta się odwróciła. Tatuaze na jej czole pociemniały pod wpływem irytacji.

– Widzisz odbicia?

– Tak. A ty nie?

Corinn uniosła brwi. Wyraźnie zrobiło to na niej wrażenie.

– Ach, to znaczy, że masz talent. Thyr musi ci odpowiadać. – Poprowadziła Kiskę dalej. – To tylko możliwości – wyjaśniła, oglądając się przez ramię. – Fantomy. Nie zwracaj na nie uwagi. Nie dla nich tu przyszliśmy.

– A co ty widzisz?

– Idę po kamiennym moście nad pustką, a ze wszystkich stron otacza mnie błękitne niebo – wyjaśniła, nie odwracając się.

Kiska spojrzała na dezorientujące, ruchome srebrne ściany, które były wszędzie, nawet na górze i na dole.

– Dlaczego? Dlaczego most nad pustką? Jak to robisz?

Corinn obejrzała się z tym samym tajemniczym uśmiechem na ustach.

– Tak właśnie lubię to sobie wyobrażać. Tak jest bezpieczniej. A jeśli chodzi o to, jak to robię, no cóż, to wymagałoby lat.

Dziewczyna skinęła głową. Tak jest. Lata nauki i praktyki. Te same nudne ćwiczenia umysłowe i medytacje, do których Agayla próbowała ją dawno temu zmusić. Dała za wygraną dopiero wtedy, gdy pewnego dnia Kiska otworzyła sufitowe okno i zaryzykowała niebezpieczne zej-

ście z drugiego piętra, zamiast – według jej słów – siedzieć godzinami bez ruchu i zerkać z ukosa. Ciotka dotrzymała słowa. Od tej pory udzielała jej lekcji innego rodzaju, ale nie próbowała jej już zmuszać do magicznych ćwiczeń. Ostrzegła tylko Kiskę, że w późniejszym wieku pożałuje tego wyboru.

Dziewczyna pożałowała go niemal natychmiast, ale duma nie pozwoliła jej się do tego przyznać. Ta uparta duma, przez którą próbowała zmienić niepowodzenie w sukces, aż wreszcie zaczęła się przechwalać własną ignorancją! Teraz wstydziła się swej dziecinnej krnąbrności. Postanowiła, że będzie błagała Agayłę o wybaczenie.

Gdy pomyślała o ciotce, o jej bogato haftowanych sukniach i gęstej grzywie kasztanowych włosów, poczuła ciarki na karku. Zwolniła kroku, nagle oszołomiona, a potem się zatrzymała, gdy jedno z odbić przed nią zafalowało jak powierzchnia stawu. Obraz pociemniał, przerodził się w wizję siedzącej na brzegu kobiety. Smagał ją gwałtowny wicher, a nisko nad głową wisiały groźnie wyglądające chmury. Kobieta uniosła głowę i Kiska ujrzała Agayłę taką, jakiej jeszcze nigdy nie widziała: zmęczoną, wycieńczoną, o bladej, zapadniętej twarzy i mokrych, targanych wiatrem włosach. Ciotka spojrzała na nią zaskoczona, a potem wystraszona.

– Nie tutaj, dziecko – powiedziała ochrypłym, roztargnionym głosem.

– Agayla!

Kiska skoczyła w jej stronę, ale obraz Agayli zamazał się i w jego miejsce pojawiła się Corinn, która obrzuciła dziewczynę takim spojrzeniem, że Kiska poczuła się, jakby wyrosły jej skrzydła. Filigranowy tatuaż na czole kobiety pulsował z gniewu.

– Co ty wyprawiasz, w imię Pradawnych?

– Wy... wydawało mi się, że kogoś widzę – wyjąkała Kiska. – Kogoś, kogo znam. Ona ma kłopoty. Muszę jej pomóc!

Corinn mruknęła coś pod nosem i wykonała krótki gest. Na jej twarzy nie było teraz psotnego uśmiešku.

– Nic nie czuję. Trzymaj się mnie. To nie miejsce do zabaw.

Urażona Kiska otworzyła usta, chcąc wszystko wyjaśnić, ale Corinn ruszyła już przed siebie. Dziewczyna pobiegła za nią.

– Musimy opuścić grotę przed dośnięciem do celu – wyjaśniła czarodziejka, oglądając się przez ramię. – Coś blokuje nam drogę. Widzisz to?

Wzrok Kiski nie sięgał dalej niż jej odbicie widoczne tuż przed Corinn. To było tak, jakby szła ku samej sobie, choć w ogóle się do siebie nie zbliżała.

– Dla mnie nic się nie zmieniło – poskarżyła się Kiska.

Czarodziejka jednak jej nie odpowiedziała. Zniknęła.

Z ust dziewczyny nie zdążył się wyrwać krzyk. Zwierciadlane srebro groty przygasało, zmieniając się w nieprzejrystą mgłę. Wyszukolenie pozwoliło jej zacisnąć usta i milczeć. Wiedziała, gdzie się znajduje. To była jej trzecia wizyta w Królestwie Cienia.

* * *

Stała na rozległej równinie, pokrytej pyłem i niesionym wiatrem piaskiem. Niebo miało tu kolor jasnego ołowiu. Z oddali dobiegało niskie, przeciągłe zawodzenie – wiatru albo Ogara.

Tuż przed nią piętrzyła się skalna wyniosłość, jakiej Kiska nigdy dotąd nie widziała. Przypominała bezładny stos ogromnych, krystalicznych ostrzy, czarnych jak zamarznięty dym. Pomyślała o kamieniach przechowywanych przez Agayłę w sklepie: kryształach kwarcu i soli. Dym obrócony w kwarc! Tak właśnie wyglądała. Przekształcała się też na jej oczach. Pojedyncze ostrza modyfikowały się, wirowały, znikaly albo zmieniały przejrzystość. Całość wydawała się niezdefiniowana i niestała. Dziewczyna nie mogła nawet być pewna jej rozmiarów. Budowla była piękna i Kiska odnosiła wrażenie, że do niej przemawia. Była gotowa uwierzyć, że znajdzie w niej rozwiązania wszystkich tajemnic, nad jakimi kiedykolwiek się zastanawiała, odpowiedzi na wszystkie pytania dotyczące Agayli. Wystarczy, że wejdzie do środka, a dowie się,

co w tej chwili robi ciotka. A nawet, gdzie przebywa Tayschrenn. Pozna odpowiedzi na wszystkie pytania. Jaki los spotkał jej ojca. Kto będzie jej kochankiem. Kiska postąpiła krok w stronę gmachu.

Coś stanęło jej na drodze. Dłoń twarda jak kamień odepchnęła ją do tyłu.

– Nie jest dobrze przyglądać się mu zbyt dokładnie – rozległ się bezdźwięczny głos.

To była istota z mostu, Chodzący po Krawędzi. Oślepiąca Kiska zamrugnęła, potarła oczy kłębami dłoni. Co tu się wydarzyło? Czy coś...? Mogłaby przysiąc, że widziała coś dziwnego. Wzruszyła ramionami, ale nie spoglądała już na krystaliczną wyniosłość.

Dalej piaski ustępowały miejsca nagiemu, pofałdowanemu granitowi, który opadał ku jezioru. Matowe niebo odbijało się w gładkiej tafli jak w zwierciadle. Na przeciwległym brzegu piętrzyła się ogromna ściana lodu, ten sam lodowiec, który podczas jej poprzedniej wizyty był zaledwie odległą linią na horyzoncie. Teraz przerodził się w rozległą równinę. Na jego powierzchni płąsały światła, jakie nieraz widziała nocą na południowym niebie, tęczowe, migotliwe chorągwie i zasłony.

Kiska zastanawiała się, czy to ona się przesunęła, czy lód?

– To jest Cień – oznajmiła istocie, która pochyliła zmumifikowaną głowę na znak zgody. – Nie powinnam tu przebywać.

– Ale uparcie wracasz.

Wpatrzyła się w puste, czarne otwory w miejscach, gdzie powinny być oczy. Czy to miał być żart?

– Czy możesz mnie odesłać z powrotem?

– Można by powiedzieć, że to mój obowiązek.

– Zanim to zrobisz, powiedz mi, co to jest.

Kiska wskazała stos przypominających kwarc krysztalów.

– Dom Cienia. W pewnym sensie to serce królestwa.

– Naprawdę? Ale on...

– Żyje. To prawda. I jest bardzo niebezpieczny.

– Niebezpieczny? Ale... co z tymi, którzy próbują nim zawładnąć?

Istota wzruszyła kościstymi ramionami.

– Ci, którzy zasiadają na tronie, przychodzą i odchodzą. – Uniosła szkieletową dłoń, wskazując lodowiec widoczny za jeziorem powstałym z topniejącego lodu. – To jest prawdziwe niebezpieczeństwo.

– A co to takiego?

– Intruz, który wtargnął do tego królestwa. Przypomina mi Jaghutów, ale jest całkowicie obcy. Oni nie różnili się od innych istot aż tak bardzo. Ponoć kiedyś, dawno temu, to właśnie Jaghuci wpuścili go mimo woli do tego świata, używając swej magii lodu na zbyt potężną skalę.

– Ale tronem pragnie zawładnąć szaleniec. Morderca. Dlaczego nic nie robisz? On również nie powinien tu przebywać!

Istota nie odrywała wzroku od ściany lodu.

– W rzeczy samej. Ale ta groźba jest poważniejsza. Muszę czuwać, na wypadek gdyby udało się jej przebić i dotrzeć do Domu.

– Przebić?

– Napotkała opór. Ale to w każdej chwili może się zmienić. Ci, którzy z nią walczą, tracą już siły.

– Ale co z Kell... z tronem?! – niemal zawyla Kiska.

– Przykro mi. To drobiazg w porównaniu z innymi kwestiami, które rozstrzygnie ta koniunkcja.

– Drobiazg!

Dziewczyna miała wrażenie, że usłyszała trzask wyschniętego ciała, gdy głowa zwróciła się w jej stronę.

– Tak. Na tle całej sytuacji. Przykro mi. Musisz już odejść.

– Zaczekaj! Mam jeszcze tyle pytań...

Perłowa szarość zamknęła się wokół Kiski, przesłaniając wszystko szczelnie jak dym. Gdzieś blisko rozległy się krzyki, wrzaski, szcęk oręża. Usłyszała jakąś kobietę... Wołała ją po imieniu?

Przykucnęła, gotowa do walki, i wyciągnęła rękę ku skłębionej zasłonie.

– Corinn?

– Tu jestem.

Dziewczyna obróciła się wkoło, ale nie widziała nic oprócz mgły. Czy wróciła do Malazu? Ale w którym miejscu się znalazła? Wciąż się obrażała, wyteżając bezskutecznie wzrok.

– Corinn? – wyszeptła ponownie, tym razem głośniej. Ostrożnie wyciągnęła zakrzywiony nóż.

– Cicho – ostrzegł odległy głos.

Czy to była Corinn? Co to za zabawa?

– Gdzie jesteś? Pokaż się?!

– Tuż za tobą – usłyszała tuż przy uchu drwiący głos.

Odwróciła się, ale nie zobaczyła nic poza skłębionymi oparami. Stłumiła panikę, zaciskając dłonie tak mocno, że paznokcie wbijały się w skórę. Bez względu na wszystko, zawsze trzeba zachować spokój. To była wojna nerwów i ona ją przegrywała.

Słuchaj, dziewczyno, nakazała sobie. Słuchaj. Co słyszysz? Wyteżyła słuch, starając się wyodrębnić z tła odległych krzyków i wrzasków bliższe szmery i szepty. Tam! Krok z jej prawej strony. I albo bardzo odległy, albo w jakiś sposób stłumiony ryk gniewu. Lubben?

Znowu szuranie skórzanych podeszew o kamień. Tym razem bliżej, za nią. Nie czekając na kolejny drwiący szept, Kiska rzuciła się do ataku, wyciągając ręce. Jej prawą dłoń musnęła szorstka tkanina. Dziewczyna złapała ją i przyciągnęła bliżej.

Tkanina była luźna i szara. Kultysta.

W bark Kiski wbiło się zimne ostrze. Jej szyję musnął rękaw skryto-bójcy. Dziewczyna rozpoznała formę ataku i postawę przeciwnika. Zareagowała odruchowo. Złapała jego ramię w kłincz, uderzyła łokciem w gardło i pchnęła nożem w pierś. Napastnik zwałił się na ziemię.

Skoczyła na niego i zatkała mu usta dłonią. Nasłuchiwała. Gdy już upewniła się, że są sami, a przynajmniej dała sobie spokój z próbami wykrycia następnych skrytobójców, spuściła wzrok i spojrzała na przeciwnika. To była młoda kobieta. Być może cios rozproszył maskujące zakłęcie, albo może przyczynił się do tego upadek, w każdym razie twarz kultystki była odsłonięta, a kaptur leżał na bruku. Gdy kobieta próbowała oddychać, z jej ust wydobywały się małe bąbelki. Włosy i cerę miała jasne, a kości policzkowe wydatne i delikatne. Mogła być Talianką, zapewne z bogatej rodziny. Kiska delikatnie wyjęła sztylet z jej dłoni. Paznokcie nieznanym były czyste i wypielęgnowane, a skóra miękka. Jej oczy śledziły ruchy wąskiego noża.

– Dlaczego? – wyszeptła Kiska, unosząc go nad jej twarzą.

Kobieta oddychała płytko i chrapliwie. Nagle mgłą przeszło przeraźliwe wycie. Kiska nie zdołała powstrzymać nerwowego skurczu mięśni. Kobieta uśmiechnęła się na ten widok. Jej uśmiech wyrażał zwycięstwo nad Kiską, triumf na widok strachu przeciwniczki.

Kiska warknęła ze złością, wstała i rozejrzała się w poszukiwaniu Ogara. Czy to ją ścigał? Być może zadaniem kultystki było tylko zatrzymać ją na chwilę, by dać czas Ogarowi. Dlatego bawiła się z nią w chowanego. Kiska przeklęła samą siebie za to, że dała się tak głupio podejść, że reagowała na poczynania przeciwnika, zamiast przejąć inicjatywę. Zrobiła dokładnie to, czego chciała kobieta.

Usłyszała ciche parsknięcie i odwróciła się. W mgle jarzyła się para zielonych ślepiów. Zielonych, a więc tym razem to był inny Ogar. Nie miało to jednak znaczenia. Kiska widziała już z bliska jednego z nich. Straciła nadzieję. Bestia potrafiła przebić się przez zamknięte drzwi i przegryźć zakutego w zbroję mężczyznę. Mogła jedynie wybierać, czy Ogar dopadnie ją podczas ucieczki, czy też zginie w walce. Krzyknęła, rozwścieczona niesprawiedliwością tej sytuacji, i rzuciła się do ataku, ściskając w ręce nóż.

Przy szóstym kroku potknęła się. Zawadziła stopą o wyrzucenie gruntu i runęła na łeb na szyję. Otoczył ją ogłuszający hałas: eksplozje

mocy, krzyki w rozmaitych językach. Uderzyła głową o ścianę i leżała pod nią oszołomiona, podczas gdy nad nią tańczyły fosforyzujące fale energii.

* * *

Olbrzym wyszedł z Domu, pochylając się pod nadprożem. Jego piersi, ramiona i nogi okrywała zdobna zbroja obcej konstrukcji, wykonana z płyt z brązu oraz wytłaczanej skóry. Nieludzko szerokie ramiona miał opasane złotą szarfą. Z drugiej, zastępującej pas, zwisały dwa miecze. Twarz zasłaniał hełm z gładzonego żelaza inkrustowanego spiralami z brązu. Dłonie osłaniały rękawice z wykutych z tego samego stopu lusek.

Hart odsunął się, zerkając pośpiesznie za siebie. W wątlej bramie stał Trenech, ściskający topór w obu rękach. Gdy zjawa zesza z ganku, kamienie ścieżki ugięły się pod jej stopami. Weteran usłyszał za plecami krzyki trwogi. Przeciął je szydery śmiech Fara.

– Widzicie! – zawołał staruszek załamującym się głosem. – Głupcy! Przywołaliście Jaghuta. Najpotężniejszego z pokonanych, którzy próbowali ongiś zawładnąć Domem. Teraz będziecie musieli stawić mu czoło!

Hart cofnął się pod bramę, ale zatrzymał się, gdy Trenech zamachnął się w jego stronę toporem.

– Wypuść mnie, do cholery!

Za plecami Trenecha i Fara kultysty ustawili się w wachlarz. Byli wśród nich Pralt i Jaśmin.

– Żołnierzu! – zawołał Faro. – Wszedłeś na podwórze z własnej woli. – Na jego wychudzonych ramionach tańczyły fosforyzujące energie grot. – Przykro mi, ale nie możemy nikomu pozwolić stąd wyjść. Dokońcań wyboru.

Co? Przecież wszedł tu dopiero przed chwilą. Do Otchłani z tym! Murek był niski, da radę go przeskoczyć. Nagle usłyszał szcęk oręża. Obejrzał się. Jaghut wyciągnął miecze. Po ich długich na cztery stopy

klingach biegły fale światła. Istota znowu uderzyła mieczem o miecz. Nad Domem zahuczał grom.

Ziemia poruszyła się gwałtownie. Pojawiły się setki szkieletowych rąk, które kopały rozpaczliwie ziemię. Trupy próbowały wyrwać się na wolność. Na murze tańczyły błękitne impulsy energii, a konary drzew poruszały się nerwowo. Nagły hałas – trzaski, huki i krzyki przerażonych kultystów – ogłuszył Harta.

Wszędzie wokół ścieżki wyciągały się ku niebu ścięgniste dłonie pokryte wyschniętym ciałem. Weteran kopnął najbliższą z nich, ale chwyciła go za but i tylko z największym wysiłkiem zdołał się wyrwać. Kołysały się między nim a murem niczym złowrogie zboże, gotowe wciągnąć go pod ziemię. Zadał sobie pytanie, jak jego miecze poradzą sobie w starciu z nimi, ale Jaghut był już blisko. Hart przybrał postawę bojową, choć wątpił, czy wytrzyma choć jedno uderzenie. Istota jednak niemal go nie zauważała, tak samo jak ongiś Surgen Ress. Wbiła nieruchome spojrzenie w bramę za jego plecami. Tylko nogi Jaghuta się poruszały, tłukąc głośno o kamienne płyty. Olbrzym uderzył gwałtownie oboma mieczami, które przeszły powietrze jak wiązki płynnego światła. Hart ledwie zdążył zareagować. Zablokował ciosy, ale siła drugiego z nich strąciła go ze ścieżki z impetem uderzającego z boku tarana. Przetoczył się i zatrzymał na zimnej, zrytej ziemi.

Leżał twarzą w dół, starając się zaczerpnąć tchu. Dławił się piaskiem i pyłem. Z oddali dobiegał przebijający się przez tumult odgłos ciężkich kroków zmierzającego ku bramie Jaghuta. Trupy wiły się pod nim jak węże. Wśród jego bezładnych myśli rozległ się nagle głos: „Szybciej, człowieku! Do muru!”

– Dobra – wydyszał, wypluwając ziemię. – Już idę.

Ściskając miecze w garściach, poczołgał się w tamtą stronę niczym zmęczony pływak zmierzający do zbyt odległego brzegu. Przedzierał się przez morze uschniętych dłoni i poruszających się na oślep ramion. Do tej pory umarli próbowali raczej wydostać się na wolność niż go atako-

wać. Nagle rozległ się głośny brzęk, jak uderzenie młotem w kowadło. Od bramy dobiegł niosący się echem ryk.

Hart włókł się przed siebie. Murek był już niemal w zasięgu ręki, śmiesznie niski, prawie bezużyteczny. Po jego drugiej stronie przebiegł kultysta, który nawet nie spojrzał na leżącego. Na wolność wyrwały się już zakute w zbroje trupy. Coś złapało weterana za nogę. Wierzgnął gwałtownie, ale nie zdołał się uwolnić. Przetoczył się na bok i spojrzał w tamtą stronę. Wokół jego kostki zaciskała się szkieletowa dłoń. Z ust wyrwał mu się krzyk strachu. Zaczął ciąć mieczem raz po raz. Siegały już ku niemu inne dłonie. Ściągnęła ustąpiły jak suche drewno i Hart uwolnił kończynę.

Dreszcz grozy nie ustępował. Weteran czołgał się tak szybko, jak tylko potrafił, ale ziemia pod nim wciąż się przesuwiała i rozstępowała. Sączył się z niej stęchły trupi odór, ze szczelin wysuwały się palce o długich paznokciach. Uwolnione trupy rzucały się na mur, wyciągając ręce do stojących po drugiej stronie kultystów. Złapały jednego z nich za rękaw i przyciągnęły do siebie. Oplotły go kościstymi ramionami i ściągnęły w dół. Krzyki mężczyzny szybko ucichły, gdy jego głowa zniknęła pod ziemią.

Hart patrzył na to z przerażeniem. Pożogo, ratuj, on będzie następny! Skoczył w stronę muru, ale ponownie coś złapało go za nogę i nie zdołał tego dosięgnąć. Jego miecze zgrzytnęły o kamienie. Trup trzymał go mocno. Roztrzaskana czaszka zakołysała się, gdy Hart spróbował wyszarpnąć nogę. Weteran ciął mieczem, przeszywając tułów, i rozkawałkowane zwłoki zwolniły uścisk.

Do gardła podeszły mu gorące, kwaśne wymioty. Mógłby stawić czoło każdemu wojownikowi z dowolnej krainy – ale nie czemuś takiemu! Wstał z wysiłkiem i chciał już przeskoczyć mur, gdy nagle coś walnęło go w bok i odrzuciło w głąb podwórza.

Leżący na ziemi Hart odwrócił się, by spojrzeć na murek. Stał tam odziany w czerń szpon, ściskający w rękach drag. Na fiuta Fenera, skąd się tu wziął szpon? Krzyki i eksplozje energii grot za murami odpowie-

działy na jego pytanie. Czarne szaty starły się z szarymi w chaotycznej walce pełnej dymu, mgły, ognia grot i gwałtownych manewrów. Pod bramą Trenech i Faro walczyli z Jaghutem. Nikt nie był na tyle nierozsądny, by wtrącać się do tego tytanicznego boju. W innych miejscach kultysty i szpony wspólnie toczyli bój z trupami, które próbowały przez niego przełazić.

Szpon, który go uderzył, zdjął kaptur, odsłaniając długie, czarne włosy oraz wąską twarz. Opos. Wyglądało na to, że już z kimś walczył. Szaty miał poszarpane i zakrwawione. Uśmiechnął się do Harta, tak jak człowiek konający z głodu mógłby się uśmiechnąć na widok pieczonego wołu.

Hart zaprosił go do siebie skinieniem dłoni, ale Opos potrząsnął głową. Weteran podźwignął się gotowy zaatakować szpona, lecz znowu się przewrócił. Kolejna dłoń złapała go za kostkę. Stopę miał już zagrzebaną w ziemi.

– Niech cię Otchłań Kaptura pochłonie! – zawołał.

– Ciebie pierwszego! – odrzyknął Opos w przerwie między eksplozjami magicznego ognia.

Rozwścieczony Hart cisnął w szpona mieczem, Opos jednak odbił go drągiem na bok. Szpon roześmiał się, pomachał Hartowi na pożegnanie i zniknął.

Weteran znowu spróbował wstać i omal nie rozplakał się z bezsilności. Prawie mu się udało! Uciekłby, gdyby nie ten skurwysyn. Wrzasnął donośnie, wsadził dłoń w zrytą ziemię i pogrzebał w niej na osłep. Tym razem to nie była ręka, lecz jakiś korzeń czy pnącze, mocne jak żelazo. Pociągnął z całej siły, ale nie chciało puścić.

Jego uwagę przyciągnęła szczególnie gwałtowna wymiana magicznych ciosów, do której doszło poniżej na zboczach. Garstka ocalałych kultystów cofała się przed naporem szponów. Trenech i Faro nadal bronili bramy przed ryczącym donośnie Jaghutem. Szpony zastąpiły kultystów pod murem, ale sądząc z ich pełnych paniki krzyków, wcale nie powodziło się im lepiej.

Nagle usłyszał za sobą suche, szeleszczące trzaski. Obejrzał się i zobaczył, że jedno z rosnących na podwórzu karłowatych drzew sięga do niego gałęziami. Drzewo! Capnęło go cholerne drzewo! Przerazenie wyгнаło z jego głowy wszelkie koherentne myśli. Wyrzucił drugi miecz za murek, wyciągnął dwa lewaki i wbił w ziemię krótkie, masywne ostrza.

Dotknięty żelazem korzeń szarpnął się nagle. Drzewo zadrżało od podstawy aż po szczyt. Hart pomyślał już, że wygrał, ale korzeń zacisnął się mocniej i wciągnął jego nogę pod ziemię aż po kolano. Weteran stęknął z bólu i przerażenia. Opuścił nisko rękę, tnąc i rąbiąc. Wtem ból przeszył też jego drugą nogę. Ją również korzenie wciągały w głąb. Oszałały ze strachu Hart wpychał oba noże tak głęboko w ziemię, jak tylko się odważył. Jednakże gdy tylko przeciął jeden korzeń, natychmiast pojawiał się inny. Cienkie witki chwytaly go też za ramiona. Jeden policzek hełmu miał przyciśnięty do ziemi i wiedział, że za chwilę korzeń owinie się wokół jego szyi. Widział mroczną sylwetkę drzewa na tle nieba. Przyjrzał się mu uważnie. Było cienkie, skarłowaciałe i sękate, ledwie dorównywało mu wysokością, a pień miało nie grubszy niż jego nadgarstek. Na pewno mam cię w zasięgu, ty skurwysynu, pomyślał z uśmiechem. Ryknął z wściekłości, wyszarpnął ręce z ziemi i skoczył przed siebie.

* * *

Kiska mogła leżeć ogłuszona przez pewien czas. Nie pamiętała tego. W pewnej chwili po prostu uświadomiła sobie, że coś się pojawiło na granicy jej pola widzenia. Usłyszała znajomy głos.

– Bardzo mnie dziwi, że cię tu widzę.

Usunęła mruganiem z oczu łyzy bólu i spojrzała prosto w pooraną brudami, wykrzywioną w grymasie szaleństwa twarz Olega Vikata. Jego cień wydawał się tutaj całkiem materialny, gdziekolwiek mogła się

znajdować. Obok wznosił się mur z beładnie ułożonych granitowych i wapiennych bloków. To o niego uderzyła głową.

– Gdzie jesteśmy? – wyszeptała, krzywiąc się z bólu i pocierając za uchem.

Oleg wsunął rękę pod ramię dziewczyny, żeby pomóc jej wstać. Wskazał na drugą stronę murku.

– W oku cyklonu.

Kiska oparła z jękiem podbródek na niskiej barierce. Znajdowali się w jedynym w całym Malazie budynku, do którego nigdy nie odważyła się wejść. W starym gmachu, któremu nadano śmieszoną nazwę Domu Umarłych. Można to uważać za przesadę, ale nigdy nie widziała, żeby ktoś wchodził do środka albo stamtąd wychodził i ten właśnie fakt stał się dla niej usprawiedliwieniem unikania tego miejsca. W opuszczonym gmachu nie znajdzie nic ciekawego.

Byli na zapleczu Domu, pod jego tylnym, nierównym murkiem, który sięgał jej mniej więcej do pasa. Za nim wznosiły się cztery wysokie wzgórza przypominające sterty odpadków. Buchała z nich para, jakby niedawno je przekopano. Tu i ówdzie, bez ładu i składu, z ziemi wyrastały wypaczone drzewka o czarnych konarach. W jednym z rogów podwórza piętrzył się kurhan z granitowych płyt złożonych razem jak karty i porośniętych pokrywającymi cały teren pnączami. Jeśli zaś chodzi o sam Dom, jego okna były ciemne i puste, a jedyne drzwi prowadzące do środka od tyłu – wąskie wejście dla służby u podstawy schodów – zarosło zielskiem.

Nie ruszało się tu nic poza drżącymi konarami drzew. Zza budynku dobiegały odgłosy walki. Gęsta mgła przesłaniała widoczność, ale w pobliżu dziewczyna dostrzegła leżące pod murem trupy. Nigdzie nie było Corinn ani Lubbena. Gdzie się podziiali?

Oleg syknął cicho, ponownie przyciągając jej uwagę. Spoglądał ze złością na murek. Zgarbił się, lecz mięśnie miał napięte, jak wyginający grzbiet kot.

– O co chodzi? – wyszeptała Kiska, która nie dostrzegła nic ciekawego.

– Nie widzisz ich?

– Nie. Kogo? Gdzie?

Zapytała „kogo”, choć słysząc jad brzmiący w głosie Olega, mogła się tego domyślić.

– Między dwoma najdalszymi wzgórkami. Pnącza się poruszają. Widzisz?

Kiska wyteńczyła wzrok i po chwili zauważyła, że listowie zadrżało lekko, rozciągnęło się, jakby śledziło czyjś ruch. Potem liście poczerniały, buchnął z nich dym i obróciły się w popiół.

– Nieeee! – jęknął Oleg, wspierając podbródek na pięściach. – Ucieknie! – Spojrzał na Kiskę. – Byłaś w Cieniu. Spotkałaś Pradawnego?

– Pradawnego?

– Tego, który strzeże granic – syknął poirytowany mężczyzna.

– Ach, jego. Tak, spotkałam.

– I co ci powiedział? Gdzie jest? Czy zamierza podjąć jakieś kroki?

Kiska jęknęła w duchu.

– Nie może nic zrobić. To znaczy nie chce. Przykro mi.

Oleg wyciągnął widmowe ręce, sięgając do gardła dziewczyny, ale cofnął je w ostatnim momencie. Odsunęła się od niego trwożnie. Rozejrzał się wokół jak szaleniec, mamrocząc coś pod nosem, po czym otarł dłonie o mur szybkimi, lecz niepewnymi ruchami, jakby dotykał czegoś gorącego, co parzyło go w palce.

– Nic nie szkodzi – oznajmił płaczącym głosem. – Postaram się, by nie ominęła go wieczna niewola. Dom musi należeć do mnie!

Energia grot rozbłysła nagle, oślepiając dziewczynę. Gdy Kiska otworzyła oczy, Oleg był już po drugiej stronie muru. Laźł na czworakach. Pnącza próbowały go pochwycić, ale również czerniały i obracały się w popiół.

Wkrótce dotarł do miejsca, gdzie przed chwilą się poruszyły. Kiska usłyszała krzyk – wyzwania albo ostrzeżenia. Obok Olega pełził inny mężczyzna, ale nim zdążyła się mu przyjrzeć, moc eksplodowała między nimi dwoma złoto-fioletowym blaskiem, przewracając pobliskie drzewa i wzbijając pod niebo kłęby ziemi z pobliskiego wzgórza. Fala uderzeniowa zatrzęsała murkiem i przewróciła Kiskę na plecy. Dziewczyna podniosła się na kolana i spojrzała na drugą stronę muru, osłaniając oczy przed jasną luną. Oleg klęczał, a z jego dłoni wypływał węzowy strumień fioletoworóżowej energii, uderzający w plecy przeciwnika, który mimo to nie przestawał się czołgać w stronę Domu.

Nagle pojawiła się kolejna postać, poruszająca się zdumiewająco szybko. Była odziana w lachmany i przeraźliwie chuda, a jej wydłużone kończyny miały dziwne proporcje. Wypadła ze zniszczonego wzgórzka jak atakujący wąż i owinęła ramiona wokół uciekającego przed Olegiem mężczyzny.

Oleg krzyknął triumfalnie i zatrzymał bijący z jego rąk strumień energii. Zapadła cisza. Kisce dzwoniło w uszach. Pojmany wyrwał się i darł pazurami ziemię, ale istota niepowstrzymanie ciągnęła go w stronę pagórka. Teraz dziewczyna widziała go wyraźniej: niski, siwo-włosy Dalhończyk w brudnym, podartym ubraniu. Kellanved – albo to, co z niego zostało – pojmany na krótko przed dotarciem do celu. Wbijał bezsilnie palce w glebę. Z jego ust wyrwało się przeraźliwe wycie. Klęczący na zoranej, buchającej parą ziemi Oleg chichotał radośnie.

Wtem Kiska ujrziała kolejną sylwetkę. Wstrzymała oddech. Tancerz! Chwiał się na nogach, zgubił gdzieś płaszcz, a jego ciemna koszula zwiślała w strzępach. Z tułowia i ramion spływała mu krew, ściekając na zrytą ziemię. Nim dziewczyna zdążyła ostrzec Olega krzykiem, złapał go jak szmacianą lalkę i cisnął nim prosto w dwie szarpiące się ze sobą postacie. Błada, szkieletowata istota puściła Kellanveda, by schwytać nowy łup. Zaczęła się walka. Oleg wrzeszczał, ale jego przeciwnik zachowywał się cicho... niepokojąco cicho. Tancerz podszedł bliżej i odciągnął towarzysza na bok. Obaj dowlekli się do Domu i osunęli na

ziemię, opierając się o jego tylną ścianę. Oleg wrzeszczał i wymachiwał kończynami, rozsypując ziemię, ale istota ciągnęła go powoli w stronę pagórka.

Znikał w nim stopniowo. Ale przecież on nie żyje, pomyślała Kiska. To duch. Jak to było możliwe? Być może jednak w tym miejscu nie było różnicy między duchami a istotami z krwi i kości. Dom brał w niewolę wszystkich, którzy weszli na jego teren.

Po chwili ochryple błagania Olega umilkły. Kiska spojrzała na pagórek. Ruszała się już tylko ziemia, osiadająca lekko po boku. Tymczasem Kellanved i Tancerz szarpali się z wąskimi, wypaczonymi drzwiczkami na zapleczu. Wreszcie Tancerz zdołał je otworzyć i wpadł do środka tak szybko, jakby coś go tam wciągnęło. Kellanved czekał. Odwrócił się do Kiski, jakby wyczuł jej spojrzenie. Chciała się schować za murkiem, ale coś ją skłoniło, żeby stanąć i się mu pokazać. Kellanved rozciągnął usta w znużonym uśmiešku, jakby go to mogło rozbawić, gdyby tylko miał na to siłę. Nagle poczuła, że coś wzywa ją do przejścia przez murek. Wystarczyło, by Kellanved uniósł podbródek, i już musiała do niego podejść. Postawiła stopę na szczycie murku i przeszył ją bolesny impuls płynącej z kamienia energii. Dziewczyna pisnęła z bólu i zatoczyła się do tyłu.

Z podwórza dobiegło gniewne przekleństwo. Potem coś uderzyło o mur z siłą pięści olbrzyma. Na plecy Kiski posypał się grad okruchów. Ogarnęły ją płomienie. Podskoczyła, uderzając dłońmi o włosy i ubranie. Za jej plecami rozbrzmiewał drwiący śmiech, który ucichł nagle, gdy drzwi się zatrzasnęły.

Kiska rzuciła się do ucieczki. Pragnęła biec bez końca przez mgłę, jak najdalej od tych wszystkich okropności, ale w pewnej chwili drogę zastąpiła jej szara postać. Dziewczyna krzyknęła, przeświadczona, że przyszedł po nią Tancerz. Jednakże zjawa przemknęła obok niej jak ranne zwierzę i zważyła się z westchnieniem pod mur. Leżała tam, drżąc i łkając. Kiska wyciągnęła rękę, czując dziwne współczucie, ale jej uwagę odciągnęły nagle głośny ryk i szcęk stali. Przy wejściu zakuty

w zbroję olbrzym toczył bój z uzbrojonym w topór mężczyzną, którego wspomagał wąty staruszek. Od przepływającej między walczącymi energii grot ze spalonej ziemi buchał dym.

Rozległ się śmiech. Dziewczyna spojrzała na kultystę. To był młody mężczyzna i mimo że chichotał pod nosem, jego jasne oczy wypełniała rozpacza. Otarł usta, rozmazując krew na twarzy.

– Skończyło się – oznajmił, krzywiąc się z bólu. – Wygraliśmy czy przegraliśmy, jest po wszystkim.

Wypuścił sztylet z okrwawionej dłoni. Głowa opadła mu do tyłu.

Kiska wbiła w niego spojrzenie.

– Po wszystkim? – powtórzyła.

Skinął głową zobojeźniały z wyczerpania. Dziewczyna chciała go zapytać, po czym właściwie jest, ale cofnęła się trwożnie, gdy zza murku wysunęła się brudna, zakuta w pancerną rękawicę dłoń. Ręka złapała młodzieńca za szyję i przeciągnęła na drugą stronę. Nie sprawiał wrażenia zaskoczonego. Zniknął, nie stawiając oporu.

Rękawica pojawiła się ponownie, drapiąc mur. Za nią wyłoniły się głowa i ramiona, ta pierwsza skryta w hełmie z osłonami policzków i klepsydrowym nakarczkiem. Istota wciągnęła powietrze. Oddychała z wyraźnym wysiłkiem, bełkocząc coś. W cieniu hełmu gorzały pełne szaleństwa oczy – właściwie same białka. Kiska cofnęła się. Widziała już tę istotę – albo drugą podobną – w Twierdzy Mocka. Może tamta stąd właśnie uciekła. Stworzenie przetoczyło się przez murek i runęło na ziemię z brzękiem zbroi. Odpadały od niego grudki ziemi. To znaczy, że wydostało się z grobu, pomyślała Kiska. O dziwo jednak, w drugiej ręce trzymało ułamaną gałąź.

Leżało pod murem, a pierś mu falowała. Falowała? Czy to znaczyło, że jest żywe? Kiska zastanawiała się, czy pchnąć istotę nożem, dopóki jest bezradna, czy może uciec. Nim zdążyła podjąć decyzję, stwór poczołgał się przed siebie, oddychając chrapliwie. Dziewczyna uświadomiła sobie nagle, że to jest jedyny słyszalny odgłos. Poza tym wszędzie panowała cisza. W uszach jej dzwoniło pod nieobecność szczęku broni

i eksplozji magii grot. Okrążyła Dom, zmierzając ku frontowemu wejściu. Człowiek z toporem przyglądał się spokojnie olbrzymiemu przeciwnikowi. Nagle Kiska go poznała. To był pijak z gospody Kojca! Jak to możliwe? Czy dzisiejszej nocy wszystkich ogarnął obłęd? Ramiona olbrzyma zwisały u boków. Nie sprawiał wrażenia pokonanego ani ranego. Po prostu czekał cierpliwie. Staruszek zawołał coś do niego w jakimś języku pełnym śpiewnie brzmiących samogłosek. Po chwili istota odpowiedziała mu w tej samej mowie.

Czy to już był koniec walk na dziś? Kiska rozejrzała się. Podwórze Domu przypominało pole bitwy pełne trupów, ale przecież zawsze panowała tu podobna atmosfera. Nie dostrzegła nikogo więcej. Widoczność nadal przesłaniały opary mgły, anonimowe jak zwykle. Dziewczyna zastanawiała się, czy nad miastem wstał już świt. Przemarżała do szpiku kości. Na spółkę z mgłą i ciemnością sprawiało to, że czuła się jak zimą, gdy rankiem łodzie rybackie pokrywała warstwa szronu.

Na dole, naprzeciwko bramy, to pojawiały się, to znikwały jakieś widmowe sylwetki. Kolejne walki? Ostatnia, gwałtowna wymiana ciosów na pożegnanie? Nic jednak nie słyszała. Być może to tylko poruszały się mgły. Tak czy inaczej, stojąc w tym miejscu, czuła się odsłonięta. Z mlecznych oparów wynurzyły się jakieś postacie. Wydawały się znajome i gdy tylko Kiska upewniła się, kogo widzi, skrzyżowała ręce na piersiach, uśmiechając się szeroko.

Tayschrenn i Hattar wyłonili się z mgły, wspinając się na łagodne wzniesienie. Strażnik podtrzymał maga, który uwiesił się na nim ciężko. Czyżby był ranny? Nie widziała żadnych obrażeń. Wydawał się tylko pobladły i wyczerpany. Pokręcił głową na jej widok. Hattar skrzywił się wściekle, jakby zobaczył, że kot, którego niedawno wrzucił do rzeki, znowu do niego wrócił.

Kiska starała się ukryć ogromną ulgę, jaką poczuła na widok wielkiego maga. A jeszcze przed chwilą była tak pewna siebie. Poszła za Tayschrennem do samej Twierdzy Mocka. Teraz wydawało się jej, że to dawno minione czasy.

- Nic ci się nie stało?! - zawołała. - Co tu robisz?
- Jak tu trafiłaś? - zapytał słabym głosem Tayschrenn.
- Przyprowadziła mnie znajoma.
- Twoja znajoma wykazała się brakiem rozsądku.

Pragnęła opowiedzieć mu o wszystkim, co widziała, ale jeśli dzisiaj noc czegoś ją nauczyła, to z pewnością tego, że nie należy szastać informacjami. Podeszła bliżej i poczuła, że od wielkiego maga emanuje nieprzyjemny chłód przypominający aurę zimy. Z jego ramion unosiły się smużki pary.

- Co tam się dzieje?

Tayschrenn wahał się przez chwilę.

- Gburka już od dawna podejrzewała, że renegaci z jej organizacji przyłączyli się do kultu Cienia - wyjaśnił wreszcie z westchnieniem. - Dlatego postanowiła zrobić porządki.

Kiska prychnęła pogardliwie.

- Porządki? Skąd ta delikatność? Szpony chcą zlikwidować kult. To ich rywale, prawda?

- Coś w tym rodzaju. Dawni rywale.

- No cóż, i tak już jest za późno.

Na zmęczonej twarzy Tayschrenna pojawił się nagle wyraz niepokoju.

- Dlaczego?

- Dlatego że widziałam dwóch ludzi, którzy weszli do Domu tylnymi drzwiami, podczas gdy kultysty poświęcali życie, by skłonić szpony do bezużytecznego pościgu. Dwóch ludzi, którzy według Gburki powinni nie żyć.

Wielki mag skrzywił się, jakby jej słowa sprawiły mu fizyczny ból. Potrząsnął głową.

- Nie. Na pewno się mylisz.

- Mylę się? Widziałam ich!

Mag przełknął gniewną odpowiedź i zaczerpnął głęboko tchu, żeby się uspokoić.

- Kiska... - zaczął, wypowiadając słowa z naciskiem - ...na pewno się mylisz, ponieważ oboje z Gburką zgodziliśmy się, że ci dwaj nie żyją. Rozumiesz?

Dziewczyna po raz trzeci tej nocy pragnęła się sprzeciwić, powiedzieć „ale”, i po raz trzeci zrodziło się w niej podejrzenie, że zachowanie milczenia może uratować jej życie. Skinęła tylko głową, zaciskając mocno usta. Hattar powtórzył z emfazą jej gest na znak ostrzeżenia.

Tayschrenn machnął ręką, jakby chciał powiedzieć, że to wszystko już przeszłość.

- Idę teraz sprawdzić, czy Strażnik zechce ze mną rozmawiać, a potem wrócimy do Twierdzy Mocka. Powinnaś pójść z nami.

Kiska rozejrzała się. Nadal nigdzie nie było widać Corinn ani Lub-bena. Zgodziła się. Nie miała pojęcia, jak inaczej mogłaby się wydostać z tej kabały.

Tayschrenn wyprostował się, zostawił Hattara za sobą i ruszył niepewnym krokiem w stronę bramy. Zatrzymał się w wyrażającej szacunek odległości od staruszka i powiedział coś do niego. Dziewczyna stała zbyt daleko, by mogła wiele usłyszeć. Mężczyzna odpowiedział krótko, nie odrywając wzroku od zakutego w zbroję olbrzymia, który stał tuż za otwartą bramą jak posąg odlany z brązu. Przerwał atak, ale nie sprawiał wrażenia pokonanego. W odległości kilku kroków czekał mężczyzna z toporem. Choć był wysoki, sięgał olbrzymowi tylko do ramion. Za to prawie mu dorównywał szerokością w barach. Wyglądał jak tępo zakończona kamienna ostroga. Jak dotąd okazał się godnym przeciwnikiem dla monstrem.

Mag i staruszek wymienili kilka słów. Bardzo różnili się wyglądem, ale Kisce z jakichś powodów wydawali się braćmi. Czyżby to był koniec starcia? Kulturalna rozmowa pośród stosów ciał, potem ciepły kominek i jutro kolejna misja? A co będzie z nią? Czy będzie mogła wrócić do szpiegowania i drobnych kradzieży, wiedząc to, czego się dziś dowie-

działa? Poznawszy smak tego, co mogłoby się wydarzyć? Przecież już przedtem wyspa wydawała się jej ciasna i zaściankowa!

Hattar zeszywniał. Z jego ust wyrwał się ostrzegawczy krzyk. Kiska ujrzała wysokiego kultystę, który pojawił się tuż za strażnikiem z toporem. Ciałem obrońcy bramy targnął spazm. Potężnie zbudowany mężczyzna przewrócił się na bok. Wyglądało na to, że zginął na miejscu.

Olbrzym rzucił się do kolejnego szturmu. Energie grot eksplodowały zasłoną karminowych i srebrzystych płomieni. Ziemia się zatrzęsła, zwalając Kiskę z nóg. Monstrum zaatakowało z rykiem barierę. Staruszek uniósł ręce, zbierając wszystkie siły.

Kiska odczołgała się, osłaniając jedną ręką twarz przed gorejącymi płomieniami. Gdy ramię olbrzyma przebiło się przez zasłonę, Tayschrenn przyłączył się do walki. Naga moc tańczyła na stoku, syjąc błyskawicami we wszystkie strony. Dziewczyna spróbowała się podnieść, ale kolejny wstrząs znowu ją przewrócił. Usłyszała wściekłe warknięcie Hattara. Seti popędził ku bramie i zniknął w łunie rozżarzonej energii.

Po chwili wyłonił się z gorejącego pieca, wlokąc za sobą Tayschrenna. Zwalił maga na ziemię obok Kiski. Seti stracił włosy na połowie głowy, a z policzka i ucha buchał mu dym. Prawa ręka zwisała bezwładnie u jego boku. Osmalona kończyzna była jedną wielką sączącą się raną.

Na ciele i członkach wielkiego maga nie było widać żadnych obrażeń. Tylko z jego nosa i uszu sączyła się krew, a białka oczu nabrały różowej barwy.

– Musimy go zabrać do uzdrowiciela! – zawołał Hattar. Gapił się na Kiskę jak szalenciec i zdumiona dziewczyna dostrzegła w jego oczach przerażenie. – Pomóż mi!

– Ale co z demonem? Czy ucieknie?

– Jeśli tak, to tylko on będzie mógł go powstrzymać! Podnieś go!

– Ale...

– Podnieś go!

Z gardła Hattara wyrwało się łkanie. Seti sięgnął po jeden z noży, które miał u pasa.

Kiska dźwignęła maga i zarzuciła sobie jego ramiona na szyję, wspierając ciężar ciała na plecach. Przy pomocy Hattara splotła ze sobą jego ramiona i powlokła się naprzód, ciągnąc za sobą nogi rannego. Seti popchnął ją w dół stoku. Potykała się, przy każdym kroku bolały ją kolana. Cały czas obawiała się, że wpadnie na coś we mgle. Hattar dogonił ją i podtrzymał zdrową ręką Tayschrenna. Przez pewien czas truchotali tak obok siebie. Potem człowiek z równin ją wyprzedził.

– Idź za mną – wymamrotał i pokuśtykał naprzód.

Krew skapywała z jego zmasakrowanej ręki jak woda. Kiska podążyła za nim tak szybko, jak tylko mogła, choć dźwigany na plecach ciężar w każdej chwili mógł ją przeważać.

Gdy weszła na mokry bruk, omal się nie przewróciła. Seti stał z boku, opierając się o majaczący we mgle ceglany mur. Przyciskał do niego głowę, a oczy miał zamknięte. W oddali mgła rzedniała, rozpadała się na pasma. Dziewczyna wiedziała już, gdzie się znajdują.

– Podobno znasz miasto – odezwał się Hattar.

– Tak.

– Gdzie jest najbliższy medyk albo uzdrowiciel? – Oblizał wargi i rozchylił z wysiłkiem powieki. Przedtem jego twarz miała kolor garbowanej skóry, ale teraz zrobiła się blada jak mgła. – Gdzie?

Kiska znowu się rozejrzała. Znajdowali się w starym mieście, nie oddaliwszy się zbyt od Domu Umarłych. Zastanawiała się jeszcze przez chwilę, po czym wskazała podbródkiem w lewo.

– Tędy.

* * *

Hart czuł złowrogą satysfakcję na myśl, że ani razu nie stracił przytomności. Nawet wtedy, gdy drzewo do niego zaszeptało.

Niewielu mogłoby mieć do niego pretensję, gdyby wówczas zemdłał. Drzewo zapowiedziało skrzypiącym głosem, że zapanuje korzenie w głąb jego gardła, by karmić się płynącą z serca krwią, albo będzie rozdzierało jego duszę przez całą wieczność i rośnie coraz wyższe i silniejsze dzięki czerpanej z niego sile.

Ale pokonał je! Wyrwał i roztrzaskał! Nie załamał się. Nigdy się nie załamywał. Wypalił się w furii ostatnich taliańskich kampanii, a potem tych toczonych w Falarze i Siedmiu Miastach. Dassem wybrał go spośród zwyczajnych żołnierzy, zawsze żartował, że zrobił to z uwagi na jego osli upór. Służył w Mieczu z górą dziesięć lat. Teraz jednak jego towarzysze zginęli, a on został sam. Nasada i Dassem zniknęli bez śladu. Czyżby tak witał go Kaptur?

Czyjeś ręce złapały go i odwróciły na plecy. Ujrzał nad sobą wytatuowane oblicze kobiety. Corinn. Nie spodobało mu się to, jak przygryzła wargę na jego widok.

– I jak wyglądam? – wychrypiał.

Zaczerpnęła tchu zdumiona tym, że był zdolny przemówić.

– Aż tak źle, he?

– Kapturze. Dasz radę wstać?

– Nie wiem. Dawno nie próbowałem.

Spróbował się rozeźmiać, ale tylko splunął krwią i ziemią.

Pojawiła się kolejna twarz. Lubben spoglądał na niego z ukosa z niepokojem w oczach.

– Wyglądasz jak odrzucony kandydat na Imassa.

– Pomóż mi wstać, a skopię ci za to tyłek.

Złapali go za ręce i podźwignęli we dwoje.

– Później – mruknął Lubben. – Na razie musimy stąd zniknąć. Szpony i szarzy ganiają się w kółko jak najęci, a my tymczasem wymkniemy się tylnym wyjściem, tak?

Hart zauważył, że garbus przyniósł jego miecze. Zaciśnął mocno zęby, gdy do nóg wracało mu boleśnie życie. Corinn patrzyła na niego,

jakby był ze szkła i w każdej chwili mógł się rozprysnąć na kawałeczki.

Spod bramy dobiegł krzyk. Lubben odwrócił się, stękając z zaskoczenia. Nagła detonacja wstrząsnęła odrętwiałymi nogami Harta, przewracając go na ziemię. Eksplozja przypominała mu wybuchy alchemicznych pocisków Moranthów. Ziemia podskoczyła, a gorący podmuch oparzył mu płuca. Przetoczył się, poprawiając hełm. Karmazynowe i srebrzyste rozbłyski otuliły bramę na podobieństwo ogromnego wodospadu. Wewnątrz rysowała się mroczna sylwetka niezaprzeszającego walki Jaghuta.

Hart spojrzał na Lubbena.

– Czy jest aż tak źle, jak mi się zdaje?! – zawołał, przekrzykując detonacje.

Odźwierny skinął głową, krzywiąc się.

– Jeden z szarych załatwił tego gościa z toporem. Staruszek i jeszcze jeden facet chyba też zginęli. – Podczołgał się do Harta i złapał go za ramię. – Za chwilę zjawi się tu sam Kaptur. Znikajmy stąd!

Weteran przyjął od Lubbena dwa miecze, ale potem strząsnął jego rękę.

– Nie. Ci dwaj mieli powód, żeby bronić bramy. Nie można pozwolić, by ten stwór się wydostał.

– Cholera, Hart, to nie twoja walka! Zostaw to szponom!

Weteran wybuchnął śmiechem.

– Są na to za sprytni. Już zdążyli uciec.

Corinn przypadła do ziemi obok nich.

– Na co czekacie? Zmiatajmy stąd!

– Spójrz – powiedział Hart, wyciągając rękę.

Z kaskady oślepiających rozbłysków wyczołgała się osmalona, dymiąca postać. Weteran wstał i ruszył chwiejnie w jej stronę. Gdy już postawił kilka kroków, Lubben podszedł do niego, żeby go powstrzymać. Kiedy podeszli bliżej, garbus zagwizdał na widok osmalonego

trupa. Energia spaliła jego ciało. Nie miał dłoni, a z przedramion zostały mu tylko białe, spękane kości.

Hart odwrócił twarz od dymu i smrodu zwęglonego ciała.

- Faro - wyszeptał.

Pod bramą znowu zahuczał grom. Bariera mocy zamigotała. Przebiegły po niej fale, jak po powierzchni stawu, do którego wpadł kamyk. Potem odzyskała ciągłość.

- Żołnierzu.

Syczący głos dobiegał z pozbawionych warg ust trupa.

- Na łaskę Soliel!

Lubben zakrztusił się i oddalił chwiejnym krokiem, dręczony suchymi mdłościami.

- Żołnierzu...

Hart uklęknął przy osmalonym trupie.

- Wejdz w lukę, żołnierzu - odezwał się martwy głos, jakby mówiła sama ziemia. - Przejmij brzemię.

- A co z tym ogniem?

Straszliwa postać uniosła zwęglone przedramię w błagalnym geście.

- Przejmij rolę strażnika!

Hart poczuł się doszczętnie wyczerpany. Wsparł dłonie na kolanach. Dlaczego wszystko zawsze spadało na niego? Czy nie dosyć już zrobił?

- Zgadzam się - rzekł, jakby to była jedyna odpowiedź, do której był zdolny, jakby tylko to kazało mu przybyć na wyspę.

Spojrzał na tańczącą zasłonę energii i potarł podbródek grzbietem rękawicy.

- Co z tymi płomieniami?

Odpowiedź nie nadeszła. Weteran spuścił wzrok. Trup leżał nieruchomo. Hart wyczuwał, że to, co przywróciło staruszkę do życia, już uleciało. W gardle zaschło mu ze strachu. Do czego się przed chwilą zobowiązał?

Corinn podeszła do trupa i przykucnęła obok niego.

- To był ten staruszek? - zapytała.

Hart skinął głową, spoglądając na pulsującą burzę ognia. Wydało mu się, że widzi za nią jakieś postacie znikające we mgle.

- To już nie ma znaczenia.

Poczuł jej dłoń na swoim barku.

- Musimy stąd iść. Natychmiast.

- Corinn, czy dałabyś radę osłonić mnie przed tymi płomieniami?

- Co?

- Zapewnić mi osłonę.

- Oszalałeś?

- Dasz radę to zrobić!

Oderwała od niego wzrok i spojrzała na bramę. Potem znowu popatrzyła na Harta. Weteran zauważył coś w jej oczach - błysk pasji, woli walki - ale strach zaraz to zgasił. Potrząsnęła głową.

- Zapomnij o tym.

Zerknął na jej kamizelkę, na miejsce, gdzie powinno być przypięte godło z mostem i płomieniami.

Zauważyła jego spojrzenie i zaczerwieniła się.

- Niech cię szlag! Jak śmiesz?!

Patrzył na nią, czekając cierpliwie. Westchnęła, raz jeszcze zerkając na barierę.

- Może przez krótką chwilę.

Skinął głową, zaczerpnął głęboko tchu i ruszył w stronę bramy.

- Tylko na uderzenie serca!

Hart nie zwalniał.

- To wystarczy - mruknął. - Zapewne i tak dłużej nie wytrzymam.

Zatrzymał się tuż przed barierą i osłonił oczy. Po drugiej stronie majaczyła niewyraźna postać Jaghuta. Energetyczna zasłona wydawała się cieńsza i bardziej przejrzysta niż przed chwilą. Hart chciałby wiedzieć, ile czasu jeszcze zostało, nim się rozproszy, ale poproszono go, żeby wszedł w lukę, tak jak zrobił to dla Dassema. Nie mógł odmówić.

U jego boku pojawił się Lubben. Nawet nie spojrzął na Harta, by się przekonać, co ten o tym sądzi. Weteran zerknął na Corinn, która uniosła ręce.

– Na krótką chwilę – wyszeptała.

Hart skinął głową, poprawił rękawice i rozprostował ramiona. Skupił się, by uspokoić oddech i gwałtowne bicie serca.

– Ruszamy szybko! – krzyknął do Lubbena. – Ty dołem, ja górą.

Garbus skinął krótko głową, unosząc topór. Hart poprawił hełm.

– Teraz! – zawołała Corinn.

Weteran skoczył w tańczące płomienie. Poczuł, że włosy mu się tłą, a zbroja rozgrzewa, jak wrzucona do pieca. Jemu samemu nic się jednak nie stało, mimo że wokół tańczyła gwałtowna energia. Ścieżka dymiała i syczała pod jego stopami. Wyczuwał bliskość Lubbena.

Po trzech krokach znalazł się obok Jaghuta. Istota zapłaciła za próbę ucieczki z Domu niemal równie wysoką cenę, jak Faro. Na ramionach i piersi z wykutej z brązu zbroi buchał dym. Piękne ozdoby roztopiły się i poczerniały. Miecze jednak lśniły jeszcze jaśniej niż przedtem, jak skałpane w najgorętszym ogniu.

Hart rzucił się do ataku, tnąc w górę oboma mieczami. Jeden z nich odbił się od płyty osłaniającej ramię, a potem uderzył w hełm, Lubben zamachnął się nisko i pchnął kolcem topora.

Jaghut odwrócił się, unikając uderzenia, i ciął w dół. Cios trafił w bark garbusa i ześliznął się po jego plecach. Lubben padł na ziemię, odtaczając się na bok.

Zmarnowali pierwszą i najlepszą szansę. W ułamku uderzenia serca Hart opracował nową taktykę. Wrzasnął przeraźliwie i rzucił się do ataku w – miał nadzieję niezłej – imitacji berserkerskiej furii. Po dwóch wymianach ciosów Jaghut uwierzył w jej autentyczność. Cofnął się, czekając, aż ślepy szal przeciwnika stworzy mu szansę. Hart opanował przedsiónek bramy. Bariera mocy zamknęła się za nim jak zatrzaśnięte drzwi.

Weteran przerwał atak. Wytrącony z rytmu przeciwnik zawahał się. W tym samym momencie sukces Harta nagrodził nagły przyływ sił wnikających z ziemi do jego ciała. Przygniatający ciężar zmęczenia i bólu zniknął jak warstwa brudu w zimnym, orzeźwiająjącym strumieniu. Odzyskał wewnętrzny spokój, który przeprowadził go przez chaos minionych bitew. Pozwolił sobie na wąski, drapieźny uśmiech.

Jaghut uderzył mieczem o miecz i znowu ruszył przed siebie. Hart nie widział jego twarzy, wyobraził sobie jednak, że istota ponownie oceniła sytuację i postanowiła posiekać go na plasterki za to, że ośmielił się stanąć jej na drodze. Olbrzym runął do ataku z impetem sztormu. Hart stanął w bramie, pochylając się nisko pod ciosami jak głaz, którego nie rozbijają dźwięczące miecze. Parował uderzenia tak ostrożnie, jak tylko mógł, chcąc oszczędzać swą znacznie lżejszą broń. Jaghut stwarzał mu szanse, ale on je ignorował, nie chcąc zmienić korzystnej pozycji.

Szybko uświadomił sobie, że nie ma do czynienia ze śmiercionośnym artyzmem szermierzy, takich jak Surgen czy Dassem, których ruchów nie sposób było przewidzieć, gdyż nikt nie potrafił wytrzymać w walce z nimi wystarczająco długo, żeby rozgryźć ich styl. To była czysta, wcielona siła, przypominająca niepowstrzymany napór przyboju. Miecze Jaghuta uderzały w kamienie po bokach, żłobiły bruzdy w ziemi. Hart nigdy by nie uwierzył, że zdoła sparować podobne ciosy, coś jednak dodawało mu sił, coś, co napływało z ziemi. Czyżby to był prawdziwy patronat? Jeśli tak, to komu, czy może czemu, teraz służył?

Styl ataku zmienił się nagle, przerodził w miarowy napór. Istota nie liczyła już na szybki, rozstrzygający cios. Postanowiła zgnieść przeciwnika, zapewne sądząc, że choć potrwa to dłużej, zwycięstwo będzie bardziej pewne. Hart musiał się zgodzić z tą oceną. Wyczerpał świeży zapas sił, który otrzymał niczym błogosławieństwo z chwilą zatrzaśnięcia bramy. Pozostał mu jedynie ślepy upór, a męczył się już i tracił szybkość. Miecze przesywały powietrze coraz bliżej niego. I nagle się zatrzymały.

Weteran wyprostował się zaskoczony.

Jaghut cofnął się o krok. Hart zaryzykował i obejrzał się. Został sam. Wszyscy zniknęli. Otoczenie również. Zewsząd otaczały go łyse, zaokrąglone od erozji pagórki. A Dom nie był już domem. W jego miejscu wznosiło się skupisko megalitycznych bloków przypominające zwalony kurhan. Nawet drzewa i wzgórza na dziedzińcu gdzieś się ulotniły. Jaghut przesunął się w bok i unióś zasłonę hełmu, spoglądając na południowy zachód.

Na bezchmurnym nocnym niebie tańczyły migotliwe, tęczowe światła. Ciemny firmament zdobiły dziwnie zniekształcone gwiazdozbiory. Na horyzoncie lśniła niebieskozielona luna. Hart widział kiedyś podobną na morzu, gdy jego statek przepływał blisko pokrytych skorupą lodu Gór Fennów. Zauważył, że jego oddech zamienia się w buchającą spod hełmu parę. W kończyny wnikał mu straszliwy ziąb. Co to było za miejsce, na mądrość T'riss?

Jaghut zwrócił hełm w jego stronę, wskazując mieczem na południe.

– Przegrali – oznajmił, mówiąc po taliańsku bez śladu akcentu.

– Kto przegrał? – zapytał Hart, zdumiony, że istota chce z nim rozmawiać.

– Nigdy nie polegaj na niepewnych sojusznikach, człowieku – ciągnął Jaghut. – Zawsze się na nich zawiedziesz.

Hart powtórzył sobie, że nie wolno opuszczać gardy. Gra zmieniała charakter, być może stała się jeszcze bardziej niebezpieczna. Słyszał wystarczająco wiele legend i opowieści o Jaghutach, o ich subtelnych argumentach i zatrutych darach. Fizycznie czuł się silny. Moc, na służbę której wstąpił, uznała go za naczynie wystarczająco potężne, by mogło się oprzeć atakom istoty. Być może Jaghut również o tym wiedział i właśnie dlatego postanowił przenieść się tutaj. Zmiana strategii. Czuł, że moc spojżenia istoty odpycha go jak dłoń olbrzyma.

– Wiesz, kim jestem, człowieku?

– Nie – zdołał wykrztusić Hart.

– Jestem Jhenna. Znasz to imię?

Jhenna? A więc przez cały ten czas walczył z kobietą?

– Nie.

– Naprawdę? – Jaghutka potrząsnęła głową. – Jakże głęboko pograżyliście się w ciemnocie. Byłam ongiś jedną z nauczycieli waszego rodzaju. To my podnieśliśmy was z błota. Wiedziałeś o tym?

Hart zaczął uderzać zaciśniętymi pięściami w boki, żeby się rozgrzać.

– Nie.

– Byliśmy na świecie wielką potęgą, gdy wasi przodkowie odziewali się jeszcze w skóry i wegetowali we własnym plugastwie. Daliśmy wam ogień! Ochranialiśmy was przed K'Chain!

Hart wzruszył ramionami. Nie był uczynnym, tylko żołnierzem.

– Chcę, żebyś podał swoją cenę, człowieku.

– Słucham?

– Czego pragniesz? Wymień cokolwiek. Wystarczy, że zejdziesz mi z drogi. W waszej epoce nic na świecie nie leży poza moim zasięgiem. Czy pożądasz władzy? Stworzę dla ciebie królestwo wielkie jak kontynent. Mocy? Nauczę cię tajemnic, o których do cna zapomnieli użytkownicy magii waszego wieku. Bogactw? Wiem, gdzie są ukryte skarby, o jakich ci się nie śniło. Nieśmiertelności? Znam sposoby, by uodpornić twe ciało na upływ czasu. Zejdź mi z drogi, a otrzymasz wszystko, czego zapragniesz. I co ty na to?

Hart prychnął ze wzgardą. Niektóre rzeczy nigdy się nie zmieniają. Czuł się tak, jakby stary potwór stał przed nim osobiście, proponując mu Odprysk Księżyca. Pamiętał, jak rada szlachty z Quon Tali wyszła na zawarcie umowy z Kellanvedem. Wszystkich aresztowano i ścięto. Istniało też pradawne powiedzenie na określenie oszustwa i podstępu: „paktowanie z Jaghutem”. Stał w postawie bojowej i naprężył mięśnie.

– Pragnę wepchnąć cię z powrotem do twojej dziury.

Jaghutka pokręciła głową, jakby się nad nim litowała.

– Widzę, że brak ci wyobraźni, by zrozumieć nieograniczone możliwości, które przed tobą stają. Rozczarowałeś mnie... ale nie zaskoczy-

leś. – Weteran spodziewał się wznowienia ataku, ale Jhenna nie ruszyła się z miejsca. Raz jeszcze wskazała mieczem na południe. – A stamtąd nadciąga kolejne rozczarowanie.

Hart pozwolił sobie na szybkie zerknięcie w tamtą stronę, cały czas uważając na Jhennę. Ktoś wspinał się powoli na nagi, kamienny stok, ktoś ranny albo kaleki. Weteran czekał, unosząc oba miecze.

– Czy niepokoi cię myśl o upływie czasu w tym miejscu? – odezwała się Jaghutka. – Jak wielka część nocy już minęła? A może czas w ogóle tu nie płynie? Czy twoja ograniczona wyobraźnia zaczęła zgłębiać ten kłopotliwy problem?

Szczerze mówiąc, nie zaczęła, ale Hart nie miał zamiaru wyznawać tego Jhennie. Co chciała mu powiedzieć? Czyżby sugerowała, że może go zatrzymać w tym tajemniczym miejscu na zawsze? Czy to było możliwe? Czy będzie musiał pełnić tu straż przez całą wieczność? Zaciśnął obleczone w sfatygowane rękawice dłonie na rękojeściach mieczy. Zauważył, że żelazne ogniwa rękawów jego kolczugi pokrywa szron.

Jhenna odwróciła się do niego bokiem.

– Przeniosłam cię do Omtose Phellack. To jest ojczysty dom mojego rodzaju. Nasza grotka, jak wy to zwiecie. Jest nami, a my jesteśmy nią. Noc koniunkcji przyznała mi przynajmniej tę małą łaskę: pozwoliła wrócić na chwilę do domu. – Zakuta w hełm głowa zwróciła się w stronę Harta. – Co ważniejsze dla ciebie, człowieku, czas, tak jak ty go rozumiesz, w tym miejscu nie upływa. Mogłabym cię tu trzymać cały wiek i gdy wróciłabym tam, skąd przybyłam, minęłaby tylko krótka chwila.

Zatknęła miecze za szarfę okalającą jej pas, po czym zdjęła hełm, trzymając go niedbale w ręku. W jej świetlistych oczach błyszczały niepojęte emocje, a z szerokich szczęk sterczały potężne kły, ale poza tym mogłaby niemal uchodzić za ludzką kobietę, tylko nienaturalnie duża: potężne wały nadoczołowe, szerokie kości policzkowe, pochyle czoło. Jej lwia grzywa była brudna i pozlepiana. W liczne warkoczyki – takie, jakie żołnierze zwą szczurzymi ogonami – powplatała sobie rzemyki oraz kawałki złotej nici.

– Zastanów się nad moją propozycją, człowieku. – Skrzyżowała długie ręce na piersiach. – Mamy czas.

Harta zaczęła ogarniać rozpacz. Czy będzie musiał stać tu z tym monstrum przez stulecia? Z pewnością z czasem przegra albo popadnie w obłąd. Niech Faro szczęście w czeluści K'rule! On by wiedział, jak się przeciwstawić takiej taktyce. Dlaczego go nie ostrzegł? I co miał teraz zrobić? Był tylko żołnierzem. Wydawało mu się, że minęła wieczność, nim Jhenna w końcu się odezwała.

– Jakie dary przynosisz, skradający się wędrowcze? – zapytała kogoś, kto stał za jego plecami.

Hart odwrócił się, by widzieć obie istoty jednocześnie. Ujrzał ze zdumieniem, że przybyszem jest to samo stworzenie, które uratowało go wcześniej – Chodzący po Krawędzi. Zmumifikowany martwiak przyciskał do piersi długi, owinięty w szmaty przedmiot, otoczony obłokami pary.

Chodzący po Krawędzi zatrzymał się tuż przed niskim murkiem i cisnął swe brzemię do środka. Przedmiot wytoczył się ze szmat. Para buchała z niego jak dym z palących się zielonych liści. Kiedy się rozproszyła, Hart ujrzał coś, co wyglądało jak różdżka wyrzeźbiona ze szlachetnego kamienia, kryształu usianego żyłkami barwy fioletu, jaskrawego błękitu i zdumiewająco intensywnej zieleni. Przedmiot ulatniał się na ich oczach i po chwili zniknął bez śladu.

– Przynoszę ci znak twojej kłęski, Jhenna. Atak Jeźdźców odparto. Podczas tej koniunkcji nie przyjdą ci z odsieczą. Członkowie kultu Cienia się wycofali. Co więcej, przybyłem tu, by nie pozwolić ci wejść do Cienia, gdybyś spróbowała wybrać tę trasę. Natomiast główną drogę blokuje ten żołnierz. Szybko zaczyna ci brakować opcji. Co więc uczynisz?

Olbrzymka spojrzała na Harta.

– Słyszałeś, człowieku? Wszystko zależy teraz od ciebie. Tylko ty stoisz mi na drodze. Z pewnością rozumiesz, że rozsądnie byłoby przyjąć moją ofertę. Czyż nie jest oczywiste, że zwyciężę w walce z tobą?

Hart uniósł miecze. Nie pamiętał, w której chwili je opuścił.

– Powiedziała, że może mnie tu trzymać całą wieczność. Czy to prawda? – zapytał Chodzącego po Krawędzi.

Istota znieruchomiała na chwilę.

– Półprawda – odparła wreszcie. – Cóż jednak znaczy czas dla takich jak my dwaj? Ja mogę zaczekać. Czas się dla mnie nie liczy.

Hart prychnął gniewnie.

– Ale ja nie mogę stać tu wiecznie! Nie rozumiem twoich słów. Czy to prawda, czy nie?

– Rozmawiasz z Jaghutką, człowieku. Koniunkcja jest jak zaćmienie łączące ze sobą królestwa. Ona również przemija. Czas Jhenny jest ograniczony.

Jaghutka roześmiała się wzgardliwie. Wyciągnęła rękę, wskazując istotę.

– Jemu chodzi tylko o własny interes, człowieku. Ja i on jesteśmy dawnymi wrogami i wie, że jeśli usuniesz się na bok, to jemu przypadnie zadanie obrony drogi. Będzie musiał wejść w lukę, a boi się zagłady. Jest tchórzem, który chce skorzystać na twoim poświęceniu. Nie marnuj życia bez potrzeby. Niech on zajmie twoje miejsce, tak jak powinien.

Hart spróbował chuchnąć na dłonie. Zaryzykował spojrzenie na Chodzącego po Krawędzi.

– Czy to prawda?

– Ponownie jaghucka półprawda. Rzeczywiście przybyłem tu, by uniemożliwić Jhennie odzyskanie wolności, stanąć jej na drodze, tak jak ty to robisz. Ale ja zabronię jej jedynie wejścia do Cienia. Wszystkie inne ścieżki będą przed nią otwarte, w tym również ta, która wiedzie do waszego świata.

– Oszustwo! – wrzasnęła Jhenna. – Albo stanie na twoim miejscu, albo tego nie zrobi. Nie daj się nabrać na te wykręty.

Hart się zgarbił.

– To nie na moją głowę.

Jhenna podeszła bliżej i Hart musiał stłumić pragnienie ucieczki. Uniósł miecze tak wysoko, jak tylko się odważył, choć Jaghutka tego nie zrobiła. W końcu istniało wiele różnych rodzajów broni.

– Nieszczęsny człowieku. Robię wszystko, co w mojej mocy, by oszczędzić twe życie, ale ty nie chcesz mi pomóc.

Jej oczy lśniły jak złote lampy. Hart skrzywił się. Wbił wzrok w środek jej tułowia, zacisnął zęby i czekał.

– Nazywasz się Hart, tak? – zapytała Jhenna. Skinęła głową i rozpostarła szeroko ramiona. – Ależ oczywiście! Hart Miecza! Jakaż byłam głupia. Któż inny mógłby się oprzeć Jaghutowi? To wspaniale.

Weteran zadrzał, czując zimny podmuch. Nie był w stanie rozewrzeć dłoni. Przymarzły do rękojęści. Stopy miał odrętwiałe i coraz trudniej mu było myśleć. Zamrugął, by uwolnić rzęsy od lodu.

– A dlaczego? – zdołał zapytać.

– Dlatego że wiem z całą pewnością, że Dassem Ultor żyje – odparła Jhenna, ścisząc głos do szeptu.

Hart wyprostował się gwałtownie.

– Słucham?

– Tak, to prawda. Żyje. A ja mogę go odnaleźć! Z pewnością sam los sprawił, że się spotkaliśmy: ty, jego ostatni, najwierniejszy towarzysz, i ja, która mogę cię do niego zaprowadzić.

– Kłamiesz – wyszeptał Hart, krzywiąc się z zimna, od którego drętwiały mu wargi i bolały go zęby.

– Nie. W tej sprawie nie potrzebuję upiększać faktów. On żyje.

Jhenna spojrzała na Chodzącego po Krawędzi.

Hart zauważył z zaskoczeniem, że głowa Jaghutki znalazła się już niemal w zasięgu jego ręki. Ogarnął go niepokój.

– Czyż nie mówię prawdy, Wytyczający Krawędzie? – spytała Jhenna.

– Nie potrafię powiedzieć, czy ten człowiek żyje, czy nie.

– Ha! Nie potrafisz czy nie chcesz? Zauważ, jak oszczędnie nasz gość dzieli się swą mądrością, człowieku.

Myśli Harta zwolniły pod wpływem zimna, jakby je również skuł lód. Dassem żyje? Naprawdę? Dlaczego więc on miałby tu ginać?

– Ograniczę swą mądrość do jednego, pożegnalnego ostrzeżenia, śmiertelniku – oznajmił Chodzący po Krawędzi suchym, bezdźwięcznym głosem.

– To znaczy? – zapytał weteran, poirytowany szeleszczącym głosem istoty.

– Strzeż się chłodu, człowieku. Strzeż się lodu, który więzi. Szronu, który ucisza.

Hart usłyszał dobiegające z oddali warknięcie Jaghutki. Potem nadeszła eksplozja, jakby Jhenna wznowiła atak na barierę. Głowę miał ciężką. Podbródek opadł mu na pierś. Otworzył oczy i zobaczył, że aż do kolan pokryła go zamrożona skorupa, a jego stopy zniknęły w bloku czarnego jak gagat lodu, który wyrastał na podobieństwo kryształu ze szczelin w skale.

Coś w jego wnętrzu krzyknęło z odwiecznego strachu. Objęła go burza energii, która jednak nie spaliła ciała ani nie stopiła metalu zbroi, lecz wypełniła jego kończyny nowym życiem. Uniósł błyskawicznie miecze i sparował dwa uderzenia Jheny. Jaghutka ruszyła do szturm, zostawiając hełm na kamieniach za swymi plecami. Lód skuwający nogi Harta zmienił się błyskawicznie w parę, która wkrótce zniknęła w magicznym ogniu.

Jhenna ryczała z wściekłości, uderzając raz po raz mieczami, jakby chciała wgnieść przeciwnika w ziemię. Hart jednak nie ustąpił. Ze skały napływała do jego członków siła pozwalająca mu oprzeć się wściekłemu naporowi. Walka trwała jeszcze przez pewien czas, aż wreszcie Jaghutka wyciągnęła przed siebie jeden z mieczy, dotykając nim zasłony energii. Bariera rozproszyła się nagle. Nad wzgórzami przetoczył się grom. Jhenna chwiała się na nogach, warcząc i spluwając. Rozsądek opuścił ją całkowicie. Harta przerażała myśl, że omal nie posłuchał słów toczącego pianę potwora, którego miał przed sobą.

Krajobraz zamigotał, nocne niebo pojaśniało, nabierając jasnoszarej barwy. Za plecami Jaghutki ponownie pojawiły się pagórki i drzewa, a wraz z nimi złowroga sylwetka Domu.

Hart zagapił się na chwilę i omal nie stracił przez to głowy. Błyskawicznie wyprowadzone uderzenie trafiło w szczyt jego hełmu. Miecz wbił się w metal, sypiąc skrami. Głowa mężczyzny odskoczyła do tyłu. Oszołomiony weteran zdołał sparować kilka śmiertelnie groźnych pchnięć, ale poruszał się coraz wolniej. Kolejny atak zerwał łuski ze zbroi na jego barku. Potem Hart otrzymał cięcie w prawe udo. Targnął nim spazm bólu. Jego obrona zaczynała się załamywać. Czy wytrzymał wystarczająco długo? Czy opór stawiany przez tak krótki moment mógł cokolwiek zmienić?

Jhenna odwróciła się, by odbić toporek, którym ktoś w nią rzucił. Broń zrykoszetowała od jej ramienia. Jaghutka ryknęła z bólu.

W tej krótkiej chwili Hart zdołał przykucnąć i odzyskać równowagę. Jhenna uniosła rękę, lecz zza pleców weterana nadszedł kolejny atak: impuls białej, roziskrzzonej energii, który trafił w sam środek napierśnika. Kobieta cofnęła się o krok, sypiąc ochryplymi przekleństwami. Potem jednak ponowiła atak, nieubłagana jak siła natury. Jej siła zdumiewała Harta. Wyglądało na to, że Jaghutka nigdy się nie zmęczy. On był już wyczerpany do cna. Wydawało mu się, że słyszy jakieś krzyki, ale tłumiała je hucząca jak wodospad bariera. Następny atak był serią gwałtownych, desperackich ciosów. Weteran odbijał je kolejno, choć mięśnie płonęły mu z wyczerpania. Jhenna odchyliła głowę i wykrzyczała swą wściekłość pod adresem niebios. Uniosła rękę, by pchnąć przeciwnika mieczem.

Hart wiedział, że już po nim. Napiął mimo woli mięśnie i wstrzymał oddech. Miecz jednak nie zdążył go dotknąć. Jhenna zachwiała się, a potem padła na kolana ze szczękami zbroi.

Znieruchomiała. Miecze leżały na ziemi obok niej.

– Koniec ze mną, człowieku – wybełkotała. – Nie mam już sił. – Zachichotała, cicho i gardłowo. – Teraz zobaczysz, jak Dom każe swe

sługi za zdradę.

Powoli pojawiły się korzenie, wyłaniające się z ziemi niczym robaki. Owinęły się wokół nóg Jaghutki. Wyrwała się, ale zacieśniające się więzy przewróciły ją na bok. Kolejne korzenie, grube jak pięść, otoczyły jej talię. Gdy wciągały ją coraz głębiej w parującą ziemię, uśmiechnęła się szyderczo do Harta.

– Bądź ostrożny, człowieku, bo ciebie również spotka taki los.

Złociste oczy nie spuszczały zeń spojrzenia, jakby chciały go pociągnąć za sobą, aż do chwili, gdy jej głowę nakrył osypujący się pył. Na samym końcu zniknęły dłonie, nadal ściskające dymiące miecze.

Hart zamrugał. Oczy zalewał mu pot. Spróbował przełknąć ślinę, ale w ustach miał sucho jak na pustyni. Wessał w płuca chłodne powietrze. Mgła rozprzasała się stopniowo. Nigdzie nie było śladu zmasakrowanych trupów, podartych szat ani walającej się na ziemi broni. Dom patrzył na niego pustymi oczodołami okien. Znowu otaczały go inne budynki. Weteran zaciskał odrętwiałe dłonie na rękojeściach mieczy. Dyszał ciężko, jego ciało dygotało z wyczerpania. Wtem jego ramienia dotknęła czyjaś dłoń. Podskoczył, zachwiał się i osunął na niski kamienny murek, bezwładnie jak trup.

– Już świt – oznajmiła Corinn, podtrzymując go. – Próbowaliśmy ci powiedzieć...

Za plecami kobiety stał Lubben, osłaniając ją, jakby się obawiał ostatniego, desperackiego ataku kultystów.

– Świt? – wychrypiął Hart. Wypowiedział to słowo, nie rozumiejąc jego znaczenia. Świt. Corinn wyciągnęła rękę, próbując go podtrzymać, gdy padł na ziemię wilgotną od porannej rosy.

Rozdział VI.

Rozstrzygnięcia

Kiska poczuła przez sen smakowitą woń gotującego się rosolu. Uśmiechnęła się, przeciągnęła, a potem syknęła z bólu, który przeszył niemal wszystkie jej członki. Coś dotknęło jej ramienia i obudziła się nagle. Błady, gruby mężczyzna odskoczył od niej z piskiem.

– Czego chcesz? – zapytała.

Uśmiechnął się nerwowo.

– Oddaj mi fartuch. Leżysz na nim.

Poznała go. To był Kojec, oberżysta „Spod Wisielca”. Spojrzała w dół i zobaczyła, że spała na ławie wyłożonej kocami, wystrzępioną kołdrą i różnymi ubraniami.

– Przepraszam.

Uniosła rękę i mężczyzna wyszarpnął fartuch.

– Mówiłem ci, że się ocknie – zauważył ktoś po drugiej stronie pokoju.

Kiska uświadomiła sobie, że ma na sobie czyjeś ubranie: gruby, wełniany sweter – nie znosiła takich, bo wyglądała w nich jak dziecko – oraz długą suknię z wielu warstw łątanego płótna. Postawiła nogi na podłodze i potarła powieki. Przebywała w czyimś mieszkaniu znajdującym się na parterze. Ktoś wyrwał drzwi z zawiasów. Za nimi była pusta, słoneczna ulica.

Chłopak o brudnych, bosych stopach szorował parkiet, by usunąć z niego ciemne plamy, a obok za stołem siedział mężczyzna, wybierając

jący z miski gulasz kawałkiem chleba. Czarne, kędzierzawe włosy opadały mu na oczy. Oberżysta cofnął się do drzwi, kłaniając się nisko, by podziękować za fartuch.

– Zobaczymy się później, Kojec – zawołał mężczyzna, machając mokrą od sosu kromką.

Oberżysta uklonił się po raz drugi. Roześmiał się nerwowo i wyszedł pośpiesznie.

Kiska spróbowała wstać i syknęła z bólu, który przeszył jej kolano. Osunęła się z powrotem na ławę. Ponowiła próbę, pokuśtykała do stołu i chwyciła za blat, żeby się nie przewrócić. Miała mroczki przed oczyma. Serce waliło jej jak szalone. Złapała się za bok. Ból w tym miejscu był tak dotkliwy, że miała ochotę zgiąć się wpół.

Mężczyzna podbiegł i posadził ją na krześle.

– Ostrożnie – ostrzegł ją poniewczasie.

Dziewczyna usiadła, krzywiąc się.

– Dziękuję. Co mu się stało?

– Och, wystraszyłaś go lekko, kiedy zjawiłaś się nocą. Jak rozumiem, sama też się trochę bałaś.

– Tak – przyznała ze śmiechem. Nagle rozejrzała się wokół. – Gdzie oni się podziiali?

– Kto?

– Tay... mężczyźni, z którymi tu przyszedłem. – Poderwała się gwałtownie i jęknęła z bólu. – Czy już poszli?

Mężczyzna dotknął Kiski, pociągając ją z powrotem w dół.

– Spokojnie. Mam dla ciebie wiadomość, a na kominku czeka gorący gulasz. Chcesz trochę?

– Kim jesteś? Aha, medykiem, prawda? Tak, chcę trochę.

– Nazywam się Foka. A ty?

– Kiska. – Pociągnęła za brzeg swetra. – Czemu mnie w to ubrałeś?

– Ach, przepraszam. – Foka wzruszył ramionami. – Nie miałem nic lepszego. Twoje stare łachy trzeba było spalić.

Pochylił się nad czarnym garnkiem i napełnił miskę gulaszem.

Spalić? – pomyślała zdziwiona dziewczyna. Czy rzeczywiście musiał to zrobić?

– Wiesz co, Kiska? Jeśli już mowa o strachu, mnie też nieźle wystraszyłeś.

Wzięła miskę gorącego gulaszu, oderwała kawałek chleba i zaczęła go wpychać do ust. Nie uświadamiała sobie dotąd, jak bardzo jest głodna. Kiedy jadła, Foka przyglądał się jej z uśmiechem.

– Gdzie się podziali i jak się czują? – spytała Kiska z pełnymi ustami.

– Spokojnie, mamy czas. Będą żyli. Za tego barbarzyńcę, chyba Seti, mogę sobie przypisać zasługę. Ten drugi, no cóż... właściwie sam sobie poradził. Ale ciebie też ja uzdrowiłem.

– Mnie?

– Ehe. Skręcenie kolana i stłuczenie kości. Rozliczne skaleczenia i sińce. A co najgorsze, stłuczenie nerki i rozerwanie mięśni, zapewne wskutek poważnego wstrząsu albo ciosu.

Dziewczyna skrzywiła się na to wspomnienie. Miała wrażenie, że stół przeciął ją na dwie części, ale nie zaprzestała ucieczki. Zdumiewające, do czego może zmusić człowieka strach. Przełknęła kolejny kęs, starając się powstrzymać groźące jej mdłości.

– I?

– I co?

– Co to za wiadomość? Dokąd poszli?

Foka wyprostował się.

– Aha! Pytasz, co powinnaś zrobić w sprawie licznych obrażeń, których się dorobiłaś? Na początek polecałbym suty posiłek. A jeśli nocą zrobi ci się niedobrze, zalecam środek wymiotny. Jak rozumiem, gotowane liście olchy są bardzo skuteczne. Radzę też unikać przez najbliższe tygodnie wysiłku. Dużo odpoczywaj, nie przemęczaj się bez potrzeby. Rozumiesz?

Kiska przyjrzała się medykowi. Miał podkrążone oczy, a ręce, w których trzymał miskę, drżały. Zauważył jej spojrzenie i machnął ręką.

– Nie musisz mi dziękować.

Był doszczętnie wyczerpany. Z pewnością czerpał z grotu Denul aż do utraty sił, by pomóc nocą wszystkim, którzy tego potrzebowali. Podejrzewała, że zawdzięcza mu znacznie więcej, niż chciał przyznać. Przez chwilę tylko mieszała gulasz w misce. Wreszcie odchrząknęła.

– To masz dla mnie wiadomość czy nie?

– Mam, mam.

Uśmiechnął się tajemniczo zadowolony z siebie.

– I? Co ona mówi?

Uniósł palec.

– Ach! Najpierw terapia. Dokończ posiłek.

Chłopak podszedł i wręczył jej chochlę wody. Zaskoczona Kiska wypila płyn. Woda była słodka, świeża i chłodna, prosto ze studni. Podziękowała chłopcu, który wpatrywał się w nią wielkimi, piwnymi oczyma.

– Dziękuję, Jonat – powiedział Foka. Chłopiec wrócił do szorowania.

– To mój syn, Jonat – wyjaśnił medyk.

Skinęła głową, ale potem przypomniała sobie, o co pytała, i łypnęła ze złością na Fokę.

– Chyba wiem co to za wiadomość.

Medyk uśmiechnął się.

– Byłaś nocą w dość kiepskim stanie. Pamiętasz?

– Nie, nie pamiętam. Ta wiadomość chyba brzmi tak, że są w porcie.

Foka poderwał się nagle, otwierając szeroko oczy. Potem kaszlnął i roześmiał się jednocześnie, walnął się pięścią w pierś i zakołysał na krześle.

Kiska już zdążyła wstać. Teraz z kolei ona uśmiechnęła się triumfalnie. Pomachał do niej na pożegnanie.

– Nieźle – zdołał wykrztusić. – Naprawdę nieźle.

Utykając, wyszła na Tylną.

* * *

Mieszkańcy Malazu przywitani świt jak oszołomione ofiary ocalałe z tajfunu połączonego z trzęsieniem ziemi. Zza uchylonych okiennic i drzwi wyglądały zaleknione twarze. Choć słońce świeciło już wysoko na niebie, a na nieskazitelnym nieboskłonie pozostały tylko rzadkie obłoczki, większość mieszkańców nadal nie była przekonana, że nocny koszmar już się skończył.

Idąc ulicą, Kiska widziała spoglądających na nią podejrzliwie ludzi. Zdawała sobie sprawę, że z pewnością wygląda dziwnie w za dużym swetrze i długich, podtrzymywanych jedną ręką spódnicach. Foka wybrał dla niej najgorszy wyobraźalny miszmasz strojów. Pomyślała jednak, że powinna się cieszyć, że miał w domu choć trochę damskich ubrań.

Z początku ludzkie spojrzenia ją irytowały, potem jednak postanowiła je ignorować. Gdy spotykała grupki podejrzliwych obywateli, którzy skupiali się wokół walających się po ulicach pozostałości albo osobliwych plam na bruku, wymieniając opowieści, szła po prostu przed siebie, czy raczej kuśtykała, zaciskając zęby z bólu i trzymając się za bok. Milkli wówczas, by gapić się na nią otwarcie, a gdy przeszła, znowu zaczynali rozmowy. Dobrze przynajmniej, że nie wytykali jej palcami.

Już wkrótce znalazła się na nadmorskim bulwarze. Widziała ruch na pokładzie i trapie kurierskiego stateczku. Kręcili się tam ludzie wnoszący sprzęt i zapasy. Zeszła po schodach na nabrzeże.

Znała większość pracujących tu robotników. Kilku ludzi na pokładzie stateczku wyglądało na marynarzy. Byli zajęci sprawdzaniem olinowania i układaniem wyściółki pod ładunek. Hattar siedział na daszku pomieszczenia na śródkrećciu z owiniętą białym bandażem ręką zawieszoną na temblaku. Przeglądał się w zwierciadle z polerowanego srebra, zawieszonym na skrzęconej linii. Głowa mu błyszczała, jak świeżo

wygolona, a połowie twarzy gęsta maść nadała jeszcze bardziej różowy odcień. Obok niego stało wiadro, a podbródek miał namydlony. Idiota próbował ogolić się jedną ręką.

– Ahoj, na kutrze! – zawołała Kiska.

Hattar spojrział na nią. Nie odezwał się ani słowem i nie skinął też głową na powitanie. Walnął tylko pięścią w dach i wrócił do oględzin podbródka. Wykrzywił usta na obie strony. Dopiero po chwili dziewczyna uświadomiła sobie, że nie ma nad nimi wąsów. Połowę stracił w nocy, a teraz zgolił resztę.

Po chwili na trapie pojawił się Tayschrenn. Miał na sobie luźne spodnie i długą bluzę ciemnocyjanowej barwy. Na plecy opadał mu świeżo naoliwiony warkoczyk. Wyglądał, jakby całą noc przespał na piernacie.

– Witam.

– Odpływacie.

– Tak jest. Już niedługo.

Kiska skinęła głową, lecz nagle przyszło jej do głowy, że zachowuje się głupio. Zwilżyła wargi koniuszkiem języka. To właśnie była szansa wyrwania się stąd. Czy mogła ją zmarnować?

– Zabierz mnie ze sobą – poprosiła, czując ulgę i jednocześnie lęk na myśl o tym, że wreszcie odważyła się zrobić to, o czym myślała przez całą noc.

Tayschrenn uniósł palec do ust.

– Naprawdę? Prosisz mnie o przyjęcie na służbę?

Kiska skinęła nerwowo głową.

– Będziesz musiała porozmawiać z moim sekretarzem.

Wskazał Hattara.

Kiska była zrozpaczona. Pamiętała, że Agayla zawsze podkreślała konieczność ukrywania uczuć, ale nie potrafiła się powstrzymać przed spojrzeniem na niebo i opuszczeniem ramion. Modliła się, by się okazało, że Tayschrenn ją nabiera, ale nie odważyła się tego sprawdzić.

Była przekonana, że gdyby skoczyła na pokład, Hattar po prostu wyrzuciłby ją za burzę, mimo że miał rękę na temblaku.

– I co ty na to, Hattar? – zapytał Tayschrenn.

Człowiek z równin nadal przyglądał się swemu podbródkowi.

– Ma potencjał – przyznał. – Ale brak jej dyscypliny.

– Dyscypliny?! – zawołała Kiska z niedowierzaniem.

Hattar zamarł z nożem przy gardle i wbił spojrzenie w dziewczynę. Nawet z tej odległości wyczuwała zimną jak lód dezaprobatę w jego oczach. Przelknęła ślinę i skinęła głową na znak przeprosin.

– Jak już mówiłem. Zdecydowanie brak jej dyscypliny.

– Być może szkolenie mogłoby temu zaradzić – zasugerował wielki mag.

Hattar zmarszczył brwi.

– Niewykluczone. – Skinął głową. – Tak. Po kilku latach przypuszczalnie mogłaby...

– Po kilku latach!

Hattar poderwał się nagle i rzucił nożem, który wbił się w drewniane nabrzeże tuż obok stóp Kiski.

– Mogłaby się nauczyć nie przerywać starszym!

Dziewczyna wykrzywiła usta. Niech szlag trafi jej niewyparzoną gębę! Jej niecierpliwość! Chciała go przeprosić, wyjaśnić, że to jest dla niej bardzo ważne, ale tym razem powstrzymała się w porę. Gdyby znowu powiedziała coś niewłaściwego, zapewne by ją przegonili. Uklekła, wyrwała nóż i odrzuciła go Hattarowi. Seti złapał go w locie, uśmiechając się z uznaniem.

– Nieźle.

Znowu zaczął się golić, łypiąc ze złością na swe odbicie w zwierciadle. Kiska musiała powstrzymywać śmiech. Z pewnością nigdy nie widział własnej twarzy bez wąsów. Tayschrenn pokłonił się płytko i zniknął w kajucie.

Kiska oparła się o beczkę, ściskając bok. Robotnicy cały czas chodzili po trapie, wnosząc na pokład beczułki z wodą i inne zapasy. Dziewczyna wbiła wzrok w Hattara. Czy odpowiedź brzmiała „tak” czy „nie”? Jaka decyzja tu zapadła? Czy to był dalszy ciąg próby milczenia? Czy powinna coś powiedzieć?

– I co?

Hattar uniósł wzrok.

– Hmm?

– I co? Jak brzmi wasza odpowiedź? Zaoferowałam swoją służbę. Czy się zgodzacie?

Hattar spojrział w zwierciadło i raz jeszcze podrapał podbródek nożem.

– Odplywamy za dwa dzwony. Z tobą albo bez ciebie. – Uniósł nóż. – Zrozumiałaś?

– Tak! Och tak! – Zaczęła się oddalać, ale zatrzymała się nagle, jakby się przestraszyła, że mogą odplynąć natychmiast. – Przyjdę. Z całą pewnością. Dziękuję. Do zobaczenia!

Wbiegła aż do połowy wysokości schodów, nim jej bok przeszyło nagle ukłucie bólu. Zatrzymała się, wciągając z wysiłkiem powietrze. Złapała się brzegu otworu strzelniczego, żeby nie spaść na nabrzeże. Powoli, dziewczyno, powiedziała sobie. Tylko nie zemdlej. Spokojnie. Najpierw pójdzie do Agayli, potem do domu, powiedziec matce. Na pewno się ucieszy, prawda? Tak jest, ucieszy się. Agayla ją poprze. Poza tym Kiska przyśle wiadomość. Gdy tylko będzie mogła.

Wspaniała się po stoku Koralową, słońce ogrzewało jej szyję i policzki. Ciepło uwalniało ją od napięcia, łagodziło ból w mięśniach i pieczenie ran. Odkąd sięgała pamięcią, nigdy nie czuła się tak spokojna i zrelaksowana. Czy to wspaniałe uczucie brało się ze świadomości, że już wkrótce pożegna się z wyspą i być może nigdy już tu nie wróci? Ta perspektywa zachwycała Kiskę.

Dziewczyna przepychała się przez tłumy oszołomionych mieszkańców, którzy krążyli po ulicach, gapiąc się na pozostałe po nocy zniszcze-

nia, na wybite okna i porozbijane witryny sklepów. Popatrywali na siebie, jakby w obliczu tych dowodów szukali jakiegoś zapewnienia, że minioną noc była jedynie głupim koszmarem.

* * *

Gdy Kiska dotarła na Przechodnią, panowała tam nienaturalna pustka. Każdego innego dnia było tu pełno sprzedawców stojących za wózkami, kucających na rozłożonych matach albo czuwających przy wypełnionych towarami koszach. Dziś nie widziała nawet zawsze kręcących się tu kundli. Kiska podejrzewała, że spłoszyły je wciąż się utrzymujące się zapachy. Zapukała do drzwi Agayli. Girlandy suszonych kwiatów zwisały bezwładnie. Ich stęchły odór zaskoczył dziewczynę.

– Ciociu! Hej! Jesteś tu?!

Kiskę minęła staruszka pchająca wózek z podrobami. Ustawiła go pod ścianą, wyjęła z ust fajkę i przywitała dziewczynę skinieniem głowy.

– Dzień dobry – odpowiedziała Kiska.

– Dzięki za niego Pożodze i Błogosławionej Pani!

– Tak jest. Dzięki.

– Mało brakowało, żeby jeden z tych biesów mnie pożarł – oznajmiła kobieta, wypuszczając z ust obłok dymu.

– Naprawdę?

– Tak jest. Ale całą noc modliłam się do Kaptura i demony mnie ominęły.

– Do Kaptura? – powtórzyła zdumiona Kiska.

– Tak jest. Właśnie do niego. Do tego grzechoczącego kośćmi starca. Proszę, zostaw w spokoju moją starą, znużoną duszę. Lepiej zabierz sąsiada. I rzeczywiście go zabrał.

Staruszka zachichotała, mrugając znacząco.

Kiska roześmiała się nerwowo. Niech Oponn zabrają ją z tej szalonej wyspy! Załomotała do drzwi. Staruszka zajęła się odganianiem much od

podrobów.

– Agayla! Otwieraj! To ja, Kiska!

Odpowiedziała jej cisza. Dziewczyna pociągnęła za ciężkie drzwi, które nagle się otworzyły. Zaskoczona zajrzała do ciemnego wnętrza.

– Agayla?! – zawołała.

– Wejdz, dziewczyno – zachęciła ją nadal stojąca na ulicy staruszka.

– Nikt niepożądany nie dostanie się do środka. No, śmiało.

Kiska weszła do korytarza, zamknęła za sobą drzwi i zarygłowała je na wszelki wypadek.

– Ciociu?

Nikt jej nie odpowiadał, ruszyła więc naprzód, przeciskając się bokiem między półkami. Na zapleczu znalazła Agayłę, która siedziała na stołku, nisko zwieszając nakrytą ręcznikiem głowę.

– Ciociu?

Agayla wyprostowała się, uniosła ręcznik i spojrzała na dziewczynę.

– Och. Cześć, dziecko.

– Ciociu, co ty wyprawiasz?

Agayla ponownie przykryła twarz ręcznikiem.

– Okropnie się przeziębiłam.

– Aha. Dobrze się czujesz?

– Tak, tak. Jestem tylko zmęczona. Bardzo, bardzo zmęczona. – Wyciągnęła rękę do Kiski. – A co z tobą? Widzę, że wszystko w porządku.

Kiska przyciągnęła sobie krzesło.

– Tak, ciociu. Wydarzyło się coś naprawdę zdumiewającego. To najszczęśliwszy dzień w moim życiu...

– Opuuszczasz Malaz.

– Ciociu! Skąd wiesz?

– Tylko z tego mogłabyś się tak ucieszyć.

Kiska uścisnęła jej ramię.

– Och, ciociu, nie chodzi o to, że mam cię dość. Po prostu muszę uciec z wyspy. Rozumiesz, prawda?

Agayla nakryła dłoń Kiski swoją dłonią. Uśmiechnęła się blado.

– Tak, dziecko. Rozumiem.

Nagle złapał ją atak kaszlu. Zakryła usta rękawikiem.

Dziewczyna przyglądała się jej z niepokojem. Odkąd знаła Agaylę, nigdy nie zauważyła u niej nawet najmniejszych oznak choroby.

– Na pewno dobrze się czujesz?

– Tak, tak. Całkiem nieźle. Po prostu miałam bardzo ciężką noc. Jedną z najcięższych w życiu.

Kiska przyjrzała się jej krytycznie.

– Chyba cię widziałam...

– To był tylko sen, dziecko. Kolejna wizja w nocy, która była ich pełna.

– Ale widziałam coś...

Na ustach Agayli znowu pojawił się blady uśmiešek.

– To były tylko cienie.

Kiska jej nie uwierzyła, ale nie miała czasu na dłuższą rozmowę. Wstała.

– Muszę iść. Nie mogę czekać dłużej.

Agayla podniosła się, wspierając się na krzesło. Kiska przytrzymała jej ramię.

– Tak, tak. Idź. Pobiegnij do matki. Powiedz jej, że wszystko z tobą w porządku.

– Tak, zrobię to. Dziękuję, ciociu. Dziękuję za wszystko.

Agayla uściskała ją i pocałowała w czoło.

– Napisz szybko, bo przysięgam, że cię przeknę.

– Oczywiście.

– Świetnie. No to leć. Nie kaź Artanowi czekać.

Kiska dotarła do połowy długości Przeszronnej, nim zadała sobie pytanie, skąd, u licha, Agayla zna to imię. Zatrzymała się, prawie

gotowa zawrócić, ale czas ją gonił, a podejrzewała, że pożegnanie z matką może potrwać znacznie dłużej, niż dotąd sądziła.

* * *

Hart uparcie zmierzał w górę Szlakiem Szańcowym, choć miał mroczki przed oczyma i musiał przystawać na każdym pomoście, żeby nie zemdleć. Pomysł wyprawy do twierdzy był szaleństwem, chciał jednak zobaczyć, co tam będzie się działo dziś rano. Już w tej chwili przy głównym wejściu tłoczył się tłum spanikowanych kupców i obywateli, którzy przybyli z petycjami bądź skargami do podpięści Pella. Odziany w gruby płaszcz zabrany „Spod Wisielca” Hart przepchnął się przez ciżbę. Lubben chrapał na krześle, oparty plecami o wilgotną ścianę. Rozpięty kaftan odsłaniał zabandażowaną pierś.

– Obudź się, ty nikczemny leniuchu!

Garbus otworzył oko. Hart ze zdumieniem zobaczył, że jest zupełnie czerwone. Odźwierny obejrzał go od stóp do głów, po czym oblizał wargi i skrzywił się.

– Po co tu przylazłeś, na grób samego Kaptura?

– Mam dzienną służbę.

– Co? Dzienną służbę? Bogowie, daj sobie z tym spokój! Jak tylko na ciebie spojrzę, zaraz się czuję stary! Zamelduj, że jesteś chory.

– Co, miałyby mnie ominąć ta cała zabawa?

Lubben spojrział na niego z odrazą.

– Jeśli musisz... – Podał Hartowi cynową manierkę. – Coś na wzmocnienie przed czekającą cię próbą.

Weteran schował naczynie pod koszulą.

– Dziękuję. Zobaczymy się później.

Lubben poprawił się na krześle i syknął z bólu, zginając plecy.

– Pewnie tak. Nic się na to nie poradzi.

Nim Hart dotarł do koszar, zatrzymywano go cztery razy. W twierdzy panował większy rozgardiasz niż zwykle, nigdy też nie słyszał tu tyle szeptów ani nie widział tak wielu pobladłych twarzy. Zachichotał na myśl o tym, wkładając powoli zbroję i mundur. Mógłby roześmiać się w głos, ale zacisnął zęby z bólu, gdy tylko zgiął zeszywniałe ramiona i rozprostował plecy. Strażnicy biegali jak opętani. Z zadowoleniem zauważył, że większość z nich żyje i ma się dobrze, choć żaden nie wykazywał ochoty na pogawędki. Nie widział tylko gęby tego samochwały, Larkina.

Zatrzymał Wessa, młodego rekruta z równin na południe od Li Heng.

– Gdzie Larkin?

Młodzieniec wybałuszył oczy ze zdumienia.

– Nic nie słyszałeś?

– O czym? – zapytał Hart, czując ucisk w żołądku.

– Aresztowano go. Nie chciał stać dziś w nocy na warcie. Odmówił wykonania rozkazu. – Weteran ryknął śmiechem. Chłopak aż podskoczył, otwierając usta z wrażenia. – To poważny zarzut.

Hart odesłał go skinieniem dłoni. Młodzieniec obrzucił go na pożegnanie zdziwionym spojrzeniem i popędził dalej.

Weteran zachichotał, zabrał włócznię, którą zostawił pod koszarami, i ruszył ku wewnętrznym schodom. Od dawna nie był w tak dobrym nastroju. Na murach spotkał Pościga. Nigdy dotąd nie sądził, że widok tego niedoświadczonego chłopaka sprawi mu kiedyś radość, ale dziś rano szczerze się ucieszył. Choć raz szpony zajęły się tylko swoimi sprawami, ignorując miejscowy garnizon.

Pościg spojrział na niego.

– Spóźniłeś się, żołnierzu – rzekł raczej roztargnionym niż poirytowanym tonem.

– Miałem dziś nocą starcie z butelką. Przegrałem – wyjaśnił Hart, wspierając łokcie na blankach.

– Czemu mnie to nie dziwi? – zadrwił Pościg.

– O co ten cały rwetes? – zapytał Hart, wskazując wewnętrzny dziedziniec i biegających po nim ludzi.

– Chcesz powiedzieć, że tego nie wiesz?

– Nie mogę powiedzieć, żebym wiedział – wycedził Hart.

– Na kości Kaptura, człowieku! Podobno jesteś tu strażnikiem! – Pościg przełknął oburzenie. Wyraźnie nie potrafił zrozumieć obojętności Harta. Chciał już odejść, uznawszy weterana za stracony przypadek, westchnął jednak i mówił dalej. – Kiedy ty zalałeś się w trupa, doszło do próby zamachu na przedstawicielkę imperium. – Nachylił się do ucha rozmówcy i ściszył głos. – Słyszałem, że walka była szybka i krwawa.

– Słyszałeś? To znaczy, że nie obudzono garnizonu?

Pościg odchrząknął z zażenowaniem, odwracając wzrok.

– Nie obudzono. Wszystko rozegrało się na górze, w wieży. Nic w ogóle nie słyszeliśmy.

Hart ukrył uśmiech. Młodzieniec był szczerze rozczarowany. Weteran podrapał się po podbródku.

– A co z nocną wartą?

Pościg podszedł jeszcze bliżej, zapominając o niesmaku i dezaprobacie.

– W tym rzecz! Słyszałem, że żaden z nich nic nie widział!

– Nie rozumiem... – przyznał Hart, mrugając ze zdziwieniem.

– Groty – wyszeptał konfidentycznie oficer. – Nie mieliśmy szans.

– Ach. – Hart pokiwał głową ze zrozumieniem. – To nieuczciwe, co?

Pościg odsunął się od niego. W jego orzechowych oczach błysnął gniew.

– Znowu to samo! Ciągłe patrzysz na nas z góry. Ciągłe z nas drwisz. No wiesz, to tylko zbieg okoliczności. Bliźniaki Przypadku i wiek. Po prostu miałeś więcej szczęścia. Do Kaptura z tobą! Gdzie byłeś, kiedy tu

się zrobiło gorąco? Siedziałeś z nosem w butelce! Widzę, że wdałeś się też w pijacką awanturę!

Odmaszerował zamaszystym krokiem. Hart odprowadzał go spojrzeniem. Nie był pewien, co o tym wszystkim sądzić, zachichotał więc pod nosem. Ach, młodość! Tak pewna siebie, a zarazem tak załężniona. Oparł się o mur i położył głowę na wapiennej blance. Czuł się, jakby przeciągnięto go końmi po tłuczonych kamieniach. Po zastanowieniu doszedł do wniosku, że nie jest to dalekie od prawdy. Nie potrafił jednak powstrzymać uśmiechu satysfakcji. Znowu wszedł w lukę. Obronił mur.

Przez cały miniony rok tylko uciekał. Dręczyła go niepewność: czy potrafi jeszcze walczyć? Czy zdobędzie się na odwagę? I, co ważniejsze, czy zostało jeszcze coś, o co warto się bić? Teraz poznał odpowiedź na te pytania i ta wiedza przyniosła mu pocieszenie. Spokój wewnętrzny. Można nawet powiedzieć, że cieszył się z tego, co się wydarzyło. Zwłaszcza ze względu na Corinn. Bez niej nie zdołałby tego dokonać. Będzie dziś musiał to jej powiedzieć. Zapytać, czy wyjedzie z Malazu, skoro sprawa, która ją tu sprowadziła, była już zamknięta. Być może nawet powie jej, że ma nadzieję, że go nie opuści. Podejrzewał, że spędzi na wyspie długi czas. Że na długo pozostanie bywalcem gospody „Pod Wisielcem”.

Potaął ramię i zgiął nogę, cały czas krzywiąc się z bólu. Przynajmniej nie groziło mu, że zaśnie. Chorągiewka Mocka stała nieruchomo na swym szpikulcu. Hart przyjrzał się jej uważnie. Cholerstwo zatrzymało się w poprzek wiatru. Odwrócił wzrok od blasku słońca i zajął się tym, co zawsze pomagało mu przetrzymać dzień: spoglądaniem na morze.

Wody zatoki lśniły łagodnym blaskiem. Wydawało się, że cieśnina wstrzymała oddech. W oddali płynęło kilka okrętów. Bliżej, w zatoce, kotwiczyły kupieckie karawele i barki, kołyszące się łagodnie na falach. Spojrzenie Harta przyciągnął kuter pocztowy. Wypływał z zatoki pod pełnymi żaglami. Choć wiatr był słaby, stateczek rozwinął sporą prędkość. Widział, jak zawinał do portu wczoraj przed zmierzchem, a dzisiaj

odpływał przed południowym dzwonem. Zapewne przekazał już swoją wiadomość.

I przypłynął tu właśnie tej nocy! Hart zastanowił się nad tym zbiegiem okoliczności. Czy to mogła być Gburka, albo ktoś z jej świty, wracająca do Unty? Wątpliwe. To byłoby zbyt banalne. Gburka i jej szpony zapewne opuścili już twierdzę przez grotę. Tak czy inaczej, pożegnał wszystkich czule, dodając szczerze wypowiedziane życzenie, by nikt z nich nigdy już nie wrócił na wyspę.

Pociągnął łyk z manierki, by uczcić tę myśl.

Epilog

Chodzący po Krawędzi kuśtykał powoli w komnacie o pochyłych ścianach, czarnych jak zeszlona noc. Podążał ścieżką oczyszczoną z kurzu, który pokrywał resztę komnaty grubą na kość palca warstwą. Na końcu tego szlaku leżeli na plecach dwaj mężczyźni, tak samo nieruchomi jak kurz. Zatrzymał się i gapił na nich przez długi czas, jakby wypatrywał oznak życia.

– Czego chcesz, na Słowo Bezimiennych? – wychrypiał jeden z nich.

Chodzący po Krawędzi pochylił lekko głowę ukłonie.

– Witaj, Panie Domu Cienia.

Mężczyzna, który przed chwilą przemówił, usiadł i pstryknął ze znużeniem dwoma palcami lewej ręki. Chodzący po Krawędzi odwrócił się. Stał za nim sobowtór drugiego mężczyzny, ściskający w dłoniach nagie noże. Gdy martwiak spojrział na leżące na podłodze ciało, to zamigotało i zniknęło.

Siedzący mężczyzna zachichotał.

– Wybacz. Stare nawyki nie giną łatwo. Jak się nazywasz?

– Chodzący po Krawędzi.

Mężczyzna skinął z namysłem głową.

– Ach tak. Pamiętam to imię. Wspomina się o tobie... tu i ówdzie. – Uniósł rękę. – Pomóż mi wstać... ach, hmm... Kotylionie.

Noże w dłoniach Kotyliona zniknęły. Chodzący po Krawędzi zauważył, że to nie były prawdziwe sztylety, a tylko ich cienie. Od tej pory ci dwaj będą mogli tworzyć z pozostającej do ich dyspozycji surowej substancji wszystko, czego zapragną.

Stojąc, mężczyzna ledwie sięgał Chodzącemu po Krawędzi do piersi. Był siwy, garbił się i wyglądał na starca, ale w jego ruchach nie widziało się wahania. Rozejrzał się, spoglądając na pochyłe ściany i ostre kąty komnaty. Skrzywił się.

– Nie – zdecydował. – To mi się nie podoba.

Machnął ręką i zarysy sali rozmazały się, zmieniając postać. Chodzący po Krawędzi znalazł się nagle w głównej komnacie twierdzy. Pod bosymi stopami miał kamienne płyty, a pod jedną ze ścian na kominku palił się ogień. Na górze w ciemności rysowały się poczerńiałe belki. Mężczyzna zerknął w prawo i w lewo, po czym skinął głową zadowolony z siebie.

– Może być. Na razie. A teraz, Kotylionie, może tak zwiedzilibyśmy nasze królestwo?

– A co z tym tutaj?

– Ach, z Chodzącym po Krawędzi. Może być naszym przewodnikiem.

– Nie sądzę.

Stary mężczyzna przerwał, mrugając.

– Słucham? Czy powiedziałeś...?

– Nie wykonuję waszych rozkazów.

Chodzącego po Krawędzi dźgnęła w pierś laska. Nie potrafił określić, w której chwili pojawiła się w dłoni staruszka.

– Może powinienem wezwać Ogary, żeby rozerwały cię na strzępy?

– Nie zrobią tego.

– Naprawdę? A dlaczego?

– Ponieważ jesteście kuzynami. Niewolnikami Cienia.

Staruszek przyjrzał mu się uważnie, unosząc brwi.

– Ach, rozumiem. Zawładnął tobą Cień. Jesteś niewolnikiem Domu. Niech i tak będzie. Pozwolę ci na drobne impertyncje. Ale pamiętaj, że choć jesteś niewolnikiem Cienia, to ja rozkazuję Cieniowi. Nie zapominaj o tym.

Chodzący po Krawędzi nie odpowiedział.

Staruszek wsparł dłonie na srebrnym uchwycie laski ukształtowanym na podobieństwo głowy Ogara. Potem on i jego towarzysz Kotylion zaczęli się rozpraszać, jak przysłowiowe cienie w blasku księżyca, aż wreszcie zniknęli bez śladu.

Chodzący po Krawędzi odwrócił się i pokuśtykał w stronę wyjścia. Gdy już znalazł się na równinie, ruszył w kierunku pustego horyzontu. U jego stóp tańczyły obłoczki pyłu. Ile już razy słyszał te same zarozumiałe słowa od kolejnego pretendenta do Tronu? Czy nigdy się niczego nie nauczą? Jak długo utrzyma się ten nowy? Czemu żadnemu z długiego szeregu kandydatów nigdy nie przyszło do głowy, żeby zapytać, z jakiego powodu Tron jest pusty? Przecież mógł istnieć jakiś powód.

Niemniej ci nowi rezydenci zapowiadali ciekawe czasy dla Cienia. Powinien się cieszyć z ich przybycia, ponieważ jedynym, co w ostatecznym rozrachunku mogli wnieść do wiecznego królestwa, była możliwość zmiany, a co za tym idzie szansa na... poprawę.

* * *

Dziwna istota nie przypominała niczego, co chłopiec i jego siostra widzieli w życiu. Nigdy nawet nie słyszeli o czymś podobnym. Wybrali się na kraby podczas wieczornego przypływu i znaleźli ją między dwiema porośniętymi czareczkami skałami. Ugrzęzła tam, do połowy zagrzebana w piasku. Choć siostra próbowała go odciągnąć, chłopiec dźgnął bładą postać patykiem.

– To topielec – wyszeptwała dziewczynka.

– Nie – sprzeciwił się chłopiec, który gardził wiedzą siostry o łowieniu ryb, a szczerze mówiąc o wszystkim. – Ma łuski. To ryba.

Dziewczynka przyjrzała się bladej, skrytej w cieniu postaci leżącej obok kolan jej klęczącego brata. W słabnym świetle dnia na skórze stworzenia pojawiały się błyski przypominające światła, które widywała niekiedy nocą, tańczące wśród fal.

– Tak? – zapytała brata z przekąsem. – A jaka?

Chłopiec skrzywił się poirytowany głupotą dziewczynskich pytań.

– Nie wiem. Duża. Śmierdzi jak ryba.

Temu nie sposób było zaprzeczyć. Mimo to dziewczynka nadal czuła się zaniepokojona. Wydawało się jej, że dostrzegła błysk oka, obserwującego ich zza sterty wodorostów na końcu ciała.

– To trup – wyszeptwała, pragnąc skłonić brata do ucieczki. – Topielec. Zostaw go, bo inaczej jego duch będzie cię straszył.

Chłopiec lypnął na nią ze złością.

– Nie boję się.

Dziewczynka nie odpowiedziała. Jasna sylwetka poruszyła się nagle. Spod niej wyłoniło się lśniąca w ciemności ramię. Wodorosty osunęły się, odsłaniając twarz o ostrych rysach. Gorzały w niej oczy barwy stopionego złota.

Dziewczynka krzyknęła. Chłopiec wrzasnął z przerażenia, gdy zimna dłoń zacisnęła się na jego kostce. Istota poruszyła ustami, lecz wrzaski dwojga dzieci zagłuszyły jej słowa. Po chwili zwolniła uścisk.

Łkający rozpaczliwie chłopiec umknął na czworakach. Siostra ciągnęła go za bluzę, jakby coś nadal go trzymało. Istota osunęła się z powrotem w cień między skałami.

* * *

Po zachodzie słońca wśród skał pojawiła się samotna pochodnia. O ich czarne, błyszczące zęby pluskały fale nadchodzącego przypiływu. Stary mężczyzna unosił pochodnię wysoko nad głowę, brodząc wśród kałuż. Jego długie włosy i broda lśniły biało, szarpane zmiennym wiatrem. Gdy wyszedł na brzeg, za jego plecami pojawili się brat i siostra. Dzieci szły za nim, trzymając się mocno za ręce. Dziewczynka niosła lampę.

Staruszek posuwał się metodycznie naprzód. Poruszał pochodnią, zaglądając w szczeliny między głazami.

– Tutaj?! – zawołał, odwracając się do dzieci.

– Dalej – wydyszała dziewczynka.

Mężczyzna wyciągnął nóż zza pasa. Jego klinga była cienka i dobrze wyostrzona. Przełożył pochodnię i nóż z ręki do ręki, a potem ruszył dalej w fale. Gdy lodowata woda sięgnęła mu pasa, uznał, że zapuścił się już wystarczająco daleko. Wejdzie na ostatnie wysokie skały, opierające się falom niczym bastion, a potem wróci na brzeg i powie wnuczętom, że duch uciekł do słonego morza.

Siostra i brat przyglądali się, jak ich dziadek gramoli się z wysiłkiem na bardzo wysokie skały pośród bryzgów nadciągającego przypyływu, a potem znika w szczelinie. Czekali w milczeniu. Żadne z nich nie odważyło się odezwać. Dziewczynka miała wrażenie, że dziadka nie ma już bardzo długo. Wreszcie chłopiec odchrząknął.

– Myślisz, że ten stwór go capnął? – zapytał urywanym głosem.

– Cicho! Na pewno nie – uspokoiła go dziewczynka.

Nie miała jednak pewności. Co zrobią, jeśli tak się stało? Pójdą do miasta? Malaz leżał cały dzień drogi stąd. Zresztą jaką pomoc tam znajdą?

Z zamyślenia wyrwał ją syk brata, który wciągnął powietrze przez zęby, zaciskając zimną, mokrą rączkę na jej dłoni. Uniosła wzrok i zobaczyła, że z głazów schodzi duch. Ale nie, to nie mogła być zjawą. Postać trzymała w dłoni pochodnię, a żaden cień, choćby najpotężniejszy, nigdy by tego nie zrobił. Gdy patrzyła, jak jej dziadek przechodzi ostrożnie z głazu na głaz, nasunęła się jej nowa, niepokojąca myśl: choć dziadek wracał bezpiecznie, czy mogła być pewna, że duch go nie capnął? Słyszała, że widma są bardzo podstępne, a któż wiedział, co naprawdę wydarzyło się w ciemności na położonych na morzu skałach?

Dziadek wyszedł z fal z uśmiechem na twarzy i oznajmił, że duch dawno już wrócił do ukrytego pod morzem domu. Dziewczynka jednak wiedziała, że to kłamstwo. Cień rzeczywiście go capnął. Poznała to po jego oczach. Pojawiło się w nich coś, czego przedtem tam nie było. Jej brat był jeszcze za mały, żeby to zauważyć. To coś nie zniknęło nawet wtedy, gdy dziadek powiedział im, że morskie duchy mogą od czasu do

czasu odwiedzać brzeg, lecz muszą szybko wracać w głębiny. Skinęła głową, ale nie dała się nabrać. Będzie miała na niego oko.

* * *

Wracając do domu, staruszek nawet nie zauważył, że wnuk ściska mocno jego rękę, a idąca tyłem z lampą w rękę wnuczka ma bardzo zamysłoną minę. Widział tylko płonące, bursztynowe oczy człowieka z morza o włosach jak wodorosty – Jeździec Sztormu. Jeździec przemówił do niego i ku swemu zdumieniu mężczyzna go zrozumiał. Istota mówiła urywanym głosem po korelrijsku. Języka tego używano na położonych na południe od Przesmyku wyspach, gdzie Jeźdźcy i mieszkańcy Korelu toczyli nieustanną wojnę na Sztormowym Murze, wzniesionej przez ludzi barierze dzielącej ląd od morza. Dziadek staruszka zapewniał, że ich rodzina przybyła dawno temu z Korelu. Nauczył go też trochę tamtejszego języka, i to wystarczyło, by zdołał zrozumieć niewyraźną mowę Jeźdźca. Miało dla niego sens, że Jeźdźcy uważają, iż wszyscy ludzie mówią po korelrijsku.

Półżywy, leżący w pianie Jeździec zadał mu pytanie – jedno proste pytanie, które wywołało w myślach staruszka całą lawinę dociekań.

– Dlaczego nas zabijacie? – zapytał Jeździec, a on wytrzeszczył tylko oczy, przekonany, że obcy nie rozumie sensu własnych słów.

My ich zabijamy? To oni byli demonami, które zatapiały statki i niosły śmierć ludziom. Jednakże Jeździec powtórzył to pytanie trzy razy, nim mężczyzna odzyskał równowagę i poderżnął istocie gardło. Nigdy nie zapomni zdumienia, jakie go ogarnęło, gdy na dłoń trysnęła mu ciepła, czerwona krew.

Podziękowania

W swej długiej podróży od pomysłu do druku ta książka otrzymała pomoc z wielu nieoczekiwanych źródeł. Zrodziła się z wieloletniej współpracy ze Stevenem Eriksonem, która nadal rozkwita zarówno w twórczości, jak i w przyjaźni. To jemu muszę w pierwszej kolejności podziękować za partnerstwo w stworzeniu malazańskiego świata. Chciałbym też wyrazić wdzięczność Simonowi Taylorowi, za szczodrość ducha, Williamowi Thompsonowi, za słowa zachęty i umiejętności redaktorskie, oraz Gerri Brightwell, za wieloletnie wsparcie i cenne uwagi. Na koniec dziękuję serdecznie Peterowi Crowtherowi, który podjął ryzyko wydania książki nieznanego autora.